


Kawał bezwzględnie oidscholowej i swawolnej space openy.
Powalająca rozrywka

SF Review




fabryka słów
www.fabrykaslow.pl

AESNICK

03 STARSHIP: **NAJEMNIK**

MIKE RESNICK

Starship Tom III

Najemnik

Przełożył Robert J. Szmidt

Dla Carol, jak zawsze, oraz dla przyjaciół, którzy już odeszli:

Boba Blocha, Jacquesa Chambona, Jacka Chalkera, Hala Clementa,

George'a Aleca Effingera, Kelly Freas, Jacka C. Haldemana, Virginii Kidd,

George'a Laskowskiego, Bey Mahaffey, Mary Martin, Bruce'a Pelza, Hanka Reinhardta,

E. Hoffmana Price'a, Darrella C. Richardsona, Johna F. Roya, Juliusa Schwartza,

Boba Scheckleya, Charlesa Sheffielda, Rossa H. Spencera, Lou Tabakowa,

Boba Tuckera, Jamesa White'a, Jacka Williamsona, Eda Wooda

Rozdział pierwszy

– Dawidzie – powiedział bezcielesny głos systemu komunikacyjnego „Teodora Roosevelta”. – Nie wiem, gdzie się, do cholery, ukrywasz, ale musimy porozmawiać. Albo pojawisz się w moim biurze za pięć minut, albo każę cię wystrzelić z tego okrętu prosto w przestrzeń.

– Daję dychę za piąta, że kapitan będzie musiał go szukać – oznajmił jeden z marynarzy.

– Przyjmuję zakład – odparła natychmiast wysoka, rudowłosa kobieta. – Dycha za piąta. Na pokładzie tego okrętu jest tylko jeden człowiek, którego powinienes się obawiać, oprócz mnie, rzecz jasna. I jest to nie kto inny jak nasz kapitan. – Uśmiechnęła się niespodziewanie. – A poza tym – dodała – ile macie na tej krypie miejsc, w których można się ukryć?

– Więcej, niż pani myśli. Gdyby było inaczej, kapitan nie musiałby mu grozić.

– Kapitan ma dzisiaj paskudny humor – przyznała Walkiria. – Ale kto by nie miał...

– W tym samym momencie część grodzi rozsunała się i na korytarz wyszła istota ledwie przypominająca człowieka, ale za to wystrojona w szaty wiktoriańskiego dandysa. Jej oczy były osadzone po bokach jajowatej głowy, trójkątne uszy potrafiły poruszać się samodzielnie, całkowicie

okrągłe usta nie posiadały warg, a kark był niesamowicie długi i giętki. Korpus posiadała szeroki, ale o połowę niższy od ludzkiego, natomiast nogi, krótkie i serdelkowate, miały dodatkowy przegub. Obcego wyglądu dopełniała skóra o lekko zielonkawym odcieniu, ale zachowania i manier tej istoty nie powstydziliby się brytyjski arystokrata.

– Wolałbym, abyście nie rozmawiali o mnie w taki sposób, jakby mnie tu nie było – poprosił.

– Jedyne, co byś wolał, to nie być tutaj teraz – stwierdziła kobieta pełniąc funkcję trzeciego oficera i zanosła się gardłowym śmiechem.

– Moja droga Olivio... – zaczął kosmita urażonym tonem.

– Mów mi Wal – przerwała mu rudowłosa.

– Skoro tak wolisz – stwierdził z lekceważącym wzruszeniem ramion. – Dla mnie na zawsze zostaniesz Olivią Twist.

– Nienawidzę tego nazwiska – oświadczyła zdecydowanie. – Stanowczo powinieneś obrać sobie za obiekt adoracji innego ziemskiego autora.

– Innego niż nieśmiertelny Karol? – zapytał z niemal modelowym przerażeniem w głosie. – Nie ma innych autorów. Reszta to zwykle pisarczyki i grafomani.

– Dawidzie – z interkomu znów popłynął głos. – Za trzy minuty dowiesz się, czy żartowałem... – Na chwilę zapadła cisza, a potem ton wypowiedzi stał się naprawdę złowieszczy: – Mam ci pomóc w zgadywaniu?

– Naprawdę muszę już iść – usprawiedliwił się kosmita.

Gdy pobiegł w głąb korytarza, Wal chwyciła za rękę stojącego obok marynarza.

– Wyskakuj z forsy. Zasłużyłeś na to w pełni, obstawiając przeciw swojemu dowódcy.

Elegancko ubrana istota dotarła tymczasem do szybu windy powietrznej, wjechała nią dwa pokłady wyżej, tam wysiadła i weszła w drzwi kapitańskiego gabinetu.

– Mój drogi Steerforth – odezwała się, udając entuzjazm. – Doskonale pan sobie poradził z tym zadaniem! Naprawdę świetnie! Nie mogę wprost wyrazić, jak dumny jestem z pana!

– Zamknij się wreszcie – powiedział Wilson Cole. – I przestań mówić na mnie Steerforth.

– Przecież pan się tak nazywa! – zaprotestował kosmita. – Ja jestem Dawid Copperfield, a pan jest moim przyjacielem ze szkolnej ławy, Steerforthem.

– Możesz zwracać się do mnie per kapitanie, Wilsonie, nawet po nazwisku, skoro już o tym mowa. Ja będę nazywał cię nadal Dawidem, ale tylko dlatego, że nie podałeś mi swojego prawdziwego imienia. – Cole wbił twarde spojrzenie w byłego pasera. – I uwierz mi, nie masz bladego pojęcia,

jak jestem teraz wściekły na ciebie.

– Przecież wygraliśmy! – zastrzegł się natychmiast Copperfield. – Mieli pięć statków, a pan je wszystkie zniszczył.

– Wśród nich miały być dwie jednostki klasy H! – wrzasnął kapitan. – A musieliśmy walczyć z czterema okrętami klasy K i jedną M-ką.

– Za co nam doskonale zapłacono – wtrącił kosmita.

– Zapłata z trudem pokryje koszt utraconego wahadłowca i uszkodzeń, jakie odniósł podczas bitwy „Teddy R.” – odparł Cole. – Dawidzie, wyjaśniłem ci to już po poprzedniej klęsce. W tym biznesie chodzi o coś więcej niż tylko o zdobywanie największych kontraktów.

– Tak to wygląda z pańskiego punktu widzenia – stwierdził obronnym tonem Copperfield. – Moim zadaniem jest dobijanie targów z klientami. Ja podpisuję kontrakty, pan wygrywa bitwy.

– Podpiszesz kontrakt, jeśli ktoś zaproponuje ci dziesięć razy więcej i każe zaatakować pancernik albo okręt flagowy admirała Garcii?

– Na pewno nie – odparł kosmita. – „Teddy R.” nie pokona pancernika.

– „Teddy R.” miał cholerne szczęście, że wyszedł cało z dzisiejszej opresji – powiedział kapitan.

– Mój drogi Steerforth, jeśli chcesz być najemnikiem, musisz przywyknąć do udziału w nierównych walkach. Na tym polega ta robota.

– Zdaje się, że w ogóle się nie rozumiemy – stwierdził Cole. – Jesteś naszym agentem. Powinieneś załatwiać nam zadania, które możemy wykonać.

Tymczasem mamy cholerne szczęście, że przeżyliśmy to starcie.

– Żyje pan? Żyje – zaprotestował Copperfield. – A to znaczy, że zawarłem dobry kontrakt. Dwa miliony dolarów Marii Teresy za ochronę Bariosa II przed potencjalnym atakiem w czasie Wystawy Jubilerów.

– Niech cię szlag, Dawidzie, to nie był „potencjalny” atak! – zagrmiał kapitan. – Wiedzieli, gdzie jesteśmy, wiedzieli, jakim uzbrojeniem dysponujemy, posiadali nawet wiedzę na temat tego, co możemy, a czego nie wolno nam zrobić. Gdyby Wal i Cztery Oczy nie dokonali na naszych wahadłowcach rzeczy, o których nikomu się jeszcze nie śniło, orbitowalibyśmy teraz wokół tej planety w milionach kawałków.

– Mógłbym załatwić panu posadę ochroniarza w jednej ze szkół, gdzie broniłby pan grzecznych dzieci przed łobuzami – oświadczył wyniosłym tonem kosmita – ale to z pewnością nie pozwoliłoby nam na pokrycie wszystkich wydatków.

– Zamknij się – poradził mu Cole i Dawid Copperfield natychmiast zamilkł. – Musimy wprowadzić

kilka zmian do systemu naszego działania – dodał Wilson.

– Chodzi panu o okręt?

– Mówię o tobie i o mnie. Nie pozwolę ci narażać nas w taki sposób, jak robiłeś to do tej pory.

– Przecież zawsze wychodził pan zwycięsko z tych bitew! – zaprotestował kosmita. – Nie rozumiem, co pana tak wkurzyło.

– Skoro tak, dlaczego ukryłeś się w magazynku? – zapytał kapitan.

Copperfield nie odpowiedział od razu, musiał najpierw przemyśleć swoje słowa.

– Bo to takie przytulne miejsce...

Wybuch kobiecego śmiechu wypełnił przestrzeń niewielkiego pomieszczenia, a moment później obaj zobaczyli nad blatem biurka hologram Sharon Blacksmith.

– To ci się udało, Dawidzie! – przyznała, wciąż się uśmiechając. – Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciw, jeśli puszczę tę wypowiedź całej załodze. Jeśli kiedykolwiek znudzi ci się zgrywanie... no wiesz, tego, kogo teraz zgrywasz, zawsze możesz zostać zawodowym komikiem.

– Podśluchiwała nas pani? – zdziwił się Copperfield.

– Jestem szefem sekcji bezpieczeństwa – odparła Sharon. – Moja praca polega na podśluchiwaniu. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nasz nieustraszony przywódca zechce cię udusić własnymi rękami, zanim zdołasz opuścić ten gabinet, a tego typu zachowania wymagają rejestracji.

– Udusić mnie? – zachnął się kosmita. – Jesteśmy przyjaciółmi ze szkolnej ławy.

– Dawidzie, ty najwyraźniej zaczynasz się już gubić w tym wszystkim – stwierdziła Sharon. – Nie znaliście się obaj do ubiegłorocznego spotkania. Nie jesteście kumplami ze szkoły. Nie jesteś nawet człowiekiem i nie nazywasz się Dawid Copperfield. Jesteś za to, a w każdym razie byłeś do niedawna, jednym z największych paserów Wewnętrznej Granicy. Wiem, że to niezbyt miłe z mojej strony, ale takie są fakty.

– Fakty są wrogiem prawdy! – zagrmiał kosmita. – Naprawdę uważa pani, że pokazałbym panu Steerforthowi bezsens zatacania się w piractwie, gdybyśmy nie byli przyjaciółmi od tak dawna? Sądzi pani, że zgodziłbym się na zwabienie Rekina Młota na moją planetę, gdyby poprosił o to ktoś inny niż przyjaciel z mojej klasy? Myśli pani, że porzuciłbym wszystko, na czym mi do tej pory zależało i odleciał z wami, gdybym nie darzył tego człowieka wielkim uczuciem?

Cole i Sharon wymienili spojrzenia.

– Dam sobie z nim radę – stwierdził kapitan i hologram zniknął. – Dawidzie, zwabiłeś Rekina Młota na Krętą Rzekę, ponieważ nie miałeś wyboru, a poleciałeś z nami, gdyż sześciu innych piratów wyznaczyło nagrodę za twoją głowę.

- Tak, to wydarzenie także legło u podstaw mojej decyzji – przyznał Copperfield.
- Chcesz, żebym odstawił cię na Krętą Rzekę?
- Nie, w żadnym wypadku! Oni nadal mogą na mnie polować!
- Chcesz, żebym cię wysadził na najbliższej skolonizowanej planecie?
- Nie.
- Świetnie. Jeśli zostajesz na pokładzie „Teddy'ego R.”, musimy ustalić nowe zasady naszej współpracy.
- Ale nie wracamy do piractwa? – upewnił się Copperfield.
- Nie wracamy – potwierdził Cole. – Jesteśmy żołnierzami pełniącymi służbę na pokładzie okrętu wojennego. Nie nadajemy się na piratów. Aż dziw, że wytrzymaliśmy w tym fachu cały rok... – przerwał na moment. – Nie możemy też wrócić do Republiki. Nagroda za moją głowę nadal jest aktualna, podobnie jak gigantyczna premia za odzyskanie albo zniszczenie „Teddy'ego R.”. Jedyne zajęcie, jakiego możemy się podjąć tutaj, na Wewnętrznej Granicy, to wojowanie, czyli najemnictwo.
- Co dokładnie wyluszczyłem panu dwa miesiące temu – przypomniawszy kosmita.
- Wiem i przyznaję, że to była bardzo dobra sugestia. Ale, z drugiej strony, chcielibyśmy pożyczyć wystarczająco długo, aby móc wydać tak zarobione pieniądze. Już drugi raz z rzędu wybrałeś najdroższy kontrakt, nie przejmując się przy tym, czy jesteśmy w stanie go wykonać. Ten okręt zbudowano niemal wiek temu i gdyby nie nieustanne wojny, które toczyła Republika, już od ponad siedemdziesięciu pięciu lat powinien spoczywać na złomowisku. Na dwa miliony jednostek przestrzennych, jakie posiada flota, zaledwie niespełna tysiąc jest słabiej wyposażonych niż my. Wiem, że gdyby doszło do starcia jeden na jednego, będziemy w stanie pokonać każdy okręt poruszający się aktualnie po terytorium Wewnętrznej Granicy, ale ty wciąż pakujesz nas w sytuacje, w których te proporcje są mocno zaburzone.
- Do tej pory mieliśmy szczęście, ale ono nie będzie trwać wiecznie. Dlatego od dzisiaj będziesz przynosił mi wszystkie oferty do akceptacji i to ja będę decydował, czy je przyjmujemy.
- Tym sposobem odbierasz mi wiarygodność, nie mówiąc już o pozycji przetargowej.
- To cię nie zaboli tak bardzo, jak rany od lasera czy broni pulsacyjnej, nie mówiąc już o niewysłowionych mękach na powolnych torturach, a trafisz na nie, jeśli nadal będziesz nas pakował w kłopoty.
- Jak ci się udało zostać najczęściej dekorowanym oficerem floty przy takim podejściu? – zapytał z goryczą w głosie Copperfield.
- Kapitan jest teraz najczęściej dekorowanym oficerem poza flotą – wtrącił bezcielesny głos Sharon.
- Nie wspominając o tym, że otrzymał także miano najbardziej poszukiwanego przestępcy. I jesteśmy

z niego bardzo dumni, pomimo że żadne z nas już nigdy nie zobaczy własnego domu.

– Ty też mogłabyś się już zamknąć – powiedział Cole i odwrócił się do kosmity. – Tak zrobimy, Dawidzie. Będziesz mi przynosił wszystkie oferty do zatwierdzenia i chcę wiedzieć nie tylko, ile nam zapłacą. Masz mi dostarczyć informacje o każdym szczególe tych kontraktów, a przede wszystkim o tym, dlaczego ktoś chce nam tyle a tyle zapłacić za podjęcie się roboty. Jeśli nie uda ci się zgromadzić tej wiedzy, ja albo wskazany przeze mnie oficer przepytamy zleceniodawcę na okoliczność istniejących zagrożeń.

– W ten sposób stanę się niepotrzebny – zaprotestował Copperfield.

– Jak mi się to słowo podoba – wtrąciła Sharon.

– Stanę się kimś w rodzaju waszego chłopca na posyłki – kontynuował były paser.

– Próbowaliśmy działać po twojemu i nawet nie wiesz, jak wielkie szczęście mieliśmy, że udało nam się przeżyć – powiedział kapitan. – Dlatego teraz spróbujemy mojej metody.

– Nie wiem, czy temu podołam.

– Decyzja należy do ciebie. W razie czego zastąpi cię sierżant z przedziału bojowego.

– Ale na pewno będę się starał – zapewnił go pośpiesznie kosmita.

– Świetnie. W takim razie pozostajesz na stanowisku naszego agenta i nadal będziesz spotykał się z klientami. Republika nie wycofała jeszcze olbrzymiej nagrody za głowy Forrice'a, Sharon i moją, po kilkudziesięciu planetach krążą listy gończe za Wal, a ta nowa trójka, dwaj ludzie i kosmita zabrani z Cyrano, też sobie nieźle zdążyła nagrabić przed zamustrowaniem. Jesteś jednym z nielicznych członków załogi tego okrętu, który może opuszczać pokład ze sporymi szansami na szczęśliwy powrót. Przekaż Christine albo innemu oficerowi pełniącemu dyżur na mostku, dokąd mamy lecieć, a zabierzemy cię tam. Pamiętaj jednak, że nie masz już prawa zawierania umów w naszym imieniu. Czy to jasne?

– Tak, Steerforth... – odparł Copperfield i zamilkł na moment. – To znaczy Wilsonie.

– Świetnie. To wszystko. Możesz odejść. – Kosmita odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. – Jeszcze jedno, Dawidzie.

– Tak, mój drogi Steerforth?

– Jeśli jeszcze raz ukryjesz się przede mną w schowku, każę go zaspawać z tobą w środku.

– Wiedział pan o tym? – zapytał zaskoczony Copperfield.

– Ten facet ma swoich szpiegów wszędzie – oznajmił głos Sharon. – I to wcale nie jest obelga.

Copperfield opuścił gabinet bez słowa.

- Spotkamy się w mesie na kawce? – zapytała Sharon, gdy jej hologram ponownie pojawił się nad biurkiem.
- Nie teraz – odparł Cole. – Przyślij do mnie Cztery Oczy. Chcę się zapoznać z raportem o uszkodzeniach.
- Dlaczego nie Christine albo Wal? – zapytała. – W końcu to drugi i trzeci oficer.
- Najpierw Cztery Oczy, potem kawa, drzemka i na koniec zajmę się pozostałymi szkodami. Okręt musi być sprawny, musimy mieć powietrze, stabilną grawitację i całkowitą pewność, że nasze systemy uzbrojenia są w pełni sprawne. Cała reszta może poczekać.
- Nawet miłość twojego życia? – zapytała przymilnie.
- Weź coś na wstrzymanie – poradził jej. – Czekają mnie liczne obowiązki służbowe.
- Nie chcę brać niczego na wstrzymanie!
- Świetnie. W takim razie skocz do Dawida. On ci wytłumaczy, że jako kumple ze szkolnej ławy dzielimy się wszystkim.
- Siedem tysięcy sto czterdzieści pięć – powiedziała Sharon.
- A to co miało znaczyć?
- Ilość nocy, jakie spędzisz samotnie za tę zniewagę.

Rozdział drugi

Forrice, przysadzisty, trójnogi Molarianin pełniący funkcję pierwszego oficera, z niezwykłą gracją przemierzył korytarz charakterystycznym, wirującym krokiem, zatrzymał się na chwilę przed rybitwym oknem kamery wiszącej nad drzwiami Cole'a, aby kapitan mógł go rozpoznać, a potem wtoczył do wnętrza.

- Odwaliłeś dzisiaj kawał dobrej roboty, Cztery Oczy – pochwalił go Wilson.
- Też tak myślę – odparł Forrice. – Jednak wahadłowce nie zostały stworzone do tego typu manewrów... – zamilkł. – I dlatego straciliśmy „Alice”.
- Tak – mruknął Cole. – Teodor Roosevelt nigdy nam tego nie wybaczy. Straciliśmy już trójkę z jego dzieci: „Quentina”, „Archiego” i „Alice”. Został nam już tylko jeden oryginalny wahadłowiec:

„Kermit”.

- Ale te dwa nowe, „Edith” i „Junior”, spisują się całkiem nieźle – zauważył Molarianin. – Walkiria wykonała na „Edith” manewr, po którym maszyna powinna przełamać się na pół.
- Wiem. Ale nie ukrywajmy, miała przy tym kupę szczęścia. Podobnie jak ty.
- Lepiej mieć szczęście, niż go nie mieć.
- A ja tam wolę powiedzenie: przezorny zawsze ubezpieczony – odparł Cole. – Jakie rany odnieśli nasi ludzie?
- Kilka oparzeń, parę złamań, ale wszyscy przeżyli. Wiele bym dał, żeby mieć lekarza na pokładzie.
- Powinniśmy mieć dwóch – zgodził się Cole. – Jednego dla ludzi, drugiego dla reszty ras. Problem w tym, że tak bardzo jesteśmy zajęci walką, iż nie mamy czasu znaleźć kogoś, kto opatrzy nam rany... – przerwał na chwilę. – A co z okrętem? Jakie są uszkodzenia?
- Póki co wszystko działa – odparł Forrice. – Wysłałem Śliskiego na zewnątrz, żeby zbadał poszycie.
- Sam nie wiem, co byśmy bez niego zrobili – powiedział Wilson, myśląc o jedynym Tolobicie z załogi okrętu, wyjątkowym kosmicie, który dzięki pokrywającemu jego skórę symbiontowi Goribowi mógł całymi godzinami przebywać w lodowatej pustce kosmosu.
- Każdy okręt powinien posiadać Tolobitę – stwierdził Molarianin. – Zabiłeś już Dawida? – zapytał rozbawionym tonem.
- Taka myśl przemknęła mi przez głowę.
- Skąd się wzięły te cholerne statki? – ciągnął tymczasem Cztery Oczy. – Wydawało mi się, że to będzie zwykła robota, ot, parę jednostek klasy H.
- To bardziej moja wina niż jego – wyjaśnił kapitan. – Na terytorium Wewnętrznej Granicy znajduje się prawie dwa tysiące planet górniczych. Powinienem się domyślić, że doroczna wystawa jubilerska przyciągnie uwagę każdego pieprzonego złodzieja operującego w promieniu pięciuset lat świetlnych. Tak samo jak powinienem wiedzieć, że organizatorzy wcisnęli kit Dawidowi, żeby nie zażądał wyższej ceny.
- To tylko paser, nie wojskowy – zgodził się Forrice. – Jeśli zaufasz mu po raz kolejny, znowu nas wpakuje w coś takiego.
- Wiem. Dlatego od tej pory będzie tylko łącznikiem. Ma mi przedstawiać wszystkie propozycje, abym mógł zdecydować, czy je bierzemy.
- Podoba mi się ten pomysł – ucieszył się Cztery Oczy. – Nie dość, że będę bogaty, to jeszcze dłużej pożyję.

- Wystawa kończy się jutro – przypomniał mu Cole. – Mamy pozostawać do dyspozycji organizatorów aż do chwili jej zamknięcia, chociaż wątpię, aby po tej bitwie miał nastąpić jeszcze jakiś atak. Jutro, gdy tereny wystawy znajdą cię po nocnej stronie planety, weźmiesz Pampasa oraz kilku innych, równie groźnie wyglądających członków załogi i polecisz po nasze honorarium.
- Wal wygląda najgroźniej ze wszystkich – zauważył Forrice. – Nie ma na pokładzie człowieka ani kosmity, którego nie rozłożyłaby jednym palcem. Wliczając w to nawet Byka.
- Tak, wiem – przyznał Wilson. – Jeśli zlecniodawcy z jakichś przyczyn zaczną się ociągać z wypłatą należności, postraszysz ich bronią i na pewno wyciągniesz pieniądze bez większych problemów. Z Wal nie będzie szans na negocjacje, ona ich wszystkich wystrzela, jak tylko coś pójdzie nie tak.
- Jest do tego zdolna – zgodził się Molarianin. – Domyślam się, że tej umiejętności nie dałaby rady nabyć podczas służby wojskowej. – Był tak zadowolony ze swojej uwagi, że wydał kilka przeciągłych gwizdów, stanowiących ekwiwalent ludzkiego śmiechu. – Ale, co by nie mówić, to ona uratowała nam dzisiaj tyłki.
- Nie pierwszy i nie ostatni raz – zapewnił go Cole. – Dlatego ją trzymamy.
- Tylko ona wciąż wygląda świeżo i rwie się do dalszej walki – zauważył Cztery Oczy. – Gdyby była samicą mojej rasy, kręciłbym się wokół niej całymi latami, aby wyczekać moment sezonowania.
- Oszczędź mi swoich obsesji seksualnych – poprosił kapitan. – To był taki długi dzień...

Nagle okręt mocno zadrżał.

- A będzie jeszcze dłuższy – mruknął Forrice. – Pędzę na mostek.
- Nie – zatrzymał go Wilson. – Ja tam pójdę. Ty leć do przedziału bojowego i upewnij się, czy wszystko działa jak należy.
- Razem opuścili biuro i moment później Cole zameldował się na stanowisku dowodzenia.
- Co się dzieje? – zapytał Christine Mboye, która dowodziła tą wachtą.
- Jeden ze statków klasy K, które uszkodziliśmy dzisiaj podczas walki, właśnie eksplodował – zameldowała. – Wielki odłamek jego kadłuba odbił się przed chwilą od naszych doków.
- Czy Śliski nadal przebywa na zewnątrz?
- Nie wiem, sir – odparła. – Zaraz to sprawdzę. – Przebiegła wzrokiem po ekranach komputera. – Tak, sir.
- Daj mi go na audio – rozkazał kapitan. – Śliski, słyszysz mnie?
- Tak, sir – odparł Tolobita.

- Nic ci nie jest?
- Nie, sir, ale mój Gorib odniósł kilka powierzchownych ran. Muszę w miarę szybko wracać na pokład.
- Wystarczy ci czasu, żeby dokończyć sprawdzanie, czy kadłub nie został naruszony?
- Tak, sir. Wystarczy.
- Świetnie, w takim razie wykonaj zadanie, a potem od razu wracaj. – Wilson nakazał gestem przerwanie połączenia. – Czy Mustafa Odom już się obudził? – zapytał o pierwszego mechanika.
- Obawiam się, że to uderzenie obudziło wszystkich, sir.
- Po trzech takich wachtach... – mruknął Cole. – Poproś go, żeby natychmiast dokonał oględzin trafionego przedziału od wewnątrz i sprawdził, czy nie mamy tam jakiejś nieszczelności. Jeśli wszystko będzie w porządku, niech przyjrzy się jeszcze raz całej konstrukcji i wskaże miejsca, które trzeba będzie wzmocnić w najbliższej przyszłości.
- Tak jest – odparła Christine.
- Pilocie?
- Tak – powiedział Wxakgini, niepotrafiący spać pilot obcej rasy, którego mózg został podpięty, i to w dosłownym znaczeniu, do komputerów nawigacyjnych okrętu.
- Oddal się od tego miejsca o pół roku świetlnego – polecił kapitan. – Przy następnym trafieniu możemy nie mieć tyle szczęścia. Jeśli coś jeszcze wybuchnie, chcę mieć wystarczającą ilość czasu na reakcję, zanim oberwiemy odłamkami. Panie Briggs?
- Sir? – młody porucznik oderwał oczy od sensorów.
- Proszę śledzić pozostałe cztery wraki i powiadomić mnie, jeśli na którymkolwiek z nich zaczną się coś dziać.
- Jaka szkoda, że musiałeś je wszystkie zniszczyć – zza pleców Wilsona dobiegł znajomy głos. Gdy się odwrócił, zobaczył mierzającą sześć stóp i osiem cali Walkirię.
- Miałaś ochotę pobawić się z nimi nieco dłużej? – zapytał z dużą dozą ironii w głosie.
- Potrzebuję nowego statku – odparła. – Mogłabym przejąć jeden z nich.
- Wydawało mi się, że wstąpiłaś do mojej załogi na stałe – zauważył kapitan.
- Bo tak jest. Ale mając dwie jednostki, moglibyśmy podejmować się wykonania większych i bardziej skomplikowanych zadań – wyjaśniła. – Im potężniejszą flotę zgromadzimy, tym więcej pieniędzy zdołamy zarobić.

– I więcej bandziorów przyciągniemy. Roześmiała się.

– Przyciągnij i przejmij wystarczającą ich ilość, a kto wie, może pewnego dnia wypowiemy wojnę samej Republice.

– Tak, brakuje nam już tylko dziesięciu, góra dwudziestu milionów okrętów – przyznał znów nie bez ironii.

– Od czegoś trzeba zacząć.

– Odesłałem dzisiaj Dawida do łóżka bez kolacji – powiedział Wilson. – Wystarczy mi wrażeń jak na jeden dzień.

– Chcesz, żebym przejęła negocjacje? – zapytała Wal.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Jak byś je chciała prowadzić? Nawet mnie nie ścigają listami gończymi na takiej ilości planet jak ciebie.

– Ale nie na tych planetach – stwierdziła.

– Dziękuję, ale nie – Cole uciął rozmowę. – Jesteś dla nas najcenniejsza na tym odcinku, którym teraz się zajmujesz.

Wzruszyła ramionami.

– Ty tu jesteś kapitanem – rzuciła i zaraz dodała: – Ale chciałabym, żebyś oszczędził dla mnie jeden z tych statków.

– Zastanów się sama – odparł spokojnie kapitan. – Chciałabyś dowodzić jednostką, która nawet z pomocą czterech innych nie dała rady „Teddy'emu R.”?

– Mnie by się to udało – oświadczyła Wal.

Przemyślał jej odpowiedź i odpowiedział po kilku sekundach:

– To dość prawdopodobne.

– Dlatego proszę, nie niszczyć następnym razem wszystkich jednostek przeciwnika.

– Przecież widziałas, że wszystkie prowadziły ostrzał i o mały włos nie udało im się nas otoczyć.

– Nie da się otoczyć okrętu w przestrzeni, jeśli nie posiada się przynajmniej sześciu jednostek, a najlepiej mieć ich dwanaście – wtrącił Briggs.

– Przecież powiedziałem: o mały włos – odparł poirytowany Cole.

- Następnym razem daj mi wahadłowiec i pozwól polecieć na pokład jednej z takich krypt pod pozorem zawarcia rozejmu – poprosiła. – Śliski ukryje się na zewnątrz kadłuba do momentu dokowania na statku, który sobie wybiorę.
- Pod pozorem zawarcia rozejmu? – powtórzył Wilson.
- Obiecuję, że nikt nie przeżyje tej akcji, więc nie będzie żadnych plotek ani zażaleń.
- Zobaczymy – odparł kapitan.
- Dobrze, ale pamiętaj, dwa statki mogą dać nam znacznie bardziej lukratywne kontrakty.
- Zakonotuję to sobie.
- Sir – z głośników dobiegł głos Śliskiego. – Uszkodzenia są powierzchowne. Nie musimy się nimi przejmować do następnej wizyty na którejś z planet.
- „Teddy R.” nie ląduje już na planetach, kolego Śliski – przypomniał mu Cole. – Ma awersję do wszelkich atmosfer.
- Chciałem powiedzieć: do następnej wizyty na jakiejś stacji orbitalnej.
- Wezmę pod uwagę tę sugestię – obiecał mu kapitan. – A teraz proszę natychmiast wracać na pokład. Czy będzie pan potrzebował czyjejś pomocy w związku z ranami odniesionymi przez Goriba?
- Nie, dziękuję, sir – odparł Tolobita. – Sami sobie poradzimy.

Szkoda, pomyślał Cole. Służymy na tym samym okręcie już od dwóch lat, a jeszcze ani razu nie widziałem, jak wyglądasz bez swojej drugiej skóry.

- Dotarliśmy do punktu oddalonego o pół roku świetlnego – zameldował Wxakgini, nie dodając na końcu zwyczajowego „sir”. Zaparł się, że nie robi tego, dopóki kapitan nie nauczy się prawidłowo wymawiać jego imienia i nie przestanie nazywać go „pilotem”.
- Dzięki, pilocie – odparł Wilson i spojrzał w stronę Christine. – Przekaż Forrice'owi, że może już opuścić przedział bojowy. Zasugeruj mu też, że niegłupim pomysłem byłoby złapanie kilku godzin snu. Ktoś na pokładzie tej łajby powinien być wypoczęty i w pełni świadomy za kolejne dziesięć albo dwanaście godzin.

Rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego, co wymagałoby jego uwagi. Wpadł więc na moment do mesy, usiadł przy tym samym stoliku co zwykle, w samym rogu, zamówił kanapkę i piwo.

- Wyglądasz strasznie – stwierdziła Sharon Blacksmith, gdy chwilę później wkroczyła do mesy i usiadła naprzeciw niego.
- Pochlebstwami niczego nie osiągniesz – zbył ją Wilson. – Zapewniam cię, że na pokładzie tego okrętu jest co najmniej kilka dwudziestodwuletnich kobiet w stopniu chorążego, które są święcie

przekonane, że wciąż wyglądam doskonale.

– Chyba tylko dlatego, że są jeszcze takie młode i niedoświadczone – burknęła Sharon. – Mówię poważnie. Od jak dawna nie śpisz?

– Niech pomyślę. Atak rozpoczął się pod koniec niebieskiej wachty, a już wtedy nie spałem od kilku godzin. Walczyliśmy przez całą czerwoną wachtę, a teraz mija szósta godzina białej. Wygląda na to, że obudziłem się jakieś... dwadzieścia dwie albo dwadzieścia trzy godziny temu.

– Jak tylko skończysz jeść, maszerujesz do łóżka.

– Sam mam tam iść?

– Człowieku, zasnąłeś w połowie roboty – stwierdziła Sharon. – A moja próżność by tego nie zniosła.

– Cóż, jeśli naprawdę uważasz się za aż tak nieinteresującą osobę...

– Słuchaj, czy mógłbyś nie dopić tego piwa do końca? Chciałabym ci chlusnąć czymś w twarz.

– Wiesz co – odezwał się Cole po dłuższym milczeniu. – Wydaje mi się, że po tym wszystkim, co przeszliśmy w ciągu paru ostatnich tygodni, całej załozie przydałby się dłuższy odpoczynek. Nikt z nas nie pisał się na takie trudy, jakie nam zafundował Dawid.

– Skoro już poruszyłeś ten temat... – powiedziała po chwili zamyślenia Sharon. – Od czasu porzucenia naszej szanownej floty, nikt jeszcze nie dostał przepustki. Tkwimy zamknięci na tej cholernej krypie od ponad półtora roku.

– Zatem właśnie tym zajmiemy się w pierwszej kolejności.

– A nie powinieneś obgadać najpierw sprawy ze swoimi kolegami oficerami, skoro przywróciliśmy wojskową dyscyplinę? No, w każdym razie coś, co ją nieco przypomina.

– Nie sądzę – odparł Cole. – I tak wiem, jakie będą mieli zdanie.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– Forrice nie będzie zainteresowany, o ile nie znajdę planety, na której żyją jakieś samice Molarian w okresie rui. Christine stwierdzi, że podpisuje się obiema rękami pod decyzją pozostałych, a po rozdaniu przepustek i tak odmówi opuszczenia pokładu. Wal... Wal poleci wszędzie, gdzie dają dobrą gorzałkę i można zrobić kilka zdrowych rozpięchów w barach, zanim miejscowi zorientują się, z kim mają do czynienia.

– Gdzie zatem polecimy?

Wzruszył ramionami.

– Gdzieś, gdzie załoga będzie mogła się zrelaksować, podczas gdy my zajmiemy się koniecznymi naprawami, głównie tym uszkodzeniem w okolicy doków. Gdziekolwiek by to było, musimy zaokrętować tam też paru lekarzy.

– Słuchaj, jest taka planeta rozrywek zwana Kaliope... – zaczęła.

– Nie – przerwał kapitan. – Znam ten świat. Znajduje się zaledwie kilka lat świetlnych od granic Republiki. Tutaj, w głębi Wewnętrznej Granicy bycie kapitanem Cole na pokładzie „Teddy'ego R.” przemawia wyłącznie na naszą korzyść. Wszyscy mieszkańcy tej okolicy nienawidzą Republiki i kochają jej wrogów. Ale tam, osiem czy nawet dziesięć lat świetlnych od jej terytorium, bardzo łatwo o kogoś, kto zgłosi naszą obecność przedstawicielom floty. A przy tak niewielkiej odległości pościg siądzie nam na karku dosłownie po chwili.

– Zawsze zostaje nam Serengeti – zasugerowała wizytę na znanej planecie-rezerwacie, ale sama po chwili potrząsnęła głową. – Nie, to też zbyt blisko granic Republiki.

– Wydaje mi się, że musimy zasięgnąć języka u samego źródła – stwierdził Cole.

– Myślisz o Wal?

– Od wielu lat zajmowała się piractwem na terytoriach Wewnętrznej Granicy. Na pewno wie, co tu w pustce piszczy.

Dotknął komunikatora umieszczonego na przedramieniu i wprowadził kod Walkirii.

– Czego tam? – zapytała, gdy jej hologram pojawił się sekundę później przed nimi.

– Czas zaszaleć – odpowiedział Wilson. – Wprawdzie nie robimy regularnych wypłat, ale weźmiemy trochę gotówki, którą zebrał dla nas Dawid i rozdzielimy między ludzi.

– Będzie wolne – zgadła.

– Znasz może jakąś sensowną planetę znajdującą się co najmniej tysiąc lat świetlnych od granic Republiki? Miejsce, które spodoba się załodze, a przy okazji posiadające stocznię, w których możemy dokonać napraw?

– Jest tylko jedno takie miejsce – odparła Wal, a twarz jej od razu pojaśniała. – Ale to nie planeta.

– A co?

– Słyszałeś o Singapurze?

– Ta nazwa obita mi się już o uszy – przyznał kapitan. – Zdaje się, że to jakaś stacja kosmiczna.

– Tak – powiedziała Wal. – A mgławica Kraba to tylko taka migocząca plamka na niebie.

Rozdział trzeci

Stacja Singapur potrzebowała ponad tysiąca lat, aby osiągnąć dzisiejszy kształt. Niektóre z jej części liczyły sobie nawet piętnaście stuleci. Inne były właśnie budowane. Ale wiele elementów zaczynało dopiero planować.

Historia tego obiektu zaczyna się w roku osiemset osiemdziesiątym trzecim Ery Galaktycznej, czyli niemal tysiąc sto lat wcześniej. Dwie niewielkie stacje, ulokowane w połowie drogi pomiędzy Genuą a Kalatiną, rywalizowały o wpływy w pobliskim sektorze, co wkrótce doprowadziło do konfliktu interesów. Zdesperowani właściciele stacji zdecydowali jednak, że wolą przymierze niż walkę. Obie konstrukcje zostały przetransportowane przez holowniki do miejsca znajdującego się w połowie drogi, potem ludzie i roboty harowali ponad miesiąc, aby je połączyć w jeden spójny twór, a kiedy zakończono prace, okazało się, że interes zaczął kwitnąć jak nigdy przedtem.

Plotki o tym sukcesie rozprzestrzeniały się, a wpływy stacji rosły proporcjonalnie do jej rozbudowy. Wkrótce też inne niezależne korporacje operujące na terenach Wewnętrznej Granicy zaczęły dokonywać podobnych fuzji. W czternastym stuleciu Ery Galaktycznej istniał już tuzin podobnych superstacji, które nieustannie się łączyły i rozbudowywały. W wieku szesnastym ponad dwieście takich obiektów zostało połączonych w jednego giganta – Stację Singapur – na którym zamieszkało więcej istot niż na niejedynej planecie. Obiekt ten miał ponad siedem mil średnicy (choć słowo średnica nie oddaje w pełni jego rozmiarów, ponieważ daleko mu było do kulistego kształtu). Stacja składała się z dziewięciu oddzielnych poziomów i części portowej, przy której mogło jednocześnie przycumować niemal dziesięć tysięcy statków, od wojennych i pasażerskich gigantów, po niewielkie jedno- i dwuosobowe wahadłowce, których najwięcej krążyło po terytoriach Wewnętrznej Granicy.

Kilkakrotnie próbowano zmienić jej nazwę, mając głównie wzgląd na to, że ta superstacja była przeznaczona dla istot wszystkich ras, ale w końcu zawsze wracano do pierwotnego brzmienia. Było to spowodowane faktem, że człowiek miał nadal największe wpływy w tej części galaktyki, a Singapur zapamiętano jako jedno z najbardziej niezwykłych miast starożytnej Ziemi, w którym mogli zamieszkiwać obok siebie ludzie wszystkich ras i narodowości.

Stacja Singapur znajdowała się w połowie drogi pomiędzy Republiką a masywną czarną dziurą tkwiącą w centrum Mlecznej Drogi. Wszystkie wojujące imperia – a historia galaktyki nie znała czegoś takiego jak pokój – zdawały sobie sprawę, że potrzebny im jest teren neutralny, coś na wzór ziemskiej Szwajcarii, gdzie emisariusze różnych kultur będą mogli spotykać się w sekrecie, zwaśnione imperia wymieniać waluty, a ludzie i kosmici znajdą azyl bez względu na przynależność polityczną i wojskową. W późniejszym okresie zaproponowano nawet, aby miejsce to zostało przemianowane na Stację Zurych, ale pomysł upadł ze względu na silne zakorzenienie starej nazwy.

Neutralność stacji była honorowana – prócz kilku niechlubnych wyjątków – przez wszystkie strony.

Od czasu do czasu na jej pokładach dochodziło do zabicia albo porwania żołnierza, marynarza czy dyplomaty, ale pomimo braku jakichkolwiek sił porządkowych (a nawet prawa), liczba takich zdarzeń była o wiele mniejsza niż w jakimkolwiek podobnym skupisku osób w całej galaktyce.

Stacja Singapur słynęła z szerokiej gamy świadczonych usług. Miejscowe burdele pełne były osobników wszystkich znanych ras i płci. Podobnie jak tamtejsze bary, meliny, kasyna i wielkie czarnorynkowe targowiska (na Singapurze wszystko było legalne ze względu na brak obowiązującego prawa). Zakładano tam luksusowe hotele, w niczym nie ustępujące najlepszym placówkom tej branży z Delurosa VIII, a ze względu na charakter interesów zawieranych za ich zamkniętymi drzwiami, ochrona tych miejsc cieszyła się ogromną sławą. Obok wykwintnych restauracji można było znaleźć podrzędne spelunki i firmy cateringowe potrafiące obsłużyć w sumie, jak wieść niesie, ponad sto różnych ras.

Nie istniała broń, której nie można by kupić na Stacji Singapur. Nie było statku, może prócz okrętów wojennych, którego nie dałoby się tam nabyć. Liczne laboratoria potrafiły ocenić i wycenić każdy urobek dostarczony przez górników z odległych planet. Tamtejsze szpitale oferowały znakomite usługi tym, którzy nie byli w stanie skorzystać z leczenia na innych światach. Zaludniały ją także legalne roboty i nielegalne androidy – przynajmniej trzy burdele specjalizowały się w oferowaniu usług androidów obu płci.

Cztery poziomy stacji posiadały standardową atmosferę tlenową i także ciśnienie, chociaż trudno było stwierdzić, czy chodziło o standard ziemski, czy raczej dotyczący Delurosa, ale ponieważ niewiele się one różniły, nikomu to nie spędzało snu z powiek. Kolejne poziomy przystosowano do oddychania atmosferą chlorową, metanową i amoniakową. Był też jeden zupełnie pozbawiony atmosfery, na którym ludzie i kosmici, nosząc skafandry próżniowe, mogli się spotkać w równie dla siebie nieprzyjanych warunkach. Środkowy poziom służył za automatyczną bazę transportową dla wszystkich pozostałych.

– To największa cholerna stacja, jaką w życiu widziałem! – stwierdził Władimir Sokołow, wpatrując się w główny ekran, podczas gdy Wxakgini manewrował ostrożnie przy ostatnim podejściu do gigantycznych pirsów, z których goście udawali się wagonikami kolejki jednotorowej do odległej o kilka mil stacji.

– Na tak wielkiej stacji na pewno znajdą się jakieś nastawione przyjaźnie samice Molarian – ucieszył się Forrice. – Jak tylko przybijemy, porucznik Braxyta i ja ruszamy na ich poszukiwania.

– Cieszy mnie, że twoje priorytety nigdy nie ulegają zmianom – stwierdził sardonicznie Cole.

– Ty wciąż mnie nie rozumiesz – westchnął Cztery Oczy.

– Zatem oświeć mnie.

– Powiadasz, że nasze rasy są bardzo podobne do siebie, ponieważ tylko my jedyni potrafimy się śmiać i posiadamy poczucie humoru. Ale istnieje też jedna znacząca różnica pomiędzy nami.

– O której słyszę każdego dnia.

– Gdyby Sharon Blacksmith dopuszczała cię do siebie jedynie przez trzy dni co osiem miesięcy, zmieniłbyś zdanie o naszych priorytetach.

– Któregoś dnia podaruję ci książkę o buddyzmie zen i wyrzeczeniach jako duchowej drodze do oświecenia – rzucił Cole, ale Forrice i Braxyta byli zbyt zajęci studiowaniem planów stacji, żeby zwrócić uwagę na jego słowa.

Zgodnie z przewidywaniami Cole'a, Christine zgłosiła się na ochotnika do pozostania na pokładzie, a on musiał wyznaczyć jej jeszcze czterech pomocników, którzy mieli pilnować okrętu przez kolejne dwie doby standardowe, do czasu gdy połowa załogi wróci z przepustek, pozwalając porucznik Mboyi i pozostałym dyżurnym na zwiedzenie licznych atrakcji oferowanych przez Stację Singapur. Co prawda Christine zaoferowała pozostanie na stanowisku aż do ukończenia napraw w tutejszej stoczni, ale kapitan nalegał, aby zrobiła sobie kilka dni wolnego tak jak inni, nawet gdyby miała wynająć pokój w tanim motelu i nie wychodzić z niego do końca wizyty.

Okręt przycumował, Wilson razem z Mustafą Odomem pokazał miejscowym mechanikom, które elementy powinny być naprawione i wzmocnione, a potem wydał zniecierpliwionym załogantom upragnione przepustki. Sam został na pokładzie do momentu, w którym wszyscy prócz dyżurnych i starszych oficerów pojechali na stację.

– Wprawdzie nie wiem, co mogłoby pójść nie tak – powiedział do Christine – ale nie wahaj się połączyć ze mną, gdyby wystąpił jakikolwiek problem, bez względu na to jak poważny.

– Na pewno to zrobię, sir – zapewniła go. – Proszę się dobrze bawić.

– Nie omieszkam – odparł Cole. – Tak mam dość tych sojowych podróbek, którymi karmią mnie od paru lat, że najpierw zjem największy stek z prawdziwego mięsa, jaki tam dostanę.

– Spadamy – poinformował wszystkich Forrice, kierując się do windy razem z Braxytą. – Życz nam szczęścia.

– Raczej powinienem go życzyć każdej Molariance, która nie potrafi wykonywać naprawde szybkich uników – rzucił za nimi kapitan.

Obaj kosmici odpowiedzieli głośnymi gwizdami obcego śmiechu, który było słychać, dopóki nie opuścili okrętu głównym włazem.

– Zostaliśmy tylko ty i ja – kapitan odwrócił się do wysokiej, rudowłosej kobiety. – Co zamierzasz tu robić? A może wolisz, abym o to nie pytał?

– Najpierw wychleję morze gorzały – oświadczyła butnie. – Potem znajdę najbardziej zapyziałą spelunę na tej stacji i rozpieprzę ją w drobny mak. A ostatniego frajera, który będzie stał na nogach, przelecę jak błyskawica.

– Cóż mogę dodać, uwielbiam te słodkie, niewinne dziewczęta, które wiedzą, czego chcą – stwierdził kapitan. – Baw się dobrze.

- A ty idziesz ze mną – stwierdziła Walkiria.
 - Miło mi, że o tym pomyślałaś, ale jestem umówiony z Sharon na obiad.
 - Ona może poczekać.
 - Nie wiem, jak by ci to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało zbyt brutalnie – dodał Cole – ale chłanie i napieprzanie się nie należy do moich ulubionych metod spędzania wolnego czasu.
 - A co z pieprzeniem?
 - Nie powiem, lubię te sprawy, ale to ma być uczucie, a ty mówisz o czymś totalnie przypadkowym.
 - Masz rację – zapewniła go Wal. – Z żadnym z tych facetów więcej się nie spotkam.
 - W takim razie życzę wam powodzenia, i tobie, i im, ale ja raczej wybieram obiad.
- Wyciągnęła rękę i chwyciła go za biceps.
- Chcesz iść ze mną, tylko jeszcze o tym nie wiesz – powiedziała.
 - Niby dlaczego?
 - Ponieważ chcesz się spotkać z człowiekiem, który zarządza tą stacją.
 - A ty go znasz?
 - Oczywiście, że go znam – odparła. – Pamiętasz chyba, że uprawiałam piractwo na szlakach Wewnętrznej Granicy od trzynastu lat... – zamilkła na moment. – Pomyśl sam. Ten facet wie o wszystkim, co się tu dzieje.
 - Jestem pewien, że jego wiedza potrafi być użyteczna dla piratów – zaczął Cole, nie wykazując większego entuzjazmu – ale...
 - Pomyśl, Wilsonie! – powtórzyła znacznie dobitniej. – On zna wszystkich, którzy potrzebują ochrony albo wkrótce będą jej potrzebowali. Zna też takich, którym przydałoby się wsparcie siłowe. Wie, kto dobrze płaci, a kto nie chce tego robić, kto jest godzien zaufania, a do kogo lepiej nie odwracać się plecami.
 - I oczywiście podzieli się tą wiedzą z pierwszym lepszym kumplem rudowłosej królowej piratów – zakpił kapitan.
 - Jak najbardziej.
 - W takim razie chyba faktycznie powinienem iść z tobą – przyznał Cole.
 - Chodź – ruszyła w stronę wind.

– Najpierw muszę powiadomić Sharon o tym, że się spóźnię – powiedział Wilson. Wysłał krótką wiadomość, potem dołączył do Wal na poduszce powietrznej i razem zjechali na najniższy pokład. – A tak na marginesie – zapytał – jak zwą ten filar miejscowej społeczności?

– Mówią na niego Platynowy Książę.

– Ciekawe dlaczego. Czyżby miał na każdym palcu pierścień z tego metalu?

Wal roześmiała się na głos.

– Wkrótce sam się przekonasz – obiecała.

Rozdział czwarty

– To naprawdę wyjątkowe miejsce – oświadczył Cole, gdy przemierzali korytarz nieustępujący szerokością tradycyjnej ulicy, mijając kolejne przeszklone wystawy sklepów. – Jak oni to oświetlają?

– Metal, z którego wykonano sklepienia przeszedł obróbkę chemiczną. I teraz sam generuje światło.

– Fosforyzuje?

Wal pokręciła głową.

– Nie. On nie odbija światła, tylko je produkuje – uśmiechnęła się. – Tutaj dzień trwa całe dwadzieścia cztery godziny, czy ile ich tam ma być na dobę. To miasto nigdy nie zasypia, nigdy nie robi się tu ciemno, a ruch nie zamiera nawet na chwilę.

– Ilu ta stacja ma stałych mieszkańców? – zapytał Cole.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie z sześćdziesiąt tysięcy albo i więcej. Jeśli ktoś zatrzymuje się tutaj na stałe, musi mieć pracę albo ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości, flotą czy zemstą ze strony mieszkańców Wewnętrznej Granicy. Z tego, co mi wiadomo, na tej stacji każdego dnia gości niemal pół miliona ludzi i kosmitów, którzy nie są jej stałymi mieszkańcami.

– Nie miałem pojęcia, że jest aż tak wielka.

– A niby skąd to miałeś wiedzieć? Twoi ludzie mówili, że najpierw walczyłeś przeciw Federacji Teroni, a potem przeniesiono cię aż na koniec Obrzeży. Ale twoja admirał Garcia doskonale zna to miejsce.

- Była tutaj? – zdziwił się Cole.
- Dwukrotnie – odparła Wal. – Za każdym razem prowadziła rozmowy w sprawie wymiany jeńców z Teroni.
- Słyszałaś tylko o tym czy sama ją widziałaś?
- Raz ją widziałam. A ty kiedyś się z nią spotkałeś?
- Tak – przyznał Wilson, uśmiechając się przy tym ironicznie. – Ale nie potrafiliśmy się dogadać.
- To ona cię zdegradowała?
- I to dwa razy – uściślił kapitan. – Ale z drugiej strony wręczyła mi trzy z medali za odwagę, którymi mnie uhonorowano. Aczkolwiek uczyniła to bardzo niechętnie.
- Szkoda, że dzisiaj jej tutaj nie ma – stwierdziła Walkiria. – Mógłbyś wyrównać kilka dawnych rachunków.
- Ona nie jest moim wrogiem – zapewnił ją Cole. – Chyba najbardziej z nich wszystkich nadaje się do dowodzenia podczas tej wojny. Po prostu różnimy się w ocenie pewnych zagadnień... – przerwał na chwilę. – Ale gdybyś kiedykolwiek usłyszała o przybyciu na tę stację Polonoi nazwiskiem Podok, powinnaś dać mi o tym znać.
- Podok? – powtórzyła Wal. – Słyszałam, jak twoi ludzie wymieniali to nazwisko. Czy on był kapitanem, kiedy się zbuntował?
- Tak... Ale to ona, nie on.
- Wszyscy twierdzili, że zasłużyła sobie na to, aby pozbawić ją dowództwa.
- Bo to prawda – odparł Cole. – Wolą zabić pięć milionów ludzi i zniszczyć ich planetę, byle nie dopuścić do zdobycia składowanego tam paliwa przez flotę Teroni.
- To właśnie o niej słyszałam – stwierdziła Wal. – Musiała być godnym wytworem swojej rasy.
- I to jeszcze jak. Ale nadal służy we flocie, a ja mam zakaz wstępu na terytorium Republiki.

Wal uśmiechnęła się.

- Czy ktoś obiecywał, że życie będzie grało fair?
- Ostatnimi czasy nie – odparł z poważną miną.

Szli dalej, mijając kolejne restauracje i bary.

- Coś tu jest nie tak – zauważył w pewnym momencie kapitan, wskazując na jedną z węższych odnóg

korytarza.

– Nie, wszystko wygląda normalnie.

– Czymkolwiek pomalowano tam sklepienie, musiało już się zużyć – zauważył. – Oświetlenie jest tam o połowę słabsze niż tutaj.

– Żeby robić nastrój – wyjaśniła. – Na końcu tego korytarza znajdują się dwa największe burdele tej stacji.

Cole rzucił spojrzenie w półmrok.

– W życiu bym nie powiedział, że znajduje się tam coś wielkiego.

– Zaufaj mi, wiem, co mówię.

– Korzystałaś z nich?

– Kiedyś.

– Jesteś piękną kobietą o egzotycznej urodzie – stwierdził kapitan. – Dziwi mnie, że musiałaś płacić za uciechy cielesne.

– Nigdy nie zapłaciłam za to facetowi – sprecyzowała. – W domu po lewej mają wyłącznie androidy. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Uwielbiam ich wytrzymałość.

– Skoro tak to lubisz... – mruknął Cole i nagle stężał. – Wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

– A co w tym dziwnego? – zapytała. – Jest nas tylko dwoje, a skoro zawędrowaliśmy do tej części stacji, musimy mieć przy sobie pieniądze do wydania.

Bez ostrzeżenia zatrzymała się i odwróciła, a Cole zaraz poszedł w jej ślady. Trzy istoty, jeden człowiek i dwóch Mollutei, zbliżały się do nich powoli, każdy trzymał sztylet w dłoni.

– Patrz na to – szepnęła Wal. – Dobry wieczór szanownym panom samcom – odezwała się do nadchodzących. – Jeśli rzucicie broń i oddacie nam wszystkie pieniądze, nikomu nie stanie się krzywda.

Człowiek roześmiał się od razu. Musiało minąć kilka sekund, aby T-tory przetłumaczyły te słowa, ale po tym czasie także obaj Mollutei wydali z siebie skrzek symbolizujący rozbawienie.

– Cóż – Walkiria postąpiła krok do przodu – nie będziecie mogli potem powiedzieć, że was nie ostrzegałam.

Cole potrzebował pięciu sekund na podjęcie decyzji, czy wdać się w bójkę, czy raczej wyjąć palnik, ale okazało się, że rozmyślał na próżno, gdyż wszyscy trzej napastnicy zostali w tym czasie pokonani i leżeli połamani na twardej powierzchni korytarza, rżąc w agonii.

– Zabierzemy im pieniądze? – zapytała rudowłosa wojowniczką. – W końcu zamierzali nas obrabować.

– Nie, nie jesteśmy złodziejami, w każdym razie już z tym fachim zerwaliśmy. Przekażemy lokalnej policji, gdzie może ich znaleźć. Zeznania złożymy w późniejszym terminie.

– Już ci mówiłam, na Singapurze nie ma żadnej policji.

– W takim razie wspomnimy o nich w pierwszym napotkanym szpitalu.

– A jeśli nie trafimy na żaden szpital?

Wzruszył ramionami.

– Takie jest ryzyko w złodziejskim zawodzie.

Roześmiała się na cały głos i chwilę później podjęli wędrówkę, nie oglądając się ani razu.

– Miejmy tylko nadzieję, że żaden z nich nie strzeli nam w plecy – powiedział Cole.

– Gdyby mieli przy sobie jakieś palniki albo piszczalki, wyciągnęliby je na samym początku – zapewniła go Walkiria. – Z o wiele większą ochotą oddasz pieniądze komuś, kto może pozbawić cię życia z odległości wielu jardów, niż oprychowi, który musi podejść, żeby cię dziabnąć. – Skinęła głową na potwierdzenie własnych słów. – Tak sobie myślę, że wrócę tą samą drogą, żeby się nawalić.

Przeszli kolejne pięćdziesiąt jardów, potem skręcili w wąski boczny korytarzyk i dotarli do drzwi krzykliwego kasyna noszącego nazwę „U Księcia”. Niski, futrzasty kosmita, należący do rasy, jakiej Cole nigdy wcześniej nie widział, roznosił drinki tłoczącym się przy stołach graczom wszelkiego kształtu i rodzaju.

– Te gnojki nigdy się tego nie nauczą – jęknęła Wal, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Spójrz tylko na ten stół.

– Co to za gra? – zapytał Cole. – Nie znam jej.

– Jabob – wyjaśniła. – Wydaje mi się, że wymyślono ją na Lodinie XI, a może na Moritacie. Kasyno trzepie na niej ogromną kasę. Dłużej utrzymasz swoje pieniądze, gdybyś palił nimi w kominku, żeby się ogrzać, ale wszyscy kosmici szaleją za nią.

– Widzę przy tym stoliku także człowieka.

– On gra dla kasyna.

– Świetnie – mruknął Cole. – Mam nadzieję, że nie przyprowadziłaś mnie tutaj dla hazardu.

– Nie. – Skinęła na jednego z kosmitów z obsługi. – Przekaż Księciu, że przyleciała Joanna d'Arc.

– Joanna d'Arc? – zapytał kapitan, gdy niziutka istota pobiegła na zaplecze.

– Nosłam wiele imion, zanim podpowiedziałeś mi to ostatnie – przypomniała mu Wal.

Kosmita wrócił po krótkiej chwili.

– On chce cię widzieć – powiedział przez T-tora.

– Chodź.

Rudowłosa ruszyła na drugi koniec sali. Cole szedł tuż za nią i po chwili dotarli do połyskującej kotary utkanej z niemal namacalnego światła. Gdy Wal znalazła się trzy stopy od niej, zatrzymała się tak raptownie, że kapitan nieomal wpadł na nią.

– Co się dzieje? – zapytał zaskoczony.

Uniosła pustą szklankę z sąsiedniego stolika i rzuciła ją w zasłonę. Szkło natychmiast zostało rozłożone na atomy.

– System bezpieczeństwa – wyjaśniła.

Czekali około pół minuty, a potem usłyszeli, jak ktoś mówi:

– Wejdź, Joanno d'Arc. Komandor Cole, a może znowu kapitan, też może wejść.

Wal zrobiła krok do przodu, a gdy nie zniknęła jak szklanka, Wilson podążył za nią do wielkiego, urządzonego z przepychem pokoju. Kolorowe śpiewające ptaki z różnych planet dzieliły złotą klatkę, która zdawała się unosić w powietrzu. Obok znajdowały się dwa trójwymiarowe, holograficzne i nieruchome obrazy przedstawiające krajobraz obcego świata, a gdy Cole zbliżył się do nich, nagle ożyły, by znów zamrzeć, gdy tylko odwrócił wzrok. Puszysty dywan uginał się pod stopami, ale natychmiast powracał do dawnego kształtu, gdy podnosili nogi. Wiszące kilkanaście cali nad podłogą skórzane fotele natychmiast dostosowywały się do kształtu gościa, który na nich zasiadał. Pod jedną ze ścian znajdował się też znakomicie zaopatrzony bar. Dwa roboty, wyższe nawet niż Walkiria, stały po obu stronach wielkiego, lśniącego biurka, ale nie one były najdziwniejsze w tym pomieszczeniu. Najbardziej niesamowicie wyglądał człowiek siedzący za biurkiem.

Najpierw Wilson uznał, że ma do czynienia z kolejnym robotem, ale po bliższych oględzinach nie był już tego taki pewien. Większość części ciała tej istoty, w tym ręce, nogi, tułów, dłonie, stopy i czaszkę wykonano z połyskującego metalu, najprawdopodobniej platyny. Ale wargi miał zupełnie ludzkie, spod nosa zwisały niepasujące do reszty twarzy, najnormalniejsze w świecie sumiaste wąsy. Lewe oko lśniło nieziemskim błękitem, lecz w prawym miał normalną tęczówkę i źrenicę. Mężczyzna ubrany był w połyskujące spodnie i smoking.

– Nie uprzedziłaś go, Joanno – powiedział.

– Mam sporo radochy, obserwując ich, kiedy przychodzą do ciebie po raz pierwszy – odparła rudowłosa. – A w tym tygodniu noszę imię Wal.

– Kleopatra, Nefretete, Joanna d'Arc... Czy te nieustanne zmiany imion kiedyś ci się znudzą? Kim była ta Wal?

– To skrót od Walkiria – wyjaśniła.

– W takim razie nawet pasuje. – Mężczyzna spojrzał na Wilsona. – A pan jest człowiekiem, za którego Republika oferuje dziesięć milionów kredytów. – Kapitan spojrzał na niego, lecz nic nie powiedział. – Proszę się nie obawiać, panie Cole – ciągnął dalej gospodarz. – Nie zamierzam wydawać pana Republice. Stacja Singapur przestałaby być tak atrakcyjnym miejscem, gdyby ludzie dowiedzieli się, że nie potrafimy utrzymać sekretów. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Platynowy Książę.

– Widzę – odparł kapitan.

– Widzi pan jedynie efekt końcowy. Kiedyś, całe lata temu, wyglądałem zupełnie jak pan teraz. Prawdę powiedziawszy, też służyłem we flocie. Moim okrętem dowodziła Susan Garcia, ta sama, która dosłużyła się w końcu tak wysokich zaszczytów.

– Co się panu przydarzyło? – zapytał Cole wbrew swojej woli.

– Straciłem lewą nogę podczas bitwy o Barbose – wyjaśnił Książę. – Zastąpiono ją protezą, o ile pamiętam ze stopu tytanu. Co ciekawe, sprawowała się znacznie lepiej niż prawdziwa kończyna. Nie męczyła się, nie odczuwałem w niej bólu, wytrzymywała ekstremalne temperatury i ciężenia... – zamilkł na moment. – Wróciłem do czynnej służby cztery miesiące później, w przeddzień bitwy o Tybor IV.

– Słyszałem o niej – wtrącił Wilson. – Zdaje się, że nasze straty sięgały tam osiemdziesięciu procent.

– Osiemdziesięciu dwóch – sprecyzował gospodarz. – I ja załapałem się do tej puli. Straciłem tam obie ręce i lewe oko. Ale medykom udało się mnie utrzymać przy życiu wystarczająco długo, żebym dotarł do szpitala polowego, gdzie dosztukowano mi protezy rąk i oka. Te, jak i noga, także sprawowały się znacznie lepiej niż oryginalne części ciała. Zostałem zwolniony ze służby wkrótce potem, widocznie ktoś uznał, że strata oka oraz trzech kończyn jest wystarczającą ofiarą złożoną w imię Republiki.

Błąkałem się później po terytoriach Wewnętrznej Granicy, aby w końcu przycumować na stałe do Stacji Singapur. Po drodze zarobiłem sporo pieniędzy, ale nie o tym teraz rozmawiamy, i uznałem, że platyna lepiej odda mój obecny status niż trywialny tytan. Uznałem też, że skoro przetrwałem tyle... nazwijmy to – ulepszeń, nie powinienem się zatrzymywać w pół drogi: wymieniłem drugą nogę, bębenki, naskórek, wszystko poza kilkoma drobnymi elementami. Z mojej oryginalnej postaci zostały tylko usta i kubki smakowe – nie przeżyłbym dnia bez rozkoszowania się smakiem ulubionych potraw i napojów – oraz wargi, ponieważ jestem próżnym człowiekiem. Gdybym nim nie był, nie przeistaczałbym się przeciw w tę platynową istotę. No i ten wąsik, z którego kiedyś byłem taki dumny. Prawe oko pozostawiłem z praktycznych względów. Lewym widzę dalej i wyraźniej, mam w nim też tryby podczerwieni i ultrafioletu, ale nie potrafi się tak szybko przyzwyczajać do zmian jasności jak oryginalna źrenica. Ale cała reszta, serce, płuca, może pan wymieniać, co pan zechce,

wszystko jest sztuczne. – Nagle roześmiał się. – Z jednym tylko wyjątkiem. Obiecywano mi, że mogę odczuwać rozkosz seksu nawet przy sztucznym członku, ale nie uwierzyłem draniom. Wie pan, gdyby się jednak pomylili, nie miałbym odwrotu... Dlatego zachowałem mojego małego przyjaciela. I dlatego też muszę nosić te śmieszne szorty. Żeby nie gorszyć tak niewinnych duszyczek jak nasza kochana Wal.

– To by wyjaśniało nazwanie pana Platynowym – stwierdził Cole. – A co z tym Księciem?

– To proste. Zarządzam Stacją Singapur. To moje księstwo. Jestem jego księciem.

– Cholernie dużo roboty jak na jedną osobę – zauważył Wilson.

– Nie więcej niż przy dowodzeniu okrętem – zapewnił go Książę. – Obaj mamy władzę nad życiem i śmiercią naszych poddanych.

– Ja nie mam żadnych poddanych.

– Nazwijmy ich zatem, oddając należny honor, podwładnymi – poprawił się człowiek z platyny. – Mam spotkanie z jednym z nich za dwie godziny.

– Niech zgadnę – powiedział Cole. – Z Dawidem Copperfieldem.

– Skąd pan wie?

– Jest jedynym członkiem naszej załogi, oprócz Wal oczywiście, który był już tutaj – wyjaśnił kapitan. – To znaczy, tak mi się wydaje. Co do pozostałych, jestem pewien, że nie odwiedzali tej stacji.

– Zadziwiające stworzenie z niego, nieprawdaż? – stwierdził Książę. – I jakie zauroczone swoją kolekcją Dickensa!

– Nie przeszkadza panu jego poza? – zapytał Wilson. – To znaczy, obca i dziwnie wyglądająca istota, ubierająca się jak Pickwick albo Sydney Carlton?

– Co by pan pomyślał o mnie, gdybym skrytykował czyjś wygląd? – odparł Książę i odsłonił w szerokim uśmiechu platynowe zęby. – Tak na marginesie, wie pan, dlaczego chce się ze mną widzieć?

– Żeby zrobić to, co ja teraz robię.

– Nie rozumiem.

– To długa historia – powiedział Cole. – Wystarczy, jeśli powiem, że „Teodor Roosevelt” służy teraz jako baza najemników. Poinformowano mnie, jak i pewnie Dawida, że jest pan źródłem najcenniejszych informacji o tutejszych zleceniodawcach, którzy mogą chcieć skorzystać z naszych usług, a także o sposobach płacenia przez nich, o tym, czy można liczyć, że podadzą nam prawdziwe dane o zleconych zadaniach.

- Nie widzę najmniejszego problemu – stwierdził Książę. – Zazwyczaj biorę dziesięć procent za pośrednictwo, ale od pana wezmę tylko pięć, ponieważ pojawił się pan w towarzystwie tu obecnej Walkirii, ale nade wszystko dlatego, że ma pan na pieńku z Susan Garcia, której rozkazy sprawiły, że moje ręce i noga zdobią teraz spory kawał przestrzeni w Federacji Teroni. Co pan na to?
- Propozycja wydaje się uczciwa – przyznał kapitan. – Ale jest coś jeszcze.
- Jak zwykle zresztą – odparł Książę. – Mogę zgadywać?
- Jeśli to pana uszczęśliwi.
- Nie chce się pan znaleźć w sytuacji, gdy siły wroga będą miały przewagę – powiedział człowiek z platyny. – Było nie było, nie wspomniał pan nic o wsparciu ze strony innych statków albo ludzi.
- To prawda – przyznał Cole. – Ale nie o to mi chodziło. Raczej myślałem o pewnych zastrzeżeniach natury etycznej.
- Zastrzeżenia natury etycznej u najemników? – zawołał rozbawiony Książę. – Toż to koncept rodem z kart powieści!
- Cieszy mnie, że tak łatwo pana rozweseliłem – stwierdził oschle Wilson. – Nie zamierzamy dawać wsparcia militarnego organizacjom zajmującym się handlem narkotykami. Nie będziemy także wykonywali zadań, które mogą przysłużyć się Federacji Teroni. Podobnie jak nie podejmiemy się działań wymierzonych w Republikę i jej flotę. Może i wygnano nas z jej granic, ale całe życie spędziliśmy, służąc naszej ojczyźnie i nie zamierzamy wydawać jej wojny.
- Nie mówiłby pan tego, gdyby miał pan kilka sztucznych kończyn – odrzekł Książę.
- Być może, ale nadal mam wszystkie swoje.
- Niech panu będzie – zgodził się człowiek z platyny. – Prawdę powiedziawszy, pańskie zastrzeżenia natury etycznej wyeliminowały zaledwie trzy, może cztery procent ludzi, planet i firm, które byłyby zainteresowane waszymi usługami.
- Świetnie – ucieszył się Cole. – Proszę przekazać najlepsze propozycje Dawidowi, kiedy się tutaj pokaże, ale proszę pamiętać, że on nie może podpisać żadnego kontraktu w imieniu „Teodora Roosevelta”. Ma dostarczyć wszystkie propozycje na moje biurko i to ja podejmę ostateczną decyzję. Ale zanim to nastąpi, zapewne odwiedzę pana, aby zadać kilka dodatkowych pytań.
- Taki układ mnie satysfakcjonuje – przyznał Książę. – Jeśli Dawid pokaże się u mnie, odeślę go i każę mu przyjść za dzień albo dwa. Znam ludzi, którzy chcieliby skorzystać z waszych usług, ale na pewno nie uda mi się z nimi skontaktować przed jego wizytą.
- Świetnie – odparł Cole. – Na pewno się jeszcze spotkamy. Wal może zostać z panem, jeśli ma na to ochotę, ale ja muszę już iść. Jestem umówiony na obiad.
- Tak? Gdzie?

- W miejscu zwanym „Rozwalcowane Żrebie”.
- Stolik w prywatnej sali będzie na pana czekał, gdy pan tam przybędzie – zapewnił go Książę. – Ale ani pan, ani żadna z towarzyszących panu osób nie musi za nic płacić.
- To pański lokal? – zapytał kapitan.
- Nie.
- Zatem...?
- Mam wielu przyjaciół na Singapurze – powiedział Platynowy Książę, uśmiechając się skromnie. – I ufam, że dołączy pan do tego szacownego grona.
- Wyciągnął metalową dłoń, a Cole ją uścisnął.
- Brzmi nieźle. Mam bowiem przeczucie, że przyda mi się każdy przyjaciel, jakiego zdołam pozyskać.

Rozdział piaty

Okręt naprawiono w ciągu pięciu dni.

Ale gdy jego załoga zaczęła wracać na pokład chwiejnym krokiem, Cole zrozumiał, że „naprawienie” jego podwładnych musiałyby potrwać znacznie dłużej.

Forrice nie odezwał się nawet słowem. Po prostu pojawił się na „Teddym R.” z rozanielonym wyrazem na obcej twarzy, pomaszerował prosto do swojej kajuty i spał tam przez trzydzieści godzin bez przerwy. Braxyta wyglądał na nie mniej uradowanego i opuścił łóżko niewiele wcześniej. Jacillios, trzecia z Molarian, najwyraźniej nie trafiła tam, gdzie oni. Wróciła ze skwaszoną miną i nie zasnęła nawet na moment.

Władimir Sokołow, Byk Pampas, Malcolm Briggs, Luthor Chadwick oraz dwaj nowi członkowie załogi należący do ludzkiej rasy, czyli James Nichols i Dan Moyer, odwiedzili chyba wszystkie bary w okolicy, a gdy zabrakło nowych miejsc do zabawy, powtórzyli swój wyczyn raz jeszcze.

Cole nie miał za to bladego pojęcia, w jaki sposób zabawiał się w czasie wolnym Jaxtaboxl, jedyny Mollutei z jego załogi, wołał też nie myśleć o metodach rozładowywania napięcia przez porucznik Domak, należącej do kasty wojowników Polonoi. Wiedział za to, że Rachel Marcos, Idena Mueller i kilka innych kobiet spędziło wolny czas, oglądając przedstawienia – na stacji znajdował się nawet teatr szekspirowski – i odwiedzając restauracje oraz kluby nocne z listy rekomendacji dostarczonej

przez Księcia. Bujandi, jedyny Pepon na okręcie, potrafił bez końca rozprawiać o sawannach i widokach z ojczystej planety. Z przepustki wrócił markotny i ponury, a kapitan od razu pomyślał, że jeśli szukał zieleni na Stacji Singapur, z pewnością nie znalazł tego, czego się spodziewał.

Wal pojawiła się na pokładzie jako jedna z ostatnich. Miała podbite oko, rozciętą wargę i grube opatrunki na dłoniach. Do tego potężnego kaca i szeroki uśmiech zadowolenia na ustach.

Czekali już tylko na Christine Mboyę. Kapitana zdziwiło, że nie przybyła jako jedna z pierwszych i zaczęło martwić coraz bardziej, gdy pojawiali się kolejni załoganci, ale żaden nic o niej nie wiedział. Już miał wysłać kilku ludzi na poszukiwania, gdy weszła na pokład, wyglądając dokładnie tak samo, jak w momencie jego opuszczania – zadbana, elegancka, spokojna. Wyjaśniła, że komputer w jej hotelu zaliczył pad systemu i spędziła ostatnie dwa dni, pomagając obsłudze postawić go na nogi. Cole zastanawiał się nawet, czy nie przekazać jej wyrazów współczucia, ale nagle dotarło do niego, że naprawa komputera była najbardziej ekscytującą rzeczą, jaką ta kobieta mogła przeżyć na Stacji.

On sam zjadł, jak to sobie obiecał, wielki stek na obiad, potem wynajął apartament i spędził romantyczną noc w towarzystwie Sharon. Nie interesował go hazard, chłanie, towary z przemytu czy wizyty w burdelach, wrócił więc na pokład jako jeden z pierwszych, po dwóch dniach, i nie opuścił już okrętu. Ale Sharon była od niego szybsza, i to o całe pół dnia.

Zastanawiał się właśnie, ile czasu powinien dać załodze, aby w pełni się odprężyła i wróciła do normy, gdy tuż przed nim zmaterializował się hologram Dawida Copperfielda.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, mój drogi Steerforth – powiedział kosmita. – Odbyłem właśnie dwie konferencje z Platynowym Księciem i sądzę, że powinniśmy usiąść, aby omówić nasze decyzje.

– „Nasze” decyzje? – zapytał Cole, unosząc znacząco brew.

– Miałem na myśli pańskie decyzje – poprawił się pośpiesznie Copperfield. – Kiedy będzie pan dysponował czasem?

– Na pokładzie tego okrętu tylko ty, ja i Christine jesteśmy w stanie wyrażać się zrozumiale i z sensem. A skoro ona zajęła się sprawami służbowymi, także i my możemy zrobić coś konstruktywnego. Nawet teraz.

– Spotkamy się w pańskim biurze?

– Tak, to niegłupia myśl – odparł Wilson. Wprawdzie wolałbym obgadać te sprawy podczas dobrego posiłku, ale z drugiej strony nie widzę sensu w ujawnianiu treści naszej rozmowy, zanim klamka zapadnie.

– Będę u pana za pięć minut – powiedział Dawid. – Muszę tylko zebrać notatki.

Rozłączył się, ale natychmiast zastąpił go hologram Sharon.

- Uważasz zatem, że nie jestem w stanie wyrażać się zrozumiale i z sensem? – zapytała.
 - Twoim zadaniem jest podsłuchiwanie rozmów, nie uczestniczenie w nich – odparł Cole. – Mogłabyś na przykład powęszyc i donieść mi, ilu członków załogi wyrzyguje sobie obecnie wnętrzności w zaciszach swoich kajut.
 - Jaki ty jesteś wyrafinowany i delikatny – podsumowała go Blacksmith.
 - Jedno z nas nie przebierało w słowach kilka nocy temu. Mam ci przypomnieć kto? – zapytał kapitan.
 - Dość tego! Z nami koniec. Na zawsze.
 - W takim razie nie obrazisz się, jeśli dam Rachel te kwiaty, które kupiłem dla ciebie?
 - Dobrze ci radzę, podawaj jej bukiet lewą ręką, bo tylko dzięki temu będziesz mógł salutować, kiedy ci ją urzną za dotykanie tej zdziry.
 - Świetna myśl – ucieszył się Cole. – Za to cię właśnie lubię najbardziej. Zawsze tak się o mnie troszczysz. I z oka nie spuszczasz...
 - Zwłaszcza kiedy wślizgujesz się za mnie – podsumowała Sharon. – Co powiesz na obiad o osiemnastej?
 - Załatwione.
 - No to znikam. Twój przyjaciel ze szkolnej ławy już tu idzie.
- Hologram zniknął w tym samym momencie, w którym drzwi biura zaczęły się rozsuwać przed Dawidem Copperfieldem.
- Jak się panu podobało na przepustce, mój drogi Steerforth? – zapytał niezwykle uprzejmym tonem kosmita.
 - Czy doczekam chwili, w której zaczniesz używać mojego prawdziwego nazwiska?
 - Nie liczyłbym na to – odparł były paser. – Ale czy to ma jakieś znaczenie? Obaj wiemy, kogo mam na myśli.
 - Obaj będziemy też wiedzieli, jeśli zacznę na ciebie mówić Hamlet albo jeszcze lepiej, Raskolnikow.
 - Chyba nie robi mi pan czegoś takiego – przestraszył się Dawid. – Nie lubi pan przecież urażać uczuć innych ludzi.
 - Ta cecha u kapitana gwiazdolotu może być postrzegana jako wada – zauważył Cole.

- Sam nie wiem. Nieśmiertelny Karol nie pisał o kapitanach gwiazdolotów.
- Kolejna z życiowych tragedii – stwierdził Wilson. – Chcesz o tym porozmawiać czy raczej przejdziemy do omawiania interesów?
- Interesy mają pierwszeństwo – odparł Copperfield. – Pozwoli pan, że usiądę?
- Przysuń sobie krzesło – powiedział kapitan. – Chociaż wątpię, żeby było ci na nim wygodnie. Mogę posłać po inne, jeśli chcesz.
- Nie trzeba – rzucił hardo kosmita, niezdarnie wdrapał się na siedzisko i spróbował się na nim umościć. – Takie właśnie krzesła mieliśmy w naszej klasie.
- Powiedz lepiej, co tam dla mnie masz?
- Nawet ja odrzuciłbym dwie najbardziej lukratywne propozycje – zaczął Copperfield. – Ale jeśli pan sobie życzy, przedstawię pobieżnie ich szczegóły.
- Nie trzeba – burknął kapitan. – Wystarczy mi, że nawet ty uznajesz je za zbyt niebezpieczne. Wiem już, jak wyglądają misje, którymi się specjalnie nie zajmowałeś.

Dziesięć kolejnych minut Dawid Copperfield spędził na przybliżaniu sześciu ofert, jakie przedstawił mu Platynowy Książę. Cole od razu odrzucił dwie, uznając, że zachodzi przy nich zbyt duże prawdopodobieństwo skrzyknięcia się sojuszników przeciwnika. Trzecia oferta zmusiłaby „Teddy'ego R.” do operowania zbyt bliska granic Republiki i chociaż zmienili wszystkie dokumenty i sygnały rejestracyjne oraz oznaczenia na kadłubie, już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to okręt wojenny, a flota musiała wiedzieć, że tylko jedna jednostka tego typu operuje aktualnie na Wewnętrznej Granicy. Teoretycznie rzecz biorąc, admiralicja nie mogła ich ścigać poza granicami administracyjnymi Republiki, ale pojęcie „pościgu kontaktowego” było tak elastyczne, że Cole wołał nie ryzykować.

Pozostały mu więc dwie propozycje do rozważenia. Jeden kontrakt opiewał na odzyskanie miasta, które padło łupem lokalnego watażki, co wiązało się z prowadzeniem walk na powierzchni planety, dom po domu, mając do dyspozycji zaledwie trzydziestoosobowy zespół uderzeniowy. Siły watażki szacowano na dwustu zbrojnych i chociaż Wilson był pewien, że jego ludzie są lepiej wyszkoleni i uzbrojeni, musiał także brać pod uwagę fakt, że przeciwnik w razie masakry raczej ściągnie dodatkowe siły, niż podda miasto.

Wybór zatem stał się prosty, pozostała Djamara II, planeta z tlenową atmosferą, na której znajdowały się bogate złoża złota i srebra. Nie było na niej za to rdzennych mieszkańców. Niezależna kompania górnicza nabyła prawa do eksploatacji zasobów naturalnych tego świata i rozpoczęła wydobywanie przed sześciu laty. Po pewnym czasie jeden z okolicznych władców dowiedział się, jakie skarby są tam wydobywane, i zapragnął nimi zawładnąć. Ale kompania górnicza była przygotowana na tego rodzaju napady. Wynajęła niewielki oddział milicji, który dwukrotnie odparł ataki na kopalnię. W czasie drugiej bitwy obrońcy ponieśli jednak poważne straty i dlatego kompania doszła do wniosku, że o wiele łatwiej będzie pokonać przeciwnika w przestrzeni niż na powierzchni planety.

Postanowiła wynająć okręt wojenny.

– Nie rozumiem, dlaczego ten władca nie zatrul atmosfery i nie wykończył ich tym sposobem? – zdziwił się Cole. – To byłaby łatwizna.

– To nie wojna, mój drogi Steerforth – odparł Copperfield. – Jego armia nie zamierza sama wydobywać tego złota albo srebra, podobnie jak my nie chcielibyśmy tego robić, aby odebrać zapłatę. Oni chcą ukraść dotychczasowy urobek albo doprowadzić do sytuacji, w której kompania będzie płaciła im coś w rodzaju daniny w zamian za zostawienie zakładów w spokoju. Nie mają zamiaru posyłać swoich elitarnych jednostek do przekopywania ziemi w poszukiwaniu minerałów.

– To nawet zrozumiałe – przyznał Wilson. – Ale znowu wkraczamy na działkę, której zupełnie nie znamy. Trzeba się tego nauczyć, podobnie jak kiedyś piractwa... – zamilkł. – Jaki będzie ostateczny rezultat tej transakcji?

– Jeśli uda nam się przegonić tego wodza i jego ludzi raz na zawsze, otrzymamy cztery miliony kredytów albo dwa miliony dolarów Marii Teresy, albo piętnaście procent ich rocznej produkcji z następnych dwóch lat.

Cole pokręcił głową

– Tak to będzie wyglądało z twojego punktu widzenia, Dawidzie. A ja pytałem o zupełnie inne rzeczy. Kto będzie naszym przeciwnikiem? Iloma statkami może dysponować? I jaką posiada siłę ognia?

– W tej kwestii jesteśmy zależni wyłącznie od źródeł Platynowego Księcia – wyjaśnił kosmita. – Zasugerowałem mu, że ta oferta najbardziej się panu spodoba, więc obiecał, że zasięgnie języka w sprawie interesujących nas szczegółów. Na razie mógł mi tylko powiedzieć, że Odwieczna Skała posiada sześć jednostek pod...

– Jeden moment – wpadł mu w słowo kapitan. – Odwieczna Skała?

– Zgadza się.

– Najpierw Platynowy Książę, potem Kleopatra, Joanna d'Arc, Rekin Młot a teraz Odwieczna Skała. Czy w tych okolicach nie nosi się normalnych nazwisk?

– Witam na Wewnętrznej Granicy – oznajmił uśmiechnięty Dawid Copperfield. – Skoro nie obowiązują tutaj żadne prawa, wszyscy jesteśmy wolni i możemy robić, co zechcemy, a to oznacza także, że każdy nosi takie nazwisko, na jakie ma ochotę. Większość tutejszych mieszkańców przybiera nowe imiona równie często, jak ludzie zamieszkujący Republikę zmieniają pojazdy albo wystrój wnętrz. Wydaje mi się, że to jest takie ożywcze.

– A mnie się wydaje po prostu idiotyczne – stwierdził Cole i skrzywił się. – Dobra, jedźmy dalej.

– Skała jeszcze cztery miesiące temu miał sześć statków. Czy zdołał dodać do tej floty jeszcze jedną, siódmą jednostkę, tego, niestety, nikt nie wie.

- Cholernie dużo statków jak na nas – zauważył Wilson, marszcząc brwi.
 - Nie będziemy walczyli ze wszystkimi naraz – uspokoił go kosmita. – On trzyma w garści cztery planety. Nie zabierze stamtąd swoich jednostek, bo mogłoby dojść do niepokojów i kto wie co zastałby po powrocie.
 - Zatem wystawi przeciw nam tylko dwa statki... – pomyślał na głos Cole.
 - Albo trzy, jeśli rzeczywiście dokonał niedawno nowego zakupu.
 - Czy Księżę zdoła się tego dowiedzieć, zanim podpiszemy kontrakt?
- Dawid wzruszył ramionami.
- Nie mam pojęcia. Księżę próbuje ustalić to od trzech dni, ale na razie bez rezultatów.
 - Zatem będą dwa statki – uznał kapitan. – Jeśli nabyli nową jednostkę, ale nawet Księżę nie może się niczego dowiedzieć na jej temat, oznacza to, że operuje ona gdzieś daleko i na pewno nie pojawi się na Djamarze II, dopóki nie zostanie tam wezwana sygnałem alarmowym, a do tego czasu zdążymy rozwalić jedną albo i obie pozostałe jednostki.
 - Zatem jest pan zainteresowany tą propozycją? – zapytał Copperfield.
 - Tak, jestem nią zainteresowany – odparł Wilson. – Proporcje wynoszą dwa do jednego, a żaden z tych okrętów nie może się równać siłą ognia z „Teddym R.”, zwłaszcza od momentu, gdy wzmocniliśmy przedział bojowy bronią z „Pegaza”. Na naszą korzyść będzie przemawiał także element zaskoczenia... – zamilkł na moment. – No i świadomość, że bronimy tej planety przed splądrowaniem.
 - To naprawdę ma dla pana takie znaczenie? – zdziwił się kosmita.
 - Tego nas zawsze uczono, Dawidzie – wyjaśnił Cole – z tego właśnie powodu tak wielu z nas wstępowało do floty.
 - A mnie się wydawało, że wcielali was siłą, przez pobór.
 - Tak też bywało – przyznał skwaszony kapitan, zamyślił się głęboko i dodał: – Najpierw rozpieprzymy mu oba statki, a potem odwiedzimy te cztery planety, które podbił. Jedna jednostka na każdej, to będzie dziecinnie łatwe.
 - Zrobi pan coś takiego ze względu na aspekty moralne?
 - Cóż, jeśli na którejs z tych planet mieszkańcy zorganizują zbiórkę pieniędzy na wynagrodzenie nam trudów walki, na pewno nie będę ich do tego zniechęcał.
 - Na Boga jedyne, panie Steerforth! – zawołał Dawid Copperfield z entuzjazmem. – Teraz gadasz pan jak rasowy najemnik!

Rozdział szósty

Minęło sześć dni, od kiedy Cole podpisał papiery zobowiązujące go do obrony Djamarę II. Nie umieścił jednak „Teddy'ego R.” na orbicie tej planety, uznając, że nie ma sensu manifestować wszem i wobec jego obecności, znalazł za to znakomitą kryjówkę pośród dwunastu księżyców obiegających Djamarę V. Christine, Briggs i Domak, ze względu na biegłość w posługiwaniu się sensorami, objęli dowództwo kolejnych ośmiogodzinnych wacht i nieustannie przeczesywali przestrzeń wokół systemu, szukając śladów jednostek należących do Odwiecznej Skały.

Sam Cole spędził większość tego czasu w zaciszu biura i swojej kajuty. Nie miał za wiele do roboty aż do chwili, kiedy pokażą się statki nieprzyjaciela – a gdyby nawet pojawiły się w pobliżu znienacka, mógł odbierać przekazy z mostka tu, na miejscu.

Siódmego dnia nadszedł zakodowany przekaz ze Stacji Singapur. Kapitan odebrał go we własnej kajucie.

Po chwili szumów pojawił się hologram Platynowego Księcia.

– Cześć – powitał go Wilson. – Na razie ani śladu po nich.

– I dobrze – stwierdził Książę. – Dzięki temu zyska pan czas na zaplanowanie operacji.

– Nie podobają mi się pańskie słowa – odparł zaniepokojony Cole. – Co się dzieje?

– Najwyraźniej na Djamarze II mają zdrajcę – poinformował go człowiek z platyny. – Co nie powinno nikogo dziwić, zważywszy na liczbę mieszkańców i wartość łupu.

– Chce pan powiedzieć, że Odwieczna Skała wie już o naszej obecności w tym systemie? – zapytał kapitan.

– Niestety.

– I tak, prędzej czy później, by się o tym dowiedział. Straciliśmy element zaskoczenia, ale nadal powinniśmy pokonać jego siły, jakkolwiek wielkie by były. Flota oddaje na złom swoje jednostki, nigdy nie sprzedawała ich wolnym strzelcom. A nad innymi statkami będziemy mieli wielką przewagę ogniową.

– Ja to wiem, pan to wie i Odwieczna Skała też ma tego świadomość. Będzie tam już jutro.

– Wie o tym, ale nie zrezygnował z przylotu? – zaniepokoił się Cole. – W takim razie czegoś jeszcze nie wiem.

– Moje źródła twierdzą, że wpadł właśnie na pomysł, iż nikt nie będzie miał pożytku z tych skarbów, skoro on nie może położyć na nich łapy. Wykombinował kilka naprawdę brudnych bomb – nie wiem jednak ile – i wystosował następujące ultimatum: jeśli kompania górnicza nie odeśle pana do momentu jego przylotu, odpali je wszystkie w kierunku planety. Uda się wam powstrzymać jedną albo dwie ale z tego, co słyszałem, jest pewien, że wszystkich nie zneutralizujecie. W bardziej barbarzyńskich czasach nazywano takie operacje rozwiązaniem ostatecznym.

– Dzięki za informacje – powiedział Wilson.

– Co pan zamierza zrobić?

– Jeszcze nie wiem – przyznał kapitan. – Rzecz wymaga gruntownego przemyślenia.

– Przykro mi, że sprawy przybrały tak zły obrót – stwierdził Książę. – Nie chciałem sprawić panu aż tak wielkich problemów, zwłaszcza że to dopiero pierwsze zlecenie, jakie panu załatwiłem.

– To nie pańska wina – ocenił Cole. – Chyba powinniśmy wyjść mu naprzeciw i załatwić sprawę w otwartej przestrzeni, z dala od tego systemu.

Książę zrobił dziwną minę, która zdaniem Wilsona nie miała prawa pojawić się na jego twarzy, zważywszy ilość pokrywającej ją platyny.

– Jeśli w kompanii górniczej i na planecie są agenci Skały, pewnie liczy się także z tym, że strona przeciwna ma kilku swoich ludzi w jego szeregach. Nie sądzę, żeby chciał dokonać otwartego ataku.

– Mam tylko jeden okręt, nie dam rady patrolować całego systemu.

– Mogę przekazać kompanii, że anulowaliśmy kontrakt – zasugerował Książę.

Cole zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Plotki o tym rozejdą się lotem błyskawicy i nikt nie będzie chciał skorzystać z naszych usług.

– W takim razie trzeba im zasugerować, żeby ewakuowali Djamarę.

– Ten sam problem. Zapłacili nam za możliwość spokojnej pracy. Jeśli nie zdołamy im tego zapewnić, kto postawi na nas w przyszłości?

– No to mamy zagwozdkę – przyznał Książę. – Jeśli mogę coś dla pana zrobić...

– Dam panu znać – zapewnił go kapitan i przerwał połączenie.

Natychmiast zwołał naradę z udziałem wszystkich starszych oficerów. Jego biuro było zbyt małe i nie pomieściłoby tylu osób, kazał im więc zebrać się w mesie i zamknął ją do momentu, w którym zakończą obrady.

Gdy tylko wszyscy się zebrali, przedstawił im dokładnie aktualną sytuację.

- Powiedzcie mi – zapytał, gdy poznali już każdy szczegół niedawnej rozmowy – jakie są szanse, że dostrzeżemy ich, gdy pojawią się w tym systemie?
- Djamara II znajduje się w tej chwili po drugiej stronie gwiazdy tego systemu – wyjaśniła Christine.
- Jeśli pozostaniemy na dotychczasowej pozycji, a oni nadlecą od przeciwnej strony, na pewno nie zobaczymy ich na czas.
- A jeśli przejdziemy na orbitę Djamary? – zadał natychmiast następne pytanie.

Mboya pokręciła głową.

- Zobaczymy ich na pewno. Ale dopóki nie uda się nam zniszczyć tych jednostek, zanim sami zostaniemy przez nie dostrzeżeni – a oni wiedzą, że tu jesteśmy – będą mogły zrzuć wszystkie bomby i jedna z nich na pewno dotrze do celu.
- Czy ktoś ma inne zdanie na ten temat? – zapytał Cole.

Forrice, Wal i Sharon wyrazili milczące poparcie dla słów Christine.

- Zatem trafiliśmy pomiędzy młot a kowadło – stwierdził kapitan. – Jeśli znajdziemy się na pozycji, z której na pewno będziemy mogli dostrzec pojawienie się jednostek przeciwnika, zdążą one odpalić wszystkie ładunki i wyjałowia tę planetę, zanim zdołamy je zniszczyć. A jeśli zostaniemy tutaj, gdzie trudno nas wypatrzeć, zyskamy szanse na zniszczenie wroga zniecacka, jeśli nadleci z tej strony, ale jednocześnie pozostawimy mu tuzin zupełnie otwartych podejść, którymi może nas spokojnie ominąć.
- Wybór Hobsona – mruknęła Wal.
- Hobson był dupkiem – prychnął Cole.
- Nie rozumiem...
- To wielki wszechświat, pełen możliwości wyboru. Nie podobają się nam dwie najoczywistsze, ale to nie oznacza wcale, że nie mamy innych.
- Skoro jednak nie potrafimy powstrzymać Skały od zrzucenia brudnych bomb... – zaczął Forrice.
- Skoro nie potrafimy – przerwał mu kapitan – nie będziemy tego nawet próbowali.
- Przywalimy im i uciekniemy? – zdziwił się Molarianin. – To mi do ciebie nie pasuje. Nikt nigdy nie da nam roboty, jak zrobimy coś takiego.
- Zabójcy do wynajęcia strzelają i uciekają – stwierdził Cole. – Sprawdźmy, czy nie możemy zmienić kolejności zdarzeń.

– Ja już się zgubiłam – przyznała Sharon. – Skoro wpadłeś na jakiś pomysł, dlaczego nam go po prostu nie przedstawisz?

– Bo jeszcze nie wiem do końca, jak to wszystko ma wyglądać – wyjaśnił Wilson. – Pracuję nad tym. Ale jedno wiem już na pewno. Nie możemy pozostać w systemie Djamar. Jeśli stąd odlecimy, Skała nie będzie miał powodu do zrzucania bomb.

– Zakładając, że dowie się o naszej rejteradzie – rzuciła Christine.

– Przecież sami możemy go o tym poinformować – zaproponował kapitan.

– Chcesz nawiązać połączenie radiem podprzestrzennym i oświadczyć, że właśnie się rozmyśliłeś? – zapytała Wal. – On na to nie da się złapać.

– Dobrze – powiedział Cole. – Tobie na pewno nie uwierzy. Mnie też nie. Księżę też pewnie go nie przekona. Zatem kto może to zrobić?

Milczeli przez dłuższą chwilę, potem Sharon uśmiechnęła się tryumfująco.

– Cholera jasna! – zawołała. – No jasne! Uwierzą kompanii górniczej. My nie zginiemy od uderzenia tych bomb, ale kompania może stracić kilkuset ludzi, nie mówiąc już o całych zasobach mineralnych tej planety.

– A skąd będą wiedzieli, że kompania górnicza ich nie okłamuje? – zapytała Christine.

– To akurat proste – uspokoiła ją Wal. – Chłopcy mogą stwierdzić, że przemysłeli swoją sytuację, że popełnili błąd i nie zamierzają za niego zapłacić. Zaproponowali nam piętnaście procent dochodu z dwóch lat. A co będzie, jeśli zaproponują Odwiecznej Skale dwadzieścia pięć, i to na zawsze?

– Pewnie zażąda jednej trzeciej – wtrącił Forrice.

– A oni mu ją dadzą – dodał Cole. – Są śmiertelnie przerażeni, więc zgodzą się na każde warunki. Oczywiście jego statki przylecą tutaj, żeby sprawdzić, czy „Teddy R.” faktycznie opuścił system. Nie zobaczą nas i dzięki temu ocalimy planetę.

– Dobra. Mamy za sobą pierwszy krok – uznał Molarianin. – Uratowaliśmy planetę. I co dalej?

– Skontaktujemy się z Księciem i zapytamy, który z czterech statków patrolujących miniaturowe imperium Skały jest najsłabszy. Potem poczekamy, aż nasz przeciwnik uda się do systemu Djamar i przejmujemy tę jednostkę.

– Nie chcesz go zniszczyć, tylko przejąć? – zdziwiła się Wal.

– Tak.

– Moim zdaniem to nie ma sensu – burknęła rudowłosa.

– Nie ma – zgodził się kapitan. – Ale to dopiero nasz drugi krok.

– A niech cię! – zawołał Forrice, wydając z zadowolenia przeciągły gwizd. – Teraz to ma sens.

Jesteś cholernym geniuszem!

– Przestań się chwalić nowo wyuczonymi słówkami z terrańskiego i gadaj, o co tu chodzi? – zażądała coraz bardziej poirytowana Walkiria.

– Trzecim krokiem będzie ustalenie, kim jest największy wróg Odwiecznej Skały w tym sektorze Wewnętrznej Granicy – wyjaśnił Cztery Oczy.

– Rozumiem! – wtrąciła Christine. – Czwarty krok będzie polegał na zaprogramowaniu przejętej jednostki Skały i zaatakowaniu nią rodzimej planety jego wrogów.

– Uda mu się pokonać wszystkie linie obrony na autopilocie? – zapytała Sharon.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, Wal roześmiała się na cały głos.

– A kogo to obchodzi! Uważasz, że wrogowie odpuszczą mu tylko dlatego, że atak się nie udał?

– Aha – powiedziała Sharon. – Krok piąty: siedzimy i czekamy, aż się wzajemnie wystrzelają, a potem dobijamy tych, którzy przeżyją.

– Na to, niestety, nie będzie czasu – stwierdził Cole. – Daję wam cztery i pół godziny na znalezienie słabych punktów naszego planu albo na wymyślenie czegoś lepszego. – To mówiąc, wstał. – W tym czasie skontaktuję się z Księciem i sprawdzę, która z jednostek Skały jest najsłabsza. I kto jest jego najpotężniejszym wrogiem.

Gdy wrócił, nikt nie przedstawił żadnej kontrpropozycji.

– W porządku – powiedział kapitan. – Czas na najtrudniejszą część naszego przedstawienia.

– Czyli? – zainteresował się Forrice.

– Biorę „Kermita” i lecę na Djamarę II, aby przekonać kompanię górniczą, że mimo wszystko nie pozwolimy im zginąć.

Rozdział siódmy

Sześć godzin zajęło Cole'owi przekonanie przywódcy niewielkiej górniczej kolonii, że nie porzuca Djamary II na pastwę losu, ale zamierza zrobić jedyną rzecz, jaka może ją uratować. Człowiek ten dwukrotnie kontaktował się z Księciem, żądając potwierdzenia słów kapitana, a potem poprosił, aby na powierzchni planety pozostał jeden z oficerów „Teddy'ego R.”, oczywiście jako gwarancja dobrej woli ze strony kapitana.

– Nie ma szans – oświadczył Cole. – I tak mam za mało ludzi na pokładzie.

– Obawia się pan, że pański oficer umrze tu razem z nami – powtórzył z uporem przywódca górników.

– Utrudnia pan sytuację sobie i nam przy okazji – stwierdził Cole. – Ma pan szpiega w swojej organizacji, dlatego nie zostawię tutaj mojego człowieka, dopóki nie wykryjecie i nie zlikwidujecie tej szui. Zostałem wynajęty do zniszczenia statków Odręcznej Skały oraz upewnienia się, że nigdy więcej nie zakłóca spokoju Djamary II i zamierzam zadanie wykonać. Jeśli zrobimy to po naszymu, będzie pan poniżany i upokarzany, ale tylko przez kilka dni, zobowiąże się pan też do finansowych zobowiązań, których nie będzie pan musiał nigdy realizować. To mogę zagwarantować już teraz. Jeśli zrobimy to tak, jak pan chce, zniszczę statki Skały i Djamara nie będzie już nigdy niepokojona, ale tylko dlatego, że zmieni się w kompletnie martwą planetę. Wybór należy do pana, ale proszę pamiętać, że kończy nam się czas.

I górnik wybrał, skoro dano mu do tego prawo.

W czasie gdy Cole wracał „Kermitem” na pokład „Teddy’ego R.”, Dawid Copperfield nawiązał kontakt z Platynowym Księciem i dowiedział się, że najślabszy ze statków Skały orbituje wokół rolniczego świata zwanego Sandburgiem, chociaż na jego powierzchni nie było ani piachu, ani grodu. Prawdę powiedziawszy, nie było tam nawet małych miasteczek. Planeta wzięła nazwę od nazwiska dawno zapomnianego poety, który żył na Ziemi jeszcze przed Erą Galaktyczną.

„Teddy R.” potrzebował czterech godzin na pokonanie tunelu czasoprzestrzennego Meyerling i dotarcie na obrzeża systemu Zamecka, w którym czwartą i jedyną zamieszkaną planetą był Sandburg.

– Zlokalizowaliście już ten statek? – zapytał Cole ze swego biura.

– Tak, sir – odparła Christine.

– Jakim uzbrojeniem dysponuje?

– Pan Sokołow właśnie go skanuje – odparła. – Za kilka minut będę mogła podać dokładną informację.

Na moment zapadła cisza.

– Sir? – Hologram porucznika pojawił się nad biurkiem. – Jest lepiej, niż przypuszczaliśmy. Jedno działo laserowe na dziobie, dwie baterie burtowe, żadnych wyrzutni torpedowych i z tego, co do tej pory odebrałem, jego tarcze nie zdołają wytrzymać uderzenia naszej broni pulsacyjnej.

– Znajduje się na orbicie, tuż nad stratosferą – zauważył kapitan. – Ile czasu będzie potrzebował na osiągnięcie prędkości nadświatłowej, zważywszy na spowolnienie spowodowane tarciami?

– Zaraz sprawdzę – powiedziała Christine, gdy na jej ekranach pojawiły się ciągi danych. – To nowy model, klasa HH, sir. Osiągnie nadświatłową w około czterdzieści do pięćdziesięciu sekund.

– Zatem będziemy mieli czas, aby go unieruchomić, gdyby zaszła taka potrzeba?

– Tak jest.

– Świetnie. Kto ma wachtę w przedziale bojowym?

– Jacillios, sir. Pokręcił głową.

– Wyślijcie na dół Pampasa. Wolę tam mieć kogoś zaufanego.

– Tak, sir.

– Jeśli Cztery Oczy nie ma innych ważnych zajęć, też mógłby się tam pofatygować.

Począł, aż wszyscy zajmą stanowiska.

– Dobrze – mruknął. – A teraz podnosimy osłony i podchodzimy na odległość strzału.

„Teddy R.” ruszył w kierunku statku Skały.

– Wywołują nas, sir – zameldowała Christine.

– Idę o zakład, że chcą nas odstraszyć – stwierdziła Wal i wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Zgadza się, to właśnie próbują zrobić – przyznała Christine.

– Nie odpowiadamy, utrzymujemy kurs, nie przyspieszamy i nie zwalniamy – mówił Cole. – Zobaczmy, jak blisko pozwolą nam podlecieć.

W ciągu minuty nadeszły jeszcze dwa ostrzeżenia. Potem, gdy obie jednostki dzieliło jeszcze ponad dziewięćdziesiąt tysięcy mil, statek Skały wystrzelił z działła laserowego.

– Pudło, sir – zameldowała porucznik Mboya.

– Nie trafił czy przyjęliśmy strzał na tarcze?

– Nie trafił.

– Świetnie – powiedział kapitan. – To był tylko strzał ostrzegawczy. Lecimy dalej.

Gdy dotarli na odległość siedemdziesięciu tysięcy mil, przeciwnik wystrzelił po raz drugi.

– Tarcze zneutralizowały trafienie, sir – zameldowała Christine.

– Dziękuję – odparł Wilson. – Byku, odpal działło pulsacyjne. Masz chybić, ale tylko o włos.

– Zrobione, sir – zameldował moment później sierżant.

– Christine, możesz mnie połączyć z nimi bezpośrednim kanałem wideo?

– Tak, sir – odparła. – Wysłałam sygnał na prawie dwóch milionach częstotliwości. Powinni go odebrać... tak. Już ich mam.

– Witam i o zdrowie pytam – powiedział Cole, spoglądając w okular swojego transmitera. – Nazywam się Wilson Cole i jestem dowódcą „Teodora Roosevelta”. Mam nadzieję, że po tej krótkiej wymianie ognia zrozumieliście, iż nie macie żadnych szans w walce z moim okrętem. Mimo to nie zamierzam was zabijać... – zamilkł na dłuższą chwilę, aby te słowa dobrze zapadły im w pamięć. – Wiecie już, że wasze tarcze nie są w stanie powstrzymać moich dział pulsacyjnych, a wasze baterie laserowe nie zdołają się przebić przez moje osłony. Mimo to nie strzelę w waszym kierunku, o ile wy nie otworzycie do nas ognia albo nie spróbujecie uciec... – kolejna przerwa. – Złożenie broni w obliczu przeważających sił wroga nie jest niczym nagannym i nie zhańbi was. Jeśli poddacie się, nikomu z waszej załogi nie stanie się krzywda. Zachowacie wszystkie rzeczy osobiste, nie wyłączając broni bocznej i zostaniecie wysadzeni na pierwszej neutralnej planecie. Wasz statek pozostanie do mojej dyspozycji. Macie też jedną i tylko jedną alternatywę. Nie chciałbym się jednak do niej uciekać i uwierzcie mi, wy też tego nie pragniecie. Daję wam pięć minut na podjęcie decyzji. Powtarzam: otworzymy do was ogień, jeśli w tym czasie zaczniecie uciekać albo strzelać.

Rozłączył się.

– Mówił pan poważnie, sir? – zapytał Pampas.

– Absolutnie, Byku – odparł Cole. – Jeśli spróbują szczęścia, wal w nich jak w bęben. To samo, jeśli aktywują któreś działo. Miejmy tylko nadzieję, że nie okażą się aż tak wielkimi głupcami.

– Próbowali wysłać przekaz do systemu Djamar sir – zameldowała Domak – ale udało mi się go zablokować.

– Świetnie. A teraz dajmy im chwilkę na przemyślenie sytuacji.

Przeciwnik nawiązał łączność po trzech minutach. Postać otyłego, szpakowatego mężczyzny pojawiła się przed każdym transmitters na pokładzie „Teddy'ego R.”.

– Nazywam się Florian Bellisarius, jestem kapitanem „Mięsożercy” – powiedział. – Obawiam się, że muszę przyjąć pańskie warunki.

– Mądra decyzja, kapitanie – odparł Cole. – Jak liczną posiada pan załogę?

– Dwudziestu czterech ludzi.

– Pomieści ich pan w wahadłowcach?

Bellisarius skinął głową.

– Po dwunastu na każdy.

– Czy te promy posiadają wystarczające zapasy paliwa, żeby dolecieć do znajdującego się cztery lata świetlne stąd systemu Manitoba?

– Tak.

– Świetnie – powiedział Cole. – Dwa moje wahadłowce podejść do was za kilka minut. Jak tylko dotrą do „Mięsożercy”, możecie opuścić jego pokład.

– Ale możemy zabrać naszą broń osobistą?

– Ma pan na to moje słowo, kapitanie.

Cole wyłączył przekaz.

– Byku, wybierz sześciu ludzi do zespołu abordażowego i leć „Edith” na „Mięsożercę”. Wal, ty zrób to samo, ale weź „Juniora”. Porucznik Domak ma się załapać do któregoś z zespołów.

Po pięciu minutach oba wahadłowce oderwały się od kadłuba „Teddy'ego R.” drugie tyle zabrało im dotarcie do statku. Zespoły abordażowe weszły na jego pokład i oczekiwały, aż kapitan Bellisarius ewakuuje swoich ludzi.

– Już odlecieli – zameldowała Wal.

– Upewnijcie się, czy wszyscy – rozkazał Cole. – Macie podzielić z Bykiem tę jednostkę na dwie części i sprawdzić dokładnie, czy na pokładzie nie ukrywa się ktoś jeszcze i czy nie pozostawiono nam jakichś niespodzianek.

– Niespodzianek, sir? – zdziwił się Pampas.

– Na przykład min – wyjaśnił kapitan. – Poruczniku Domak, natychmiast po zakończeniu przeszukania sprawdzi pani, czy możliwe jest sprzężenie komputerów nawigacyjnych i systemów uzbrojenia, abyśmy mogli kierować tą kryptą z pokładu „Teddy'ego R.”.

– Tak jest – Polonoi wyprężyła się i zasalutowała.

Wal i Pampas zameldowali po upływie dziesięciu minut, że statek został sprawdzony i zabezpieczony. Nie znaleziono na nim żadnych „niespodzianek”. Domak w ciągu następnej pół godziny, przy koncertowej współpracy Briggsa i Christine, umożliwiła pełną zdalną kontrolę „Mięsożercy”.

– Dobra robota – pochwalił ją Cole. – Możecie już wracać na pokład – dodał i zaczął wybierać połączenie z Dawidem Copperfieldem. – I jak tam? Książę przekazał ci potrzebne nam informacje?

– Tak, mój drogi Steerforth – odparł kosmita. – Najpoważniejszym rywalem Skały jest gość zwany Smutnym Diabłem. Jego rodzimą planetą, choć zasługuje ona raczej na miano jego głównej kwatery, jest Meritonia III.

– Smutny Diabeł – prychnął Wilson. – Skąd oni biorą te idiotyczne przydomki?

– Byłbym ostrożny w postępowaniu tego akurat przeciwnika, mój drogi Steerforth – powiedział Copperfield. – Gość trzyma żelazną ręką albo szponem, czy co on tam ma, siedem sporych planet. Nie mam jednak pojęcia, czy należy do pańskiej rasy czy jakiejś innej.

– To nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział Cole. – Potrzebowaliśmy jedynie nazwy tej planety. – Zakończył rozmowę z Dawidem i od razu przełączył się na mostek. – Christine, masz Meritonię III w naszych logach czy będziemy musieli szukać jej oficjalnej nazwy?

– Zaraz sprawdzę – odparła i zagłębiła się w bazach danych. – Meritonia III, tak, mam ją.

– W jakiej odległości znajduje się ten system?

– Trzydzieści dwa lata świetlne, sir.

– Świetnie. Wyślij tam „Mięsożercę”, ale najbardziej okrężną drogą z możliwych, a precyzyjniej rzecz ujmując, taką, żeby nie zbliżył się na więcej niż dwa lata świetlne do żadnego innego systemu. Albo jeszcze lepiej, zapytaj pilota, bo on zna więcej tuneli nadprzestrzennych niż nasze komputery, czy nie ma tu jakiegoś skrótu, którym można dolecieć prosto na Meritonię.

– Zaraz go zapytam, sir. – Na całą minutę zapadła cisza, a potem znów zobaczył hologram porucznik Mboyi. – Pilot twierdzi, że Dziura Blaindora pozwoli dolecieć na miejsce w mniej niż pięć godzin, sir. O ile oczywiście znajdę jej wylot.

– Postaraj się, Christine – poprosił kapitan. – I daj mi znać, jeśli ci się to uda.

Rozłączył się i niespodziewanie ujrzał w drzwiach Sharon Blacksmith. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że ma przed sobą szefową sekcji bezpieczeństwa we własnej osobie, a nie jej holograficzny obraz.

– Wzięłam dla ciebie piwo – oświadczyła, wchodząc do biura. – A potem pomyślałam, że picie w samotności jest takie uwłaczające, więc przyniosłam też jedno dla siebie.

– Dzięki – powiedział Cole. – Przyda się kropelka czegoś dobrego.

– Naprawdę uważasz, że ten plan wypali? – zapytała.

– Mam taką nadzieję – odparł. – Przekonamy się o tym już za niespełna sześć godzin.

– Chciałabym widzieć minę Skały, gdy dowie się, że właśnie zaatakował przeważające siły Smutnego Diabła – stwierdziła Sharon, chichocząc przy tym. – Jak sądzisz, co wybierze: walkę czy rejteradę?

– Musi walczyć – powiedział stanowczo Wilson. – Jeśli ucieknie, utraci swoje imperium, jakkolwiek małe by było, i już nigdy nie zdoła go odzyskać.

– Czy to istotne, kto wygra?

– Nie bardzo. Wolałbym, aby Skała okazał się przegranym w tym starciu, dzięki temu zapewnimy górnikom pewny spokój, ale nawet odwrotny rezultat mnie zadowoli. Jeśli przegra, warunki kontraktu zostaną spełnione, jeśli wygra, na pewno poniesie wielkie straty, a my poczekamy na jego powrót na Djamarę.

Wydarzenia potoczyły się dokładnie tak, jak to przewidywał Cole. „Mięsożerca” został rozniesiony na strzępy, zanim zdążył dotrzeć do atmosfery Meritonii III. Smutny Diabeł natychmiast wypowiedział wojnę Odwiecznej Skale, a ten, nie zwlekając, podążył na czele pozostałych okrętów do macierzystego systemu wroga, aby stoczyć tam bitwę z o wiele większą flotą.

Wojna trwała dwadzieścia jeden minut. Gdy dobiegła końca, Odwieczna Skała i jego pięć statków zniknęło z kart historii, natomiast liczebność floty Smutnego Diabła została zredukowana z jedenastu jednostek do trzech.

Cole skontaktował się z górnikami i powiadomił ich, że kryzys mają już za sobą, a „Teodor Roosevelt” wykonał postawione przed nim zadanie. Potem przyszła kolej na rozmowę z Platynowym Księciem, zapoznanie go z sytuacją i poproszenie o rozpoczęcie audytu w księgowości kompanii, celem ustalenia jej faktycznych dochodów.

– To naprawdę niesamowite! – ekscytował się człowiek z platyny. – A najlepsze jest to, że osiągnął pan zwycięstwo, nie oddając nawet jednego strzału!

– Jeden raz strzeliliśmy – poprawił go Wilson. – Nie trafiliśmy w nic, bo nie o to chodziło, ale otworzyliśmy ogień z pełnym rozmysłem.

– Wie pan przecież, o co mi chodziło – odparł Książę. – To było niesamowite! Dlaczego podchodzi pan do tego tak spokojnie, jakby to był dla pana chleb powszedni?

– Może nie nazwałbym takiej akcji chlebem powszednim – przyznał Cole – ale nie widzę też powodu do ekscytacji. We wszechświecie żyją całe pierdyliardy rozmaitych istot. Bóg obdarzył je wszystkie pazurami i zębami, ale tylko kilku dał coś, co nazywamy umysłem. Zbrodnią byłoby nie korzystać z niego w podobnych przypadkach.

– Nie dziwi mnie już, że Republika pragnie pańskiej śmierci – stwierdził z podziwem Książę. – Jest pan zbyt racjonalny.

Rozdział ósmy

Dwa dni później Cole, Sharon, Wal i Dawid Copperfield siedzieli na Stacji Singapur, przy stoliku w

kasynie Platynowego Księcia, ciesząc się jego obecnością oraz znakomitymi drinkami. Forrice towarzyszył im aż do tego sektora, ale gdy dotarł w pobliże jedyne go molariańskiego lupanaru, opuścił znaczne towarzystwo, obiecując jednak, że postara się wrócić jak najprędzej.

– Zadziwiające! – Człowiek z platyny nadal nie mógł się nadziwić. – Naprawdę zadziwiające!

– Chyba powinniśmy policzyć za to więcej – zasugerował Dawid Copperfield, chyba nie do końca żartując.

– Aż tak zadziwiające nie było – zaprotestował Książę z uśmiechem. – Taka tam przyjemna kilkudniowa robótka.

– Powinniśmy zasiąść do ustalania następnych zleceń – przypomniał mu Dawid.

– Przecież już siedzimy – odparł lakonicznie szef stacji.

– Nie chce pan chyba rozprawiać publicznie o sprawach tej wagi – Copperfield wyglądał na zaskoczonego.

– Jeśli powiem tym ludziom, żeby nikt się do nas nie zbliżał, wszyscy mnie posłuchają i będą się trzymać na dystans – zapewnił go Książę, wskazując na salę.

– Fajnie jest mieć swój własny świat – rozmarzyła się Sharon. – Nawet taką metalową podróbkę jak ta stacja.

– Taka forma ma swoje zalety – powiedział człowiek z platyny.

– Zauważyłem – wtrącił Cole.

– Chociaż wad też nie brakuje – ciągnął Książę. – Weźmy dla przykładu moje kasyno. Zyski z niego należą do mnie, ale muszę także pokrywać straty.

– Traci pan na nim?

– Czasem padam ofiarą oszustów. Wiem o tym, ale nie potrafię udowodnić im winy. A ten dżentelmen, który obrabia mnie już sześć nocy z rzędu jest, jak by to ująć... niesamowity.

– Który to? – zapytał Wilson.

– Siedzi teraz przy stole z kartami – odparł szef stacji. – Jest o głowę albo dwie wyższy od pozostałych graczy.

– Ja go znam – stwierdziła Walkiria, przyglądając się wskazanemu mężczyźnie. Miał przynajmniej siedem stóp wzrostu, był równie dobrze ubrany jak zbudowany. Miał przy sobie dwa pistolety, widoczne nawet przez materiał, choć na pewno nie była to cała broń, jaką posiadał.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Dawid.

- Powiedzmy, że wiem, kim jest – poprawiła się rudowłosa kobieta. – To Urwiłeb Morrison.
- Słyszałam o nim! – wtrąciła Sharon. – Czy to nie on był niezależnym mistrzem wagi ciężkiej w sektorze Antaresa?
- Tak, do momentu, w którym nieco go poniosło w ringu i zabił przeciwnika, potem sędziego oraz trzech policjantów, którzy chcieli go aresztować.
- Z pewnością już nie walczy – uznała Sharon. – Ciekawe, czym się teraz zajmuje?
- Na pewno nadal rozwała innym łby – rzuciła Wal. – Tyle że już nie na ringach.
- Jest oprychem do wynajęcia? – zapytał Cole.
- Tak.
- Niemal wszyscy tutaj noszą przy sobie broń – zauważył Wilson. – W takich warunkach siła i zwinność nie powinny się aż tak liczyć.
- Bo nie tutaj zarabia w ten sposób – stwierdził Książę. – Przyleciał wydać wypłatę w moim kasynie, ale zamiast tego wygrywa moje pieniądze.
- Skąd pan wie, że oszukuje?
- Każda z gier przynosi kasynu od pięciu do dziesięciu procent profitu, a na khalimeshu mam nawet dwadzieścia. Nie ma zmiłuj, bez względu na to, jak dobry jest gracz i ile ma szczęścia, nie może wygrywać przez sześć nocy z rzędu.
- Dosyć skomplikowany tok myślenia – przyznał Cole.
- Siedemdziesiąt dwie karty, osiem kolorów, żadnych blotek, same figury, rozdający i czterech do sześciu graczy – wyjaśnił Książę. – Zdaje się, że to canphoryjski wynalazek, ale gra stała się bardzo popularna na Wewnętrznej Granicy, nawet wśród ludzi – zamilkł na moment. – Chciałbym tylko wiedzieć, jak on to robi.
- Wywał go pan z kasyna – zasugerowała Sharon.
- Za bardzo cenię sobie moje ostatnie ludzkie części ciała – odparł szef stacji.

Wal przyglądała mu się uważnie chyba przez minutę.

- Jeśli udowodnię, że on oszukuje, i zrobię to na oczach tych wszystkich ludzi, zapłaci nam pan połowę odzyskanej sumy?
- Oczywiście! – zapewnił ją natychmiast człowiek z platyny.
- Nam? – zapytał Cole. – Jeśli wiesz, co on robi, i potrafisz to wykazać, pieniądze powinny być

twoje.

– Prawdopodobnie będę potrzebowała odrobiny pomocy – przyznała. – A skoro zrobi się z tego operacja naszej załogi, zapłata powinna trafić do skarbca „Teddy'ego R.”.

– Wiesz, w jaki sposób on oszukuje? – zapytał Dawid Copperfield.

– Jeszcze nie – odparła Wal. – Ale kręciłam się po miejscach takich jak to od czasu, gdy pojawiłam się na Wewnętrznej Granicy piętnaście lat temu. Jeśli oszukuje, dowiem się, jak to robi, tego jestem pewna. – Spojrzała na Księcia. – Proszę mi dać kilkaset dolarów Marii Teresy albo funtów Dalekiego Londynu. – Człowiek z platyny wyglądał na zaskoczonego, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała jego metalowa twarz. – Stąd nie zobaczę, co on robi – wyjaśniła Wal. – Może mi pan odliczyć tę kwotę od zapłaty.

– Ale jeśli pani nie załatwi sprawy, zwróci mi pani całą kwotę – stwierdził Książę, podając jej plik banknotów.

Przesunęła je po blacie w jego stronę.

– Skoro z pana taki kutwa, niech ktoś inny sprawdzi, w jaki sposób on pana okrada.

Człowiek z platyny westchnął i znów przesunął pieniądze w jej stronę.

– Skoro tak pani stawia sprawę...

– No – powiedziała, zabierając banknoty i wstając od stolika.

Od razu skierowała się do stołu, przy którym grał Morrison, wymieniła pieniądze na słupek żetonów i przyłączyła się do kolejnej gry. Rozdający potasował karty, szybko i z niezwykłą precyzją. Potem rozprowadził je i zaczął przyjmować zakłady.

Wal wygrała dwie małe stawki i przegrała pięć dużych, z czego aż cztery trafiły do Morrisona, a potem wróciła do stolika.

– Proszę – powiedziała, oddając Księżciu kilka żetonów. – Tylko żeby pan nie zapomniał odliczyć ich od tych dwóch setek.

– Już pani go sprawdziła? – zapytał szef stacji.

– Jest tylko jeden sposób, w jaki oni mogą to zrobić – odparła Wal.

– Oni? – powtórzył za nią Książę.

– Rozdający jest z nim w zмовie – oświadczyła. – Morrison nie dałby rady w pojedynkę.

– Ale jak współpracują?

- Krupier musi korzystać z błyskacza – uznała Walkiria.
- To niemożliwe! – obruszył się człowiek z platyny. – Mam holokamery skierowane na ręce pracowników. Gdyby korzystał z czegoś takiego, już dawno byśmy to zauważyli.
- Czym jest ten błyskacz? – zapytała Sharon.
- To niewielkie lustreczko – wyjaśniła Wal. – Trzyma je pod talią, a gdy rozdaje, Morrison może rzucić okiem na każdą kartę, jaka trafia na stół.
- Wiem, jak wygląda błyskacz – zachnął się człowiek z platyny – i wiem, że on go nie używa. Chce pani sama obejrzeć te nagrania?
- A po co? – zdziwiła się Walkiria. – Przecież już je sprawdzaliście.
- Zatem przyznaje pani, że rozdający nie może używać takiego urządzenia i zmarnowała mi pani prawie dwieście dolarów Marii Teresy – powiedział Książę.
- Niczego takiego nie powiedziałam – zaprzeczyła rudowłosa. – Stwierdziłam tylko, że nie widzę sensu w oglądaniu nagrań.
- Ale nadal upiera się pani, że rozdający posługiwał się błyskaczem?
- Tak właśnie uważam.
- A co pani powie, jeśli przeszukamy go i nic nie znajdziemy?
- Pytanie raczej, co pan na to powie – odparła Wal. – Wydawało mi się, że zależy panu na odzyskaniu tych pieniędzy. Przynajmniej połowy z tej kwoty.
- Książę zamachał rękami z irytacją.
- Ja już nic z tego nie rozumiem! – oświadczył. – Kapitanie Cole, ta kobieta pracuje dla pana. Czy pan pojmuję, o co jej chodzi?
- Służę razem z kapitanem – poprawiła go Wal. – A pracuję tylko dla siebie.
- Odpowiadając na pańskie pytanie – wpadł jej w słowo Cole – zauważyłem, że ona bardzo często ma rację. Skoro mówi, że wie, w jaki sposób oni oszukują, osobiście bym jej uwierzył.
- Dobrze, ale co dalej z tym fantem zrobić? – zapytał człowiek z platyny. – Sugeruje pan, żeby przeszukać rozdającego?
- Decyzję w tej sprawie pozostawiam Walkirii – odparł Cole.
- Przeszukiwanie tego człowieka nie ma sensu – przyznała rudowłosa. – Obserwowałam jego dłonie przez siedem rozdań. Ani razu nie sięgnął do kieszeni, nie pocierał też palcami ust i nosa, a przecież

nie mógł trzymać błyskacza w dłoni podczas tasowania. Gdyby mu wypadł, byłby ugotowany w pięć sekund.

– W takim razie już nie nie rozumiem – westchnął Książę.

– Właśnie widzę – odparła Walkiria, uśmiechając się złowieszczo – i dlatego obrabiają pana, jak chcą.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytał kapitan.

– Poobserwujemy pana Urwiłba jeszcze przez kilka minut.

– Wydawało mi się, że zamierzamy przyłapać rozdającego.

– Rozdający ma współnika – oświadczyła Wal. – Wiemy, że jest nim Urwiłb. Chcę poznać jego zachowania.

– Zachowania? – zdziwił się Dawid Copperfield.

– Sprawdzić, czy jest lewo- czy praworęczny, w jaki sposób trzyma głowę, czy możemy dowiedzieć się czegoś więcej o nim. – Uśmiechnęła się. – Kapitan Cole załapał się na najłatwiejszą część roboty. On będzie musiał robić za obstawę, a mnie przypadnie w udziale odzyskanie pieniędzy od Urwiłba Morrisona.

– O wiele prościej będzie zastrzelić go po cichu – stwierdził Książę. – Na Stacji Singapur ja jestem prawem i sprawiedliwością. Mam nadzieję, że to wam nie przeszkadza.

Wal, wciąż się śmiejąc, pokręciła głową.

– Zawsze mi się wydawało, że zostałam mistrzynią walki na gołe pięści, gdybym nie musiała opuścić terytorium Republiki. Dzisiaj będę mogła sprawdzić, czy naprawdę jestem aż taka dobra.

– A jeśli przegrasz? – zapytał człowiek z platyny.

– Wtedy możecie z nim zrobić, co chcecie.

– Zanim czy po tym, jak zabije twojego kapitana?

– Dlaczego miałabym się tym przejmować, skoro i tak zginę pierwsza? – parsknęła Walkiria.

– Wprost brak mi słów, żeby wyrazić ci wdzięczność za troskę o mnie – stwierdził ponuro Cole. – Kiedy masz zamiar zacząć przedstawienie?

– Za minutę albo dwie – odparła rudowłosa, nie spuszczać oka z Morrisona. – Jest praworęczny.

Jeśli wyjmie nóż, albo inną broń, której nie zauważę, na pewno zrobi to prawą ręką.

- Czy to, którą ręką sięgnie po broń, ma jakiekolwiek znaczenie? – zapytał Dawid.
 - Oczywiście – zapewniła go Walkiria. – To znaczy, że najpierw muszę mu złamać prawą rękę.
 - Złamać rękę? – powtórzył zaskoczony Dawid. – Przecież on jest wielki jak góra!
 - Trzymaj się z dala, kiedy będzie padał – poradziła mu rudowłosa. Obserwowała ruchy Morrisona przez kolejną minutę, potem skinęła głową. – Dobra. Zaróbmy nasze pieniądze.
- Cole podał swój palnik Sharon.
- Na wypadek gdyby trzeba było pomścić nas oboje – rzucił i poszedł za Wal w stronę stołu do gry. – Byłoby miło z twojej strony, gdybyś powiedziała, co mam robić – odezwał się do niej ścisłym głosem.
 - Po prostu stój obok Morrisona, kiedy będę opowiadała wszystkim, jak zostali przez niego wykiwani – odparła.
 - Mam tylko nadzieję, że nie wpadłaś na pomysł, abym się z nim bił.
 - Nie. Ale to on ma naszą kasę, więc nie może uciec. Przystaw mu palnik albo piszczałkę do pleców i trzymaj, dopóki nie skończę z rozdającym. Później sama się nim zajmę. Ale gdyby udało ci się go wcześniej rozbroić, byłabym niezmiernie wdzięczna.
 - Rozbroję go – obiecał kapitan. – Wiesz o tym rozdającym coś, czego nie wychwyciły holokamery?
 - Wiem, że oszukuje. Wiem, że karty nie są znaczone, bo nie ma takich znaczonych kart, których bym nie rozpoznała i dlatego uważam, że działa na błyskacz.
 - Ale kamery niczego nie wychwyciły, a ochrona z pewnością przeszukuje każdego krupiera, który wchodzi na salę albo ją opuszcza. Nawet jeśli idzie tylko na przerwę.
 - Też jestem tego pewna.
 - W takim razie zapytam jeszcze raz: co wiesz na jego temat?
 - Jesteś bystrym facetem – stwierdziła w odpowiedzi. – Domyślisz się sam.
 - Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy – powiedział Cole. – Ale jeśli się mylisz, okaleczysz tego człowieka.
 - Widzisz? – Wal uśmiechnęła się znowu. – Mówiłam ci, że sam się domyślisz.
 - Szlag! – mruknął kapitan. – Lepiej, żebyś miała rację.

Moment później stanęli przy stole.

- Chce pani zagrać raz jeszcze? – zapytał uprzejmie rozdający, gdy Cole stanął za Morrisonem.
- Nie – odparła. – Mnie można oszukać tylko raz na noc.
- Przegrane zdarzają się każdemu, proszę szanownej pani. Nie należy się z tego powodu tak denerwować – stwierdził krupier.
- Nie należy przede wszystkim oszukiwać – odparła. – A pan i pański partner robicie to już od tygodnia.
- Szanowna pani, jeśli nie przestanie pani sprawiać problemów przy stole, zawołam ochronę.
- Ależ proszę – zachęciła go rudowłosa. – Oszczędzi mi pan fatygi. W końcu przyjdą tutaj po pana.
- Dość tego! – wrzasnął Morrison.

Cole przyłożył lufę pistoletu pulsacyjnego do jego pleców.

- Spokojnie – powiedział. – Nie odwracaj się i połóż ręce na stole.
- Czy to rabunek? – zapytał Morrison, patrząc prosto przed siebie.
- Wręcz przeciwnie, to uniemożliwienie rabunku – odparł kapitan, zabierając wielkoludowi masywny palnik i piszczałkę.
- Tutaj nikt nikogo nie okradnie – odezwał się rozdający.
- Masz pan całkowitą rację – przyznała Wal. – Nie sądziłeś chyba, że ujdzie ci to na sucho?
- Nie wiem, co miałoby mi uchościć na sucho! – odparł krupier z wyczuwalną złością w głosie.
- To, czego już więcej nie zrobisz – oświadczyła Walkiria. – Ale muszę przyznać, że masz najlepiej schowany błyskacz, jaki kiedykolwiek widziałam.

Rozdający wyciągnął przed siebie ręce, otwartymi dłońmi do niej.

- Ktoś tu widzi jakieś lustro? A może mam podwinąć rękawy?
- A po co? – zdziwiła się rudowłosa. – Tam go przecież nie ma.
- Zatem gdzie, według pani, jest? – warknął.
- Mam go właśnie przed oczami – odparła Wal.
- O czym pani mówi?
- O tym! – zawołała, chwytając jego lewą rękę w przegubie.

– To boli! – wrzasnął rozdający.

– Spokojnie – uciszyła go Walkiria. – To, co teraz zrobię, nie powinno boleć.

Nagle w jej lewej dłoni załśnił nóż. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przycisnęła rękę krupiera do stołu i odcięła mu kciuk.

– Czy ktoś widzi krew? – zapytała z tryumfalnym uśmiechem.

Nikt nie zobaczył nawet kropelki.

– Przyjrzyjcie się – zachęcała, unosząc sztuczny palec, aby wszyscy mogli mu się przyjrzeć. Puściła rękę rozdającego i zrolowała skórę na opuszcze, odsłaniając niewielkie lustreczko. Następnie podniosła jedną z kart i potarła o nią lekko palcem, ukrywając ponownie błyskacz. – Niezła sztuczka, muszę ci to przyznać – dodała. – Czy ktoś może przytrzymać tego oszusta w czasie, gdy będę gawędziła z jego partnerem? – Podeszła do Morrisona. – Zwróć wszystkie pieniądze, jakie wygrałeś tutaj od momentu przybycia na Stację Singapur, a puścimy cię wolno. Nikt cię nie będzie zatrzymywał.

– Teraz też nikt mnie nie zatrzyma – warknął złowieszczco.

– Miałam nadzieję, że to powiesz – oświadczyła Walkiria i przywaliła mu tak mocnym sierpowym, że potężny mężczyzna spadł z krzesła. – Cofnij się, Cole – poleciała Wilsonowi. – Z resztą roboty poradzę sobie sama.

Kapitan zrobił kilka kroków do tyłu, gdy Morrison gramolił się z podłogi.

– Zmów szybką modlitwę do swojego boga – wycedził Urwiłeb – bo na dłuższą nie będziesz miała czasu.

Wyprowadził potężny cios podbródkowy, który bez wątpienia powinien pozbawić Wal głowy. Gdyby trafił. Zrobiła unik, krok do przodu, udała atak na krocze, a gdy obniżył dłonie, by się zasłonić, wpakowała mu kciuk w oczodół. Zawył z bólu, uniósł rękę, aby zasłonić oko i zaliczył mocne kopnięcie w lewe kolano. Ryknął raz jeszcze i zamachnął się, trafiając Wal w ramię. Tę akcję przyplącił złamanym nosem. Pochylił się więc i rzucił na rudowłosą kobietę z wyciągniętymi rękami, chcąc ją zmiażdżyć w uścisku, ale ona tylko na to czekała i powstrzymała jego atak potężnym kopnięciem w podbrzusze.

Urwiłeb padł na kolana i w tej pozycji zebrał jeszcze cztery szybkie ciosy w głowę. Uderzając kantem dłoni w grdykę, rudowłosa wojowniczką pozbawiła go tchu, a ostatni mocny prosty zdemolował i tak już połamany nos, posyłając wielkoluda po raz drugi na deski.

Walkiria odwróciła go na plecy, przeszukała szybko kieszenie, wyciągając z nich gruby zwitek banknotów, potem przetoczyła ciało raz jeszcze i wydobyła miniaturowy palnik z kabury na pasku. W końcu stanęła nad pokonanym przeciwnikiem.

– Wyszedł facet z formy – rzuciła z pogardą. – Nawet Byk Pampas nie miałby z nim większego

problemu.

Odwróciła się i ruszyła w stronę stolika Księcia, a zgromadzony w kasynie tłum rozstępował się przed nią, mając w oczach mieszaninę podziwu i strachu.

Cole odwrócił się do graczy.

– Oddajemy ich w wasze ręce – powiedział. – Ale powiem wam jedno, to kasyno widziało dzisiaj już dość przemocy.

Kilku ludzi chwyciło nieprzytomnego wciąż Morrisona i wyniosło na zewnątrz, a pozostali hazardziści, mierząc z broni, zmusili roztrzęsionego krupiera, aby podążył za nimi.

– Zabiją ich obu – stwierdziła Sharon, gdy Cole i Wal usiedli na powrót przy stoliku.

– Raczej tak – przyznał Książę. – W końcu znajdujemy się na Granicy. Tutaj nie ma złotoustych papug, które wyciągną klienta z największego gówna.

– I tak powinno wyglądać prawo – wtrącił Dawid Copperfield. – Gdyby ten Morrison mógł, pewnie zabiłby Wal na miejscu.

– Nie miał szans – stwierdził Cole.

– Nie martwił się pan o nią?

– Już ją widziałem w akcji.

– Dość tego przekomarzania – ucięła rozmowę Walkiria. – Przejdźmy do interesów.

Rozłożyła banknoty na stole i zaczęła je dzielić. Gdy skończyła, przesunęła swoją połowę w stronę Wilsona.

– Trochę ponad sześćset tysięcy – powiedziała. – Całkiem nieźle jak na minutę roboty.

– Cóż za wyjątkowa kobieta! – zachwycił się Książę. – Mogliby przewalać mnie jeszcze długo a i tak nie odważyłbym się postawić Morrisonowi. Jak mogę się pani odwdzięczyć?

– Poważnie pan pyta?

– Jak najbardziej – odparł człowiek z platyny. – Jestem już za stary i mam zbyt wiele metalowych członków, żeby pokłonić się pani dworsko, ale proszę sobie wyobrazić, że właśnie to robię.

– Świetnie – odparła Wal. – W takim razie chcę dostać własny statek.

Rozdział dziewiąty

- To bardzo proste – stwierdził Dawid Copperfield, gdy starsi oficerowie zebrali się na pokładzie „Teddy'ego R.”. – Zajmie nam tydzień, góra dwa i zarobimy milion funtów Dalekiego Londynu.
- A ile to będzie w przeliczeniu na nasze? – zapytał Forrice.
- Jakies dwa miliony kredytów albo niewiele mniej niż pół miliona dolarów Marii Teresy – poinformował go były paser. – A jeśli Olivia Twist spisze się dobrze, istnieje spore prawdopodobieństwo, że odleci stamtąd na pokładzie własnego statku.
- Dlaczego nie nazywasz mnie Wal jak wszyscy inni? – zapytała rudowłosa.
- Moja droga kobieto, od czasu naszego pierwszego spotkania znałem cię pod jedenastoma nazwiskami i pseudonimami – odparł Copperfield. – Dlaczego nie pozwolisz staremu człowiekowi nazywać cię imieniem, które najbardziej mu się podoba?
- Daruj sobie, Dawidzie – poprosiła. – Chyba nie jesteś jeszcze taki stary, z pewnością nie należysz do rodzaju ludzkiego, a tego nazwiska użyto przy tobie tylko raz i nie ja to zrobiłam, ale kapitan Cole. Ponoć miało mi ułatwić wstęp do twojego salonu.
- Szczegóły, szczegóły – prychnął były paser.
- Zamknijcie się wreszcie – wtrącił się Wilson. – Za co właściwie mają nam tyle zapłacić?
- Kartel Apollo zajmuje się eksportem wszystkich kamieni szlachetnych, jakie wydobywane są na planetach znajdujących się w promieniu dwudziestu lat świetlnych od Bannistera II – wyjaśnił Copperfield i westchnął ciężko. – A mogłem im powiedzieć, żeby nie składowali ich w tym miejscu.
- Niby dlaczego? – zapytał Forrice.
- Ponieważ planeta ta znajduje się w samym środku terytorium kontrolowanego przez pomniejszego kacyka, który przybrał miano Czyngis Chana. Facet trzyma Bannistera i okoliczne systemy żelazną ręką. Pojawił się tam pięć lat przed kartelem, więc nic dziwnego, że mają z nim problemy.
- Czy to człowiek? – zapytał Cole.
- Skoro nazwał siebie Czyngis Chanem, chyba musi być człowiekiem – odparła Christine.
- Ja bym się o to nie zakładał – stwierdził kapitan. – Tutaj zmienia się nazwiska równie często jak w Republice gacie.
- Ale to nazwisko... – zaczęła.
- Czy Dawid przypomina ci człowieka? – przerwał jej Wilson.

- Jestem człowiekiem całym sercem – odparł z dumą kosmita.
- Akurat – mruknął Cole. – Nawet nie wiesz, gdzie mamy to serce... – I zaraz dodał: – Więc jak, Czyngis Chan jest człowiekiem czy nie?
- Prawdę powiedziawszy, nie mam bladego pojęcia, do jakiej rasy może należeć – odparł Copperfield. – Nie znam też nikogo, kto by go spotkał albo widział.
- Dobrze – ciągnął dalej kapitan. – Ktoś lub coś nazywające się Czyngis Chanem uważa się za właściciela systemu Bannister, a kartel Apollo chce się go pozbyć. To by tłumaczyło, po co im „Teddy R.”, ale, u diabła, jak Wal może dzięki temu zdobyć dla siebie statek?
- Chan wysyła co tydzień jeden ze swoich statków, aby zebrał z podbitych planet coś w rodzaju haraczu za ochronę – wyjaśnił Copperfield. – Jego przedstawiciel podróżuje nim bez eskorty, ponieważ nie ma istoty w tamtych systemach, a nawet w całym sektorze, która chciałaby zadzierać z Chanem. – Posłał uśmiech w stronę Wal. – Ale machając rękami, na pewno nie doleci na Bannistera.
- To wydaje się zbyt proste – stwierdził Cole. – Nikt nie zapłaci nam miliona funtów za zabicie samotnego człowieka, zwłaszcza że nie chodzi o samego Czyngis Chana.
- Oczywiście, że za to nie zapłacą – powiedział były paser. – Odpowiadałem jedynie na pytanie dotyczące zastąpienia utraconego statku naszej kochanej Olivii. Tak może go zdobyć, jeśli jej jeszcze na tym zależy. Natomiast ten milion funtów mamy dostać za wyeliminowanie Czyngis Chana i jego popleczników, których powinienem chyba określić mianem hordy... ponieważ stanowią zagrożenie dla kartelu Apollo.
- Iloma statkami dysponuje przeciwnik i gdzie stacjonują? – zapytał Cole.
- Tego nie wiem – odparł Dawid, zapominając o zwyczajowym dygnięciu.
- Zapytaj o to Platynowego Księcia – poradził mu kapitan.
- On jest tylko pośrednikiem – stwierdził Copperfield. – To kartel oferuje nam zapłatę, a nikt tam nie widział na oczy legendarnego Chana Imperatora, nie mówiąc już o jego siedzibie.
- Dawidzie – zaczął ostro Wilson – skąd mam wiedzieć, że to nie kolejne z tych zadań, które w twojej relacji wyglądają na cholernie łatwe, a po przylocie na miejsce okazuje się, że przeciwnik dysponuje dwudziestoma statkami uzbrojonymi w torpedy pulsacyjne?
- Naprawdę tego nie wiem, mój drogi Steerforth – zarzekł się kosmita. – Ja tylko referuję panu ofertę, jaką otrzymałem. Jesteśmy oportunistami, a to jest wielka okazja. Moja praca polega przecież na przedstawianiu wam wszystkiego, co może być okazją do zarobienia pieniędzy. Ale to wcale nie znaczy, że musicie przyjąć tę ofertę.
- W porządku, Dawidzie – powiedział kapitan. – Pozwól mi się nad tym zastanowić.
- Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałeś – wtrącił Cztery Oczy. – Za każdym razem, gdy

przyjmujemy robotę na ślepo, trafiamy na znacznie większe siły, niż przypuszczaliśmy.

– Popieram Forrice'a – rzuciła Sharon Blacksmith, która do tej pory nie odezwała się nawet słowem.
– Poza tym będziemy potrzebowali Wal na pokładzie „Teddy'ego R.”.

– Obiecaliśmy jej odzyskać „Pegaza”, jeśli przyłączy się do nas, albo zastąpić go inną, podobną jednostką – przypomniał jej Cole. – Z drugiej strony, mając dwa okręty, możemy dostać o wiele lepiej płatne i bardziej skomplikowane zadania.

– Daj spokój, Wilsonie – zachnęła się Sharon. – Ten posłaniec będzie podróżował zwykłym jednoosobowym jachtem, a nie prawdziwym okrętem. Na nic nam się takie pudło nie przyda.

– Na Ziemi istniało kiedyś takie przysłowie – odparł kapitan. – Z małych żółędzi wyrastają wielkie dęby.

– Czym są dęby, nie mówiąc już o żółędziach, i co to ma, u licha, wspólnego z tym, co mówiłam? – zapytała szefowa sekcji bezpieczeństwa.

– Łowiłaś kiedyś ryby?

– Masz zamiar odpowiedzieć na moje pytanie?

– Właśnie to robię. Łowiłaś kiedyś ryby?

– Tak. I co z tego?

– Czego używałaś na przynętę?

– Nie pamiętam... robaków, sztucznych muszek i innego badziewa.

– Jakiego badziewa?

– Głównie rybek.

– Wykorzystywałaś małe rybki, aby schwycić większe? – zapytał Cole. – I to właśnie zrobimy, przechwytyjąc posłańca.

– Jak?

Kapitan spojrzał na Walkirię.

– Powiedz jej.

– Co się stanie, jeśli posłaniec nie wróci na czas i nie odpowie na pytania wysyłane przez radio podprzestrzenne? – zapytała rudowłosa i natychmiast udzieliła odpowiedzi: – Wyślą większy statek, żeby sprawdzić, co się stało. A jeśli i on nie wróci ani nie odpowie na wezwania? – Uśmiechnęła się do Cole. – Nie będą mogli tego zignorować i prędzej czy później wyślą jednostkę, która mi się

spodoba.

– A kiedy to zrobią – wtrącił kapitan – na jej pokładzie znajdziemy mapy albo kody komputerowe, coś, co wskaże nam drogę do kryjówki Czyngis Chana.

– Żeby ją zaatakować? – zapytała Christine.

– Ale nie „Teddym R.” – zastrzegł Wilson. – Kogo jak kogo, ale swojego statku nie powinni ostrzelać.

– Wiesz – wtrącił Forrice – z twoją przebiegłością i brakiem zasad Walkirii, skończymy kiedyś jako władcy całej galaktyki.

– Od czasu kiedy opuściliśmy Republikę, nic nie było takie łatwe, na jakie wyglądało – stwierdził Cole. – Zaczniemy od tego miliona funtów Dalekiego Londynu i statku dla Wal.

– I za to się napiję – oświadczyła rudowłosa.

Rozdział dziesiąty

Bannister okazał się gwiazdą klasy G, wokół której orbitowało sześć planet. Druga z nich posiadała atmosferę tlenową. Życie zdążyło się na niej rozwinąć, ale żadne z nielicznych stworzeń ją zamieszkujących nie należało do kategorii inteligentnych. Prawdziwym bogactwem tego świata były olbrzymie pokłady złota, srebra i pierwiastków rozszczepialnych, nic więc dziwnego, że przemysł wydobywczy rozkwitał pełną parą. Dodatkowymi atrybutami Bannistera II były niemal idealne położenie oraz możliwość wyżywienia kolonii górniczych, co sprawiło, że w ciągu niespełna dwóch stuleci stworzono na nim jedno z największych centrów handlu kamieniami szlachetnymi.

Planeta posiadała trzy kontynenty, ale tylko jedno miasto, które ewoluowało szybko z kupieckiej osady w prawdziwą metropolię, liczącą ponad ćwierć miliona mieszkańców, z czego około pięćdziesiąt tysięcy nie należało do rasy ludzkiej. Najwyższe budynki – tylko sześciopiętrowe, co nie powinno nikogo dziwić ze względu na niską cenę ziemi – należały do kartelu Apollo, i to właśnie tam, w gabinecie prezesa, rozgościli się Cole i Wal, zajmując głębokie, puszyste fotele, wiszące kilka cali nad podłogą i kołyszące się łagodnie.

– Jest pan pewien, że oni przybędą dzisiaj? – zapytał kapitan.

– Nie oni, tylko on – poprawił go prezes. – Dzisiaj mamy dzień tygodnia, w którym pojawia się jego człowiek, aby odebrać pieniądze za, jak sam mówi, ochronę.

– I przychodzi po nie do pana zamiast do księgowości?

– Zgadza się.

– Wchodzi bez przeszkód czy musi się wcześniej zameldować? – pytał dalej Cole. – Ktoś zapowiada jego przybycie?

Prezes kartelu pokręcił głową.

– Mieliśmy problem z jednym z naszych ochroniarzy w zeszłym roku. Wtedy to wydałem polecenie, aby nie utrudniać ludziom Chana wstępu do naszych biur, bo tak czy inaczej muszą się tutaj dostać.

– Jego statek wylądował w waszym prywatnym kosmoporcie? Tam, gdzie znajduje się teraz nasz wahadłowiec?

– Tak.

– Czy to zawsze jest ten sam człowiek?

Prezes przytaknął.

– W każdym razie od zeszłego roku.

– Rozumiem – stwierdził Wilson. – Jesteśmy gotowi do podjęcia działań... Chyba że ma pan coś jeszcze do dodania?

– Róbcie, co macie zrobić, ale postarajcie się, żeby to zadziałało – odparł prezes. – Nawet nie chcę myśleć, co Chan robi z tą planetą, jeśli wam się nie powiedzie. – Wstał, podszedł do drzwi, a fotele, w których siedzieli jego goście odwróciły się, by Cole i Wal mogli go widzieć. – Czy ona potrafi mówić? – zapytał, wskazując rudowłosą kobietę.

W ręce Walkirii pojawił się znikąd wielki palnik.

– Tylko w taki sposób – powiedziała.

Prezes zniknął za drzwiami w ekspresowym tempie.

– Naoglądałaś się zbyt wielu marnych holo – stwierdził Cole, gdy chowała pistolet do olstra na udzie.

– W czasie gdy trudniłam się piractwem, na podstawie moich przygód zrobiono dwa holofilmy – pochwaliła się. – To była moja kwestia z jednego z nich. Normalnie nie gadam takich pierdół, chociaż od tej chwili będzie można powiedzieć, że potwierdziłam swoim zachowaniem prawdziwość scenariusza... – zamilkła na moment. – Jak chcesz go załatwić?

– Zagrasz ze słuchu.

– Dlaczego nie zabijemy drania, jak tylko stanie w drzwiach? – zapytała. – Nie będzie miał szansy na skontaktowanie się z Chanem.

– Facet wykonuje tę robotę już od roku i nie trafił na żaden problem. Może zrobił się przez to bardziej miękki. Może mu nawet zaczęło zależeć na życiu.

Pokręciła głową.

– Marnujemy tylko czas. Do takiej roboty nie najmuje się byle słabeusza.

– Mamy sporo czasu do zmarnowania – przypomniawszy jej Cole.

Wzruszyła ramionami.

– Ty tu jesteś szefem.

– Kapitanem – poprawił ją natychmiast.

– Nie widzę różnicy. – Obrzuciła wzrokiem szafki. – Jak sądzisz, trzymają tutaj coś do picia?

– Zapomnij o gorzale. Masz być trzeźwa.

– Spiję cię w trupa, a i tak pozostanę trzeźwa – pochwaliła się Wal.

– Wiem, że jesteś do tego zdolna – przyznał Cole. – Ale wolałbym, żebyś teraz nie piła.

Zmierzyła go zdeglustowanym spojrzeniem.

– Jaki jest prawdziwy powód tego zakazu?

– Nie chcę, żeby nasz posłaniec musiał przechodzić do defensywy, jak tylko przekroczy próg tego gabinetu – wyjaśnił Wilson. – Za minutę albo dwie poproszę cię, żebyś opuściła gabinet i zaczęła się w tym pokoiku obok. Wrócisz, jak facet wkurzy się w wystarczającym stopniu. Będziesz miała trzy sekundy na to, żeby go obezwładnić i rozbroić. Chcę być uratowany, nie pomszczony, i dlatego zrobię wszystko, żebyś nie straciła swoich niezwykłych możliwości.

– Dobrze – poddała się. – Zero gorzały. Ocalę cię dla tej lali z sekcji bezpieczeństwa. Ale kiedy skończymy, mam zamiar skonfiskować każdą butelkę cygniańskiego koniaku, jaką znajdę na tym piętrze.

– Świetny pomysł – odparł Cole. – Nie sądzę, żeby Chan zaszczycił Bannistera uwagą przed upływem kolejnej doby.

– Sir – w biurze rozległ się bezosobowy damski głos. – Posłaniec właśnie wszedł do budynku.

– Dziękuję – odparł kapitan i rzucił miniaturową słuchawkę rudowłosej kobiecie. – Zmykaj i słuchaj wszystkiego przez to urządzenie. Sama się zorientujesz, kiedy będziesz mi potrzebna.

Złapała słuchawkę, skinęła głową i wyszła na korytarz. Cole w tym czasie przesiadł się na fotel wiszący za biurkiem prezesa.

Nieco ponad minutę później do gabinetu wkroczył wysoki mężczyzna przy tuszy.

– Kim ty, u diabła, jesteś? – zapytał.

– A co jest napisane na drzwiach? – odparł pytaniem na pytanie kapitan.

– Widzę, że posunęli starego prezesa – burknął posłaniec. – Czy twój poprzednik poinformował cię o naszym układzie?

– Dlaczego ty mi o nim nie opowiesz, skoro nie mam o niczym pojęcia? – Cole wzruszył ramionami.

– Sprawa jest prosta. Czyngis Chan i jego organizacja zapewniają ochronę waszej firmie za dwadzieścia pięć tysięcy funtów Dalekiego Londynu tygodniowo. Gotówką.

– Dwadzieścia pięć tysięcy? – powtórzył Wilson.

– Tak. – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Nie powiedział ci o tym?

– Powiedział.

– Zatem...

– To za mało – uznał Cole.

Posłaniec spojrzał na niego dziwnie.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– O dwudziestu pięciu tysiącach. To stanowczo za mało.

– Czyś ty oszalał?

– Ależ skąd. Jestem poważnym biznesmenem – zapewnił go kapitan. – I proponuję pięćdziesiąt tysięcy.

– Chcesz nam płacić pięćdziesiąt tysięcy tygodniowo?

Cole stanowczo pokręcił głową.

– Nie.

– Zatem o co...

– Chcę, żebyście płacili nam pięćdziesiąt tysięcy funtów tygodniowo za przywilej chronienia kartelu.

– Ty naprawdę oszalałeś! – wydarł się człowiek Chana.

– Cieszę się, że to dostrzegasz – odparł kapitan.

- Masz trzydzieści sekund na wypłacenie pieniędzy!
 - Wal – Cole wypowiedział to imię, nie podnosząc głosu. – Wydaje mi się, że to był ten moment.
 - Co ty bredzisz, człowieku? – pytał mężczyzna, gdy drzwi rozsunęły się, wpuszczając do gabinetu rudowłosą kobietę.
- Usłyszał jej kroki, odwrócił się na pięcie i sięgnął po palnik, ale była od niego o wiele szybsza. Jej lewa ręka wystrzeliła do przodu, chwyciła za przegub i moment później nawet Wilson, choć siedział po drugiej stronie gabinetu, usłyszał charakterystyczny trzask pękających kości.
- Posłaniec wrzasnął z bólu, a potem uderzył na odlew drugą ręką. Walkiria zrobiła unik i zadała mu dwa szybkie ciosy, jeden w krtani, drugi w krocze. Mężczyzna padł, z trudem walcząc o odzyskanie oddechu i zanim zdołał znów stanąć na nogach, został rozbrojony.
- Nie ujdzie wam to na sucho! – wycharczał.
 - Już nam uszło – zapewnił go rozbawiony Cole. – Ja tu jeszcze wrócę – obiecał posłaniec. – I to nie sam. Wezmę ze sobą tylu ludzi, że załatwimy bez trudu ciebie i tę... diabolicę!
 - Chciałeś powiedzieć, że jeśli pozwolimy ci wyjść i odlecieć z tej planety, wrócisz na nią ze swoimi ludźmi?
 - Masz to jak w banku! Nie wiesz jeszcze, na co mnie naprawdę stać!
 - Skoro to właśnie miałeś na myśli, tylko szaleńcy pozostawiliby cię przy życiu – stwierdził Cole.
- Nagle posłaniec stał się o wiele bardziej potulny. Obrzucił spojrzeniem Wal i zaczął się wycofywać.
- Nie możecie mnie zabić! – wrzasnął rozpaczliwie. – To byłoby morderstwo!
 - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale właśnie usłyszałem z twoich ust dokładnie takie same groźby.
 - Możemy się dogadać!
 - Miałem nadzieję, że to powiesz – przyznał kapitan. – Jeśli zdradzisz mi, gdzie znajdę tego Chana, i podasz mi kody potrzebne do przejścia przez jego linie obrony, daruję ci życie. Nie wypuszczę cię jednak do momentu, kiedy sprawdzę prawdziwość tych informacji. Jeśli okażą się rzetelne, będziesz wolny.
 - Nie mogę ci tego wyjawic – wyskamlął mężczyzna. – On mnie za to zabije!
 - A ja zabiję cię, jeśli tego nie zrobisz – przypomniawszy mu Cole. – Może powinieneś rozważyć, co jest bardziej prawdopodobne?

Posłaniec z paniką w oczach rzucił się w stronę drzwi, ale Wal znów okazała się szybsza. Błyskawiczne kopnięcie w kolano posłało go na podłogę, gdzie wył i zwijał się z bólu do momentu,

w którym stracił przytomność.

– Będzie utykał całymi latami – zauważył Wilson.

– Nie będzie – zaprzeczyła rudowłosa, dobywając palnika. – Umrze za kilka sekund.

– Nie! – powstrzymał ją kapitan.

– Do cholery, Wilsonie! – rzekła. – Gdyby nasze role jakimś cudem uległy odwróceniu, on nie zawahałby się nawet przez ułamek sekundy.

– Zabijemy go, jeśli będziemy musieli – obiecał jej Cole. – Ale na razie nie ma takiej potrzeby.

– Posłuchaj – powiedziała. – Wiem, że wy wszyscy z „Teddy'ego R.” należeliście do floty, a ja jestem tylko piratką, która się do was przyssała, ale te twoje zabawy w dobrych i złych chłopców naprawdę zaczynają ci mącić osąd. To wróg. Wróg, który chciał nas pozabijać. Co by zrobiła flota Republiki, gdyby był żołnierzem Federacji Teroni?

– Kazałaby go zabić, gdyby okazało się konieczne, albo aresztować, gdyby nie było.

– Może wydaje ci się, że zastrzelenie nieprzytomnego człowieka to jakiś grzech? – zapytała. – Rozumiem. Dlatego możesz odejść z czystym sumieniem, bo ja go wezmę na siebie. Będzie się czuł jak w cholernym domu w towarzystwie moich pozostałych grzeszków.

– To nie grzech – odparł Cole – tylko niepotrzebne okrucieństwo.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Takie skurwysyny jak on zachowują urazy na zawsze. Zwłaszcza że kontuzja dłoni i proteza kolana co dzień będzie mu o nas przypominała. A ty kiedyś dorobisz się dzieciaka z tą twoją szefową sekcji bezpieczeństwa. Skurwiel, który tu leży, nie odpuści ci, możesz być tego pewien. Przyjdzie taki dzień, gdy w akcie zemsty poderżnie mu gardło.

– Oszczędź mi tych przepowiedni – poprosił kapitan. – Ma żyć, dopóki nie pozwolę go zabić. To rozkaz.

Wzruszyła ramionami i westchnęła ciężko.

– Ty tu jesteś kapitanem.

– Cieszę się, że jeszcze o tym pamiętasz – odparł. – Na pewno mają tutaj jakiś szpital. To w końcu wielkie miasto. Wezwij karetkę, niech go tam zabiorą, potem ściągnij tu wahadłowcem Byka, żeby go pilnował. Po operacji tylko lekarz może wejść do izolatki. I zero wysyłania i odbierania wiadomości. W tym czasie ty zajmij się ukryciem jego statku. Niech prezes Apolla użyje swoich wpływów i wykasuje wszystkie zapisy jego lądowania w tutejszym kosmoporcie. Do wieczora po tym gnoju ma nie zostać nawet ślad... – zamilkł na moment. – Czekaj Niech Domak go pilnuje, nie Byk.

– Dlaczego? – zapytała Wal.

– Bo nie chcę, żeby doszło tam do strzelaniny. Osoba, która go będzie pilnowała, ma skutecznie zniechęcać do prób kontaktu i rozróby, a kto jak nie wojownicza Polonoi nadaje się do tego najbardziej? Jej wygląd, nie mówiąc już o naturalnym pancerzu, odstraszy więcej gliniarzy i pracowników szpitala niż muskulatura Pampasa.

– Coś jeszcze?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, to wszystko. Następny ruch należy do nich.

Zgodnie z przewidywaniami, następnego wieczora do gabinetu prezesa przyszło połączenie nadprzestrzenne.

– Nie otrzymaliśmy wiadomości od naszego posłańca – stwierdził ktoś. – Gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia – odparł Cole. – Czekaliśmy na niego wczoraj, ale się nie pokazał. Nie dostaliśmy też żadnej informacji o przyczynach tego spóźnienia.

– Jeśli dowiemy się, że nas okłamujecie...

– Dlaczego mielibyśmy kłamać? – zapytał kapitan. – Pieniądze cały czas czekają na kogoś od was. Jeśli chcecie, sami możemy je dostarczyć, tylko nie wiemy gdzie.

- Odbierzemy je w twoim gabinecie.
- Jesteście pewni, że to nie sprawi wam kłopotu?
- Trzymaj je tylko pod ręką. I lepiej, żeby to była prawda.
- Dlaczego miałbym was okłamywać? – powtórzył Cole. – Płacę wam za ochronę przed innymi. Nie płacę innym za bronienie przed wami.
- Lepiej trzymaj język za zębami. Już do was lecimy. Będziemy na miejscu za sześć godzin.
- Świetnie – stwierdził Wilson. – Czekamy z utęsknieniem.

Rozdział jedenasty

Cole siedział za biurkiem i ze znudzeniem obserwował rozgrywki morderballa transmitowane do gabinetu prezesa wprost z gromady Quinellusa, zastanawiając się przy tej okazji, kim są idioci chcący grać w meczu, którego końca nie dożywa siedemdziesiąt procent zawodników, zważywszy nawet wysokość honorariów, jakie im za to wypłacano. Uznał jednak dość szybko, że nie będzie porównywał strat ponoszonych przez buntowników, piratów czy najemników, ponieważ jego własna sytuacja – oraz załogi – nie odbiegała wcale tak bardzo od założeń, na jakich opierali się organizatorzy tych rozgrywek.

Zdawał sobie sprawę, że drugi przedstawiciel Chana będzie podejrzliwy i był prawie pewien, że tym razem zadba o to, aby nikt nie powiadomił gospodarza o rychłej wizycie, ale okazało się, że sekretarka z parteru połączyła się z górą, jak tylko „goście” wsiedli do windy.

Wyłączył holo, upewnił się – już po raz trzeci – czy palnik oraz piszczalka są w pełni naładowane i czekał.

Po dłuższej chwili w drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni, kobieta i towarzyszący im Lodinita.

- Kim jesteś? – zapytał wyższy z mężczyzn.
- To nie powinno was obchodzić, wystarczy, że wypłacam okup – odparł Cole.
- Pieniądze za ochronę – poprawił go posłaniec.

Wilson wzruszył ramionami.

- Niech wam będzie.

- Nie podoba mi się twoje nastawienie – stwierdził człowiek Chana.
 - Już to kiedyś słyszałem – odparł kapitan.
 - Co się stało z naszym posłańcem?
 - Skąd mam wiedzieć? – zapytał Cole. – Tkwię w tym budynku od dwóch dni, z krótkimi przerwami na jedzenie i spanie. Nie pojawił się, nie przesłał mi wiadomości, nie przysłał zastępstwa.
 - Nie wierzę w ani jedno słowo.
 - Rozejrzyj się – zaproponował kapitan. – Widzisz go gdzieś?
 - Nie próbuj zgrywać mądrali! – poradził mu człowiek Chana.
- Cole zamierzał odpowiedzieć, ale w tym momencie zauważył, że kobieta przygląda mu się z ogromnym zainteresowaniem.
- Skądś znam tę twarz – oświadczyła.
 - Wątpię – odparł Wilson. – Z pewnością nie obracamy się w tych samych kręgach. Poza tym, gdybyśmy się kiedykolwiek spotkali, z pewnością bym cię zapamiętał.
 - Zaraz sobie przypomnę... – mruknęła, nie spuszczając go z oka.
 - Gdzie są nasze pieniądze? – zapytał wysoki mężczyzna, który najwyraźniej przewodził tej delegacji albo był jej rzecznikiem.
 - W bezpiecznym miejscu – odparł Cole. – Nie spodziewaliście się chyba, że będą leżały tutaj na blacie biurka, gdzie każdy może wejść i je sobie zabrać.
 - Dawaj je! – wrzasnął człowiek Chana.
 - Czy ty w ogóle słuchasz, co ja mówię? – odparł kapitan.
 - O co ci chodzi?
 - Przecież powiedziałem wyraźnie: nie trzymam ich tutaj, bo nie chcę, żeby dobrał się do nich jakiś złodziej, taki jak ty na przykład... – zamilkł na moment. – Obawiam się, że będziesz musiał szybko poszukać nowej roboty, a my, niestety, nie prowadzimy już naboru.
 - Już wiem, kim on jest! – zawołała w tym momencie kobieta. – To Wilson Cole!
 - Mamy naprawdę szczęśliwy dzień – wtrącił drugi z mężczyzn. – Za twoją głowę Republika daje okrągłe dziesięć milionów.
 - Sugerowałbym obejrzeć się za siebie, zanim zdecydujesz, czy po nie sięgnąć – poradził mu kapitan.

Mężczyzna i Lodinita odwrócili głowy i spojrzeli prosto w lufy palników, które Wal trzymała w obu dłoniach.

Drugi mężczyzna, ten, który do tej pory milczał, sięgnął po pistolet pulsacyjny. Ułamek sekundy później leżał martwy na podłodze, a z dziury pomiędzy jego oczami wydobywały się bąbelki piany. W chwili gdy Wal oddawała strzał, Lodinita rzucił się na nią. Zdażyła jednak uskoczyć i wymierzyła mu solidny cios w kark kolbą palnika. Rozległ się głośny chrupot i kosmita padł bezwładnie na podłogę.

– Czy jeszcze ktoś chce zgrywać głupka? – zapytał Cole, wstając z fotela.

– Co ty tu robisz, u licha? Powinieneś spieprzać przed flotą na drugi koniec galaktyki.

– Właśnie to robię.

– Zająłeś się interesami?

– Tylko jednym – poprawił go kapitan. – Waszym. Gdzie znajdę Czyngis Chana?

– Czego od niego chcesz?

– Wszystkiego, co ma – odparł Wilson.

Mężczyzna zrobił dziwną minę.

– Nie rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć.

– Pytanie brzmi: ile on jest dla ciebie wart?

– Nie wydamy go.

– Wasz wybór, ze swojej strony mogę jedynie obiecać, że będzie bardzo, ale to bardzo bolesny.

Kobieta nagłym ruchem sięgnęła po piszczałkę. Wal zareagowała natychmiast i wysłanniczka Chana ryknęła straszliwie, gdy roztopiony metal zapłonął w jej dłoni. Rzuciła bezużyteczny pistolet na podłogę, a sama uklękła z bólu i chwyciła się za zwęglony kikut ręki.

– To jest ta znana piratka, jak jej tam, Jezebel czy Kleopatra – stwierdził mężczyzna, wskazując kciukiem na Wal. – Dlaczego ona współpracuje z flotą?

– Nazywa się Wal, w każdym razie tak możesz się do niej zwracać w tym miesiącu, ale, jak to już zauważył twój martwy przyjaciel, nie należymy od pewnego czasu do floty. I dlatego mam prośbę: ułatw nam wszystkim życie i odpowiedz na moje pytanie.

– Nie licz na to – odparł posłaniec. – Nie pozabijacie nas wszystkich. Jeśli to zrobicie, nigdy nie dowiecie się, gdzie przebywa Chan.

– Nie mam zamiaru wyliczać nielogiczności w twoim krótkim wystąpieniu – oświadczył Cole. – Powtórzę za to jeszcze raz, ale już ostatni: gdzie jest Czyngis Chan?

– Pierdol się, człowieku!

– Dobrze – odparł spokojnie kapitan, wyjmując palnik. – Zadam ci wobec tego prostsze pytanie. Do którego jądra jesteś bardziej przywiązany?

– Co takiego? – zaniepokoił się człowiek Chana. – Jedno ci zostawię – odparł kapitan, mierząc w jego krocze. – To znaczy, spróbuję. Które wybierasz?

– Nie mówisz tego poważnie! – Facet był już mocno przestraszony.

– Wyglądam na takiego, który jaja sobie z ciebie robi? – zapytał Wilson.

– To nieludzkie!

– Przychodzisz tutaj, grożąc wszystkim śmiercią, ale to ja zachowuję się nieludzko? – zapytał Cole i roześmiał się wesoło. – Albo powiesz mi zaraz, które jądro mam ci odstrzelić, albo sam zgadnę.

– Nie! – wrzasnął mężczyzna i ruszył w stronę kapitana, niepomny wycelowanego w siebie palnika, lecz zdążył zrobić tylko dwa kroki. Wał podstawiała mu nogę i wyrznął głową w kant blatu biurka. Stracił przytomność, zanim dotknął twarzą podłogi.

– Dzięki – powiedział Cole.

– Naprawdę miałeś zamiar strzelić do niego? – zapytała rudowłosa.

– Ależ skąd. Chciałem go przestraszyć, żeby zaczął gadać. Nie strzelam do nieuzbrojonych ludzi.

– Ja strzelam.

– Wiem – skrzywił się Wilson. – I dlatego to ja im grożę.

– I co teraz zrobimy?

– To samo co przedtem – wyjaśnił kapitan. – Zawiadom szpital, że powinni podesłać ambulans i kilka lotonoszy. – Spojrzał na klęczącą kobietę. – Ona jest w szoku. Powiedz im, że będzie wymagała natychmiastowej intensywnej opieki.

– A co z zabitymi?

– Nie pochowamy ich w pobliżu. Wolałbym, żeby nikt nie widział ciał wynoszonych z tego budynku. Ściągnij tu Byka Pampasa i Luthora Chadwicka, niech przeniosą je do piwnicy albo jakiegoś składziku. Lepiej, żeby nam się tu nie zaśmierdli. I niech Byk przywiezie z „Teddy'ego R.” kilka worków na zwłoki, tak na wszelki wypadek.

– Sama mogę się ich pozbyć.

– Wiem, ale i tak chciałem mieć tu na dole ich obu. A skoro będą tu siedzieć, niech mają jakieś zajęcie. Przekaż im, żeby zabrali ze sobą Jabola.

– Jabola? – powtórzyła zdziwiona. – Jaxtaboxla – przeliterował Cole. – Tego Mollutei z przedziału bojowego. Za cholerę nie potrafię wymówić jego prawdziwego imienia, więc nagiąłem nieco moje kapitańskie prawa i nadałem mu inne, znacznie prostsze.

– Rozumiem – stwierdziła. – Ściągnę ich tutaj.

Ambulans pojawił się po kilku minutach, uzupełnienia z orbity przybyły niespełna godzinę później. Gdy wszystkie rozkazy zostały wykonane, kapitan nawiązał połączenie holowizyjne z mostkiem okrętu.

– Witam, sir – odezwała się Christine, do niej należało dowodzenie na tej wachcie. – Cieszę się, że wszystko u pana w porządku. Wróci pan na pokład niebawem?

– Raczej nieprędko – powiedział Wilson. – Połącz mnie z Forrice'em. Jeśli śpi, obudź go.

Po chwili zobaczył przed sobą hologram Molarianina w skali jeden do jednego.

– Słyszałem już o twojej dzisiejszej przygodzie – rzekł Cztery Oczy. – Moje gratulacje, chociaż, nie znając wszystkich szczegółów, i tak podejrzewam, że należą się raczej Walkirii. Zakładam, że masz zamiar zostać na kamyku?

Cole skinął głową.

– Następna delegacja nie będzie miała żadnych wątpliwości, że coś złego stało się z poprzednimi wysłannikami. Zaginiony kurier to jedna sprawa, ale stratę pięciorga ludzi trudno będzie im zignorować. W końcu Chan jest jednym z największych kryminalistów tego sektora. Nie może być aż tak głupi.

– Spodziewasz się zatem, że przybędą w znaczącej sile?

– Coś w ten deseń – przyznał kapitan. – Wątpię wprawdzie, by pojawił się sarn Czyngis Chan, on nie powinien przylatywać, dopóki nie będzie jasne, co się stało z jego ludźmi. Musi brać przecież pod uwagę i taki wariant, że jeden z jego najgroźniejszych przeciwników zajął Bannistera i zgromadził wokół niego dwadzieścia statków. Jedno jest pewne, tym razem przyśle o wiele potężniejsze siły niż poprzednio.

– Chciałbym polecieć na dół, zanim one się tam pojawią – powiedział Forrice.

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

– Potrzebujemy cię na orbicie.

– Do cholery, Wilsonie...

– Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której kapitan i pierwszy oficer narażają życie poza pokładem – przypomniał mu Cole. – Jeśli na planecie coś pójdzie nie tak, ty przejmiesz dowodzenie „Teddym R” i do ciebie będzie należało zadanie zaatakowania i zabicia ludzi Czyngis Chana, zanim zdołają odlecieć do swojej bazy i ściągnąć znacznie większe posiłki.

– Ale...

– To musisz być ty, Cztery Oczy. Christine jest najlepszym ekspertem komputerowym, jakiego mamy, ale ona nie posiada doświadczenia bojowego, a tylko wy dwoje pozostaliście na pokładzie z grona starszych oficerów.

– W takim razie odeślij Wal na orbitę, a ja zajmę jej miejsce – zaproponował Molarianin. – Po tylu latach piratowania ta kobieta ma więcej doświadczenia niż ty i ja razem wzięci.

– W otwartej walce jest warta trzy razy tyle co ty i dziesięć razy więcej niż ja – zgodził się Cole – i dlatego chcę ją mieć tutaj.

Nagle obok hologramu Molarianina pojawiła się sylwetka Sharon.

– Czy mogę podrzucić wam pewną sugestię?

– Dlaczego podsłuchujesz nasze rozmowy? – zapytał poirytowany kapitan.

– Jestem szefową sekcji bezpieczeństwa – przypomniała mu. – Do moich obowiązków należy monitorowanie wszystkich transmisji.

– Domyślam się już, jaka będzie treść twojej sugestii – mruknął Wilson.

– W takim razie, dlaczego nie wracasz na pokład? – zapytała. – Chan wyśle swoje siły na Bannistera bez względu na to, czy będziesz tam czy tutaj. A sam przed chwilą przyznałeś, że Forrice i Wal lepiej się nadają do tej roboty niż ty.

– To moja operacja – odciął się Cole. – I zostanę tutaj.

– Bądź rozsądny, Wilsonie – napomniała go Sharon. – Masz całkiem dobrą formę jak na faceta w średnim wieku, ale liczy się tylko to, że nie jesteś już młodzieniaszkiem. Połowa załogi „Teddym R” dokopałaby ci w uczciwej walce.

– Z twojej wypowiedzi wynika, że albo mam cholerne szczęście, albo nie walczę uczciwie – stwierdził z przekąsem. – Masz coś jeszcze do dodania?

– Tylko tyle, że odebrałam dwa przekazy z rozmów pomiędzy urzędnikami, których reprezentujesz. Kartel zrobił się bardzo nerwowy. Zastanawia się nawet, co zrobić, żeby statki Chana nie zbombardowały planety z orbity.

- „Teddy R.” powstrzyma każdą jednostkę, jaką dysponuje nieprzyjaciół.
- Ale nie z miejsca, w którym go ukryliśmy.
- Ty to wiesz, ja to wiem, ale oni nie mają pojęcia, gdzie trzymamy nasz okręt ani gdzie będzie, jeśli pojawią się w pobliżu źli chłopcy. Poza tym, a może nawet przede wszystkim, kartel Apollo jest największym źródłem wpływów dla organizacji Chana. Dlaczego więc miałyby go niszczyć?
- Obawiam się, że ich nie martwi zniszczenie kartelu przez Chana. Raczej przejmują się tym, że zechce stracić wszystkich urzędników zamieszanych w wynajęcie ochrony... – zamilkła na moment. – Powinieneś z nimi porozmawiać.
- Dobrze – zgodził się Cole. – Skoro uważasz, że to konieczne.
- Rozmowa nic nie kosztuje.
- Zrobię to. Czy chcesz coś jeszcze?

– Uważaj na siebie. Nie chciałabym szukać sobie nowego towarzystwa do łóżka, chociaż muszę przyznać, że ostatnio jest na czym oko zawiesić, na przykład ten przystojny, młody, jurny Byk Pampas...

– Świetnie, w takim razie nie obrazisz się, że zapisałem mu ciebie w testamencie – odparł i przerwał połączenie.

Pomyszkował po biurach w poszukiwaniu kawy, ale jej nie znalazł, zastąpił ją więc odrobiną whisky destylowanej na Polluksie IV, a potem skontaktował się z prezesem kartelu.

– Kapitanie Cole, cieszę się, że możemy porozmawiać! Zastanawialiśmy się właśnie, jakie kroki przedsięwziął pan, aby chronić zarząd kartelu, teraz gdy Czyngis Chan wie już, że jesteśmy odpowiedzialni za wynajęcie kogoś do ochrony przed nim.

– Czuwamy przez całą dobę – zapewnił go Wilson. – Jak tylko jego siły wejdą do tego systemu, „Teodor Roosevelt” namierzy ich kursy, podejdzie do planety od drugiej strony i osłoni ją przed atakiem.

– Ale jeśli nadlecą ponad płaszczyznę ekliptyki, będą widzieli was jak na dłoni.

Cholera jasna, pomyślał Cole, założyłbym się o własną głowę, że nie wpadlibyście na to, a na głos powiedział:

– „Teodor Roosevelt” jest okrętem wojennym. Posiada przynajmniej dwukrotną przewagę zasięgu skutecznego ognia nad każdą z jednostek Chana. Jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy go namierzyć już na orbicie Bannistera III. A poza tym bądźmy realistami, nie zabija się kury znoszącej złote jajka, a kartel Apollo zalicza się do tej kategorii.

– Ja nie obawiam się o przyszłość kartelu, ale o losy jego przywódców – usłyszał zgryźliwą

odpowieź. – Miał pan już do czynienia z pięcioma jego ludźmi i nadal nie wie pan o kryjówce bandziorów więcej niż na początku tej operacji.

– Wiem za to jedno – stwierdził Cole.

– Doprawdy? Co takiego?

– Wiem, że nie może zignorować ani tolerować tego, co już zrobiliśmy. Człowiek jego pokroju nie może okazać słabości, bo jego dni byłyby policzone. Przyleci tutaj, a my jesteśmy na to gotowi.

– Wy jesteście gotowi – zauważył prezes z nieszczęśliwą miną. – A co z nami?

– Proszę mnie dobrze posłuchać. – Kapitanowi zaczynały już puszczać nerwy. – Podjęliśmy się tej roboty za milion funtów Dalekiego Londynu. Jeśli chcecie zerwać umowę, nie ma sprawy. Zapłaćcie nam i natychmiast odlecimy.

– I zostawicie nas na pastwę tych drani? – zapytał prezes. – Nigdy na to nie pójde!

– W takim razie zajmij się pan swoją robotą i pozwól nam działać – powiedział Cole i rozłączył się.

Nie miał pojęcia, jak szybko pojawią się kolejni ludzie Chana, ale musiał coś zjeść, i to zaraz. Żołądek miał pusty od samego rana. Wjechał na ostatnie piętro i udał się do restauracji dla kierownictwa. Spotkał w niej Wal, Byka Pampasa i Luthora Chadwicka.

– A gdzie Jabol i Domak? – zapytał.

– Porucznik wciąż przebywa w szpitalu – poinformowała go Walkiria. – Policja też tam jest, ale ona nie wierzy, żeby gliniarze odparli ewentualny atak. Prawdę powiedziawszy, ja też wolałabym mieć ochronę jednej wojowniczkii Polonoi niż tuzina gliniarzy, zwłaszcza jeśli to tylko ludzie. A Jabol, kiedy go ostatni raz widziałam, wyskoczył na miasto znaleźć coś jadalnego dla Mollutei. Ale to było ponad pół godziny temu, więc powinien wrócić lada moment.

– Co mówią raporty medyczne na temat trojga poranionych emisariuszy?

– Wpadłem do szpitala po drodze tutaj – odparł Pampas. – Kobieta straci rękę, Sharon twierdzi, że kartel ma zapłacić za jej protezę, tak samo jak za leczenie tych dwóch pozostałych facetów. Pułkownik Blacksmith powiedziała też porucznik Domak, że cała trójka ma pozostać uziemiona w szpitalu, dopóki nie zadecydujemy inaczej.

– Świetny pomysł – przyznał Cole. – Dlaczego sam o tym nie pomyślałem?

– Wie pan już czego możemy się spodziewać, sir? – zapytał Chadwick.

– Nie do końca – odparł kapitan. – Ale z pewnością będzie to coś o kilka rzędów większego niż poprzednia wizyta. Chan wciąż nie wie, kim jesteśmy i jaką potęgą dysponujemy, więc nie powinien zwiększać sił wysyłanych na Bannistera stopniowo. Skoro załatwiliśmy jednego człowieka, a potem czterech, możemy być w stanie pokonać też sześciu, dziesięciu albo dwunastu. Nie sądzę, żeby

organizacja Chana miała wielu ludzi do stracenia, dlatego uważam, że teraz przyśle naprawdę znaczące siły.

Ledwie skończył to mówić, nad stołem pojawił się hologram twarzy Sharon.

– Nie cierpię przerywać kapitanowi, zwłaszcza gdy opowiada sprośne dowcipy – powiedziała – ale mamy towarzystwo.

– Jak duże?

– Osiem dział laserowych i pulsacyjnych, dwadzieścia siedem osób załogi, a przynajmniej tyle zdołały na razie wykryć nasze sensory.

Zniknęła znad blatu, a na jej miejscu pojawił się okręt niewiele ustępujący wielkością „Teddy'emu R.” i pozbawiony jakichkolwiek oznaczeń. W chwili gdy na niego patrzyli, wrota hangaru otworzyły się i z wnętrza jednostki wyleciał wahadłowiec. Maszyna zdolna pomieścić piętnastu chłopów pod bronią kierowała się prosto na Bannistera II.

– Zobacz, Wal – powiedział Cole – oto twój nowy stateczek. Bierzmy się do jego zdobycia.

Rozdział dwunasty

Cole obserwował lot wahadłowca do chwili, kiedy ten przyziemił na pobliskim kosmoporcie. Dziesięciu ludzi, trzech Lodinitów i dwóch Mollutei wynurzyło się z jego kadłuba, wszyscy byli ciężko uzbrojeni. Przemaszerowali grupą do budynku kartelu Apollo, ale tam się rozproszyli. Tylko dwóch ludzi weszło do środka.

– Zrobili się mądrzejsi – powiedział kapitan, kierując te słowa do Wal, Pampasa, Chadwicka i Jabola. – Domyślili się zapewne, że ich ludzie dotarli tutaj, ale już nie wrócili, więc nie zamierzają wchodzić do tej samej pułapki.

– Mamy się ukryć przed nimi jak przedtem? – zapytała Walkiria.

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

– A po co? Oni już wiedzą, że nie jestem sam. Załatwimy tych, którzy weszli do środka, i poprosimy policję, żeby pomogła nam wyłapać czekających na zewnątrz. Dzięki temu nie będą wiedzieli, co tutaj zaszło i jakimi siłami dysponujemy. Stracą więc jedyną przewagę.

– Broń trzymamy na wierzchu czy schowaną? – zapytał Pampas.

– Jeśli będziesz trzymał pistolet w dłoni, zachęcisz ich do tego samego – powiedział Cole. – A w takiej sytuacji strzelanina może się rozpocząć od byle głupoty

– Chyba po to nas pan tu ściągnął – zauważył Byk. – Wygramy z nimi, sir.

– Nie wątpię – odparł kapitan. – Ale nie dowiem się od nich tego, co chcę wiedzieć, jeśli będą martwi.

– I tak ci tego nie powiedzą – stwierdziła Wal.

Wilson zbył jej uwagę wzruszeniem ramion.

– To się jeszcze okaże.

– Trzyma pan jakiegoś asa w rękawie, prawda, sir? – zapytał Chadwick.

– Raczej samą rękę – mruknęła Wal. – A ja wam mówię, zabijmy tych dwóch, jak tylko wejdą i zabierzmy się za wyłapanie reszty.

– I co dalej? – chciał wiedzieć Cole. – Jeśli będziemy musieli zniszczyć ich okręt, nie zostaniesz jego kapitanem, a my nie zarobimy nawet grosza, bo Chan wyśle tu całą swoją flotę i zacznie strzelać do wszystkiego, co się rusza.

– I tak, prędzej czy później, będziemy musieli stanąć przeciw nim – odparła rudowłosa. – Wolę, żeby to było prędzej.

– Tak, będziemy z nimi walczyli – przyznał kapitan. – Ale może najpierw poważnie zredukujemy ich siłę ognia.

– Po jednym na raz albo wszyscy za jednym zamachem, jaka to różnica? – prychnęła Walkiria.

Luthor zachichotał, a Cole natychmiast zgromił go wzrokiem.

– Co w tym śmiesznego?

– Nic, przypomniało mi się tylko, co komandor Forrice zawsze mówi, jak skończycie przedyskutowywać jakiś problem – odparł Chadwick. – Leciąło to jakoś tak: „Problem wydawał się o wiele mniejszy, zanim on zaczął się nad nim zastanawiać”.

– Cztery Oczy. Cały on – przyznał kapitan.

– Nadchodzą, sir – zameldował półszeptem Jabol.

– Cokolwiek się wydarzy – przypomniał im Cole – nikt nie strzela ani nie podejmuje innych akcji, dopóki nie dam wyraźnego sygnału.

Zaraz potem do gabinetu weszli dwaj mężczyźni odziani w skórzane kombinezony, jeden z brodą, a

drugi gładko ogolony. Obaj byli doskonale uzbrojeni. Ogolony miał w dłoni pistolet pulsacyjny i natychmiast wymierzył go w stronę Wal, Pampasa, Chadwicka i Mollutei.

Brodaty spoglądał przez moment na Cole'a.

– Mogłem się domyślić, że te tchórzliwe robale wynajęły kogoś do pomocy.

– Mnie również miło pana poznać – odparł Wilson.

– Wiem, kim pan jest, panie Cole – powiedział brodacz. – Zbyt wiele razy widziałem pańskie oblicze na listach gończych i w wiadomościach. Dlaczego najczęściej odznaczany oficer floty republikańskiej zabawia się w najemnika?

– Może dlatego, że nie znajdujemy się na terenie Republiki, gdyby pan jeszcze tego nie zauważył – odparł kapitan. – Ale nie musimy być wrogami. Może Czyngis Chan szuka dobrego sprzymierzeńca?

– Dlaczego mielibyśmy współpracować z kimś takim jak pan, panie Cole?

– Posiadanie sprzymierzeńców nie zostało chyba zabronione?

– Nie potrzeba nam sprzymierzeńców.

– Dlaczego nie przejdziemy się do waszego wahadłowca i nie prześlemy tej propozycji waszemu szefowi? – zapytał Wilson. – Mógłbym to zrobić stąd, ale niestety, nie dysponuję odpowiednimi kodami.

– Nie potrzebujemy żadnych kodów – prychnął brodacz. – Zresztą oni odpowiedzą wyłącznie na mój wzór głosu. A pan nie pożyje wystarczająco długo, żeby się z nim skontaktować.

– W sumie szkoda – mruknął Cole. – Mogliśmy się zaprzyjaźnić.

– Nie potrzebujemy żadnych przyjaciół.

– Co mogę wam zaproponować jako dowód mojej dobrej woli?

– Zatrzymaj ją pan dla siebie – warknął brodacz.

– Marnujemy czas – wtrącił się ogolony. – Załatwmy sprawę i wracajmy do cholernej bazy.

Brodacz spojrzał na Cole'a.

– Zapytam tylko raz: masz nasze pieniądze?

– Tak. Mam je. Co powiesz na podzielenie tej kwoty? Ty dostaniesz połowę, ja wezmę połowę, nikt nikogo nie będzie musiał zastrzelić i rozejdziemy się jako nieco bogatsi ludzie.

– Nikt nikogo nie będzie musiał zabijać – prychnął brodacz. – Myślę, że zaryzykujemy i weźmiemy

wszystkie pieniądze.

– Nie rób tego, Byku – te słowa Cole skierował do Pampasa, który nawet nie drgnął. – Facet, który przed tobą stoi, to sam Demon Jack Devereaux. Zabił dwudziestu ludzi. Może nawet dwudziestu pięciu. Nie chcesz z nim walczyć.

– Na pewno nie chcesz – poparł go brodac. – Ale ja jestem Strahan Czarnobrody. Nigdy nie słyszałem o żadnym Devereaux.

– To pirat – wyjaśnił Cole. – Broń albo gołe pięści, nie było na niego mocnego. Miał krypę z ośmioosobową załogą, ale bez problemu rozpieprzyłby wam ten statek, którym przylecieliście.

– Nie ma takiej ośmioosobowej krypy, która mogłaby podskoczyć „Gwieździe Południa”.

– To taka doskonała jednostka? – zapytał Wilson.

– Jeśli nie otrzymam pieniędzy, wydam rozkaz rozpieprzenia tego cholernego miasta. Wystarczy dziesięć minut, żeby nie został tu kamień na kamieniu.

– A co mamy zrobić, żebyście niczego nie rozpieprzali?

– Zapłać nam te cholerne pieniądze, a zostawimy je w spokoju – rzucił Strahan. – Aż do następnego razu. Płacisz w końcu czy nie płacisz?

– Raczej nie.

Ta rozmowa też już dobiegła końca. Skinął ledwie zauważalnie w stronę Wal. Ta natychmiast pchnęła biodrem niczego się niespodziewającego Chadwicka. Zaskoczony Luthor wpadł na Jaxtaboxla, a ten jęknął tylko i rozłożył szeroko ręce, aby utrzymać równowagę. Gładko ogolony natychmiast skierował broń na Mollutei, a gdy tylko to zrobił, długa noga Walkirii wytrąciła mu pistolet z dłoni. W tym samym momencie Pampas już mknął w stronę Strahana. Wystarczyło parę sekund, by obaj napastnicy leżeli na podłodze. Byk siedział na jednym z nich, Wal trzymała but na środku pleców drugiego.

– Macie ostatnią szansę na powiedzenie, gdzie znajdę Czyngis Chana – zagaił Cole.

– Rób, co chcesz! – warknął Strahan. – Nic ci nie powiemy!

– Mogę ich zmusić do mówienia – zaoferowała się Walkiria.

– Zapomnij o tym – zbył ją kapitan. – Mamy jeszcze trzynastu ludzi i kosmitów do załatwienia. Wyłączcie tych dwóch z gry, ale nie zabijajcie ich, a potem bierzcie się za resztę. Jeśli będziecie potrzebowali wsparcia, Domak jest w szpitalu. Ale chyba nie zajdzie potrzeba ściągania jej tutaj. Przeciwnicy mają wprawdzie liczebną przewagę, ale wiecie, jak wyglądają, a oni nie będą mieli pojęcia, kim jesteście, może z wyjątkiem Wal. Ludzie nie zapominają tak łatwo rudowłosej olbrzymki mierzącej dziewięć stóp.

- Nie mam nawet siedmiu – sprecyzowała, zadając dwa szybkie ciosy, które posłały obu schwytanych w niebyt. – Gdybym miała dziewięć, podbiłabym cały wszechświat.
 - W to akurat mogę uwierzyć – przyznał Cole i wskazał na napastników. – Jak długo będą nieprzytomni?
 - Przynajmniej kilka godzin – odparła. – Tak na marginesie, spędziłam piętnaście lat na Wewnętrznej Granicy, ale nigdy nie słyszałam o jakimś Demonie Jacku Devereaux.
 - W takim razie musiałem się pomylić – stwierdził Cole. – A teraz bądźcie łaskawi opuścić to biuro i zająć się resztą zespołu pana Strahana. – Przyklęknął i pozakładał obu schwytanym błyszczące kajdanki. – I pamiętajcie, policja wam pomoże, jeśli ładnie poprosicie.
 - Nie idziesz z nami?
 - Mam inną robotę – zapewnił ją. – Zameldujcie się po wykonaniu misji. I nie zabijajcie wszystkich, jeśli nie będziecie musieli.
 - Możemy wsadzić do naszego ancla trzech, najwyżej czterech aresztantów, sir – zauważył Chadwick.
 - Władze miasta obiecały mi udostępnić bardzo wygodne cele w tutejszym więzieniu.
 - Nie wsadzą ich tam, jeśli uznają, że Czyngis Chan zechce ich odbić – powiedział Chadwick.
 - Nie zechce – stwierdził Cole. – Ruszajcie. Cała czwórka opuściła biuro, a Cole skontaktował się z „Teddym R.”.
 - Słucham, sir? – zameldował się Briggs.
 - Gdzie jest Christine? – zapytał kapitan.
 - Właśnie skończyła wachtę – poinformował go Malcolm. – Zdaje się, że jest jeszcze w mesie.
- Przełącz mnie do niej. Chwilę później miał przed sobą hologram porucznik Mboyi.
- W czym mogę panu pomóc, sir? – zapytała.
 - Przetransmituję do ciebie kilka nagrań – poinformował ją Cole. – Chciałbym, żebyś je zmontowała w następujący sposób...
- Przez kolejne pięć minut tłumaczył jej, co chce osiągnąć.
- Jestem pewna, że to da się zrobić, sir.
 - To nagranie musi brzmieć bardzo naturalnie, żeby przeszło proces identyfikacji.

– Z tym też nie powinno być problemu, sir.

– Świetnie – ucieszył się Wilson. – Razem ze zmontowanym przekazem prześlij mi też kody pozwalające na odtworzenie poszczególnych zdań. Chcę mieć możliwość wyboru odpowiedzi w zależności od tego, co powie mój rozmówca.

– To będzie najłatwiejsza część tej roboty.

– Znakomicie. Gdybym ci płacił, pewnie dostałabyś teraz podwyżkę.

– Pewnie bym się ucieszyła, sir.

Przełączyła go na mostek, żeby przegrał do komputerów wszystkie zdania wypowiedziane przez Strahana. Gdy transmisja dobiegła końca, Cole wyłączył nadajnik, udał się do restauracji dla zarządu na ostatnim piętrze, gdzie zjadł kanapki, popijając je piwem, a potem wrócił spokojnie do gabinetu prezesa.

Nie martwił się o swój zespół. Nie zdziwiłby się specjalnie, gdyby Wal w pojedynkę pokonała tych trzynastu bandziorów. W pozostałych załogantów też wierzył, a w odwodzie pozostawała jeszcze Domak (ale nie sądził, aby posłali po nią albo policję). Żałował tylko, że współczesna broń nie wydaje tak głośnych dźwięków jak prehistoryczne pistolety, mógłby bowiem zorientować się po natężeniu strzelaniny i kierunku, z którego by dochodziła, jakie są aktualne postępy w walce. Niestety, pomimo tego że kazał otworzyć wszystkie okna na oścież, do jego uszu nie dotarł żaden odgłos.

Godzinę po rozpoczęciu akcji w drzwiach gabinetu stanął Luthor. Był sam.

– I jak wam poszło? – zapytał Cole.

– Zabiliśmy czterech i schwytaliśmy dziewięciu, sir – zameldował Chadwick. – Wal i Byk eskortują jeńców do więzienia, przekazaliśmy też Domak, żeby powiadomiła władze szpitala o przeniesieniu tamtej trójki, jak tylko będzie ich można przetransportować.

– A co z Jabolem?

– Trafili go w nogę z pulsara, sir – zameldował Chadwick. – Jest już w szpitalu, chociaż nie mam pojęcia, czy mają tutaj oddział specjalizujący się w medycynie Mollutei.

– Jak mocno oberwał?

– Obawiam się, że straci tę nogę, sir.

– Rozumiem. Przekaż szpitalowi, że „Teddy R” zapłaci za jego leczenie i protezę.

– „Teddy R.”, a nie kartel Apollo?

– My troszczymy się o naszych. A kartel i tak nam będzie musiał za to zapłacić.

– Ale czy zapłaci, sir? Wiem, że załatwiliśmy ten oddział ale planeta nie stała się przez to bezpieczniejsza, a my nie wiemy wiele więcej o kryjówce Chana niż tydzień temu.

– To prawda – przyznał kapitan. – Ale już niedługo.

– Niedługo, sir?

– Zapytaj mnie o to samo za godzinę. A w międzyczasie skontaktuj się z więzieniem i każ im zabrać też tych dwóch – dokończył, wskazując na skutego Strahana i jego kompana, którzy wciąż leżeli nieprzytomni na podłodze.

Wal i Pampas wrócili kilka minut później, a Cole wysłuchiwał także ich relacji z przebiegu walk.

– Świetnie – podsumował. – Żli chłopcy nie żyją albo siedzą w pierdlu, a szpital robi, co może dla Jabola. Czas na poważną robotę.

– Wydawało mi się, że właśnie ją skończyliśmy – stwierdziła Wal.

– To były tylko przymiarki do właściwej rozgrywki – odparł kapitan. – Christine opracowuje właśnie kolejną fazę akcji.

– Christine? – zapytała całkowicie zaskoczona Wal. – Sprowadziłeś ją na planetę?

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Nadal znajduje się na pokładzie „Teddy'ego R.” i robi, co tylko w jej mocy, żeby wykonać powierzone zadanie. – Nawiązał łączność z okrętem i hologram porucznik Mboyi pojawił się w gabinecie. – Jesteś gotowa?

– Tak, sir – potwierdziła. – Wgrałam już wszystko do pańskiego komputera. Na samym początku są kody identyfikacyjne, o które pan prosił.

– Dziękuję – powiedział Wilson.

Przerwał transmisję i wyświetlił przekazane kody na holoeckranie. Każdy łączył się z jednym, krótkim nagraniem.

– Po co to wszystko? – zapytała Walkiria.

– Mam tu każde zdanie, jakie wypowiedział Strahan – odparł Cole. – Chociaż może niezupełnie w takim samym kształcie.

– Zmusił go pan podstępem do mówienia! – zawołał Pampas. – A potem przemontował pan jego wypowiedzi!

– Christine je przemontowała. Gdybym ja to zrobił, przeciwnik zorientowałby się po dwóch sekundach, że coś jest nie tak. Nie znam się na tym kompletnie. – Przeniósł wzrok na kody. – Dobra,

spróbujmy, czy to zadziała.

Wysłał sygnał wywoławczy na „Gwiazdę Południa”.

– Podaj swoje dane – powiedział ktoś.

– Jestem Czarnobrody – odpowiedział mu głos Strahana.

– Nie mam podglądu, sir.

– Sprawdź wzór mojego głosu.

– Komputer potwierdza zgodność z wzorem. Zatem już po bitwie?

– Nie walczyliśmy. Mamy nowych sprzymierzeńców.

– Sprzymierzeńców?

– Zamierzam wysłać ich na pokład „Gwiazdy Południa” w geście dobrej woli.

– Nie będziemy bombardowali miasta?

Zostawcie je w spokoju.

– Tak jest. Mamy czekać na kolejne rozkazy czy wracać do bazy?

– Wracamy do bazy, bez dwóch zdań – powiedział głos Strahana.

– Kiedy mamy się pana spodziewać?

– Za jakieś dziesięć minut.

– Będziemy gotowi, sir – obiecał operator z pokładu statku i przerwano połączenie.

– Myśli pan, że połknęli haczyk? – zapytał Pampas.

– Wiedzą, że brodacze poleciały na planetę – odparł Cole. – Sprawdzili wzór jego głosu. Spodziewali się, że może dojść do walki, więc brak wizji nie powinien wzbudzać specjalnych podejrzeń. Mogą też spokojnie założyć, że najemnicy raczej sprzymierzają się z Chanem, niż zechcą z nim walczyć. Tak, myślę, że połknęli haczyk – powiedział, podchodząc do drzwi. – Chodźcie, za dziesięć minut zyskamy pewność.

Rozdział trzynasty

Wahadłowiec bez problemów dotarł do hangaru „Gwiazdy Południa”. Ledwie włączył się otworzył, Wal wyskoczyła z bronią w ręku i wymierzyła ją w Lodinitę, który wyszedł na powitanie.

– Co tu się dzieje? – zapytał kosmita, a T-tor przetłumaczył jego słowa na mechaniczny terrański, pozbawiając je przy okazji jakichkolwiek emocji.

Cole wynurzył się z wnętrza maszyny i stanął przed zdziwionym kosmitą.

– Jeśli będziesz trzymał głowę na kłódce, masz szansę wyjść z tego z życiem. Zrozumiałeś?

Istota wykonała gest, który kapitan uznał za potwierdzenie.

– Byku, odbierz mu broń.

Pampas rozbroił Lodinitę.

– A teraz, że się tak wyrażę, prowadź nas do swojego przywódcy – rozkazał Wilson.

Kosmita ruszył w stronę windy. Cole zatrzymał się przed nią i zajrzał do szybu.

– Nie macie tu schodów? – zapytał.

– Mamy, ale winda jest szybsza.

– Kilka miesięcy temu straciłem zaufanie do wind – oświadczył kapitan, przypominając sobie, jakim sposobem zwabił piratów Windsaila na pokład Teddy'ego R.", a potem załatwił ich w windzie, wyłączając grawitację i odcinając tlen.

– Schody są tam – wskazał Lodinita.

Ruszyli za nim po wąskich, krętych stopniach, a potem wpadli na mostek z bronią w ręku, zaskakując kompletnie ośmiu ludzi i kosmitów, którzy pełnili służbę.

– Nie ruszać się, a nic wam się nie stanie! – zawołał Cole, gdy Pampas, Wal i Chadwick rozbiegali się po pomieszczeniu.

– Kim wy, u diabła, jesteście? – zapytał dowódca statku.

– Ludźmi, którzy zamierzają wyeliminować z branży twojego szefa – odparł Wilson.

– We czwórkę? – kapitan znacząco uniósł brew, nie kryjąc rozbawienia.

– Jesteśmy nieliczni, ale cholernie ambitni – zapewnił go Cole.

– Na waszym miejscu najbardziej liczyłbym na szczęście – odparł kapitan statku, nie okazując przed nimi lęku. – Czyngis Chan nie należy do ludzi, którzy przebaczą.

– Tym razem nie będzie miał specjalnego wyboru – stwierdził Wilson. – Byku, Luthor, odbierzcie im broń. Wal, zabij tych, którzy będą się stawiać.

– Dlaczego nie możemy zabić wszystkich? – zapytała rudowłosa.

– Kobieto, musiałaś mieć strasznie pokręcone dzieciństwo – kontynuował Cole. – Nie zabijemy ich, ponieważ mamy do czynienia z cywilizowanymi istotami, co więcej, przejęliśmy ten statek, a to znaczy, że będziemy potrzebowali uzupełnień załogi.

– Niby ich? – zapytała z powątpiewaniem. – Przecież to oprychy.

– Ja jestem buntownikiem, ty piratką, a tych dwóch, których zabraliśmy z Cyrana razem z Peponem, to zwykli mordercy. Robimy za najemników czy pacyfistów?

Wal prychnęła z obrzydzeniem.

– Takie kwestie to ja powinnam mówić.

– Ciekawe, co nam zaproponujecie w zamian za przystąpienie do was? – zapytał kapitan „Gwiazdy Południa”.

– Wszystko, co najlepsze – odparł Wilson. – A jeśli odmówicie, załadujemy was na wahadłowiec i wyślemy na Bannistera II, tam natychmiast traficie do pierdła, a władze zbiorą najlepszych prokuratorów z całego sektora, żeby mieć pewność, że już nigdy go nie opuścicie. Ma któryś jakieś wątpliwości co do tego?

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Macie tylko jedno wyjście – kontynuował Cole. – Przysięgnijcie mi wierność, a większość z was zostanie przeniesiona na pokład „Teodora Roosevelta” i włączona do mojej załogi. Uprzedzam jednak zawczasu, że mimo porzucenia przez nas floty, a nawet Republiki, to wciąż jest okręt wojenny i panuje na nim odpowiednia dyscyplina. Wybór należy do was. Daję wam pięć minut na podjęcie decyzji.

– Powiedział pan, że większość z nas zostanie przeniesiona – napomknął kapitan. – Co stanie się z resztą?

– Reszta zostanie tutaj. Ta prześliczna dama imieniem Wal, które zmieni, gdy uzna to za stosowne, zostanie waszym nowym kapitanem i będzie potrzebowała kilku osób zaznajomionych z tą jednostką... – zamilkł na moment. – Pewnie już się tego domyśliliście, ale powiem wam, że pierwszym naszym zadaniem będzie rozgromienie resztek floty Chana.

– Może nie mam powodów do uwielbiania mojego szefa – stwierdził kapitan – ale źle mi nie płacił. Ile wy dajecie?

– Znacznie mniej – odparł Wilson.

– To raczej niewielka zachęta.

– Jestem cholernie szczerym człowiekiem – zapewnił go Cole. – Wybór wciąż należy do was.

Wal zrobiła obchód mostka, sprawdzając wszystkie komputery i konsole stanowisk ogniowych.

– Dam sobie radę – uznała w końcu. – To wprawdzie nie „Pegaz”, ale jakoś to będzie.

– Lepiej, żeby było – rzucił Wilson. – Potrzebujemy tego statku. Dam ci Christine i Briggsa, żeby wybebeszyli wszystkie komputery w poszukiwaniu kodów i ukrytych wiadomości, ale w momencie, w którym znajdziemy kryjówkę Chana, „Gwiazda Południa” poprowadzi atak, bo tylko ona może tam polecieć bezkarnie.

– Będę potrzebowała czegoś więcej niż ta banda odgrzewanych jełopów – powiedziała Wal.

Cole uśmiechnął się w stronę jeńców.

– Jest też pełna taktu – rzucił.

– Mówię poważnie, Wilsonie – dodała. – Zostawię sobie dwoje albo troje z nich, ale na pokładzie musi być przynajmniej dwudziestu członków załogi, a może nawet więcej, ale nie takich łajz, które poddają się, zanim padnie pierwszy strzał... – zamilkła na moment, jakby rozważała jakieś opcje. – Dasz mi Forrice'a.

Wilson pokręcił głową.

– Nie ma mowy. To mój pierwszy oficer. Jeśli mamy utworzyć flotyllę, w której „Teddy R.” będzie okrętem flagowym, on obejmie dowództwo, jeśli mnie się coś stanie.

– Domyślam się także, że nie dasz mi Christine i Śliskiego?

– Nie dam.

– W takim razie chcę Byka i Luthora.

Cole spojrzał na obu mężczyzn, jakby rozważał tę propozycję.

– Do cholery, Wilsonie! Musisz mi dać kogoś, komu mogę zaufać, a oni i tak już tu są.

– Słyszeliście, co pani powiedziała? – zapytał Cole. – Ma któryś jakieś obiekcje?

– Nie, sir – odparł Pampas.

– Ja też nie – dodał zaraz Chadwick.

– I dobrze – mruknął Wilson. – Jak wyznaczę ludzi z załogi „Teddy'ego R.” do przejścia na pokład Gwiazdy Południa”, dam im wasze rzeczy.

– I moje – przypomniała mu Wal.

Cole odwrócił się w stronę jeńców.

– Wasze pięć minut właśnie minęło.

Nie było zaskoczenia, wszyscy jak jeden mąż zgodzili się służyć na „Teddym R.” albo zostać na „Gwieździe Południa”.

– Ilu członków załogi macie jeszcze na pokładzie? – zapytał Wilson.

Kapitan uśmiechnął się.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy pan o tym pomyśli.

– Pomyślałem o tym w tej samej sekundzie, w której dostaliśmy się na mostek – wyjaśnił Wilson. – Drzwi zostały zablokowane, a nasza broń jest od początku wycelowana w szyby wind.

– Świetnie.

– Świetnie? – zapytał podejrzliwym tonem Cole.

– Dobrze wiedzieć, że człowiek nie ma do czynienia z idiotą, kiedy decyduje się na zmianę strony – kapitan wyciągnął rękę. – Nazywam się Perez.

Cole uścisnął mu dłoń.

– A jakieś imię pan posiada?

Perez pokręcił głową.

– Zostawiłem je w Republice, razem ze stopniem oficerskim.

– Służył pan we flocie?

– Byłem drugim oficerem na „Sofoklesie”.

– Na „Sofoklesie”? – powtórzył za nim Wilson.

– Czy ja...?

– ...nie uratowałem waszych tyłków, kiedy otoczyli nas Teroni? – dokończył Perez. – Tak, komandorze Cole, dokonał pan tego.

– Teraz jestem kapitanem. Co pan robi, u licha, tutaj, na Granicy?

– Pewnie to samo, co i pan – odparł Perez. – Tyle że ja nie miałem tego luksusu i nie zabrałem ze sobą mojego okrętu i załogi. Zabiłem oficera, który torturował canphoryjskiego jeńca z czystego

okrucieństwa i musiałem zbierać się w try miga. Kapitan Bienvenuti odwrócił wzrok od ekranów, kiedy pożyczałem nasz wahadłowiec. To był naprawdę porządny człowiek.

– Ale dlaczego zważał się pan z takimi śmieciami jak ten brodaty oprych, którego posłaliście na planetę? – zapytał Wilson.

– Jesteśmy na Granicy – wyjaśnił Perez. – Tutaj bierzesz, co ci dają... – przerwał na chwilę. – Pewnie mi pan odmówi, ale dopóki nie znajdę sobie nowej jednostki, chciałbym pozostać na pokładzie „Gwiazdy Południa”. Znam ją o wiele lepiej niż ktokolwiek inny.

– „Gwiazda Południa” należy teraz do Wal – odparł Cole. – Decyzja w tej sprawie też.

– Może zostać – stwierdziła rudowłosa.

– Nie zamierzam jej odzyskiwać – zapewnił ich Perez. – W każdym razie nie bez wcześniejszego ostrzeżenia.

– To najlepsza polisa na życie, jaką może pan mieć – ocenił Wilson. – Nie chciałby pan poznać gniewu tej rudowłosej piękności. A teraz proszę wyjaśnić reszcie załogi, jaki wybór ją czeka.

– Dobrze – zgodził się Perez i ruszył w stronę wind. – Lepiej zrobię to osobiście, hologramowi mogliby nie uwierzyć.

– A tak, na marginesie, ilu ich jeszcze jest? – zapytał Cole.

– Dziewięciu ludzi, w tym sześciu mężczyzn i trzy kobiety, do tego czterech Lodinitów, Mollutei i dwóch Molarian.

– Ale nie samic? – zainteresował się Wilson. – Bo jeśli są to samice, będziemy musieli je dobrze ukryć.

– Spokojnie, to samce.

– Świetnie. Proszę powiadomić załogę. Luthor, skorzystaj z radia podprzestrzennego i przekaz Forrice'owi, żeby dotargał tutaj „Teddy'ego R.”. Musimy dokonać kilku transferów załogi.

– Tak jest – odparł Chadwick.

Stracił chwilę na odszukanie transmitera podprzestrzennego, znalazł go i natychmiast nawiązał łączność z macierzystym okrętem.

– Ile osób będziesz potrzebowała do prowadzenia tego statku? – zapytał Cole.

– Chcę pełną załogę – odparła Wal.

– Nie pytałem, czego chcesz – powiedział. – Kiedyś dam ci tych ludzi, ale w tej chwili „Gwiazda Południa” ma być jednostką, która zaatakuje Chana, bo tylko tym statkiem, jak już odnajdziemy

odpowiednie kody i protokoły, da się zbliżyć do jego bazy. I dlatego nie będziemy ryzykowali zbyt wielu ofiar.

Rozejrzała się po mostku.

– Nie mam tutaj takiego pilota jak Wxakgini, więc będę potrzebowała nawigatora, ze czterech oficerów od uzbrojenia i kogoś, kto zapanuje nad systemami obronnymi. Przydałby się też jakiś dobry operator do radia i komputerów. Nie cierpię latać bez mechanika, ale skoro jedynym zadaniem tej krypty ma być powrót do bazy i ostrzelanie jej, nie będę się przy nim upierać. Wątpię, żeby na takiej jednostce mieli solidny szpitalik, ale nie pożyczę od was medyka, bo go też nie macie... – zamilkła, aby rozważyć inne potrzeby i rozwiązania. – Na statku tego typu powinno służyć około czterdziestu osób. Dam sobie radę z ośmioma, choć najrozsądniej byłoby mieć ich dwanaście. Wolałabym posiadać jakieś rezerwy na wypadek, gdyby przeciwnicy odpowiedzieli ogniem.

– Dobrze, minimalna liczba to osiem osób, ale spróbuję dać ci więcej... – przerwał i dodał zaraz: – Zaufasz Perezowi?

– Wydaje się nieco bardziej honorowy niż te szumowiny, które wysłał na planetę – odparła. – Zresztą to nie ja powinnam przejmować się nim, tylko on mną. Jak wiesz, potrafisz zadbać o siebie.

– Zauważyłem – przyznał lakonicznie Wilson.

– Sir? – zawołał go Chadwick, odrywając oczy od ekranów. – Właśnie rozmawiałem z komandorem Forrice'em. Wysłał do nas Christine Mboyę i Malcolma Briggsa na pokładzie wahadłowca, którym będziemy mogli w drodze powrotnej przewieźć załogantów przenoszonych z „Gwiazdy Południa”. Pyta też, czy wie pan już, kto jeszcze prócz Wal, mnie i Byka ma być transferowany na stałe.

– Tego jeszcze nie wiem.

Chadwick odwrócił się do miniaturowego hologramu Forrice'a, który lewitował tuż obok niego.

– I nazwę musimy zmienić – wtrąciła Wal.

– Jaką nazwę?

– „Gwiazda Południa” – odparła. – Jest tak nudna, że można zasnąć, kiedy się ją wypowiada.

Cole wzruszył ramionami.

– To teraz twój statek. Nazywaj go, jak tam sobie chcesz.

– „Sfinks” – rzuciła po chwili zastanowienia.

– Ty będziesz jego kapitanem, a włosy masz rude jak płomień – dodał Cole. – Co byś powiedziała na „Rudego Sfinksa”?

– Niezłe – przyznała Wal. – Przekażę nową nazwę załodze, jak tylko zdecyduję o jej składzie, i

przeprogramuję wszystkie komputery, żeby statek i radio odpowiadały na nią, a nie na – tu skrzywiła się strasznie – „Gwiazdę Południa”.

– Ale pamiętaj, że do momentu zaatakowania bazy Chana musisz dowodzić „Gwiazdą Południa”. W przeciwnym razie będzie to najkrócej istniejący sfinks w historii.

Rozdział czternasty

Cole siedział przy swoim ulubionym stoliku w mesie „Teddy'ego R.” i niespiesznie popijał kawę, gdy niespodziewanie przysiadła się do niego Sharon Blacksmith.

– Sprawdziłaś już wszystkich? – zapytał.

– Z częścią nie będzie problemu, ale boję się, że przynajmniej połowa z nich da nogę przy pierwszej przepustce – zreferowała. – Masz też Molarianina i jedną kobietę, których określiłabym mianem skrajnych psychopatów.

– Jesteś tego pewna?

Skinęła głową.

– Powinieneś odesłać ich na Bannistera.

– Nie mogę – odparł. – Dałem im wybór. Nie mogę cofnąć raz danego słowa.

– Wilsonie, zaufaj mi – poprosiła Sharon. – Naprawdę nie chcesz mieć tej dwójki na pokładzie.

– Niech ci będzie – zgodził się. – Odeślemy ich na jakąś planetę z atmosferą tlenową.

– Jest jedna taka w odległości trzech lat świetlnych. To rolnicza kolonia zwana Greenbriar.

Zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Jeśli są zbyt niebezpieczni, by trzymać ich na okręcie, nie możemy ich tym bardziej zostawiać na głowach rolników. Wyznacz jednego z twoich ludzi, ma ich obserwować przez całą dobę, zanim nie trafimy na świat, na którym istnieją jakieś sensowne organa ścigania.

– Zrobi się – powiedziała i zaraz dodała: – Moglibyśmy poddać całą załogę przybyłą z „Rudego Sfinksa” dokładnym badaniom medycznym i powiedzieć, że wykryliśmy u tej dwójki jakieś niepokojące symptomy. Dzięki temu wszyscy zaakceptowaliby poddanie ich kwarantannie, dopóki nie dotrzemy do szpitala.

– A ci, którzy dzielili z nimi kabiny, nie pozarażaliby się przy okazji? – Cole nie wyglądał na przekonanego. – Oni tego nie kupią.

Uśmiechnęła się.

– Nie muszą. Ty tu jesteś kapitanem. Twoje słowo jest prawem. To, co inni myślą, przestanie się liczyć, jeśli powiesz, że są chorzy, i każesz ich odizolować.

– Rozważę tę propozycję – obiecał Wilson i pociągnął kolejny łyk kawy. – Przepuść ich przez te lipne badania. Nie zaszkodzi sprawdzić tej ekipy, bez względu na to, co zdecyduję.

– Jak tylko skończymy rozmawiać – poinformowała go Sharon – zabiorę Władimira Sokołowa do ambulatorium i znajdziemy jakąś ciekawie wyglądającą aparaturę medyczną. A jak Wal radzi sobie z tymi nowymi, którzy pozostali na jej statku?

– Rozmawiałem z nią nie dalej niż godzinę temu i wszystko szło gładko. Ten Perez, dawny kapitan wydaje się naprawdę zdolnym człowiekiem.

– Zdolnym do odzyskania statku?

– Od niej? – zapytał.

– Głupie pytanie – odparła. – Zapomnij, że je zadałam.

– Kiedy się z nią łączyłem, pokazywał właśnie jak i gdzie uruchamiać wszystkie protokoły – powiedział Cole. – Nie zaszkodzi sprawdzić, co teraz tam się dzieje... – Nacisnął klawisz wbudowany w blat i natychmiast pojawił się nad nim miniaturowy hologram mostka. – Rachel?

Śliczna blondynka spojrzała na jego wirtualne odzwierciedlenie, które pojawiło się właśnie obok jej stanowiska.

– Tak, kapitanie?

– Połącz mnie raz jeszcze z Wal.

Widok mostka zniknął, a na jego miejscu pojawił się hologram rudowłosej kobiety, tym razem naturalnych rozmiarów.

– Dowiedziałaś się już wszystkiego, czego potrzebujemy? – zapytał.

– Prawie. Chan posiada jeszcze osiem statków. Wszystkie znajdują się aktualnie w systemie Cycero.

Cole zmarszczył brwi.

– System Cycero? – powtórzył. – Wydawało mu się, że tam są tylko gazowe giganty.

– Zgadza się – odparła Wal. – To ostatnie miejsce, w którym ktoś by go szukał.

– Jeszcze pięć sekund temu była to absolutna prawda – stwierdził kapitan. – Zakładam, że twoja broń jest w pełni sprawna?

– Byk twierdzi, że jedno z dział pulsacyjnych nadaje się tylko na złom, ale reszta uzbrojenia przeszła testy.

– Masz wystarczającą ilość amunicji na otwartą walkę?

– Tak.

– Kiedy możesz rozpocząć akcję?

– Jak tylko nauczę się nazwisk moich nowych podwładnych – odparła Wal.

– A ile czasu potrwa lot na Cycero?

Spojrzała na lewo, a Cole usłyszał głos Pereza:

– Jakies cztery dni lotu w normalnej przestrzeni albo pięć godzin przez tunel czasoprzestrzenny Bannermana.

– Dziękuję, panie Perez – powiedział Wilson. – Jak daleko od systemu znajdzie się statek po wyjściu z tunelu nadprzestrzennego?

– Jakies pół roku świetlnego. Co prawda rozwidla się pod koniec i mógłby nas wypłuć po drugiej stronie Wewnętrznej Granicy, ale nasz nawigator twierdzi, że na tym odcinku, na którym leży system Cycero, jest całkowicie bezpieczny.

– Zdążycie zareagować, jeśli się myli?

– Chyba tak – stwierdził Perez. – Ale kto tam wie, jak działają te tunele.

– I dlatego każda jednostka powinna mieć pilota rasy Bdxeni – powiedział Cole. – Skontaktujcie się z naszym i ustalcie wspólnie przebieg trasy.

– Jak on się nazywa?

– Zapyta pan kogoś, kto potrafi to wymówić albo będzie go pan nazywał po prostu pilotem.

– Bdxeni należą do Republiki, tutaj nie widuje się ich za często, a jeśli już się takiego spotka, na ogół nie stać człowieka na jego usługi.

– Rozumiem, że lecimy na Cycerona samotnie – wtrąciła Wal. – Gdyby „Teddy R.” pojawił się tam razem ze mną, rozpieprzyliby nas, nie zadając jednego pytania.

– Racja – przyznał Cole. – Pozwól mi się nad tym zastanowić przez chwilę.

- Myśl pan nawet przez dwie – powiedział Perez. – Chciałbym wyjść z tego żywy.
- Dobrze – zaczął kapitan po dłuższej chwili milczenia. – „Teddy R.” wyruszy na Cyclerona już teraz. Polecimy tam albo normalną przestrzenią, albo skorzystamy z jakiegoś tunelu nadprzestrzennego, ale nie Bannermana, żeby wydostać się kilka lat świetlnych za tym systemem. Ale założmy lepiej, że nie znajdziemy niczego takiego i podróż zajmie nam całe cztery dni.
- Dobra, zakładam cztery dni – stwierdziła Wal. – I co dalej?
- Leć tunelem czasoprzestrzennym Bannermana tak, żeby pojawić się na miejscu za cztery i pół doby. Masz wszystkie identyfikatory, kody i protokoły, a nawet Pereza, gdyby ktoś chciał kontaktu wizualnego. A gdy znajdziesz się wystarczająco blisko jednostki, na której przebywa Chan, rozpieprz ją na atomy.
- Muszę podejść na jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy mil – wyliczyła Walkiria. – Lepiej na pięćdziesiąt...
- Nie zaoferuje mu pan tego samego układu co nam? – zapytał Perez.
- Nie – odparł Wilson. – Królowie podziemia nie oddają władzy, a ja nie mam pojęcia, na ile lojalni wobec niego są dowódcy i załogi pozostałych statków.
- A tyle pan opowiadał na moim statku o byciu cywilizowanym człowiekiem – przypomniał mu Perez.
- To mój statek! – wydarła się Wal.
- Zgadza się – przyznał Perez – ale kiedy kapitan to mówił, należał jeszcze do mnie.
- Odpowiadając na pańską uwagę – wtrącił się Cole – jest istotna różnica pomiędzy byciem cywilizowanym człowiekiem a cywilizowanym głupcem.
- A co wy będziecie robić w czasie, gdy ja zdejmę Chana? – zapytała Walkiria.
- Jak tylko zniszczysz albo uszkodzisz jego statek, zaoferuję amnestię wszystkim pozostałym załogom, które zdecydują się przyłączyć do nas. A „Teddy R.” zajmie się wszystkimi jednostkami, które spróbują uciec. Podwładni Chana otrzymają dwie opcje do wyboru, walczyć z nami albo się do nas przyłączyć. Ucieczka nie będzie możliwa... – zamknął. – Panie Perez?

Były dowódca „Gwiazdy Południa” pojawił się w polu widzenia holokamery.

- Tak?
- Zna pan te statki, ich załogi i kapitanów. Jaka część z nich zdecyduje się na walkę?
- Z „Gwiazdą Południa”, hmm.. przepraszam z „Rudym Sfinksem”? Chyba wszyscy. Przeciwnie, „Teodorowi Rooseveltowi” może połowa z nich. Część na pewno nie będzie miała zamiaru mierzyć

się z republikańskim okrętem wojennym, nawet tak starym jak wasz. Niektórzy, po tym jak musieli wykonywać rozkazy Czyngis Chana, mogą mieć sporą ochotę na służbę u Wilsona Cole'a.

– Będę wdzięczny, jeśli zechce pan przemówić do nich po tym, jak pozbędziemy się Chana – stwierdził Cole.

– Będę z panem szczery – odparł Perez. – Większość z nas pracuje dla pieniędzy i jestem pewien, że moi koledzy dojdą do tych samych wniosków co ja. Bardziej nam się opłaci służyć pod kapitanem Cole'em, niż pod Chanem czy na własny rachunek. W końcu nie jest pan byle kim.

– Prawda – przyznał ironicznie Cole. – Na każdej planecie Republiki wiszą listy gończe za mną.

– Przyczyny, dla których musiał pan uciekać z Republiki, tutaj na Granicy mogą być panu zaliczane jedynie na plus – odparł Perez, a potem uważnie przypatrzył się twarzy Wilsona. – Tylko jednej rzeczy w tym wszystkim nie rozumiem.

– Czego?

– Ani razu nie zapytał mnie pan o Chana. Nie chce pan wiedzieć, jaki on jest?

– Niespecjalnie – przyznał Cole. – Bez względu na to, co pan o nim powie, nie pożyje wystarczająco długo, żebym mógł wykorzystać tę wiedzę.

– Wie pan – powiedział Perez – wygląda pan na uprzejmego i kulturalnego człowieka. Nawet mówi pan naprawdę z sensem jak na tak zimnokrwistego sukinsyna.

Wal roześmiała się.

– Jak myślisz, dlaczego zgodziłam się służyć pod nim?

– Rozmawialiśmy o statkach Chana, nie o mnie – przypomniał Cole. – Czy możemy wrócić do tematu?

– Myślę, że damy sobie z nimi radę – uznała Walkiria. – Wracaj do tej swojej panny od podsłuchów. Jak tylko dowiem się czegoś nowego, skontaktujemy się natychmiast.

Przerwała połączenie i kapitan przeniósł spojrzenie na Sharon.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– O Perezie? Za mało jeszcze widziałam i słyszałam, żeby wyrobić sobie opinię. O misji? Chan nie dowie się nigdy, co go zabiło.

– Naprawdę jestem zimnokrwistym sukinsynem?

– Na pewno nie dla swoich – odparła z uśmiechem na ustach. – Ale dla innych jesteś taki, jaki powinien być kapitan. Kiedy ostatni raz miałeś do czynienia z ludźmi, którzy nie chcieli cię zabić?

Wliczając w to oczywiście tych bubków z republikańskiej floty.

– Jakiś czas temu – przyznał.

– Będzie z pół życia.

– Więcej nawet. – Wstał od stolika. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdę teraz do pilota i powiem mu, gdzie lecimy.

– A co potem?

– Potem będziemy odpoczywali do chwili dotarcia do celu i mieli nadzieję, że pozostali przeciwnicy okażą się równie sprytni jak Perez i znów zwyciężymy, nie oddając nawet jednego strzału.

Rozdział piętnasty

Planowanie bitwy trwało zazwyczaj miesiącami, podczas których rozważano każdy możliwy do wyobrażenia scenariusz, aby wykluczyć popełnienie najmniejszego nawet błędu. Cole opracował swój plan w zaledwie pięć minut, ale wszystko zadziało się jak należy.

„Rudy Sfinks” wykorzystał kody oraz protokoły przekazane przez oficerów ochrony Chana, podszedł do statku, z którego je nadano, na trzydzieści tysięcy mil i otworzył ogień. Przeciwnik został rozpylony na atomy w zaledwie kilka sekund.

Wilson, który od czterech dni szkolił nowych członków załogi (troje z nich wysadzono na pobliskiej planecie z atmosferą tlenową, ponieważ nie umieli bądź nie chcieli przystosować się do nowej dyscypliny), przesłał na pokład „Rudego Sfinksa” odezwę do pozostałych załóg, a Wal upewniła się, że jej treść trafi na wszystkie jednostki znajdujące się w systemie. Dwa statki próbowały uciekać i zostały ostrzelane przez „Teddy’ego R.”, tak jak to wcześniej zapowiedziano. Dwa kolejne wybrały walkę i przegrały starcia jeden na jeden z „Rudym Sfinksem” i „Teddym R.”. Cztery pozostałe przyjęły warunki stawiane przez Cole’a. Kapitanowie tych jednostek zostali przewiezieni na pokład „Teddy’ego R.”, gdzie wyjaśniono im, jakie są oczekiwania nowego dowódcy (a raczej jego rozkazy), a potem pozwolono wrócić do własnych załóg.

Dwa dni później sześć statków Cole’a przycumowało do Stacji Singapur, aby sprawdzić, jakież to wielkie i lukratywne kontrakty może teraz zaproponować Platynowy Książę.

– Zadziwiające! – stwierdził, jak zwykle zresztą, zarządca stacji. – Naprawdę zadziwiające! Wydaje mi się, że to pan powinien zapłacić kartelowi Apollo, a nie oni panu. Polecił pan na akcję jednym okrętem, a wrócił z całą flotyllą!

– Tak, wiem – odparł Cole znudzonym głosem. – Jeszcze tylko trzysta milionów podobnych im jednostek, a będę mógł dyktować warunki Republice.

Rozdział szesnasty

– Wiecie co – zagaiła Sharon, gdy kelner postawił przed nią skwierczący wciąż stek ze zmutowanych jałówek hodowanych na Borimorze III. – Zastanawiam się całkiem poważnie nad kupnem kasyna.

– Prowadzenie takiego interesu jest o wiele trudniejsze, niż się pani zdaje – odparł Platynowy Książę, siedzący razem z nią, Cole'em, Dawidem Copperfieldem i Perezem. – W lokalu mamy w tym momencie ponad siedmiuset ludzi i kosmitów. I mogę iść o każdy zakład, że przynajmniej dwustu z nich próbuje teraz oszukiwać.

– Raczej wyrównać szanse – wtrącił Perez. – Kasyno ma zagwarantowane przynajmniej dziesięć procent zysku.

– Mój drogi panie, kasyno ma też koszty ogólne – zastrzegł się natychmiast właściciel interesu – o których gracze nawet nie wiedzą.

– Gdzieś mam cały ten hazard – rzuciła Sharon. – Wiem za to jedno, macie tu zarąbistego szefa kuchni.

– On nie pracuje dla kasyna – wyjaśnił człowiek z platyny. – To mój osobisty kucharz. Gotuje wyłącznie dla moich przyjaciół.

– Nie wiedziałam, że zaliczył mnie pan do grona przyjaciół – zauważyła Sharon.

– Siedzi pani przy moim stoliku. Byłoby wielką nieuprzejmością z mojej strony zająć się, podczas gdy pani tylko na to patrzy. – Rozejrzał się wokół. – A gdzież to podziewa się nasza niesamowita Walkiria? Mam tu paru klientów, którzy za dużo wygrywali w tym tygodniu, jak na moje oko. Mogłaby ich sprawdzić.

– Prowadzi szkolenia załóg naszych jednostek – odparł Cole. – A „Teddy R.” właśnie uzupełnia zapasy w jednym z doków. Rozpuściliśmy też wieści, że poszukujemy dobrych lekarzy. Sharon będzie musiała sprawdzić referencje czterech, którzy się zgłosili. Tylko dwóch z nich jest ludźmi. Mam nadzieję, że choć jeden spełni nasze wymagania... – zamilkł na moment. – Za dzień albo dwa, jak statki będą gotowe do podróży, Cztery Oczy przejmie szkolenie, dając Wal trochę wolnego. W tym czasie dowodzenie „Rudym Sfinksem” przejmie pan Perez.

– To był przedtem pański statek? – Książę skierował to pytanie do milczącego wciąż oficera.

- Tak.
 - Nie tęskni pan za odzyskaniem dowodzenia?
 - Tak to już bywa na wojnie – odparł Perez. – Nie miałem zbyt wielkiego wyboru, a kapitan Cole obiecał, że i dla mnie znajdzie się jakaś jednostka. – Spojrzał na Wilsona. – Chociaż, z drugiej strony, teraz kiedy Wal dostała własny statek, zrobił się wakat na miejscu trzeciego oficera.
 - Bardziej nam się pan przyda, dowodząc inną jednostką – stwierdził Cole.
 - Niech zgadnę – wtrącił Książę. – Pan też był oficerem floty.
 - Dawno temu – odparł Perez.
 - Co się stało?
 - Odszedłem ze służby.
 - Wielka szkoda – stwierdził człowiek z platyny. – Już miałem nadzieję, że będziemy mogli poobgadywać Susan Garcie przy butelce przedniego cygniańskiego koniaczku.
 - Mówi pan o admirał floty Garcii? – upewnił się były kapitan „Gwiazdy Południa”.
- Książę skinął głową.
- Oczywiście. Znałem ją za czasów, kiedy była tylko małym tyraniątkiem. Pan Cole także miał okazję ją spotykać.
 - Kilkakrotnie – przyznał Wilson.
 - I jak było?
 - Raczej nieszczególnie – odparł Cole – ale wręczyła mi parę medali.
 - Parę medali – powtórzył z rozbawieniem Platynowy Książę. – Ze trzy razy udekorowała pana najwyższymi odznaczeniami za odwagę.
 - Ale uczyniła to bardzo niechętnie.
 - Nie dziwi mnie to – przyznał szef stacji. – Stawiał pan resztę floty w bardzo niekorzystnym świetle.
 - Służyłem flocie przez całe moje dorosłe życie – oświadczył Wilson – i nie powiem złego słowa na jej temat.
 - A ja powiem – wtrąciła Sharon. – Oficerowie o wiele bardziej starają się uniknąć wrażenia niekompetencji, niż wygrać tę pieprzoną wojnę. I dlatego chcieli cię postawić przed sądem wojennym.

- Zaskoczyło to panią? – zdziwił się Książę.
- Wilson uratował pięć milionów ludzi – kontynuowała rozgoryczona Sharon – a nagrodą za to było wtrącenie do aresztu. Kapitan, której odebrał dowodzenie, zamierzała zamordować własnych obywateli, a mimo to nadal służy w szeregach floty.
- Jak pani myśli, dlaczego opuściłem Republikę? – zapytał człowiek z platyny, posyłając jej uśmiech.
- Wystarczy jedno słowo Susan Garcii i wrócimy, aby walczyć z prawdziwym wrogiem – Sharon nie dała się zbić z tropu.
- Błędzisz, moje dziecko – westchnął Książę. – Republika jest naszym prawdziwym wrogiem. Do licha, Federacja Teroni nigdy nie wyrządziła mi krzywdy, ale nie mogę powiedzieć tego samego o Republice.
- Ja też nie, jeśli się dobrze nad tym zastanowić – wtrącił Perez
- Narzekaniem niewiele się zdziała – uciął dyskusję Cole. – Republika ma wojnę do wygrania. I nie będzie się przejmowała kimś takim jak my. Nigdy nie wrócimy do dawnego życia, więc zejdźmy z tego tematu.
- Na moment zapadła cisza, przerwał ją dopiero Dawid Copperfield.
- Ten stek pachnie znakomicie – zauważył.
- Chce pan też spróbować? – zapytał szef stacji.
- Niestety, jestem na diecie – pożalił się kosmita.
- Nie potrafimy trawić mięsa, co?
- Nigdy nie zaprzeczałem moim ograniczeniom – zastrzegł się Copperfield, wkładając w tę wypowiedź całą godność, jaką posiadał. – Ale postąpił pan bardzo nieuprzejmie, wyjawiając je wszystkim.
- Nie może pan jeść mięsa, to pan go nie je – prychnął Książę. – W czym problem? Proszę powiedzieć, co panu smakuje najbardziej, a mój szef kuchni przyrządzi to dla pana.
- Chciałbym zjeść stek – powiedział nieszczęśliwym głosem Dawid – ale pozostanę przy szklaneczce alfardzkiej brandy.
- Mogłabym przysiąc, że widziałam, jak pałaszowałeś steki na pokładzie „Teddy'ego R.” – powiedziała Sharon.
- To był produkt sojowy. Przypominał prawdziwy stek tylko z nazwy – wtrącił Cole.
- Wiedział pan o tym od samego początku? – zdziwił się kosmita.

- Dobry kapitan wie wszystko o swojej załodze.
- Ale ja nie należę do pańskiej załogi – przypomniał mu Copperfield. – Jesteśmy przyjaciółmi ze szkolnej ławy i partnerami w interesach.
- Jesteśmy – przyznał Wilson – ale w momencie wejścia na pokład okrętu, stajesz się także członkiem jego załogi.
- Niech będzie – poddał się Dawid. – Z taką definicją mogę się zgodzić.
- Nie wiesz nawet, jak bardzo mi ulżyło, gdy to powiedziałeś.
- Panie Steerforth – napomniął go kosmita. – Sarkazm nie przystoi dobrze wychowanemu Anglikowi.
- Przyszło mi na myśl kilka ciętych odpowiedzi – odparł Wilson – ale przez wzgląd na nasze dobre układy pozostawię je dla siebie.

W tym momencie ożył komunikator na jego przegubie.

- On znowu się zmył, sir – zameldowała Idena Mueller zza konsoli komputera na mostku.
- Cztery Oczy?
- Tak, sir.
- Poszedł do molariańskiego burdelu?
- Tak mi się wydaje, sir.
- Niech sobie ulży – stwierdził Cole – lata całe mogą minąć, zanim dopadnie następnej przychylnej mu samicy.
- Ale komandor miał dowodzić czerwoną wachtą, która zaczyna się za czterdzieści minut.
- Wróci na czas – zapewnił ją kapitan.
- A jeśli nie wróci?
- Znam go od dwudziestu lat, poruczniku – wyjaśnił Cole. – Wiem, że wróci.

Rozłączył się.

- Pańscy Molarianie uczynią mnie prawdziwym bogaczem – zażartował Książę.
- Na nic innego nie mogą wydawać zarobionych pieniędzy – Wilson natychmiast zgasił jego zapal. – Jest pan też właścicielem tutejszych burdeli?
- Niezupełnie – odparł człowiek z platyny. – Już panu mówiłem, zarządzam całą Stacją Singapur,

czyli po ludzku mówiąc, mam niewielką działkę od każdego interesu, jaki ktoś na niej prowadzi.

Dawid Copperfield zerwał się nagle z miejsca.

– Wybaczą państwo, ale dostrzegłem po drugiej stronie sali dawnego znajomego. Byłbym wielce niepokieszony, gdyby nie udało mi się z nim przywitać.

– Jest ci winien aż tak wiele? – zapytał rozbawiony Cole.

– Nie przypominam sobie, aby nieśmiertelny Karol obdarzył pańską postać poczuciem humoru – odparł z godnością Dawid. – Dlatego skłonny jestem uznać, że pańska uwaga niewiele miała z nim wspólnego i jest co najwyżej aktem pańskiego prostactwa. – Ukłonił się Sharon, a potem ruszył prosto w tłum ludzi i kosmitów, kłębiących się wokół stołów do gry.

– Co mu dolega? – zapytał Perez. – To kosmita, ale ubiera się jak wiktoriański dandys sprzed trzech tysięcy lat, a na dodatek ubzdurało mu się, że jest postacią z kart dickensowskich powieści, pana natomiast...

– Był jednym z największych paserów Wewnętrznej Granicy – wpadł mu w słowo Cole. – Zakochał się w twórczości Karola Dickensa do tego stopnia, że zaczął się ubierać jak jeden ze stworzonych przez tego pisarza bohaterów, przybrał nazwisko Dawid Copperfield i zamieszkał w replike wiktoriańskiego dworku. Tam się zresztą spotkaliśmy po raz pierwszy. Wydawało mi się, że najprostszym sposobem na wkupienie się w łaski Dawida będzie użycie nazwiska Steerforth, jego powieściowego przyjaciela ze szkolnej ławy. Nie tak dawno zaryzykował życiem i interesem, aby nam pomóc. Życie zachował, ale jego interes przepadł.

– Jego kolekcja wypełnia trzy kajuty „Teddy'ego R.” – dodała Sharon.

– Jaka kolekcja? – zapytał Perez.

– Książek Dickensa – wyjaśniła. – Tysiące egzemplarzy. Oryginały i tłumaczenia.

– Ciekawa postać – przyznał były dowódca „Gwiazdy Południa”. – Coś mi się wydaje, że polubię pracę z wami. Niedawno usłyszałem, że Wal nazywano kiedyś Królową Saby. Była cholernie znaną piratką. Jak udało się panu namówić ją do współpracy?

– Zbieg okoliczności, nic więcej – odparł Cole. – Sądzę, że sama to kiedyś panu opowie, oczywiście doprawiając wszystko szczyptą heroizmu.

– Racja – wtrąciła Sharon. – Raczej nie będzie chciała rozgłaszać tego, że Rekin Młot ukradł jej statek, kiedy zasnęła z przepicia. Pomogliśmy jej w jego odzyskaniu.

– Dlaczego zatem...

– Został unieszkodliwiony podczas tej akcji – wyjaśnił Wilson.

– Podobnie jak Rekin – dodała Blacksmith.

Dawid Copperfield wrócił do stolika i zajął swoje miejsce.

– Coś krótkie było to wasze spotkanie – zauważył Cole.

– Ale, mam nadzieję, owocne – odparł kosmita.

– Niech zgadnę, miał przypadkiem do sprzedania oprawione w skórę wydanie „Samotni”?

– Proszę nie kpić, panie Steerforth – zachnął się Copperfield. – Uważa pan, że gdyby faktycznie miał mi do zaoferowania ten tytuł, wróciłbym z pustymi rękami...? – zamilkł na chwilę. – Co wiecie państwo o Nowej Kalkucie?

– Nigdy o niej nie słyszałem – mruknął Cole.

– Ja wiem co nieco – odparł Perez. – Znajduje się jakieś czterysta lat świetlnych stąd, w kierunku Jądra Galaktyki.

– Bardzo przyjazne miejsce – zgodził się Copperfield. – Tlenowa atmosfera, dziewięćdziesiąt siedem procent standardowej grawitacji.

– Świetnie. Gdzieś po drodze do Jądra Galaktyki znajduje się przyjazna planeta z atmosferą tlenową – podsumował Wilson. – Tylko co nas to obchodzi?

– Cierpliwości, mój drogi Steerforth – napomniął go kosmita. – Czy nasz ukochany Karol zdradzał wszystkie tajemnice już na pierwszych stronach swoich książek?

– Nasz ukochany Karol miał płacone od słowa. – Przypomniął mu kapitan. – Ty nie masz, więc się streszczaj. Co z tą Nową Kalkutą?

– Działa tam pewien sprzedawca towarów nie pochodzących z legalnego źródła...

– Czyli paser.

– Tak, paser – zgodził się Copperfield. – Znałem go w moim poprzednim wcieleniu.

– W pańskim poprzednim wcieleniu? – zdziwił się Perez.

– Pewnie chodzi mu o to, że sam kiedyś był paserem – wyjaśniła Sharon.

– Właśnie – potwierdził Dawid. – W każdym razie Nową Kalkutą rządzą Thuggee...

– Chwila, moment – przerwał mu Cole. – Od trzech tysięcy lat nikt nie widział żadnych Thuggee. Możesz być sobie Dawidem Copperfieldem, jeśli to cię kręci, ale nie powołuj do życia planet rodem z Kiplinga.

– Ale ona naprawdę istnieje – zapewnił go Copperfield. – Tak samo jak Thuggee. Nie są rzecz jasna ludźmi i nie praktykują tak obscenicznych tajnych rytuałów jak ich ziemskie odpowiedniki,

przynajmniej mnie nic na ten temat nie wiadomo. To obca rasa, nosząca ongiś nazwę Drinn. Zmienili ją jednak mniej więcej w tym czasie, kiedy nazwali swoją planetę Nową Kalkutą. Okazało się, że po przybraniu miana Thuggee ludzie natychmiast zaczęli ich bardziej szanować.

– Niech zgadnę – przerwał mu Cole. – Twój przyjaciel paser trafił do czarnej dziury.

– Nie wiem, jakiego koloru jest ta dziura, ale ten biedak naraził się czymś swoim panom, a ci poprzysięgli, że go załatwią. On naprawdę zechce oddać swoje królestwo za konia, a już na pewno jego połowę przekaze temu, kto uratuje go przed pewną śmiercią. Mój drogi Steerforth. – Kosmita pochylił się nad stołem. – On jest wart blisko dwadzieścia milionów kredytów!

– Zaczekaj, Dawidzie – poprosił Cole. – Mamy już wprowadzić sześć statków w naszej flotyli, ale to wciąż za mało, żeby zagrozić całej planecie.

– Przecież ja nie sugeruję, żebyśmy ją atakowali – zastrzegł się Copperfield. – Gdybyśmy polecieeli tam z odbezpieczoną bronią, ktoś mógłby zginąć przypadkiem w tym bałaganie, nawet pan albo Quinta.

– Tak się nazywa ten paser?

– Tak.

– Dobrze – uspokoił się Wilson. – Byłeś kiedyś na Nowej Kalkucie?

– Kilka razy – przyznał kosmita. – To bardzo przyjazne miejsce, może poza niezbyt zdrowym klimatem, natrętnymi owadami, pyłem, chorobami, no i Thuggee.

– Domyślam się, że to pełnowymiarowa planeta, a my będziemy szukali na niej konkretnej malutkiej celi – ciągnął dalej Cole. – Jeśli weźmiemy tę robotę, musimy mieć przewodnika. Jesteś pewien, że zdołasz nas doprowadzić do miejsca, w którym przetrzymują Quintę?

– Obawiam się, że nie bardzo – przyznał Copperfield.

– Mówiłeś, że odwiedzałeś tę planetę.

– Bo to prawda.

– Zatem w czym problem? – zapytał Cole.

– Podczas ostatniej wizyty musiałem ją opuścić w wielkim pośpiechu – wyjaśnił niepewnym głosem Dawid. – Ta banda miała czelność wyznaczyć nagrodę za moją głowę.

– Byłem tam kiedyś – wtrącił Platynowy Książę – i nie chcę wracać, ale mogę wam dostarczyć szczegółowe mapy terenu, zwłaszcza głównych miast, bo pewnie w jednym z nich będą go przetrzymywali.

– Zakładam jednak, że nie uczynisz tego wyłącznie z dobroci serca – stwierdził Cole.

- Za jedną szóstą – sprecyzował Książę.
- Trochę dużo jak za zwykłe mapy.
- Dobrze – odparł człowiek z platyny. – Znajdźcie go, nie posiadając map. Życzę powodzenia.
- Jedna szóstą – powiedział Wilson i uściśnął platynową dłoń szefa stacji.
- Naprawdę masz zamiar za nie zapłacić? – zdziwiła się Sharon.
- Na tej planecie mieszkają dwa miliony Thuggee – odparł kapitan. – Jakie mielibyśmy szanse na uwolnienie Quinty, gdybyśmy nie posiadali żadnych wskazówek dotyczących miejsca jego pobytu? Poza tym działka Księcia zostanie wypłacona z części, jaka pozostanie paserowi, nie z naszej.
- Brawo! – zawołał Copperfield. – Z każdym dniem coraz bardziej przypomina pan rasowego najemnika!
- Dawidzie, możesz iść do swojego przyjaciela i przekazać mu, że podejmiemy się tej operacji za pięć szóstych tego, co posiada.
- On nie ma z tym nic wspólnego – odparł kosmita. – Powiedział mi po prostu, jak przyjaciel przyjacielowi, że Quinta został przyskrzyniony. Nie jest jednak jego agentem. Tylko sam Quinta może rozważyć pańską propozycję, ale jestem pewien, że w aktualnej sytuacji raczej nie będzie protestował.
- A jeśli odmówi, jak już go uratujemy? – zapytała z przekąsem Sharon.
- Dobrze – Cole zakończył rozmowę. – Niech Christine, Briggs i Domak wygrzebią wszystkie wiadomości, jakie posiadamy na temat tej planety i Thuggee, a potem zadecydujemy, co zrobimy z tym fantem.
- Polecicie tam – zapewnił go Copperfield.
- Dlaczego tak myślisz?
- Wnioskuje to z wyrazu pańskiej twarzy. Już pan przelicza tę kupę pieniędzy.
- Nie, mój drogi przyjacielu ze szkolnej ławy – poprawił go kapitan. – Przeliczam te wszystkie puste statki po Thuggee.

Rozdział siedemnasty

Żeby uwolnić Quintę należało wysłać niewielki oddział specjalny, ostrzeliwanie planety z orbity niewiele by dało, dlatego też Cole zdecydował o zabranii do tego systemu wyłącznie „Teddy'ego R.". Resztę nowych jednostek pozostawił na Stacji Singapur, aby uzupełniły braki w uzbrojeniu oraz systemach obrony. Przeniósł też na swój okręt Wal i Pampasa, choć tylko tymczasowo, Perezowi natomiast przekazał dowództwo nad całą eskadrą i polecił mu przeprowadzenie testów wszystkich usprawnień, gdy doposażanie statków zostanie ukończone. Dopiero potem wydał rozkaz wyruszenia na Nową Kalkutę.

To było naprawdę ciekawe miejsce. Humanoidalni tubylcy zezwolili ludziom na zasiedlenie swojej planety i pozostanie na niej wystarczająco długo, aby mogli się nauczyć od nich terrańskiego, używania komputerów, czytania książek i obsługi broni. Gdy uzyskali potrzebną wiedzę, wymordowali wszystkich kolonistów.

Wydarzenia te miały miejsce czterysta lat wcześniej. Nieco później tubylcy uznali, że zdołają powstrzymać ludzi przed ponowną kolonizacją ich globu, jeśli zmienią jego nazwę na Nową Kalkutę, a sami przybiorą miano Thuggee. Do dzisiaj jednak nikt nie wiedział, co tak naprawdę mieli przeciw ludziom. Ale w miarę upływu czasu podobne resentymenty rozszerzyły się na Canphorytów, Settów, Domarian, Lodinitów i kilka innych ras, które zabijały ludzi niemal natychmiast po pierwszym kontakcie.

Thuggee nie byli ludem zdobywców, nie interesowały ich podboje w skali systemu planetarnego czy galaktyki. Ale na Kalkucie znajdowało się pięć kontynentów, których rządy prowadziły niekończące się wojny z pozostałymi centrami władzy. Potrzeba pozyskiwania zaawansowanej technicznie broni okazała się silniejsza niż atawizmy. I dlatego każde z tych megapaństw zezwoliło na stały pobyt jednemu bądź dwóm kupcom z rasy, której tak nienawidzili. Czasem, jak w przypadku przyjaciela Dawida, dawali schronienie paserom, którzy pośrednio pełnili także rolę normalnych kupców. Przybysze mogli egzystować na Nowej Kalkucie, dopóki dostarczali walczącym stronom zabójczej i coraz nowocześniejszej broni. Planeta nie miała zbyt wiele ciekawego do zaoferowania, może z wyjątkiem pewnego rodzaju mięczaka, który wytwarzał coś, co nieco przypominało ziemskie perły: geometrycznie idealne szesnastościany, które w krótkim czasie stały się towarem bardzo poszukiwanym przez jubilerów Republiki i Wewnętrznej Granicy.

– I to by było na tyle, sir – tymi słowami Briggs zakończył krótki rys historyczny Nowej Kalkuty. – A ponieważ zamknęli granice dla handlu i emigracji już ponad czterysta lat temu, nie mamy bladego pojęcia, jak rozwinęła się ich cywilizacja, nie możemy też nic powiedzieć o aktualnej sytuacji geopolitycznej prócz tego, że istnieje tam pięć wielkich państw, które nienawidzą się wzajemnie, a jeszcze gorzej odnoszą się do wszelkich intruzów spoza planety... – zamilkł na moment. – Nie wiemy nawet, czy oni nadal znają język terrański.

– Kiedyś znali – stwierdziła Wal.

– Tak, ale wszystkie języki ewoluują i ulegają zmianom. Jeśli porozumiewają się po terrańsku, może to być jakaś jego archaiczna forma. Równie dobrze mogli już dawno o nim zapomnieć. W końcu na tej planecie nie było ludzi od niemal czterystu lat.

– A co z tym paserem Dawida?

– On nie jest człowiekiem – wyjaśnił Copperfield. – Humanoidem tak, ale nie człowiekiem. Należy do rasy Thrall, ma parzyste ilości kończyn i inne takie.

– Czy to znaczy, że jest taki jak ty? – zapytał Briggs.

Dawid Copperfield, choć do gigantów nie należał, wyprostował się dumnie i z wyższością oznajmił:

– Ja, sir, jestem brytyjskim dżentelmenem.

– Czym Dawid jest albo nie jest, nie ma tu nic do rzeczy – wtrącił Cole. – Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie znajduje się czarna dziura, w której utkwiał jego przyjaciel. Wątpię, żeby Platynowy Księżę mógł zdobyć dla nas tak szczegółowe informacje. – Spojrzał na Copperfielda. – Ten twój przyjaciel nie rzucił przypadkiem jakiejś podpowiedzi?

– Nie rozmawiałem bezpośrednio z nim – odparł były paser. – Przecież o tym wiecie.

– Ale nie możemy najechać pięciu zwaśnionych państw, żeby go odnaleźć – uświadomił mu kapitan. – W dodatku, gdyby umknęło to czyjejs uwadze, nadal nie posiadamy lekarza na pokładzie.

– Wydawało mi się, że mieliśmy kilku kandydatów na to stanowisko – zauważył Briggs.

– Czterech – uściślił Cole. – Ale żaden nie posiadał wiedzy medycznej na temat trzech głównych ras, jakie służą na „Teddym R.”, a my nie mogliśmy zamustrować wszystkich naraz. – W tym miejscu spojrzał na Copperfielda. – Jakimi rodzajami broni handlował twój przyjaciel?

– Nie mam pojęcia – odparł Dawid. – Jak już wspominałem, nie rozmawiałem z nim osobiście.

– Ale możesz się tego dowiedzieć?

– Cokolwiek to było, nie będą w stanie nam zagrozić – ocenił Forrice. – Chyba że zamawiał jakieś systemy, które dostarczano mu w częściach na kilkunastu frachtowcach.

– Nie martwię się tym, że nas zestrzelą – wyjaśnił Wilson. – Zastanawiam się tylko, jak mamy znaleźć przyjaciela Dawida. Nikt tutaj nie potrafi nam powiedzieć, gdzie go trzymają, zatem będziemy musieli zapłacić komuś z miejscowych za wskazówki. Ale skoro oni nigdy nie opuszczają swojej planety i nie należą do żadnej organizacji skupiającej istoty myślące, muszą operować własną walutą o ile w ogóle mają w użyciu coś takiego jak pieniądze i za cholerę nie przydadzą im się kredyty, funty Dalekiego Londynu, dolary Marii Teresy czy jakiegokolwiek środki płatnicze będące w powszechnym użyciu. Wiemy jedno: kupcy dostawali pozwolenie na osiedlenie się na planecie, jeśli oferowali broń, dlatego uważam, że to jedyna rzecz, za jaką otrzymamy potrzebne informacje. Niemniej nie możemy im zaoferować niczego, co jest potężniejsze od znanych im już systemów uzbrojenia.

– Co i tak daje całkiem potężny arsenał do wyboru – stwierdził Briggs.

– Musimy wykombinować coś, co unieruchomi tę broń powiedzmy po tygodniu użytkowania – powiedział kapitan. – Coś tak skomplikowanego, żeby nawet po dziesięciu latach napraw i

wymieniania części nie mogli jej odpalić. – Odwrócił się do Dawida Copperfielda. – Czy możesz skontaktować się ze współpracownikami swojego przyjaciela i wy badać, czym handlował?

– Tak, panie Steerforth – odparł kosmita. – Zaraz to uczynię. – Podeszedł do stanowiska radia podprzestrzennego i zaczął nadawać wiadomość.

– Panie Briggs, poruczniku Domak, czy wiecie, który z pięciu krajów jest w tej chwili najsilniejszy?

– Pendżab, sir – odparła bez wahania Polonoi, wskazując na jeden z kontynentów znajdujących się na holograficznej mapie.

– Czy ktoś mi wytłumaczy, dlaczego oni używają w stosunku do swojej planety i leżących na niej państw nazewnictwa zapożyczonego z historii rasy, której nie chcą widzieć u siebie? – dziwiła się Wal.

– To kwestia w sam raz dla socjologów obcych ras – odparł Cole. – My jesteśmy najemnikami. Jedyne pytanie, na jakie chcemy znaleźć odpowiedź, brzmi: które z czterech pozostałych państw przetrzymuje przyjaciela Dawida?

– A dlaczego nie bierzesz pod uwagę Pendżabu? – zapytała Walkiria.

– Jak sądzisz, które państwo zapłaci więcej za broń? To, które uzyskało pozycję dominującą, czy takie, które chce ją dopiero uzyskać?

– Obyś miał rację – mruknęła rudowłosa z powątpiewaniem.

– Jeśli nawet nie mam racji, Cztery Oczy zdoła zmontować operację ratunkową dla mnie i dla kumpla naszego dawnego pasera.

W pomieszczeniu pojawił się hologram Sharon.

– Ty nigdzie się nie wybierasz! – stwierdziła.

– Jeszcze mi tu ciebie brakowało – westchnął Cole. – Doceniam twoją troskę, ale mam zamiar udać się na tę planetę w towarzystwie Wal, porucznika Sokołowa, panny Mueller i marynarzy Nicholasa, Moyera, Braxyty oraz Bujandi.

– Ale to jest wrogie terytorium – upierała się Sharon. – Kapitan nie może opuszczać pokładu, gdy okręt wkracza na wrogie terytorium.

– A poza tym wybrałeś już ludzi do zespołu uderzeniowego – zauważył Forrice.

– Wybrałem tych, którzy pójdą tam ze mną, a nie za mnie – odparł Cole.

– Niemal wszyscy na tym pokładzie zgodzili się zrezygnować z kariery i spędzić resztę życia jako ścigani kryminaliści, przebywając na dodatek na banicji, aby móc służyć razem z tobą – przypomniał mu Cztery Oczy. – Nie masz prawa narażać własnego życia dla jakiegoś pasera, o którym,

praktycznie rzecz biorąc, nic nie wiemy.

– Ja pójdę za pana na ochotnika, sir – zaoferowała się Rachel Marcos.

– Chorąży Marcos, czy wy ukończyliście już dwadzieścia lat? – zapytał Cole.

– Mam dwadzieścia dwa lata, sir.

– A walczyliście już kiedyś?

– Oczywiście, sir.

– Ale ja mówię o prawdziwej walce, poza mostkiem.

Nie odpowiedziała.

– Mówcie prawdę – zażądał kapitan.

– Nie walczyłam, sir.

Odwrócił się do hologramu Sharon.

– Widziałaś?

– Mam dane wszystkich członków załogi stwierdziła Blacksmith. – Chcesz wiedzieć, ile osób brało udział w bezpośrednich starciach z wrogiem?

– Wilsonie, wiesz, że ona ma rację – poparł ją Forrice. – Płacą nam za bycie najemnikami, nie bohaterami. Twoje miejsce jest na pokładzie „Teddy'ego R.", skąd masz nadzorować przebieg operacji, a nie ryzykować życie, biegając po polu walki.

– Wal również dowodzi statkiem – zauważył poirytowany Cole – ale jakoś nie widzę, żebyście chcieli zatrzymać ją na pokładzie.

– Powiedz, że nie dostrzegasz istotnych różnic fizycznych pomiędzy sobą a nią, a przestanę nalegać, żebyś tu został – stwierdził Molarianin.

– Zamknij się – powiedział kapitan i potoczył spojrzeniem po obecnych na mostku. – W porządku, Rachel – dodał. – Idź, wykrwaw się.

– Dziękuję, sir – odparła.

– Nadal nie wiemy, gdzie powinniśmy wylądować, sir – przypomniał Briggs.

– Zaczniemy od skontaktowania się z frakcją, która najchętniej nam pomoże.

– Czyli z kim? – zapytał Malcolm.

– Z jakimś waśniakiem z Pendżabu – odparł Cole. – To chyba ostatnia nacja na tej planecie, z którą handlowałby przyjaciel Dawida, w każdym razie od czasu, gdy uzyskali dominującą pozycję, nie dostałby od nich najwyższej oferty. Kiedy odkryją, że handlował bronią z ich wrogami, na pewno wskażą nam miejsce jego pobytu.

– Ale oni także będą chcieli od nas broni – przypomniał mu Forrice. – Każę panu Odomowi przerobić ją tak, żeby wysiadła po tygodniu użytkowania.

Cole skinął głową.

– Dobrze. Ale najpierw spróbujmy kontaktu bez oferowania czegokolwiek. Musimy pozostawić sobie nieco przestrzeni do negocjacji.

– Poczekaj – wtrąciła się Sharon. – Dlaczego uważasz, że na Pendżabie ktoś będzie się przejmował paserem siedzącym w więzieniu na innym kontynencie? Przecież to dla nich o wiele lepsze rozwiązanie, niż gdyby był na wolności i sprzedawał broń wrogom.

– Nie będą się tym przejmować – odparł Cole – dopóki nie zainteresujemy ich taką opcją.

– Oferując broń? Kapitan uśmiechnął się.

– To będzie tylko pierwszy krok w celu zwrócenia uwagi na nas.

– A czym zamierzasz ich przekupić? – zapytała Sharon.

– Kiedy wskażą nam miejsce przetrzymywania pasera, wpadniemy tam i uwolnimy nie tylko jego, ale i pozostałych więźniów. Rozdamy im broń i pozwolimy załatwić strażników. To spowoduje tak wielki chaos u wroga, że nawet Pendżab będzie zainteresowany jego wywołaniem.

– A jeśli uznają, że Wal i reszta nie zdołają tego dokonać? – zapytał Forrice.

– W takim razie dostaną trochę broni za nic, a facet, który handlował z wrogami, nadal będzie gnił w więzieniu – wyjaśnił Cole. – Z ich punktu widzenia niczego nie tracą.

– Widzisz? – zawołał Cztery Oczy, emitując gwizd rozbawienia. – I dlatego potrzebujemy cię na pokładzie! Nikt z nas nie ma tak potwornie pokręconego umysłu jak ty.

– Może i jestem jedyną osobą, która potrafi obmyślić chytry plan – przyznał Cole – ale to Wal i reszta będą musieli go wykonać, zrzućni na teren obcego miasta, gdzie niewiele będziemy mogli im pomóc. Na razie niczego konkretnego nie dokonaliśmy i dalecy jesteśmy od sukcesu.

– Już ty się o nas nie martw – poprosiła Walkiria. – Współczuj lepiej tym, którzy spróbują nas powstrzymać. A ty, blondyna – wskazała na Rachel – lepiej trzymaj się tuż przy mnie, kiedy rozpocznie się walka.

Dawid Copperfield wrócił ze stanowiska łączności podprzestrzennej.

- Otrzymałem wszystkie informacje, jakich pan potrzebuje, mój drogi Steerforth – oświadczył. – Quinta sprzedawał im stukacze trzeciej generacji.
- Świetnie – ucieszył się Cole. – Działa pulsacyjne trzeciej generacji nie są w stanie przebić osłon „Teddy'ego R.”, więc nie zagraża nam niebezpieczeństwo. Cztery Oczy, przekaz panu Odomowi, żeby przerobił kilka palników czwartej generacji. Mają stracić moc po tygodniu od uaktywnienia zasilaczy. Poproś, żeby zrobił to tak, aby nie dało się ich już nigdy naładować.
- Zajmę się tym.
- Ktoś ma jeszcze jakieś pytania czy możemy z Christine skontaktować się z tymi Thuggee?

Odpowiedziała mu cisza.

- Świetnie. Zanim wróćcie do wypełniania swoich obowiązków, chciałem tylko dodać, że wasza troska o kapitana została zauważona i doceniona. Dlatego pominię tym razem milczeniem fakt, że mój pierwszy oficer i szef sekcji bezpieczeństwa publicznie wyrazili dezaprobatę dla poleceń przełożonego... – Przerwał, aby spojrzeć na każdego z osobna. – Ale jeśli ktoś z was będzie protestował albo nie wykona moich rozkazów, kiedy rozpocznie się walka, załatwię go osobiście.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że Sharon i Forrice byli najbliższymi przyjaciółmi kapitana na tym okręcie, a kto wie, czy nie w całym jego życiu i dlatego tylko Wal oraz Dawid Copperfield, którzy dołączyli do załogi na Wewnętrznej Granicy, wydawali się zaskoczeni ogłoszonym przez niego oświadczeniem. Walkiria jednak zgadzała się z jego treścią w całej rozciągłości.

Rozdział osiemnasty

- Dawidzie, ty poprowadzisz rozmowy.
- Ja? – zapytał zaskoczony Copperfield.
- W końcu cieszysz się reputacją jednego z największych paserów Granicy – stwierdził Cole. – A skoro na Nowej Kalkucie niechętnie witają gości, pewnie jeszcze nie słyszeli o tym, że wypadłeś z obiegu i zostałeś agentem „Teddy'ego R.”. Na pewno wysłuchają cię chętniej niż kapitana okrętu wojennego.
- Rozumiem, Steerforth, mój przyjacielu – odparł kosmita. – Ale chciałbym, żebyś wiedział, iż nie uczyniłbym tego dla nikogo innego.
- Nikt inny na tym okręcie nie poprosi cię o coś podobnego – odparł kapitan. – Christine poinformuje cię, kiedy masz zacząć mówić. Jeśli cię to uspokoi, mogę nakazać wszystkim innym opuszczenie

mostka.

– Nie jestem zdenerwowany – powiedział Copperfield. – Zdołał mnie pan przekonać, że oni nie mogą zagrozić naszej jednostce. Po prostu nie jestem pewien, czy mi uwierzą.

– Jeśli z nimi nie porozmawiasz, nigdy się tego nie dowiesz – odparł Wilson.

Dawid wzruszył ramionami na swój obcy sposób. Ruch ciała zaczynał się w okolicach pasa i wędrował jednocześnie w górę do karku i w dół do kostek.

– W porządku, jestem gotowy – stwierdził chwilę później i natychmiast uniósł rękę. – Wszyscy inni mogą zostać, ale panna Olivia Twist musi opuścić mostek.

– Ile razy mam ci powtarzać, że tak się nie nazywam – zachnęła się Wal. – Nigdzie nie idę!

– Moja droga damo, oni być może nigdy nie słyszeli nazwiska Wilson Cole i nie wiedzą niczego o „Teodorze Roosevelcie”, ale wszyscy na Wewnętrznej Granicy rozpoznają śliczną rudowłosą piratkę, bez względu na to, jakiego akurat używa imienia. Nie wiem, jak doskonałe systemy komunikacji posiadają na tej planecie, ale jeśli są w stanie przeskanować mostek, efekty pani obecności na nim mogą być wysoce szkodliwe dla powodzenia misji.

– Dawid ma rację – poparł go Cole. – Zjedź na chwilę do mesy. – Walkiria obrzuciła kosmitę wściekłym spojrzeniem i bez słowa ruszyła w stronę szybów wind. – Masz jeszcze jakieś żądania czy możemy już zaczynać nasze małe przedstawienie?

– Już panu mówiłem. Jestem gotowy.

– Christine, nadawaj na najszerszym paśmie z możliwych. Nie wiemy, jakimi odbiornikami oni tam dysponują. Panie Briggs, czy jest jakiś sposób, aby pozostałe państwa-kontynenty nie mogły przechwycić albo odczytać tego przekazu?

– Chyba da się to zrobić, sir – odparł Malcolm i wydał komputerom kilka poleceń w języku, którego Cole zupełnie nie rozumiał, chociaż brzmiał bardzo podobnie do atriańskiego. Moment później skinął głową, a Christine dała znak kosmicie, aby zaczął mówić.

– Nazywam się Dawid Copperfield – zaczął były paser. – Dostałem niedawno informację, że mój dobry przyjaciel, Thrall imieniem Quinta, jest przetrzymywany w niewoli gdzieś na Nowej Kalkucie. Chciałbym uzyskać informacje na temat miejsca jego pobytu, nadmieniając jednocześnie, że dobrze zapłacę za tę informację.

Cole przesunął palcem po szyi, dając znak Christine, aby przerwała połączenie.

– Tyle informacji wystarczy im na początek – powiedział. – Wysyłaj ten przekaz co dwie minuty, dopóki nie odpowiedzą.

– Gdzie mam skierować odpowiedź, do pana czy do Dawida? – zapytała porucznik Mboya.

– Namierz źródło sygnału, zapisz wiadomość, przerwij połączenie i odtwórz nagranie na wszystkich monitorach okrętu – rozkazał kapitan. – Zdecydujemy, kto odpowie, po wysłuchaniu treści tego przekazu. – Odwrócił się i ruszył w stronę windy.

– Gdzie pan idzie, sir? – zapytał Briggs.

– Zamierzam coś zjeść – odparł kapitan. – Jestem głodny, a oni muszą mieć kilka godzin na przygotowanie odpowiedzi. Jeśli się mylę i odpowiedzą natychmiast, wysłucham treści komunikatu w mesie albo w innym miejscu.

Gdy dotarł na miejsce, znalazł na sali Wal, siedzącą samotnie przy jednym ze stolików. Dosiadł się do niej i zamówił kanapki z nieodłącznym piwem.

– Nie martw się – powiedziała. – Przypilnuję tej twojej blondyneczki.

– Ona nie jest moja – odparł Cole.

– Ale chce być.

Wilson skrzywił się.

– Nie wiem nawet, o czym rozmawiać z dwudziestodwulatkami.

– Jej nie chodzi bynajmniej o rozmowy.

– No to się srodze zawiedzie – stwierdził Cole. – Ale zostaw ten temat i zastanów się lepiej, którym wahadłowcem polecicie na planetę. Kiedy nadejdzie odpowiedź, masz natychmiast zebrać grupę uderzeniową i zabrać ją do hangaru.

– Wiem – odparła. – Ale chcę wziąć też Byka Pampasa.

– Już ustaliłem skład grupy uderzeniowej.

– Daj spokój, Wilsonie – poprosiła. – To najlepszy zawodnik w walce wręcz, jakiego macie, oprócz mnie, rzecz jasna.

– Zastanowię się.

– Z czym, do cholery, masz problem?

– Byk jest też jednym z dwóch najlepszych specjalistów od uzbrojenia – wyjaśnił kapitan. – Mam nadzieję, że wrócicie bez przygód, ale jeśli coś pójdzie nie tak, o wiele łatwiej będzie zastąpić kogoś, kto umie się bić, niż człowieka, który spędził cztery lata w przedziale bojowym, obsługując systemy uzbrojenia „Teddy'ego R.”.

– Po pierwsze, nic nie może pójść źle, jeśli ja będę dowodzić – oświadczyła zdecydowanie. – Czy wyglądam na tanie mięso armatnie?

- Nie wyglądasz – przyznał Wilson – ale moja praca polega na analizowaniu wszystkich możliwości.
- Po drugie – weszła mu w słowo – on już nie jest członkiem załogi „Teddy'ego R.". To drugi oficer na „Rudym Sfinksie", gdybyś tego nie zauważył.
- Ale oboje znajdujecie się teraz na pokładzie mojego okrętu – skontrował Cole. – Nie stałaś się właścicielką tego człowieka, Wal. On wróci do mnie, jeśli będę go potrzebował, za tydzień albo za miesiąc.
- Do cholery, Wilsonie! – wydarła się wściekła jak wszyscy diabli. – Tylko on może mnie skutecznie ubezpieczać!

Kapitan przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem ciężko westchnął.

- Dobrze. Możesz go wziąć ze sobą.
- Dzięki. Zobaczysz, że nie pożałujesz.
- Już żałuję.

Nagle nad blatem stołu pojawił się hologram Christine.

- Sir – zameldowała – właśnie odebrałam ich odpowiedź.
- Szybcy są – zauważył Cole. – Musieli się zdrowo zaniepokoić tym, co Quinta sprzedawał ich wrogom. W każdym razie jednemu z nich. Włącz przekaz, Christine.

Zobaczył holograficzne odzwierciedlenie wysokiej, niewiarygodnie chudej istoty, pokrytej połyskującymi łuskami. Była humanoidalna, miała dwie ręce, parę nóg, bulwiastą głowę z szeroko osadzonymi oczami, szparki zamiast nozdrzy, ukryte uszy i szerokie usta. U dłoni widział po trzy palce i dwa przeciwstawne kciuki. Istota ta nie nosiła ubrania, jeśli nie liczyć szarfy na jednym z ramion, którą przyozdobiono szeregiem dziwacznych symboli, mogących być, choć niekoniecznie, tamtejszymi odznaczeniami.

- Nazywam się Rashid – powiedział Thuggee, mocno kalecząc terrański – i mam upoważnienie do przemawiania w imieniu ludu Pendżabu. Wiemy, że kosmita imieniem Quinta dostarczał broń naszym wrogom i znamy miejsce jego aktualnego odosobnienia. Nie mamy jednak pojęcia, dlaczego mielibyśmy współpracować z wami w jego sprawie. – Obdarzył ich obco wyglądającym uśmiechem.
- Ale zapewne oświecicie nas niebawem w tej kwestii.
- To wszystko, sir – zameldowała Christine. – Na tym kończy się przekaz.

– Przebywa w odosobnieniu? – zdumiał się kapitan. – On chyba czytał te same książki co Dawid... – zamilkł. – Dobrze. Christine, połącz mnie z mostkiem. – Począł, aż Mboya wykona rozkaz. – Dawidzie, chciałbym, abyś im odpowiedział. Wyjaśnij, że wiemy, iż Quinta sprzedawał ich wrogom stukacze drugiej generacji albo lepiej mów działa pulsacyjne, oni mogą nie znać naszego slangu, oraz działa laserowe trzeciej generacji, a my im damy za tę informację dwie baterie tej broni, ale jeszcze

wyższej klasy.

– A jeśli będą chcieli czegoś więcej niż tylko dwóch dział? – zapytał Copperfield.

– Wyjaśnisz im, że to tylko akt naszej dobrej woli, a jeśli ich informacje okażą się prawdziwe, dostarczymy im znacznie więcej.

– A jeśli zapytają...

– Już ty się o nic nie martw – przerwał mu kapitan. – Nagramy tę wypowiedź i prześlemy ją na planetę, tak jak za pierwszym razem. Nie nawiążemy połączenia w czasie realnym, nie będziesz musiał odpowiadać na pytania... – zamilkł na moment. – Panie Briggs?

– Tak, sir?

– Wiemy już, że reagują dość szybko, więc proszę się odpowiednio przygotować. Chcę mieć namiary miejsc, z których wysyłają sygnał, a otrzymamy jeszcze nie więcej niż dwie albo trzy podobne transmisje.

– Tak jest – odparł Malcolm. – Czy mogę o coś zapytać, sir?

– Słucham.

– Dlaczego tak pana interesuje, skąd nadejdą te sygnały? Wydawało mi się, że zakłada pan, iż Quinta jest więziony na innym kontynencie.

– Ponieważ chcę urządzić prawdziwe piekło na ziemi temu, kto spróbuje nas oszukać – odparł Cole.

Skinął na Christine, a ona natychmiast wyłączyła transmiery.

– Nie będą nas oszukiwać – stwierdziła Wal. – Nie zrobią tego, jeśli się dowiedzą, że te dwa działa to dopiero zaliczka, a w drodze jest ich znacznie więcej.

– Nie powinni – zgodził się z nią Wilson. – Ale to kosmici, istoty, które myślą inaczej niż my. Chciałem przez to powiedzieć, że nie rozumiem toku myślenia obcych, o ile nie są Molarianami. Mogą na przykład uznać, że te dwa działa czwartej generacji zapewnią im dominację na następne dziesięć lat, i przestaną się nami interesować.

– Nie zrobią nic podobnego – zapewniła go Wal.

– Wiem – przyznał Cole – ale muszę brać pod uwagę każdą możliwość.

– Forrice miał rację – stwierdziła Walkiria. – Jesteś naprawdę pokreconym sukinsynem. Właśnie dlatego postanowiłam przyłączyć się do załogi „Teddy'ego R.". Chcę się nauczyć twojego toku myślenia.

– Radziłbym podchodzić do tej nauki z dużą ostrożnością – powiedział Wilson. – Głowa może cię

rozboleć.

– Dzięki – odparła rozeźlona. – Ja ci prawie komplementy, a ty mnie w odpowiedzi obrażasz.

– Nie obrażałem cię – zapewnił ją kapitan. – Mówiłem szczerze. Wstąpiłem w szeregi floty, aby łoć skóry złym facetom. Parę lat upłynęło, zanim zorientowałem się, kim są ci źli. A teraz mam w swoich rękach los sześciu załóg. Nie sądzisz, że sama myśl o tym może przyprawić o ból głowy?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odparła Wal. – Ja tam zawsze miałam załogę gdzieś.

– I dlatego sprzedała cię przy pierwszej okazji i przyłączyła się do Rekina Młota.

– Niech ci będzie – stwierdziła z irytacją. – Wygrałeś.

– Nie zależy mi na wygrywaniu z tobą – odparł Cole, wstając od stolika. – Moim zadaniem jest wygranie z Thuggee. A ponieważ do tego będę musiał być ostry jak brzytwa, chyba utnę sobie drzemkę.

Zaraz po wejściu do kabiny padł na koję i zasnął. Kilka godzin później obudził go głos Sharon Blacksmith.

– Tak? – wymamrotał, opuszczając stopy na podłogę. – Co się dzieje?

– Dostaliśmy następną transmisję z powierzchni planety – wyjaśniła. – Pomyślałam, że możesz chcieć ją obejrzeć na trzeźwo. Domak zaraz zacznie transmisję do twojej kabiny.

– Domak? A co się stało z Christine?

– Biała wachta dobiegła już końca. Od pięciu godzin mamy niebieską.

– Racja – stwierdził Cole. – Nie przejmuj się, mózg mi się włączy za kilka sekund.

– Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak możesz spać i jeść w takich sytuacjach.

– Już dawno temu zauważyłem, że obu tych rzeczy nie mogę robić, kiedy zaczyna się walka. Dlatego jem i śpię, kiedy tylko to możliwe.

– Domak się dobija – rzuciła Sharon. – Do zobaczenia później.

Jej hologram zniknął, ale w tym samym momencie zastąpiła go sylwetka Polonoi.

– Już pan nie śpi, sir? – zapytała wojowniczką.

– Nie, możesz zaczynać.

Cole zobaczył po raz kolejny kosmitę Rashida.

– Posiadamy informacje, o które pan pytał, ale oferta nam przedstawiona wydaje się niespecjalnie

interesująca. Nie mamy pewności, czy to legalny towar, i nade wszystko, czy te lasery będą działać.

Obraz zniknął.

– To już wszystko? – zapytał Cole.

– Tak, sir.

– Czy pan Briggs namierzył źródło transmisji?

– Wachta pana Briggsa dobiegła już końca – odparła Domak – ale chorąży Jacillios przejęła jego stanowisko i twierdzi, że ma dokładne koordynaty miejsca, z którego nadszedł sygnał. Czy przesłać je do pana?

– Nie trzeba, ale zapiszcie je w systemie i każcie Forrice'owi wprowadzić, tak na wszelki wypadek, do jednego z dział laserowych czwartej generacji. Przekażcie też Dawidowi, że jego zadanie dobiegło końca. Od tego momentu ja przejmuję rozmowy.

– Tak jest – odmeldowała się Domak.

– Nie powinnam cię chyba niepokoić – wtrąciła Sharon, gdy jej hologram pojawił się po raz drugi. – Idziesz na mostek.

– A po cholere mam tam iść?

– Słyszałam, jak mówiłeś...

– Nie muszę wracać na mostek, żeby przesłać wiadomość – stwierdził Cole. – A poza tym, to im się spieszy z odpowiedziami, my nie musimy robić tego tak szybko. Niech sobie trochę poczekają.

– Skoro nie opuściłeś jeszcze łóżka, co powiesz na chwilę damskiego towarzystwa?

– Dobra myśl – ucieszył się Wilson. – Przyślij mi tu Rachel Marcos.

– Siedem tysięcy trzysta sześć – odparła Sharon.

– Co to znaczy?

– Ilość nocy, jakie spędzisz samotnie za tę uwagę.

– W takim razie zapomnij o tym, co powiedziałem i podeślij mi tu nieco starszą i bardziej doświadczoną kobietę... – przerwał na moment. – I co teraz z tymi siedmioma tysiącami nocy?

– Nadal je masz na koncie – odparła Sharon.

– Naprawdę?

– Tak. Ale zacznę je liczyć dopiero w następnym stuleciu. Będę u ciebie za pięć minut. Spróbuj

zasnąć do tej pory, a chyba cię zabiję.

Rozdział dziewiętnasty

Trzy godziny później Cole wstał z łóżka i założył mundur. Sharon spała, ale szmery wydawane przez trący o siebie materiał obudziły ją.

– A ty gdzie się wybierasz? – zapytała.

– Idę porozmawiać z królem Thuggee czy jak on się tam, u licha, nazywa – odparł Wilson. – Uznałem, że transmisja z mostka wyda mu się nieco bardziej oficjalna.

– Baw się dobrze – powiedziała, odwracając się na drugi bok i zasypiając w locie.

– Dopiero co skończyłem się dobrze bawić – wymamrotał. – Teraz mam poważną robotę do wykonania.

– Boże, ty naprawdę wiesz, jak bajerować dziewczyny.

Kapitan opuścił kajutę i pomaszerował do windy. Kilkanaście sekund później już stał na mostku.

– Myślisz, że poczekali już wystarczająco długo? – zapytał, podchodząc do Forrice'a.

– Sam nie wiem. Może rozegramy najpierw partyjkę bilsanga?

– Nie ma czegoś takiego jak szybka partyjka bilsanga – odparł Cole. – Ile czasu minęło od momentu odebrania ostatniego przekazu?

– Ponad trzy godziny standardowe – poinformował go Molarianin.

– Czyli najwyższa pora na odpowiedź – stwierdził Wilson i spojrzał w stronę konsoli komunikacyjnej, żeby sprawdzić, kto ma dyżur. – Panie Briggs?

Malcolm oderwał wzrok od otaczających go ekranów.

– Sir?

– Chciałbym przesłać wiadomość naszemu przyjacielowi Rashidowi.

– Z playbacku czy na żywo, sir?

– Tym razem na żywo.

– Możemy zaczynać, kiedy będzie pan gotowy, sir.

– No to zaczynajmy teraz – odparł Cole i poczekał, aż Jaxtaboxl da mu znak masywną głową. – Rashidzie, mówi kapitan Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”. Jesteśmy gotowi do przekazania ci dwóch dział laserowych. To przekaz na żywo, możesz więc od razu mi odpowiedzieć. Nie wiemy, gdzie mamy je dostarczyć.

Kilka stóp od Cole'a i Forrice'a pojawił się hologram przywódcy Thuggee.

– Widzę, że prowadziłeś ze mną rozmowy przez swojego podwładnego – odezwał się Rashid.

– Daruj sobie te fochy – zbył go kapitan. – Nowa Kalkuta to podrzędna planetka i mało mnie obchodzą wasze lokalne wojny. Chcę odzyskać mojego przyjaciela, ale nie zamierzam tracić czasu na idiotyczne targi. Ty masz informację, która jest mi potrzebna, ja mam broń, której pożądasz. Dobijamy targu czy mam przejść do planu B?

Thuggee zamrugał szybko oczami, jakby z całych sił starał się zrozumieć sytuację.

– Jakiego planu B?

– Uwierz mi, to rozwiązanie, które w ogóle ci się nie spodoba – rzucił Cole. – To jak, umowa stoi?

– Umowa stoi – odparł przywódca obcych po chwili wahania.

– Wyślę na powierzchnię planety wahadłowiec z obiecanyimi działami. Wy przekażecie koordynaty miejsca lądowania do naszego komputera nawigacyjnego. Daję wam cztery godziny na sprawdzenie sprzętu i przekonanie się, że funkcjonuje jak trzeba. Potem macie przekazać nam informacje o miejscu przetrzymywania Thralla zwanego Quinta... – przerwał na moment. – Każde odstępstwo od naszej umowy uznaję za akt wojny. Teraz kończę i wyłączam się, wy przekazujecie nam koordynaty dla promu i też możecie przerwać połączenie.

Briggs dał znak dowódcy, że transmisja została zakończona.

– I tyle na temat udawania twardziela – mruknął Cole. – Panie Sokołowie, jak tylko dostaniemy koordynaty, proszę zapakować działa na wahadłowiec i dostarczyć je we wskazane miejsce. Proszę zabrać ze sobą porucznik Domak, ona robi naprawdę piorunujące wrażenie.

– Tak jest.

– Władimir?

– Tak, sir.

– Pod żadnym pozorem ani ty, ani Domak nie możecie opuścić wahadłowca.

– Ale to będzie oznaczało, że Thuggee, odbierając działa, zobaczą wnętrze naszego wahadłowca – zaprotestował Sokołowie. – A mamy w nim sporo bardzo zaawansowanej technologii. W każdym razie

im może wydać się mocno zaawansowana. Chce pan, żeby mogli się jej przyjrzeć?

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie zobaczą jej po raz drugi – zapewnił go Cole. – A jedynym kijem, jaki mam w ręku, na wypadek gdyby oszukali nas co do ujawnienia miejsca pobytu Quinty, jest możliwość natychmiastowego unicestwienia ich centrum z orbity. Utracę tę przewagę, jeśli uprowadzą pana albo porucznik Domak.

– Większości dowódców taki fakt by nie powstrzymał, sir.

– Mnie też, gdyby chodziło o ocalenie załogi albo okrętu, ale w tym wypadku nie chodzi ani o jedno, ani drugie i oni o tym dobrze wiedzą. Dlatego wolałbym, abyście nie opuszczali wnętrza wahadłowca. Każde z was ma mieć też na ramieniu miniholokamerę. Jak tylko Thuggee podejda do wjazdu, włączycie przekaz. I nie przejmujcie się za bardzo, ich holotransmitery na pewno wyglądają inaczej niż nasze. Nie będą się też spodziewali, że monitorujemy ich ruchy. I jeszcze jedno, nie zbliżajcie się do siebie na mniej niż piętnaście stóp. Wszystko jasne?

– Tak, sir – odparł Władimir.

– Sir? – wtrącił się Jaxtaboxl. – Otrzymaliśmy koordynaty.

– Dobrze, panie Sokołowie – powiedział kapitan. – Bierzcie się do roboty. Ale zanim odleciecie, pan Odom musi raz jeszcze sprawdzić ładunek i upewnić się, że zabraliście te działa co trzeba.

– Tak jest! – Porucznik zasalutował i oddalił się w kierunku windy.

– Jabol – odezwał się Cole – w jakiej odległości od źródła namierzonego sygnału znajduje się miejsce lądowania?

– Około osiemdziesięciu mil, sir – zameldował Jaxtaboxl.

Na twarzy Wilsona pojawił się uśmiezek satysfakcji.

– Chyba jednak zrobiłem na nich wrażenie.

– Sir?

– Wyjaśnij mu, Cztery Oczy.

– Nie mają pojęcia o tym, że namierzaliśmy ich stację nadawczą – powiedział Forrice. – Nie wiedzą też, że nie zechcemy niszczyć całego miasta, jeśli nie powiedzą nam, gdzie jest przetrzymywany Quinta. Dlatego starają się, aby jedyne miejsce, jakie zobaczymy, to, do którego dostarczymy działa, znajdowało się w bezpiecznej odległości od źródeł transmisji.

– Aha! – zawołał uszczęśliwiony kosmita. – Teraz rozumiem.

– A jak pan się tego domyślił, sir? – zapytał Braxyta.

– Piętnaście lat pobytu w towarzystwie kapitana zdeprawowałoby każdego – odparł Molarianin.

– Wściekasz się na mnie tylko dlatego, że odciągnąłem cię od burdelu – rzucił Cole.

Forrice wzruszył ramionami.

– I tak ostatniej z ich samiec skończyło się sezonowanie.

Na mostku pojawił się hologram Sokołowa.

– Ładunek zakończony, sir. Pan Odom potwierdził, mamy na pokładzie te działa co trzeba.

– Świetnie – ucieszył się kapitan. – Gdzie jest Domak?

– Już na pokładzie wahadłowca.

– No to zaczynamy przedstawienie.

– Tak jest.

Hologram zniknął, a Cole odwrócił się do Jaxtaboxla.

– Obserwuj ich podejście do planety. Cztery Oczy, idziemy na kawkę.

– Ja nie piję kawy.

– Świetnie. Popatrzysz, jak ja się raczę, a ja postaram się nie widzieć, jak ty żłopiesz to świństwo, które tak uwielbiasz.

– Sir? – wtrącił Jaxtaboxl.

– Tak?

– Mamy wciąż niebieską wachtę, ale nie dowodzi nią trzeci oficer. Komu mam meldować w razie problemów?

– Wal będzie pełniła obowiązki trzeciego do momentu opuszczenia pokładu „Teddy'ego R.” – wyjaśnił Wilson. – A kiedy odleci z grupą uderzeniową, ja ją zastąpię. Niemniej o sprawach mniejszej wagi możesz meldować panu Briggsowi.

Kapitan i pierwszy oficer zeszli do mesy i zajęli miejsca przy ulubionym stoliku Cole'a.

– I co o tym wszystkim myślisz? – zapytał Wilson.

– Myślę, że to coś zupełnie innego niż walka z Federacją Teroni – odparł Molarianin.

– Twoja nadpobudliwość sprawia, że zaczynasz się robić marudny – zauważył Cole. – Jakie szanse mamy, według ciebie, na wyciągnięcie przyjaciela Dawida z tego miejsca odosobnienia?

- Wyciągniemy go – stwierdził Forrice. – Było nie było, Granica bardzo potrzebuje swoich paserów.
- Co cię niepokoi, przyjacielu?
- Pytasz poważnie?
- Widzisz, żebym się uśmiechał?
- Jesteśmy na to za dobrzy, Wilsonie – powiedział Cztery Oczy. – Wiem, wiem, to o wiele lepsze niż piractwo, ale nie powinniśmy oczyszczać Granicy, usuwając po jednym złym gościu na akcję. A teraz nie robimy nawet tego. Ratujemy pasera, który dzięki nam będzie mógł sprzedać broń większej ilości zbirów, niż my zdołamy kiedykolwiek zneutralizować. Czy to nie wydaje ci się nieco niedorzeczne?
- Nie bardziej niż samo życie – odparł Cole. – Flota zdegradowała cię, ponieważ odmówiłeś wykonania rozkazu egzekucji na więźniu, o którym wiedziałeś, że jest podwójnym agentem. Mnie uwięziono za ocalenie pięciu milionów istnień. Czy życie w Republice ma naprawdę większy sens niż tutaj?
- Jeśli spojrzeć na nie pod tym kątem, nie ma – przyznał Molarianin. – Ale służąc w marynarce, mieliśmy przynajmniej złudzenia, że robimy coś dobrego. Coś, co zmieni rzeczywistość.
- Zastanów się przez chwilę i rozważ naszą sytuację – poprosił kapitan. – Federacja Teroni próbowała nas pozabijać. Republika chciała mnie upokorzyć, zamykając w więzieniu. Tutaj piracka załoga kapitana Windsaila miała zamiar nas wykończyć. Rekin Młot miał szczerą chęć rozwalenia nas na atomy. Czyngis Chan też by nas zabił, gdyby miał okazję. Ja staram się jedynie myśleć o ocaleniu życia załogi, która porzuciła dla mnie swoje domy, rodziny i kariery.
- Sam to sobie powtarzam każdego dnia – przyznał Forrice. – Czasami nawet udaje mi się przekonać samego siebie. Ale to nigdy nie trwa długo. Ty i ja byliśmy najlepszymi oficerami, jakich miała flota. A kim staniemy się tutaj, zabijając dla pieniędzy pomniejszych łotrzyków?
- Naprawdę tęsknisz za flotą, która krzywdzi w taki sposób swoich najlepszych oficerów? – zapytał Cole.
- Nie – odparł Cztery Oczy.
- Zatem o co ci chodzi?
- Chciałbym być oficerem lepszej floty!
- A ja chciałbym mieć znowu dwadzieścia trzy lata, całą przyszłość przed sobą i kogoś takiego jak Rachel czekającego na mnie w kajucie – wybuchnął Wilson. – Obawiam się, że obaj mamy na to równie małe szanse, więc lepiej cieszymy się z tego, co realnie możemy osiągnąć.
- Naprawdę chcesz to robić przez kolejne pięć lat?

Cole wzruszył ramionami.

– Kto wie, co przyniesie przyszłość. Dwa lata temu nie miałem pojęcia, że zostanę piratem. Rok temu nie sądziłem, że mogę być najemnikiem. I dlatego nie zamierzam zgadywać, co przyniesie przyszłość. Staram się żyć dzisiejszym dniem.

– Wiem – odparł Forrice. – Ale czasami popadam w deprechę.

– Dlatego, mój drogi, że ludzie i Molarianie nie różnią się pod żadnym względem – stwierdził Cole.
– A w każdym razie nie w najważniejszych kwestiach. Tylko wy posiadacie poczucie humoru. Może więc tylko wam jest też dane przeżywać depresje podobne do naszych.

– Prawdopodobnie – zgodził się Cztery Oczy.

– Byłeś moim najlepszym przyjacielem przez prawie dwanaście lat – powiedział Wilson. – Dlatego chciałbym, abyś rozmawiał ze mną całkiem szczerze za każdym razem, gdy dopadnie cię taki stan.

– Doceniam to.

– To może mieć różne skutki.

– Wiem – przyznał Molarianin, a jego usta wygięły się dziwnie, gdy uśmiechnął się na swój obcy sposób. – Tylko nie rozgaduj o tym załodze.

– Załatwione.

Zamilkli na chwilę.

– Mamy jeszcze jakieś sprawy do omówienia?

– Nie ma chyba nic, czego nie przerabialibyśmy już wczoraj – odparł Forrice. – Musimy powołać nowego trzeciego oficera, skoro Wal objęła dowodzenie „Rudym Sfinksem”.

– Jeśli pojawi się właściwy kandydat, obaj go natychmiast rozpoznamy – zapewnił go kapitan. – Szkoda, że zatrzymała Pereza u siebie. Facet by się nadał.

– Ty po prostu lubisz ludzi, którzy nawiali z floty – zauważył Cztery Oczy.

– A znasz lepsze rekomendacje? – zapytał oschle Cole.

Forrice otwierał właśnie usta, aby odpowiedzieć, gdy nad stołem pojawił się hologram Jaxtaboxla.

– Wszystko poszło zgodnie z planem, sir – zameldował kosmita. – Wahadłowiec wylądował, Thuggee rozładowali działa, Sokołowi i Domak są już w drodze powrotnej.

– Świetnie – ucieszył się Wilson. – Dajcie mi znać, kiedy otrzymamy koordynaty więzienia. To powinno nastąpić za kilka godzin.

– A jeśli nie nadejdą?

– Nadejdą – stwierdził Cole z niezachwianą pewnością.

Miał rację. Thuggee potrzebowali trzech godzin na przeprowadzenie testów polowych nowych dział laserowych. Potem zadowolony z ich przebiegu Rashid przesłał dokładne namiary na więzienie Quinty do komputerów nawigacyjnych „Teddy'ego R.”.

– Nasz paser siedzi na kontynencie zwanym Dżajpur – zameldował Jaxtaboxl. – Przekazałem wszystkie dane Wal. „Edith” zabierze grupę uderzeniową na miejsce.

– Świetnie. Spróbuj podpiąć się do któregoś z lokalnych komputerów i ściągnij wszystkie dane, jakie mają tam na temat Dżajpuru. Cztery Oczy, dopilnuj, żeby wszyscy członkowie grupy uderzeniowej zajrzeli przed odlotem do zbrojowni i pobrali palniki, piszczałki i stukacze. Jaka pora doby panuje w rejonie lądowania?

– Zmierzcha, sir – zameldował Jaxtaboxl.

– Niech pobiorą też noktowizyjne szkła kontaktowe – rozkazał Cole.

– Nie mamy szkieł dla Peponów – przypomniał mu Forrice.

– Rozumiem. Niech Bujandi coś sobie dopasuje. Gdzie jest Dawid?

– W mesie oficerskiej.

– Połącz mnie z nim. – Kapitan podniósł głos. – Dawidzie, zasuwasz natychmiast do hangaru dla wahadłowców.

– Po co? – zapytał kosmita siedzący przy niewielkim stoliku.

– Ponieważ tylko ty wiesz, jak wygląda Quinta.

– Jest Thralllem.

– A jeśli w tym pieprzonym więzieniu siedzi trzech Thrallów? – zapytał Cole.

– To zapytacie, który nazywa się Quinta.

– Dawidzie, przestań mi utrudniać życie i zasuwasz na dolny pokład.

– Nie mogę, Steerforth, mój przyjacielu!

– Ja też czytałem tę książkę – oświadczył kapitan. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że Dawid Copperfield był tchórzem?

– Był tym, który pozostaje przy życiu! – odparł kosmita.

– Ty też przeżyjesz. Jeśli zobaczę cię zaraz w hangarze.

– Twoi ludzie to najemnicy, którzy mają zadanie do wykonania – tłumaczył Copperfield z rozpaczą w głosie. – Thuggee wiedzą o tym. Ja jestem tylko paserem, a przynajmniej byłem nim do niedawna. A znaleźliśmy się tutaj z powodu tego, co oni robią paserom.

– Możesz im powiedzieć, że nie jesteś paserem.

– A kto mnie będzie słuchał? Będę tym, który przyleciał zidentyfikować Quintę.

Po prawej stronie Copperfielda pojawił się hologram Wal.

– Słyszałam waszą rozmowę – stwierdziła rudowłosa. – Pozwól mu zostać. Nie przyjmuję na służbę parszywych tchórzów.

– Ja nie służę nikomu! – wydarł się Dawid. – Jestem biznesmenem i wiktoriańskim dżentelmenem.

– Zostaw go – powtórzyła Wal.

– Jesteś pewna? – zapytał Cole.

– Smród zaszranego gaci może nas zdradzić.

– To zniewaga! – ryknął Copperfield.

– Świetnie, w takim razie lecisz z nami.

– Stwierdziłem, że to zniewaga – zaperzył się paser. – Nie wspominałem o zmianie zdania!

– Jesteśmy gotowi do odlotu – zameldowała tymczasem Wal. – Ekipa jest na pokładzie i startujemy za niecałą minutę.

– Po wylądowaniu zostawcie jednego członka zespołu na pokładzie „Edith” – zasugerował Cole.

– Po co?

– Żebyście mieli pewność, że ona nadal tam będzie, kiedy wrócicie.

– Dobrze – zgodziła się. – To sensowna propozycja.

Jej hologram zniknął, a Wilson uznał, że nie ma już nic do powiedzenia, i przerwał połączenie z Dawidem.

Obserwował wnętrze maszyny przez kamerę zamontowaną na ramieniu Sokołowa. Wal zdecydowała, że nie polecą prosto do miasta, i skierowała wahadłowiec w stronę cieśniny dzielącej bliźniacze kontynenty. *To ciekawe, pomyślał kapitan. Wszystkie państwa i kontynenty noszą hinduskie nazwy, ale niczego na tej planecie nie nazwano Indiami.*

Wahadłowiec zszedł na pułap dwustu stóp, a potem zaczął się ponownie wznosić, lecąc prosto na

zachód, ku wybrzeżom Dżajpuru. Nie osiągnął jednak zbyt wielkiej wysokości, aby nie został wychwycony przez radary i inne sensory, a po dwudziestu minutach wylądował niespełna trzy mile od miasta, w którym więziono Quintę. Grupa uderzeniowa opuściła w całkowitej ciszy wnętrze pojazdu i ruszyła w stronę rogatek, trzymając się zacienionych miejsc, o które było łatwo na słabo oświetlonych uliczkach.

Cholera, pomyślał Cole, przyglądając się obrazowi z kamery Sokołowa. *Wal jest zbyt wysoka! Za bardzo rzuca się w oczy.*

Tymczasem ekipa zagłębiała się coraz dalej w miasto, pokonując kolejne okropnie kręte uliczki, okrążając dziwnie wyglądające budowle, podczas gdy Wal nie spuszczała wzroku z podręcznego komputera. W końcu rudowłosa dała sygnał do zatrzymania, a potem kolejnymi gestami podzieliła zespół na grupy, rozstawiając ludzi wokół masywnego budynku z kamienia. Cole, widząc to, zrozumiał, że grupa uderzeniowa dotarła do celu. Jej członkowie, jeden po drugim znikali teraz we wnętrzu budowli...

...a potem nagle, bez ostrzeżenia, do uszu kapitana dotarły przeraźliwe dźwięki alarmu. Obrazy z kamery Sokołowa stały się zbyt rozmyte, by móc je obserwować. Porucznik biegał, skakał, uchylał się przed promieniami laserów, powalał kolejnych Thuggee w walce wręcz i krył się za przeszkodami, gdy ostrzał wroga stawał się zbyt ciężki. Cole słyszał w tle przekleństwa rzucane przez Wal, bzyczenie piszczałek, nawet huk archaicznej broni palnej.

– Nie wiem, czy pan mnie słyszy, sir – zameldował w końcu Władimir – ale mamy tu spory problem. Wydaje mi się, że...

W tym miejscu transmisja się skończyła. Kamerę holo trafił jeden ze starożytnych, ołowianych pocisków.

– Sokołow! – wrzasnął kapitan. – Słyszysz mnie pan!?

Odpowiedziała mu cisza.

Rozdział dwudziesty

- Szlag! – mruknął Cole. – Kto został na pokładzie „Edith”?
 - Porucznik Mueller.
 - Połączcie mnie z nią – polecił. – Ideno, mówi kapitan. Startuj natychmiast.
 - Ależ, sir – usłyszał głos podwładnej. – Czekam na...
 - Bez gadania! Startuj!
 - Tak jest.
 - Musimy im pomóc, Wilsonie – powiedział Forrice.
 - Pilocie, sprowadź nas na pułap pół mili od powierzchni planety i utrzymuj stałą pozycję nad budynkiem więzienia.
- Molarianin pośpieszył w stronę wind.
- Jadę do przedziału bojowego – rzucił. – Daj mi pół minuty na dotarcie na miejsce, a potem mów, czego mam użyć i w co wycelować.
 - Zrobi się. Niech ktoś sprowadzi tutaj Christine! – rozkazał Cole.
 - Ona śpi – przypomniał mu Jaxtaboxl.
 - To ją obudź. Ma tutaj przyjść i to już!
 - Ale...
 - Nie chcę ranić twoich uczuć – odparł kapitan – ale nasi ludzie na powierzchni znaleźli się w niebezpieczeństwie i potrzebuję na mostku wyłącznie najlepszych fachowców. – Spojrzał w stronę Wxakgini. – Jak ci idzie, pilocie?
 - Jeszcze dwadzieścia sekund – odparł Bdxeni.
 - Gdzie jest Briggs?
 - Nie wiem, sir – odparł Jaxtaboxl.
 - Znajdź go i przyślij tutaj natychmiast!
 - Już go wezwałem.
 - Jak tylko znajdzie się na mostku – zakomenderował Cole – niech staje za konsolą uzbrojenia.

- Wydawało mi się, że komandor Forrice ma zamiar obsługiwać naszą broń, sir – przypomniał mu Jabol.
- On będzie atakował – odparł Wilson – a ja potrzebuję tutaj kogoś, kto zajmie się wyłącznie obroną naszego okrętu. To robota dla Briggsa.
- Dotarliśmy na wyznaczoną pozycję, sir – zameldował Wxakgini.
- Świetnie. Cztery Oczy, słyszysz mnie?
- Tak – odparł Molarianin.
- Wyceluj w którykolwiek budynek znajdujący się w pobliżu więzienia i rozwal go. Wolałbym, żebyś wziął się w pierwszej kolejności za taki, w którym nie pali się ani jedno światło. To może sugerować, że jest pusty, ale nie marnuj zbyt wiele czasu na poszukiwania.
- Jakiej broni użyć?
- Lasera trzeciej generacji. Pozwólmy im myśleć, że nie jesteśmy lepiej uzbrojeni niż oni, może dzięki temu skoncentrują się na próbie zestrzelenia nas. Jeśli damy im zbyt dużo czasu do zastanowienia, mogą spróbować wziąć naszych ludzi na zakładników.
- Załatwione – zameldował Forrice. – Rozwaliłem budynek znajdujący się trzydzieści jardów od więzienia.
- Czy na ulicy były jakieś pojazdy?
- Chyba tak – odparł Molarianin. – Wprawdzie nie przypominają niczego, co wcześniej widziałem, ale są nieruchome i stoją na zewnątrz... Czekaj. Jeden właśnie się poruszył.
- Zrób co tam trzeba z laserem i podpal mi pięć albo sześć takich wozów.
- Cztery... pięć... sześć, załatwione.
- To powinno ich przekonać, że sytuacja w więzieniu nie jest dla nich najważniejszym problemem.

Christine pojawiła się na mostku i natychmiast podeszła do swojego stanowiska.

- Wybacz, że cię obudziłem – powiedział Cole. – Monitoruj wszystkie transmisje nadawane z więzienia i daj mi znać, kiedy tylko wychwycisz coś konkretnego. Gdzie jest Briggs?

Malcolm pojawił się na mostku jak na zawołanie.

- Co się dzieje, sir? – zapytał.

- Nasza grupa uderzeniowa ma problem, a my robimy, co w naszej mocy, żeby odwrócić od niej uwagę Thuggee. Jeśli plan wypali, zaczną strzelać do nas. Ty masz zadbać o to, żeby nie trafili.

- Tak jest! – zawołał Briggs i pognął w stronę konsoli uzbrojenia. – Czy mam się też zająć systemami ofensywnymi?
- Nie. Cztery Oczy już je obsługuje – odparł Cole. – Ty pilnuj, żeby nas nie trafili.
- Tak jest.
- A co ja mam robić, sir? – zapytał Jaxtaboxl, który pozostał bez przydziału.
- Zbierz drugą grupę uderzeniową – polecił mu kapitan. – Ośmiu członków załogi, pełne uzbrojenie, niech czekają przy hangarze.
- Tak jest. Będziemy gotowi do ataku za pięć minut.
- Nikogo nie będziecie atakowali. Z tym poradzimy sobie, nie schodząc na dół. Ale jeśli ktoś z naszych przeżył, musicie go ewakuować bez względu na to, czy może chodzić, czy jest nieprzytomny. Ranni nie zdołają pokonać trzech mil wrogiego terytorium, aby wrócić na „Edith”, której i tak już tam nie ma. Jak tylko rozmiękczymy obronę, wylądujecie na wprost wejścia do więzienia i przeprowadzicie ewakuację.
- Tak jest! – Jaxtaboxl pospieszył, aby zmontować grupę ratunkową.
- Odpowiadają ogniem, sir – zameldował Briggs. – Stukacze drugiej generacji i palniki trzeciej. Nic, z czym nie dalibyśmy sobie rady.
- Cztery Oczy, namierz i ucisz mi te stukacze oraz palniki – rozkazał Cole.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Możecie o nich zapomnieć – zameldował Forrice.
- Christine, czy odbierasz jakieś wiadomości od Sokołowa albo pozostałych?
- Nie, sir.
- A co mówi przeciwnik?
- Wiedzą tylko, że zaatakowaliśmy, nie mają pojęcia, kim jesteśmy i dlaczego to robimy – odparła Mboya.
- Ktoś jednak wydał rozkaz odpowiedzenia ogniem – zauważył kapitan. – Możesz mi go namierzyć i dać na wizję?
- Na razie nie, sir.
- Szukaj dalej.

– Tak jest.

– I połącz mnie z panem Odomem.

– Zrobione, sir.

Na mostku pojawił się hologram pierwszego mechanika okrętu.

– Tak, kapitanie?

– Zapewne już pan zauważył, że musieliśmy wejść do akcji – powiedział Cole. – Wprawdzie przeciwnik nie ma niczego, czym mógłby zagrozić „Teddy’emu R.”, to tylko palniki trzeciej generacji i jeszcze starsze stukacze, ale może zajść konieczność posłania na powierzchnię jednego z wahadłowców. Czy „Kermit” wytrzyma taki ogień?

– Palniki nie będą dla niego problemem, sir, na pewno nie te starsze niż czwarta generacja – odparł Odom. – Ale stukacze to zupełnie inna sprawa. Można nimi wytrącić maszynę z kursu, co da się prosto skorygować... ale jeśli uderzą z odpowiednią siłą, wstrząs może poranić załogę i pasażerów, a nawet doprowadzić do uszkodzenia kadłuba.

– Dziękuję, panie Odom – powiedział Cole. – Jabol!

– Tak, sir? – usłyszał głos Jaxtaboxla.

– Przygotujcie się, ale nie startujcie, dopóki nie dostaniecie rozkazu. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Czy oni nadal strzelają, panie Briggs?

– Nie, sir. Nie sędzę, żeby mieli na to ochotę. Wiedzą już, że nie mogą nas trafić, a my niszczymy natychmiast każdą baterię, jaka otwiera ogień.

– Christine, masz już coś?

– Chyba tak, sir – odparła. – Nie mogę zagwarantować, że to osoba, z którą chce pan rozmawiać, ale to do niej spływają raporty większości jednostek wojskowych.

– Świetnie – ucieszył się Cole. – Zobaczmy, czy uda nam się zażegnać ten kryzys bez konieczności oddania kolejnego strzału. Jak nazywał się osobnik, któremu sprzedaliśmy te dwa działa? Rashid?

– Tak, sir.

– Trzymaj jego hologram na podorędziu i łącz mnie z planetą.

– Nie wiem, czy namierzę samego dowódcę, sir – usprawiedliwiała się Christine. – Być może przekaz trafi do kogoś stojącego tuż obok.

– Nie szkodzi. Zaczynaj.

W tej samej chwili Cole zobaczył przed sobą sylwetki trzech Thuggee, jeden siedział, dwaj pozostali stali za nim. Wszyscy wyglądali identycznie, jak Rashid – byli niemal nadzy, tylko z ramion zwisały im szarfy z insygniami i odznaczeniami.

– Jestem Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”.

Siedzący Thuggee patrzył prosto przed siebie, bez wątpienia na hologram intruza.

– Jestem Nasir, komendant miasta Dżamata. Dlaczego nas zaatakowaliście?

– Przetrzymujecie u siebie więźnia imieniem Quinta, przedstawiciela rasy Thrall – wyjaśnił kapitan.
– Chcemy go uwolnić.

– Zatem to pańscy podwładni usiłowali dostać się do jego celi?

– Zgadza się. Oni także mają do mnie wrócić. I to żywi!

– Złamał pan nasze prawa, ostrzelał instalacje broniące pokoju i oczekuje pan, że będę się z panem układał.

– Nie musimy się układać. Chcę odzyskać moich podwładnych, a pan mi ich wyda.

– Mogę to uczynić, ale żywi nie będą.

– Wiem, że może pan to zrobić – odparł Wilson. – Ale nie słyszał pan jeszcze mojej oferty.

– A co mnie ona obchodzi? I tak zagrozi nam pan śmiercią, jeśli się nie zgodzimy, domyślam się też, że posiada pan środki, aby to zrobić, ale tym sposobem nie odzyska pan swojej załogi. Jeśli wasza broń nie zabije ich razem z nami, sami zdążymy wykonać egzekucje, zanim nas dopadniecie.

– Ostrzelaliśmy was z przestrzeni – przyznał Cole. – Ale zrobiliśmy to tylko po to, byście zwrócili na nas uwagę i wyrażam szczere ubolewanie, jeśli uczyniliśmy tym krzywdę waszym obywatelom. Niemniej powinien pan wysłuchać mojej oferty. Przedstawię ją tylko raz i nie będzie podlegała żadnym negocjacjom.

– Dobrze, kapitanie Cole – odparł Nasir. – Proszę ją przedstawić, a potem zmówić modlitwę do swoich bóstw w intencji poległych członków załogi.

– Wyślę na powierzchnię planety wahadłowiec. Maszyna ta wylądje na wprost wejścia do więzienia, a jej załoga ewakuje moich ludzi i więźnia imieniem Quinta. Nie ostrzelacie ich na ziemi, podczas lotu na planetę, ani podczas powrotu.

– Jest pan marzycielem, kapitanie Cole.

– Jeszcze nie skończyłem – odparł Wilson. – Jeśli nie spełnicie tych warunków, nie ostrzelamy was z

pokładu okrętu ani nie zaatakujemy w inny sposób. Ale... – spojrzał na Christine i wyszeptał: – Wyślij im holo Rashida – a potem wrócił do przemowy. – Ale damy, powtarzam: damy, a nie sprzedamy, dziesięć dział pulsacyjnych piątej generacji i dziesięć równie zaawansowanych technologicznie baterii laserowych naszemu przyjacielowi Rashidowi, przywódcy ludu Pendżabu, którego wizerunek właśnie widzicie. „Teodor Roosevelt” nie jest zainteresowany podbojami. Gdybyśmy chcieli ukarać was za zabicie moich ludzi i więźnia, moglibyśmy zlikwidować waszych przywódców, zaś gdybyśmy się dowiedzieli, że zachowywaliście się okrutnie wobec jeńców, moglibyśmy nawet zniszczyć któreś z waszych miast, ale na tym by się skończyło. Reszta waszego narodu nie przejmowałaby się całą sprawą. Przywódcy Pendżabu nie odpuszczą szybko... – zamilkł, aby te słowa dobrze zapadły rozmówcy w pamięć. – Masz dwie minuty standardowe na odpowiedź, Nasir.

Nie musiał czekać dwóch minut, nie trwało to nawet trzydzieści sekund. Nasir wiedział, że został pokonany.

– Wyślijcie ten wahadłowiec – powiedział. – Nie będziemy do niego strzelali.

– Maszyna już tam leci – odparł Cole. – Straciliśmy kontakt z naszym zespołem kilka minut temu. Jeśli na terenie więzienia nadal trwa walka, wydaj rozkaz natychmiastowego przerwania ognia. I to już!

– Jeśli nadal walczą, zaraz przestaną – zapewnił go Thuggee.

Cole skinął do Christine, a ta natychmiast przerwała połączenie.

– Jabol!

– Tak, sir.

– Ruszajcie. Prawdopodobnie nikt nie będzie do was strzelał, ale bądźcie przygotowani na każdą sytuację. Istnieje możliwość, że Nasir nie ma łączności z załogą więzienia.

– Jesteśmy ciężko uzbrojeni i gotowi na wszystko, sir – zameldował Jaxtaboxl.

– Cztery Oczy.

– Wiem, wiem – odparł Molarianin. – Mam ich osłaniać w czasie lądowania i powrotu.

– Christine, przekaz załodze, że w tej samej sekundzie, w której wahadłowiec znajdzie się na pokładzie „Teddy'ego R.”, ruszamy w stronę najbliższego szpitala.

– Tak jest.

– A teraz poczekamy... – wymamrotał do siebie Cole, gdy wahadłowiec ruszył na Dżajpur.

„Kermit” potrzebował siedmiu minut, aby wylądować, przeprowadzić akcję ewakuacyjną i wrócić na pokład macierzystej jednostki. Krążąca po wysokiej orbicie nad Nową Kalkutą „Edith” pojawiła się

zaraz potem. Cole posłał Śliskiego i dwóch innych członków załogi, aby pomogli przy transportowaniu rannych do ambulatorium.

– Jakie ponieśliśmy straty? – zapytał, gdy opróżniono wahadłowiec.

– Dobra wiadomość jest taka, że Wal nie ma nawet draśnięcia – zameldował Tolobita.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł kapitan. – Dajcie mi pięćdziesiąt takich jak ona, a podbijemy całą Republikę. A jakie są złe wiadomości?

– James Nichols zginął – zaczął wyliczać Śliski. – Dan Moyer i Władimir Sokołow są ciężko ranni. Rachel Marcos, Erie Pampas, Jacillios i Braxyta odnieśli lżejsze obrażenia. Thrallowi nic się nie stało.

– Dziękuję – powiedział Cole. – Upewnij się, że niczego im nie zabraknie. Sharon zna kombinacje zamków do magazynu leków. Mamy w nim kilka nasion alfanelli. Daj po jednym do żucia Sokołowowi i Moyerowi. Tylko upewnij się na koniec, że pozamykałeś wszystko dokładnie!

– Już o tym pomyślałam – wtrąciła Sharon. – Nasiona czekają na nich w ambulatorium.

– Dzięki.

– Czy nasiona alfanelli nie są przypadkiem nielegalnym lekiem? – zapytała Christine, gdy kapitan przerwał połączenie.

– Tak, na terytorium Republiki – przyznał Cole. – Ale na Wewnętrznej Granicy nie istnieje słowo „nielegalne”. Skonfiskowałem nasiona w pierwszym miesiącu służby na pokładzie „Teddy'ego R.”. Chciałem je wykorzystać jako zapłatę za użyteczne informacje, kiedy zajęliśmy się piractwem, ale jakoś nie było okazji. I chyba dobrze. Wyślą Sokołowa i Moyera do krainy snów znacznie szybciej niż jakiegokolwiek znane mi legalne lekarstwo. Połącz mnie raz jeszcze z Sharon.

– Tak, Wilsonie?

– Wiem, że nie jesteś lekarzem, a nawet pielęgniarką – zagaił – ale wiesz przynajmniej, jak zakłada się opaski uciskowe. Jeśli któryś z nich krwawi za bardzo, postaraj się opatrzyć go jak najlepiej. I żądaj każdej pomocy, jaka ci będzie potrzebna.

– Dobrze.

– Pilotcie, ile czasu potrzebujemy, aby dotrzeć do planety posiadającej porządną szpital?

– Szukam pobliskich tuneli czasoprzestrzennych – odparł Wxakgini, przeszukując wspólnie z komputerem nawigacyjnym mapy okolicznych sektorów.

– Tylko nie kombinuj za bardzo – poprosił kapitan. – Mamy na pokładzie kilku ciężko rannych członków załogi.

Na moment zapanowała cisza.

– Znalazłem szpital orbitalny na Prometeuszu, pomiędzy trzecią i czwartą planetą systemu. Na obu istnieją ludzkie kolonie, sir – zameldował pilot. – Mogę dolecieć tam tunelem Kurasawa i dotrzeć na miejsce za osiemdziesiąt minut standardowych.

– Świetnie, zabierz nas tam.

– Ale to niezbyt wielki szpital, sir.

– Leć i nie gadaj.

Cole opuścił mostek i udał się do saloniku oficerskiego, w którym wciąż siedział Dawid Copperfield.

– Już po wszystkim – powiedział. – Wydostaliśmy Quintę.

– Wiem – odparł kosmita. – Śledziłem bieg wydarzeń. Nasz wychowawca byłby z pana dumny, mój drogi Steerforth.

– Mam nadzieję, że twój przyjaciel był wart tego poświęcenia.

– Wierzę, że odwdzieczy się nam w odpowiedni sposób.

– Lepiej, żeby to zrobił – stwierdził kapitan. – Będzie musiał zapłacić także za wszystkie koszty leczenia, jakie poniesiemy.

– Moglibyśmy za nie zapłacić sami, zważywszy jak wiele na tej operacji zarobiliśmy – zauważył Copperfield.

– Dobrze – odparł Cole. – W takim razie potrączę za nie z twojej części zapłaty.

Kosmitę zamurowało na dłuższą chwilę. Potem skrzywił się i walnął rączką w poręcz fotela, na którym siedział.

– Ten łotr zapłaci za koszty leczenia albo odeślemy go z powrotem na Dżajpur!

Cole uśmiechnął się.

– Widzisz, Dawidzie, nasz wychowawca z pewnością byłby też dumny z ciebie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Cztery dni później „Teodor Roosevelt” przycumował do Stacji Singapur. Kapitan ustalił dwudziestoczworogodzinne wachty, po których wymieniano szkieletową załogę na wypoczętych ludzi. Moyer i Sokołow pozostali w szpitalu krążącym po orbicie Prometeusza IV. Wstępne diagnozy stwierdzały, że Władimir powróci do służby za około dziesięć dni, natomiast Moyer będzie wymagał trzy razy dłuższej rekonwalescencji.

Perez zameldował, że unowocześnianie pozostałych jednostek zostało zakończone i były gotowe do przeprowadzenia testów w terenie. Kapitanowie mniejszych statków kręcili nosami na to, że nie biorą udziału w podziale łupów z wyprawy na Nową Kalkutę, ale Wilson szybko im wytłumaczył, że z tych pieniędzy opłacono remonty ich jednostek.

Cole miał już dość ciasnych wnętrzy okrętu. Zszedł więc z pokładu na całe trzy dni, aby za przykładem większości załogi wynająć pokój w jednym z licznych hoteli mieszczących się we wnętrzu stacji. Właśnie rozmawiał o zaletach takiego wypoczynku z Dawidem Copperfieldem i Platynowym Księciem, siedząc w kasynie tego drugiego, gdy do ich niewielkiego stolika, na którym z trudem mieściły się drinki, podszedł radosny jak nigdy Forrice.

– Nigdy nie przypuszczałem, że pomieszczenie dziesięć na dziesięć stóp, z sufitem wiszącym zaledwie osiem stóp nad podłogą może dać człowiekowi tak wielkie poczucie swobody – perorował kapitan. – Chyba za długo tkwiłem na pokładzie „Teddy'ego R.” i innych okrętów wojennych. Do licha, spędziłem połowę dorosłego życia w pomieszczeniach, w których nie dało się rozłożyć rąk na całą szerokość. Dopłaciłem nawet do prysznica z prawdziwą wodą, zamiast tradycyjnego suchego natrysku. – Podniósł wzrok na Molarianina, przechylającego szklankę dymiącego, niebieskawego płynu. – Witaj, Cztery Oczy, siadaj z nami.

– Dzięki – odparł Forrice. – Właśnie skończyliśmy z Perezem pracę nad naszymi nowymi jednostkami.

– I jak wam poszło?

– Zaczynają funkcjonować jak prawdziwa eskadra. A przecież żaden z kapitanów nigdy nie służył we flocie. To sami wolni strzelcy... – przerwał. – Perez to dobry człowiek. Zasługuje na dowodzenie własnym statkiem.

– I dostanie go. Daj mi tylko trochę czasu.

– Tak przy okazji, rozmawiałem przed przyjściem tutaj z Władimirem Sokołowem. Dobrze się nim tam zajęli. Na szczęście nie trzeba było klonować żadnych organów wewnętrznych. Miał tylko rozległe poparzenia i kilka złamanych kości. Ma nadzieję na rychły powrót do służby.

– On ma nadzieję? – zdziwił się Cole. – Chyba trzymają go w jakiejś klitce bez okien z sufitem tak niskim, że trzeba się nieustannie schylać. Nie wyobrażam sobie, żeby człowiek w innych warunkach zatęsknił za ciasnotą „Teddy'ego R.”.

- Coś mi się widzi, że wasz kapitan zapadł na poważną gorączkę kajutową – wtrącił Książę, a jego usta ułożyły się w uśmiech na metalowej twarzy.
- Nie ma niczego złego w rozprostowywaniu rąk, nóg i całej reszty – stwierdził Wilson i znów spojrzał na Forrice'a. – Ostatnimi dniami prawie cię nie widywałem. Nie dzielileś chyba całego czasu pomiędzy pracę i odwiedzanie burdelu?
- Odkryłem pewną grę, która wymaga zaangażowania każdej komórki molariańskiego umysłu – oświadczył Cztery Oczy.
- Musi być prostsza od black jacka – stwierdził Cole i roześmiał się.
- Jest nieskończenie bardziej skomplikowana – odparł Forrice – ale jeśli ktoś ją opanuje w stopniu mistrzowskim, wygrana będzie ogromna.
- Ale nie grywałeś w kasynie Księcia – zauważył Wilson. – Jak już wspominałem, nie widywałem cię tutaj.
- Nie. Uczyłem się zasad w kasynie o nazwie „Świetlik”. Pan Briggs wytłumaczył mi już, od czego wzięło nazwę.
- „Świetlik”? – mruknął Książę, pociągając drinka przez słomkę, aby przypadkiem nie ubrudzić metalowej brody. – Zatem wiem, w co pan grał. To stort, nieprawdaż?
- Tak – przyznał Molarianin. – Fascynująca gra. Można grać z innymi obstawiającymi albo przeciw kasynu, kartami i żetonami, na czterech poziomach.
- Trudności?
- Przestrzeni.
- Dlaczego nie macie tutaj tej gry? – zapytał Cole.
- Stort się nie opłaca – odparł Książę. – Daje tylko dwa procent przebitki kasynom.
- Tylko dwa procent? – zdziwił się kapitan. – No to się nie dziwię. Ile wygrałeś do tej pory, Cztery Oczy?
- Prawdę powiedziawszy, jestem do tyłu trzy tysiące funtów Dalekiego Londynu – przyznał zawstydzony Molarianin. – Gra ma więcej subtelności, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Ale już je opanowuję. Za tydzień ogram to kasyno.
- Przypomnij mi któregoś dnia, a powiem ci, czyją matką jest nadzieja – powiedział Cole.
- Myślę sobie, mój drogi Steerforth... – zaczął Dawid Copperfield.
- Przestań! – przerwał mu kapitan, nie do końca żartując. – Za każdym razem, kiedy zaczynasz

myśleć, ktoś chce nas zabić.

– Wypraszam sobie! – zawołał oburzony Dawid. – Chciałem tylko wspomnieć, że powinniśmy zainwestować część naszych dochodów!

– Mój drogi, po tym, jak wypłaciłem żołd wszystkim członkom załogi, a uwierz mi, że na szczęście jednostkach służy ich cała masa, i na dodatek uzupełniłem paliwo, uzbrojenie oraz amunicję, nie zostało nam wiele do zainwestowania. Poza tym jako najemnicy walczymy znacznie częściej, niż kiedyś zdarzało się to we flocie. Założenie, że wszyscy przeżyjemy, byłoby wielką przesadą, a skoro nikt z nas nie ma tu rodzin, po co mamy oszczędzać albo inwestować?

– Wie pan doskonale, o czym mówię, mój drogi Steerforth – odparł Copperfield. – Proszę nie wyrażać się jak zwykły marynarz.

– Nie mamy na pokładach zwykłych marynarzy.

– Wie pan przecież, o co mi chodziło – naciskał kosmita. – Na pewno dostrzega pan korzyści z posiadania inwestycji, które przynoszą dodatkowy dochód.

– To nie są moje pieniądze, Dawidzie. One są nasze. Zapytaj Cztery Oczy, czy odpuści sobie dwa wypadki do burdelu na każdej przepustce, żeby zyskać dodatkowe sto funtów zysku za dziesięć lat, kiedy mu już odstrzelą wszystkie jaja. Zapytaj Wal, czy przez dziesięć lat będzie abstynentką, aby móc pić przez kolejnych piętnaście. Zapytaj Byka Pampasa, czy zadowolili się połową ilości torped, jakie zwyczajowo zabieramy w rejs, żeby za dwanaście lat stać nas było na lepsze uzbrojenie... – Cole przerwał. – Rozumiem korzyści płynące z inwestowania nie gorzej niż ty, Dawidzie, ale one nie mają większego znaczenia dla ludzi, którzy ryzykują życiem każdego dnia, zwłaszcza gdy nie będzie ich komu zostawić, a szanse na dożycie późnej starości wydają się mniej niż nikłe.

– Musisz wybaczyć mojemu przyjacielowi – wtrącił Forrice. – On jest takim niepoprawnym optymistą.

– Nie jestem ani optymistą, ani pesymistą – poprawił go kapitan – tylko realistą. Ta cecha charakteryzuje nas od czasu, gdy ludzie zamieszkivali wyłącznie Ziemię: dzisiejszy śmiertelny wróg jutro mógł stać się ukochanym przyjacielem, a ukochany przyjaciel śmiertelnym wrogiem. Tak było, jest i będzie. Wyruszaliśmy na wojny od czasu, gdy pierwszy jaskiniowiec rozwalił drugiemu łeb maczugą. Lepiej żyć dniem dzisiejszym.

– Chociaż to akurat zależy od tego, jaki mamy dzień – zauważył Molarianin. – Mogę sobie przypomnieć całą masę takich, których nie chciałbym ponownie przeżyć.

– Nie mówisz chyba o ostatnich kilku? – zapytał Cole. – Czy takiej odpowiedzi się po mnie spodziewałeś, Dawidzie?

– Ale nie będzie pan miał mi za złe, jeśli zainwestuję swoje dochody? – odparł pytaniem na pytanie Copperfield.

– Chce ci się tym bawić? Obaj wiemy, że całe terytorium Granicy usiane jest schowkami pełnymi milionów kredytów, które ukryłeś w czasach, gdy byłeś jednym z najbardziej znanych paserów.

– Połowa z tego pochodziła z inwestycji, połowa z interesów.

– A co z nimi zrobisz, jeśli wrócimy do Republiki?

– Pożyczę panu wszystkiego najlepszego na pożegnanie i za ułamek tej sumy prześlę wieniec nagrobny, mój drogi Steerforth – odparł Copperfield.

– Nikt z nas nie wróci do Republiki – wtrącił Książę. – W czasie waszej wyprawy flota Teroni przedarła się przez linie obrony i zniszczyła cztery planety rolnicze.

– Ciekawe po co? – zainteresował się Dawid. – Przecież w takich koloniach nie mieszka więcej niż stu ludzi. Całą robotę odwalają roboty.

– Ale każda z tych planet była w stanie wyżywić od pięciu do dziesięciu zamieszkanych światów, na których nie można uprawiać ziemi – wyjaśnił Cole i rzucił spojrzenie przez stół, w stronę Księcia. – Niech zgadnę. Plotki już się rozeszły i koloniści strzelają do wszystkiego, co pojawia się na niebie.

Człowiek z platyny skinął głową.

– Zgodnie z moimi informacjami, programowane na pełną obronę systemy defensywy przeciwprzestrzennej zniszczyły już siedem okrętów floty, dwa frachtowce i pasażerski liniowiec... – przerwał na chwilę. – To z pewnością nie najlepszy moment na powrót do Republiki.

– Nigdy tam nie wrócimy – stwierdził z naciskiem Cole. – Te wszystkie jednostki zostały zniszczone przez pomyłkę. Do nas będą strzelali z pełnym rozmysłem.

– I tak nie mamy po co tam wracać – zauważył Forrice. – Każdy członek załogi „Teddy'ego R.”, który zabrał się z nami, jest ścigany listem gończym. Za głowę Wilsona wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu milionów kredytów. Za mnie dają trzy miliony, nie wspomnę już, ile można zarobić za odzyskanie okrętu.

– Jeśli zdobędzie pan jakieś ciekawe wiadomości, proszę mi je przekazać, z chęcią podam je załodze. To, że nie możemy tam wrócić, nie oznacza, że nikogo nie interesuje, co dzieje się w Republice.

– Chodzi ci o wiadomości dotyczące wojny? – zapytał Książę.

– Obie strony chcą naszej śmierci. Nikogo z nas nie obchodzi, jakie są losy tej wojny. Potrzebuję wyników meczy, kopii nowych holofilmów, którymi moglibyśmy uzupełniać naszą biblioteczkę pokładową. Czegoś, co będzie nam przypominało o domu.

– Zdobędę dla pana te materiały – obiecał Książę.

– A pan nie tęskni za swoją ojczystą planetą? – zapytał Molarianin.

– Stacja Singapur jest teraz moim domem – odparł człowiek z platyny. – Nie opuszczałem jej od ponad trzydziestu lat i nie zamierzam tego robić w przyszłości.

– Pan przynajmniej znalazł sobie nową, choć sztuczną, ojczyznę – stwierdził Cztery Oczy. – My mamy tylko stuletni okręt.

– Zaczyna się robić smętnie – zauważył Dawid. – Trzeba nam, moi panowie, ognistych tancerek.

– Pana one też kręcą? – zapytał zdziwiony Książę.

– Jestem wiktoriańskim dżentelmenem, sir – odparł zapalczywie Copperfield. – Oczywiście, że poruszają mnie ich wdzięki. Czy pan ulega jedynie kobietom z platyny?

– Nie zamierzałem pana obrażać – zastrzegł się szef stacji. – Zmieniając temat, ktoś mnie wciąż obrabia przy stole do jaboba. Gdzie jest ta wasza rudowłosa gigantka?

Cole wzruszył ramionami.

– Może mnie pan pytać. Dowodzi teraz swoim własnym statkiem, więc nie podlega mi bezpośrednio do momentu rozpoczęcia kolejnego zadania. Ale domyślam się, że chleje i walczy na pięści wcale nie tak daleko od tego miejsca.

– Dlaczego nie przyłączy się do nas?

– Prawdopodobnie obawia się, że będzie jej pan co rusz przerywał picie opowieściami o ludziach, którzy oszukują kasyno – odparł kapitan.

– Proście, a będzie wam dane – rzucił Dawid Copperfield.

– O czym pan mówi? – zapytał Książę.

– Proszę spojrzeć – odparł kosmita, wskazując na wejście, w którym pojawiła się zwalista sylwetka Walkirii.

Cole pomachał jej ręką i szybko dotarła do ich stolika.

– Przysiadź się do nas, moja droga, napij się w zacnym towarzystwie – zachęcił ją Dawid.

– Cały dzień chlałam – odparła, siadając ciężko. – Ale jednego małego nie odmówię.

– Co pani sobie życzy? – zapytał stolik.

– Daj mi to, czego nauczyłam waszego barmana zeszłej nocy – poprosiła rudowłosa. – Purpurowy Płomień.

– Nie mam czegoś takiego w bazie danych – odparł stolik.

- To zapytaj barmana. On wie, jak to się robi.
- Mamy siedemnastu barmanów – usłyszała w odpowiedzi. – Może pani wskazać, o którego chodzi?
- Człowiek, mężczyzna, sześć stóp wzrostu, łysiejący na czubku głowy, siwawy na skroniach, zdaje się, że miał sztuczną lewą rękę, brakowało mu też dwóch zębów w górnej szczęcie, po prawej. No i dobiegał już pięćdziesiątki.
- Cholera, to było niezłe – przyznał Forrice.
- Mówi pani o Szarym Maksie, prawdziwe nazwisko Archibald Token. Ma teraz wolne i jest nieosiągalny.
- Niech ci będzie – ustąpiła w końcu Wal. – Zaczynaj od trzech uncji kryształowo niebieskiego żyta, dodaj uncję banariańskiej głupawki i uncję rumu z Nowego Barbadosu, do tego odrobinę likieru ziołowego i uncję soku cytrusowego z Laginappe II, może być każdy smak. Potem wszystko wymieszaj i dodaj do bazy danych.
- To ten jeden mały? – zapytał Cole, zastanawiając się chyba po raz setny, jakim cudem Walkiria utrzymuje tak fantastyczną figurę.
- Czysty czy z lodem? – zapytał stolik.
- Czysty.

Drink pojawił się trzydzieści sekund później.

- Musisz lepiej szkolić swoich pracowników – rudowłosa upomniała Księcia. – Jak on mógł iść do domu, nie zapisawszy najpierw tej receptury? Człowiek może umrzeć tutaj z pragnienia, czekając na powrót Szarego Maksa i dyktując do pustego blatu, co wchodzi w skład Purpurowego Płomienia.
- Komputer na pewno poleciłby w zamian coś równie dobrego – zapewnił ją Wilson.
- Sam sobie próbuj te zlewki – prychnęła rudowłosa.
- Za bardzo cenię swój żołądek – odparł Cole.
- Kiedy Sokołow wylezie w końcu ze szpitala? – zapytała Wal. – On i Briggs są moimi kumplami od chlania. To znaczy byli moimi kumplami od chlania – poprawiła się zaraz – zanim odeszłam na „Rudego Sfinksa”.
- Jestem pewien, że na Stacji Singapur znajdziesz więcej towarzystwa do picia, niż przypuszczasz – stwierdził kapitan, a moment później zauważył niewielkie opuchnięcie pod lewym okiem kobiety. – Chociaż, jak widzę, spotkałaś już kogoś, kto nie tylko potrafi pić, ale i przyłożyć.

Pokręciła głową.

- To był tylko android z tutejszego burdelu – wyjaśniła bez jakiegokolwiek skrępowania czy zażenowania. – Za bardzo się rozkręcił... – zamilkła i obrzuciła wzrokiem starte kostki. – Ale jestem pewna, że naprawią go za dwa, trzy dni.
- Gdyby Republika miała pannę we flocie, wygrałaby tę wojnę już dziesięć lat temu – stwierdził z podziwem Copperfield.
- To by się wam wcale nie podobało – mruknęła Wal.
- Obawiam się, że nie nadążam za panną.
- Gdyby Republika wygrała tę wojnę dziesięć lat temu, dzisiaj zabrałaby się za Stację Singapur. I gdzie byś odpoczywał i załatwiał szemrane interesy?
- Ma pani rację – przyznał Książę. – Ludzie zawsze byli głodni podbojów. I jestem pewien, że gdyby nie atak Federacji Teroni, wyciągnęliby łapy po moją stację.
- Na szczęście mają je teraz zajęte na innym froncie – wtrącił Cole.
- A kogo to jeszcze obchodzi? – zapytała Walkiria. – Porozmawiajmy lepiej o interesach. Odpoczęłam i jestem gotowa do wyjścia.
- Do wyjścia? – zapytał skołowany Copperfield.
- W przestrzeń – wyjaśniła. – Załatwiliście już następną robotę?
- Nawet nie zaczęliśmy o niej gadać – odparł Cole. – Wydawało mi się, że wszyscy chcą odpocząć po ostatniej akcji.
- Przecież już mamy odpoczynek za sobą – stwierdziła Wal. – Czas zarobić trochę grosza.
- I niedługo to zrobimy – zapewnił ją kapitan.

Wal dokończyła drinka i wstała.

- Zrobię rundkę i zobaczę, co się dzieje – oznajmiła. – Do zobaczenia.
- Spójrzcie tylko na nią – powiedział Forrice, gdy kierowała się na główne wejście do kasyna. – Prosta jak struna. Jakim cudem ona wlewa w siebie tyle stymulantów i zachowuje trzeźwość?
- Zadziwiająca kobieta – przyznał Cole. – Cieszymy się, że jest po naszej stronie.
- Wprawdzie nie chciałem psuć wam zabawy nowymi propozycjami – wtrącił Książę – ale skoro tak rwiecie się do roboty...
- Może damy sobie z tym chwilowo spokój – poprosił kapitan, jeśli pojawi się lukratywna i interesująca propozycja, proszę ją zreferować Dawidowi.

- Tak zrobię obiecał szef stacji.
- A teraz – oświadczył Wilson, wstając – mam zamiar zjeść porządny obiad.
- Proszę tylko powiedzieć, na co ma pan ochotę, a mój prywatny kucharz natychmiast to przyrządzi – zaproponował Książę.
- Dzięki, ale tak rzadko mam okazję wyrwać się z pokładu, że chciałbym zwiedzić kawałek pańskiego, niewielkiego w końcu, świata.
- Rozumiem – odparł człowiek z platyny – i pochwalam tę decyzję. Zobaczymy się później?
- Tak. Wpadnę do pana, zanim udam się na zasłużony odpoczynek – kapitan odwrócił się do Molarianina. – Jeśli chcesz, możemy przejść się razem. Może znajdziemy jakiś lokalik, w którym obsługują wszystkie rasy.
- Wolę poszukać szczęścia na własną rękę – odparł Cztery Oczy. – Wciąż pracuję nad systemem. Wpadnij po mnie do „Świetlika” za jakieś dwie godziny.

Cole westchnął ciężko.

- Ludzie i Molarianie nigdy się niczego nie uczą.
- Muszę nieco bardziej zgłębić te wszystkie subtelności i złożoności gry – zbył go Forrice. – Wiem, że już zbliżam się do celu.
- Dlaczego nie wydasz tych pieniędzy na kolejną wizytę w burdelu? – zasugerował mu Wilson. – Będziesz miał o wiele większą radochę za te same pieniądze.

Molarianin skrzywił się.

- Ja płacę, one mnie obsługują, gdzie tu wyzwanie i napięcie?
- A co cię bardziej interesuje, satysfakcja czy wyzwanie?
- Przestań komplikować moje życie – poprosił Cztery Oczy. – Za chwilę głowa rozboli mnie jak cholera. – Ruszył w stronę wyjścia. – Po prostu przyjdź po mnie za dwie godzinki.

Cole patrzył, jak Molarianin opuszcza kasyno, kręcąc się z niezwykłą gracją na trzech nogach, a potem powiedział do Księcia:

- Nie uwierzy pan, kiedy powiem, że to najmądrzejszy i najbardziej lojalny członek mojej załogi. No dobrze, wrócę tutaj za kilka godzin.

Wyszedł na zewnątrz i ruszył wąskimi uliczkami, czując się nieco klaustrofobicznie, bo choć sklepienie wisiało dwanaście stóp nad jego głową, wokół nie było ani jednego ekranu ani okna. Minął trójkę Lodinitów, dwie kobiety, wielkiego Torquala, kilka istot, których nigdy wcześniej nie

widział, nawet jednego Teroni, ten jednak nie spojrzał nawet na niego, szanując neutralność terytorium stacji leżącej w samym sercu galaktycznej ziemi niczyjej.

W końcu Cole dotarł do restauracji, która przyciągnęła jego wzrok. Oferowano w niej potrawy ze zmutowanego bydła hodowanego na Polluksie IV. Już miał wejść, gdy zwrócił uwagę na bistro znajdujące się przecznicę dalej. Dobiegały z niego dźwięki muzyki, prawdziwego jazzu granego przez ludzi. Gdy wszedł do środka, zauważył dwie kobiety, które poruszały się wolno i zmysłowo w egzotycznym tańcu na ruchomej scenie. Spojrzał w menu i zorientował się natychmiast, że serwowano tu wyłącznie zakamuflowane ciekawymi nazwami dania z produktów sojowych.

Stał więc przez dłuższą chwilę, nie mogąc się zdecydować, który lokal wybrać. W końcu jednak apetyt na prawdziwe jedzenie przeważył nad głodem rozrywki i wszedł do tej pierwszej restauracji, w której pochłonął gruby, ociekający tłuszczem kawał prawdziwej, cholernie drogiej wołowiny. Ponieważ jadł sam, poradził sobie z nim w niespełna dwadzieścia minut i uznał, że ma jeszcze sporo czasu do zabicia przed wizytą w „Świetliku”.

Ulice stacji przypominały raczej szerokie deptaki, nie widział na nich żadnych pojazdów. Ruchome chodniki niosły we wszystkich kierunkach tych, którym znudziło się chodzenie. Wszelkie towary dystrybuowano ze środkowego poziomu kolejką jednoszynową. Górne pokłady stacji zajmowali ludzie, dolne zaś inne rasy, dla których różnicowano grawitację w poszczególnych sektorach. Na każdym skrzyżowaniu można było znaleźć windy i rampy prowadzące na wyższe i niższe piętra stacji. Cole widział już wystarczająco wielu ludzi, zapragnął więc zwiedzić jeden z poziomów przystosowanych dla obcych istot.

Gdy wysiadł z windy, na pierwszy rzut oka nie zauważył żadnej różnicy, ale wkrótce zaczął dostrzegać, że drzwi są albo za wysokie, albo za niskie, jeśli nie za szerokie, okna mocno barwione, przyciemniane albo polaryzowane, tak matowe, że ludzkie oko nie mogło przez nie nic zobaczyć, chociaż niektóre istoty nie miały z tym najmniejszego problemu. Z wnętrza restauracji dobiegały zapachy, jakich nie znał, kosmici porozumiewali się tutaj częściej swoimi językami niż terrańskim i mało kto korzystał z wszechobecnych T-torów. Spoglądał na wystawy sklepowe pełne dziwacznych przyrządów, których nie potrafiłby użyć. Obok nich leżały także wytwory rąk człowieka bądź ich podróbki.

Nie mógł powiedzieć, że dobrze się tu bawił – od dawna odczuwał radość jedynie na widok prawdziwego jedzenia i Sharon leżącej na koi – ale była to bardzo interesująca wyprawa. Większość jego kontaktów z obcymi światami polegała na atakowaniu wroga bądź obronie własnych pozycji. Bardzo rzadko miewał okazję, aby dokładniej poznać planetę, którą wyzwალali albo zdobywali.

W końcu uznał, że czas na wizytę w „Świetliku”. Kasyno mieściło się w sektorach dla ludzi, więc wybrał windę, którą mógł wjechać na odpowiedni poziom, a po wyjściu z niej udał się prosto do lokalu, w którym Forrice grywał w storta. Była to dość obskurna spelunka, jakże modna w tej okolicy. Cole musiał przepychać się dłuższą chwilę przez tłum ludzi i kosmitów, zanim dostrzegł swojego trójnogiego pierwszego oficera.

– Jak leci? – zapytał.

– Nie rozpraszaaj mnie – poprosił Cztery Oczy. – Za minutkę kończę.

– Pańska kolej – powiedział Hesporyta robiący za krupiera.

– Świetnie – odparł Molarianin. – Wojownik na poziom drugi, rząd trzeci i... – rzucił ośmiokątną kartą o stół. – Gram purpurową cesarzową.

Krupier sprawdził wszystkie posunięcia Forrice, a potem poczekał na równie niezrozumiałe dla Cole'a ruchy i zagrania niepodobnymi do niczego kartami dwóch pozostałych zawodników. Na koniec sam rzucił parą dwunastobocznych kości, ozdobionych dziwnymi symbolami zamiast oczek, przyjrzał się dobrze wynikowi i ogłosił, że Cztery Oczy został zwycięzcą tej kolejki. Molarianin odpowiedział przeciągłym świstem tryumfu.

– Widziałeś? – zapytał, zbierając wygraną. – Mówiłem ci, że muszę tylko popracować nad szczegółami.

– Ta gra rzeczywiście wygląda na cholernie skomplikowaną – przyznał Cole.

– Wszystkie tak wyglądają... dopóki nie zaczniesz grać.

– Na ile udało ci się oskubać ten stół?

– Jestem jakieś dwieście funtów do przodu.

– Tak szybko się odegrałeś? – Cole był pod wrażeniem.

– A jak – odparł Molarianin. – Przegrywałem jeszcze szybciej.

– Przyznaję, miałeś rację. Wracajmy do Księcia, pozwolę ci postawić sobie kolejkę odrażającego stymulanta i patrzeć, jak doprowadzam nim zdrowie do ruiny.

– Nie ma sprawy – odparł Forrice. – Teraz, skoro już rozgryzłem tę grę, będę mógł rozbijać bank, kiedy zechcę.

– Tylko nie przyłaż tu za często i nie chwal się za głośno – ostrzegł go przyjaciel – bo znajdą jakiś sposób i zabronią ci wstępu.

– Tak sądzisz?

Cole skinął głową.

– Społeczeństwa niszczą wybitne jednostki od zarania dziejów.

Opuścili „Świetlika” i przenieśli się do lokalu Księcia. Tłoczno tam było jak zawsze, ale kapitan wyczuł jakieś napięcie wiszące w powietrzu, gdy zbliżali się z Forrice'em do znajomego stolika

Siedział przy nim Teroni – wysoki, szczupły, z charakterystycznymi dla jego rasy przeszywającymi

złotymi oczyma. Nosił, jak zresztą większość jego pobratymców, wielkie buciory, kryjące szerokie stopy oraz kombinezon rdzawej barwy, stanowiący odpowiednik ludzkiego munduru. Przy jego pasie wisiała kabura z bronią. Z głowy tej istoty zwisały grube lśniące włosy, które Cole'owi nieodmiennie kojarzyły się z robakami. Kapitan poszukał wzrokiem dystynkcji, ale okazało się, że wszystkie zostały odpięte.

– Przyłącz się do nas – zaprosił go Platynowy Książę. – Jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Wilson podszedł i stanął przed Teroni.

– Kapitan Cole i komandor Forrice – odezwał się kosmita po terrańsku z lekko wyczuwalnym akcentem. – Znowu się spotykamy.

– Znowu? – powiedział Wilson i zmarszczył brwi. – Nigdy wcześniej pana nie widziałem.

– Nie spotkaliśmy się osobiście, kapitanie, ale rozmawialiśmy ze sobą.

– Doprawdy?

– W gromadzie Kasjusza? – wtrącił domyślnie Forrice.

Teroni skinął głową.

– Jestem Jacovic, dowódca Piątej Floty. Zdaje się, że mieliśmy okazję do krótkiej wymiany zdań chwilę po tym, jak odebrał pan dowodzenie swojej przełożonej.

Cole, zachowując milczenie, przypatrywał się Teroni przez tak długą chwilę, że Jacovic i Książę poczuli się niepewnie. Wilson, widząc to, zaczął rozumieć, skąd wzięło się w kasynie wyczuwalne wcześniej napięcie. Oto dwaj dowódcy, którzy mieli okazję walczyć ze sobą, spotykają się ponownie w tym właśnie pomieszczeniu.

Cole uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie.

– Pozwoli pan, że uścisknę mu dłoń – powiedział. – Wprawdzie to ludzki zwyczaj, ale mam nadzieję, że pan go uszanuje.

Jacovic z wyraźną ulgą podał mu rękę.

– Szacunek jest znany wielu rasom – odparł – a pan na niego zasługuje w szczególności.

– O czym pan mówi? – zapytał Książę.

– „Teddy R.” został wysłany do patrolowania gromady Kasjusza, jednego z największych zadup w tej części galaktyki. Naszym zadaniem było strzeżenie składów paliwa i uniemożliwienie wrogowi dostępu do nich. Flocie chodziło raczej o usunięcie nas ze świecznika. Nikt nie przypuszczał, że Teroni mogą się pojawić w tym sektorze... – Przerwał, aby przypomnieć sobie bieg zdarzeń. – A potem pojawiła się tam piąta flota. Ja miałem jeden okręt, a komandor pewnie z dwieście.

– Dwieście czterdzieści sześć – sprecyzował Jacovic.

– Nasza kapitan, Polonoi imieniem Podok, uznała, że nie zdołamy powstrzymać wroga, więc zrobiła wszystko, aby nie zdobyli tych składów, bo tak brzmiał rozkaz. – Mięśnie na twarzy Cole'a stężały zauważalnie. – Skierowała nasze działa na jedną z planet i kazała zabić ponad trzy miliony jej mieszkańców, aby komandor Jacovic nie mógł skorzystać ze składowanego tam paliwa. Zamierzała zrobić to samo z kolejną planetą i pozbawić życia jeszcze pięć milionów istot, ale zdążyłem odebrać jej dowodzenie.

– Wiedziałem, że się pan zbuntował – przyznał Książę – ale nie miałem pojęcia dlaczego.

– Potem skontaktowałem się z komandorem Jacovicem i pozwoliłem mu skorzystać z zapasów zgromadzonych na drugiej planecie pod warunkiem, że jej ludność zostanie oszczędzona. Zgodził się na to i dotrzymał słowa, dając nam szansę na opuszczenie gromady.

– Prawdę powiedziawszy, stwierdził pan wtedy, że albo przyjmę pańskie warunki, albo zniszczy pan tę planetę, jak pańska poprzedniczka pierwszą – poprawił go Jacovic. – Z tego, co słyszałem o panu później, nie sądzę, aby mógł pan to zrobić. Ale chciałbym to usłyszeć z pańskich ust. Czy to był bluff?

Cole uśmiechnął się.

– Możliwe.

Teroni odwzajemnił uśmiech.

– Cieszę się, że pana widzę, kapitanie Cole.

– Co pan tutaj robi? – zapytał kapitan. – I dlaczego podróżuje pan incognito?

– Ja wcale nie podróżuję incognito – zapewnił go Jacovic. – Nie jestem już dowódcą floty ani obywatelem Federacji Teroni.

– Co się stało? – zapytał Forrice.

– Przejrzałem na oczy.

– Co takiego? – zdziwił się Cole.

– Pan pewnie nie słyszał o bitwie o Gabriela – stwierdził komandor.

– Nie. Niewiele wieści o wojnie dociera na Wewnętrzną Granicę, a te, które otrzymujemy, są zazwyczaj mocno nieaktualne.

– Bitwa zaczęła się jakieś czterdzieści dni temu i trwała ponad trzy tygodnie.

– Gdzie leży ten Gabriel? – zapytał Molarianin. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Teroni. – Mało kto o nim słyszał. System Gabriel, oczywiście w waszej nomenklaturze, bo my nazywamy go inaczej, składa się z siedmiu gazowych gigantów, krążących wokół gwiazdy klasy M, nienależącej do Republiki ani do Federacji.

– Kto wygrał? – zainteresował się Cztery Oczy.

– Niech zgadnę – wtrącił Cole, przypatrując się uważnie twarzy komandora. – Nie było zwycięzcy.

– Ma pan rację – odparł Jacovic. – Gdy podliczyliśmy straty, okazało się, że straciliśmy pięćdziesiąt trzy okręty, a Republika czterdzieści dziewięć. W imię czego zniszczono sto dwie jednostki i zabito ponad dwanaście tysięcy ludzi i Teroni? Przecież ani jedna planeta tego systemu nie nadaje się do zamieszkania, nie ma tam też niczego, co można by pozyskać. W tym momencie uświadomiłem sobie bezsens tej wojny. Totalne jej szaleństwo każące posyłać na śmierć tysiące marynarzy, aby strona przeciwna nie mogła ogłosić się właścicielem bezużytecznego skrawka terytorium. Tego samego dnia odprułem wszelkie dystynkcje i udałem się na Wewnętrzną Granicę.

Cole spojrzał na Forrice'a.

– Powiedziałem ci wtedy, że on ma więcej rozumu niż wszyscy politycy i admirałowie Republiki razem wzięci.

– Komandor przybył na Stację Singapur zaledwie godzinę temu – poinformował ich Książę. – Nikt inny z nim nie przyleciał.

– Każdy Teroni ma prawo do wyrażenia własnej woli – oświadczył Jacovic. – Ja postanowiłem odejść. I proszę nie nazywać mnie komandorem. Teraz jestem tylko Jacovic.

– Co pan ma zamiar teraz robić? – zapytał kapitan.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – przyznał Teroni. – Spędziłem całe dorosłe życie w armii. Muszę sprawdzić, do czego jeszcze się nadam.

– Niekoniecznie – rzucił Wilson.

Jacovic obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Znam pewien były okręt wojenny, na którym brakuje kompetentnego trzeciego oficera – ciągnął dalej Cole. – I kapitana, który będzie dumny, mając takiego podwładnego.

– A z kim walczy ten okręt? – zapytał komandor.

– Z przeznaczeniem.

– To doskonała odpowiedź – stwierdził Jacovic. – Z największą ochotą zmierzę się z przeznaczeniem. Z radością przyłączę się też do załogi „Teodora Roosevelta”.

Rozdział dwudziesty drugi

Cole zakończył oprowadzanie Jacovica po „Teodorze Roosevelcie”, pokazując mu mostek praktycznie opustoszałego okrętu.

– I co pan o nim sądzi? – zapytał.

– Jest stary.

– Pan i ja też jesteśmy wiekowi – odparł kapitan z uśmiechem.

– Ale nie aż tak – stwierdził komandor i też się uśmiechnął. – Kiedy ostatni raz go remontowano?

– Pewnie jeszcze przed narodzinami najmłodszych członków mojej załogi.

– Niemniej – ocenił Teroni – to prawdopodobnie najśłynniejszy okręt naszej galaktyki.

– Na pewno najbardziej poszukiwany – odparł Cole. – Tak na marginesie, już na Stacji Singapur zauważyłem, że czuje się pan dość swobodnie przy standardowej atmosferze i grawitacji. Jeśli więc nie będzie pan miał nic przeciw, mogę pana ulokować w kabinie dla ludzi. Gdyby jednak miał pan ochotę na inne warunki, możemy dostosować do pańskich wymagań jedną z kajut dla członków załogi innych ras.

– Poziom tlenu mi odpowiada, ale przydałoby się nieco wyższe ciśnienie.

– Rozumiem. Nasz szef sekcji bezpieczeństwa, pułkownik Blacksmith, wprowadzi pana w obowiązki, gdy dotrą tutaj wszystkie pana rzeczy. Polecę jej, żeby przydzieliła panu kajutę oficerską na pokładzie numer pięć i przystosowała ją do pańskich wymagań. A jak będzie z wymogami żywieniowymi?

– Przekazę listę pułkownik Blacksmith.

– Świetnie. Gdyby potrzebował pan czegoś, proszę zwracać się bezpośrednio do mnie, a podczas mojej nieobecności do komandora Cztery Oczy albo pułkownik Blacksmith.

Jacovic skrzywił się.

– Cztery Oczy?

– To taka mało zręczna przeróbka nazwiska komandora Forrice'a – wyjaśnił Cole. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nazywałem go tak od wielu lat, zresztą, prawdę mówiąc, on ma cztery oczy.

– Czy pańscy ludzie nie będą się oburzać, jeśli nie z faktu przyłączenia do załogi dawnego wroga, to

z uczynienia go od razu trzecim oficerem?

– Prawdopodobnie – przyznał kapitan. – Ale to im szybko minie.

– Też mam taką nadzieję.

– Poprzednim trzecim, którego sprowadziłem w podobnych warunkach, też się długo nie przejmowali – wyjaśnił Wilson. – Po miesiącu Wal stała się najpopularniejszym członkiem naszej załogi. A pan powinien mieć o wiele łatwiejsze zadanie pod tym względem. Większość z nas służyła na „Teddym R.”, kiedy oszczędził pan ludność Nowej Argentyny i pozwolił nam na opuszczenie gromady Kasjusza.

– Każdy rozsądny dowódca uczyniłby coś takiego – stwierdził Jacovic.

– Nasza kapitan, zanim odebrałem jej dowodzenie, zamierzała zniszczyć całą cholerną planetę – odparł Cole. – Mamy o wiele mniej rozsądnych dowódców, niż pan sądzi. Gdyby było inaczej, nie znaleźlibyśmy się obaj na Wewnętrznej Granicy.

Podgardle komandora zadrgało mocno, gdy westchnął.

– Ma pan rację, kapitanie.

– Mów mi Wilson.

– Lepiej będę się do pana zwracał per kapitanie Cole – odparł Teroni. – Mógłbym się jeszcze zapomnieć przy kimś z załogi.

– Tutaj każdy może się zwracać do mnie, jak chce, chociaż zdecydowana większość pozostała przy tytułowaniu mnie kapitanem.

– Mogę zapytać dlaczego? Z pozoru to może wyglądać na brak dyscypliny, ale ufam, że pozwolił pan na to z rozmysłem.

– Chciałem, żeby moi podwładni uświadomili sobie, że nie należymy już do floty i nie znajdujemy się na terytorium Republiki – wyjaśnił Cole. – Pilnuję porządku i dyscypliny, ale salutowanie uznałem za zbędny element. To stary zwyczaj, liczy sobie już kilka tysięcy lat, pochodzi z czasów, gdy moja rasa nie potrafiła jeszcze latać w kosmos... – przerwał. – Problem w tym, że utknęliśmy tutaj na dobre. Nikt nie będzie mógł odejść ze służby. Nie możemy wrócić do Republiki, a jeśli wkroczymy na terytorium Federacji Teroni, natychmiast zostaniemy zaatakowani. Dlatego uważam, że tym marynarzom należy dać nieco swobody, skoro muszą spędzić na pokładzie resztę życia.

– Teraz rozumiem pański punkt widzenia i aprobuję go w pełni – stwierdził Jacovic. – Ale mimo wszystko będę pana nazywał kapitanem Cole'em.

– Tylko na pokładzie okrętu i Stacji Singapur – zastrzegł Wilson.

Teroni spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Jeśli udam się z moją załogą na tajną misję, jeden salut albo rzucone przypadkiem „sir” wystarczy wrogowi do ustalenia, kto powinien zostać odstrzelony jako pierwszy – wyjaśnił kapitan.

Komandor uśmiechnął się.

– Nie pomyślałem o tym, ponieważ nigdy nie opuszczałem pokładu mojego okrętu. Dobrze wiedzieć na przyszłość.

– Pan na pewno będzie opuszczał ten okręt częściej niż ja. Mam pod sobą kilku oficerów, którym wydaje się, że powinni bronić mnie bardziej, niż okrętu.

– Najwidoczniej zależy im na panu.

– Poradziłbym sobie też przy nieco mniejszej ilości opieki, a większej karności.

– Chyba pan nieco przesadza.

– Może trochę – zgodził się Cole i rozejrzał po mostku. – No i po naszej wycieczce. Możemy wracać na stację. Gwarantuję panu, że znajdzie pan tam o wiele smaczniejsze pożywienie i znacznie wygodniejsze łóżka.

Zjechali windą na pokład mieszczący hangary wahadłowców, pozdrowili salutem stojącą na warcie Idenę Mueller, przeszli na pirs i zabrali się pierwszym wagonikiem kolejki. Kilka minut później znaleźli się ponownie w kasynie Księcia. Przy tym samym stoliku dostrzegli Wal, Forrice'a i samego właściciela przybytku.

– Kapitan Cole i komandor Jacovic! – powitał ich człowiek z platyny. – Zapraszamy do nas!

– Z przyjemnością – odparł Wilson i obaj rozgościli się na fotelach. – Walkirio, widziałaś już swojego następcę?

– Słyszałam o nim tylko – odparła rudowłosa. – Witaj w naszym wariatkowie.

– Dziękuję – odparł Jacovic – a pani to...

– W tym miesiącu nazywaj mnie Wal. Ale jeśli wymyślisz mi lepsze imię, z pewnością będę na nie reagować.

– Miała pani też inne imiona? – zdziwił się Teroni.

– Nie jestem z floty – odparła.

– Nie rozumiem – przyznał komandor.

– Jest pan dopiero od kilku dni na Wewnętrznej Granicy – wyjaśnił Cole. – Dlatego nie zorientował się pan jeszcze, że tutejsi mieszkańcy zmieniają nazwiska równie często jak my ubrania. Dla przykładu, mogę postawić każde pieniądze na to, że nasz szanowny gospodarz nie zawsze był

nazywany Platynowym Księciem.

– Ale teraz jestem i tylko to się liczy – odparł szef stacji.

– Wal faktycznie lekko przeginała z zawołaniami – dodał kapitan.

– Skoro jest tyle fajnych imion, dlaczego miałabym pozostawać przy jednym? – zapytała rudowłosa.

– Albo dziesięciu, czy dwudziestu – rzucił Wilson.

– Kiedy wyznaczają nagrodę za twoją głowę, przestajesz się czuć tak strasznie przywiązany do imienia i nazwiska.

– I dlatego byłaś Kleopatram, Jezebel, Salome, Królową Saby, Cesarzową Wdową i cholera wie kim jeszcze – wyliczył Cole. – Kiedy ją spotkałem, przedstawiła mi się jako Dominik.

– Zaczęłam przerabiać imiona moich byłych kochanków – wyjaśniła Wal. – On był moim ósmym.

– A Wal był dziewiąty? – zapytał skołowany Jacovic.

– Nie – odparła. – To imię on mi nadał.

– No, nie do końca – zastrzegł się Wilson. – Porównałem ją do Walkirii, a ona podchwyciła skrót.

– I używam go już od czterech miesięcy – pochwaliła się. – Najwyższy czas na zmianę. Jeśli znasz jakieś rajcujące terońskie imię, musisz mi je wyjawić przed wylotem na akcję.

– Chciałaby pani nosić terońskie imię? – zapytał szczerze zaciekawiony Jacovic.

– A czemu nie? – odparła i zaraz zerwała się na równe nogi. – Zrobiło się miejsce przy stole do jaboba, myślę, że czas spróbować szczęścia.

Ruszyła przez kasyno, a tłum przed nią rozstępował się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

– Fajnie jest być takim postrachem – mruknął Forrice.

– Ma to swoje dobre strony – przyznał Cole.

– Dlaczego właściwie ją zastąpiłem? – zapytał Jacovic. – Czy zrobiła coś, czym pana rozgniewała?

– Nie, ale skąd – odparł kapitan. – W czasie ostatniej misji zdobyliśmy pięć statków, a ona przez wiele lat dowodziła piracką jednostką, więc powierzyłem jej jeden z nich.

– Była piratem?

– I to najlepszym. No dobrze, jednym z najlepszych – poprawił się. – Nie żartowała, kiedy wspominała o nagrodach za jej zabicie albo schwytanie.

- A pan powierzył takiej piratce funkcję trzeciego oficera – stwierdził z niedowierzaniem komandor.
 - Zadziwiająca sprawa.
 - Jeśli będzie pan tak dobrym trzecim jak ona, a tego po panu oczekuję, to wszyscy będziemy zadowoleni – powiedział Cole.
 - Muszę jej zapytać, jak pogodziła się ze służbą na okręcie, który byłby jej największym wrogiem, gdyby trafiła na niego w czasach, gdy służył pan jeszcze we flocie.
 - Ależ proszę, tylko musi pan uważać na dwie rzeczy.
 - Tak?
 - Nie powinien pan grać z nią na pieniądze i bić się na pięści.
 - Jest w tym znakomita? – zapytał Jacovic.
 - Znakomita to mało powiedziane wtrącił Forrice.
 - Ja dodałbym jeszcze trzecie ostrzeżenie – powiedział Książę.
 - Tak? – zaciekał się Cole.
 - Proszę nigdy nie pić z tą kobietą.
 - Fakt, to nie nasza pojemność.
 - Wypiła butelkę altariańskiego rumu, potem flaszkę cygniańskiego koniaku i dobrała mi się do stutrzydziestoprocentowej whisky z Deneba. Niewiele zostało, a proszę tylko spojrzeć na nią... – Wzruszył ramionami. – Ale zaraz powinna paść.
 - Trzyma się całkiem nieźle – stwierdził kapitan.
 - Nikt nie może wypić takiej ilości alkoholu – odparł Książę. – Po prostu ma opóźnioną reakcję. My będziemy mieli podłogę i stół do umycia, a wy ładunek do zanieśienia na pokład.
- Nagle szef stacji zamilkł i wyraźnie się spał.
- Co się dzieje? – zapytał Cole.
 - Mam nadzieję, że nic takiego – odparł Książę, spoglądając na drugi koniec sali.
 - Na co pan tak patrzy?
 - Widzi pan tego Djarmina?
 - Nie bardzo – odparł Wilson. – Co to jest Djarmin?

- Mieszkaniec Visqueri II – wyjaśnił człowiek z platyny. – Wysoki, grubawy, humanoidalny, dwunogi, jasnoniebieska skóra, bez uszu, chwytna dolna warga.
- Tak, teraz widzę – stwierdził kapitan. – Dziwny jakiś. Co z nim?
- O ile się nie mylę, to Csonti.
- Jaki znowu Csonti? Czy powinienem znać to nazwisko?
- Jeśli nie miał pan okazji go poznać, zaraz się to zmieni. Mówią na niego Csonti Mściwy.
- Tak to się nazywają bohaterowie ze złych kreskówek.
- Zgadł pan jeden wyraz. Mam na myśli „zły” – rzucił Książę.
- Proszę mi o nim opowiedzieć.
- Niewiele jest do opowiadania – odparł szef stacji. – To lokalny władca, kontroluje ze... czterdzieści planet.
- W takim razie bardziej pasuje mu przydomek „Csonti Kolekcjoner” – zażartował Cole.
- Na dwudziestu trzech z tych planet nie ma już śladów życia – ciągnął dalej Książę. – Jeśli jakaś cywilizacja mu się opiera, nie ma targów ani układów. Niszczy ją i już.
- Słodki koleżka.
- Zastanawiam się właśnie, co on tutaj robi – powiedział człowiek z platyny. – Powiadają, że jest najlepszym zawodnikiem Wewnętrznej Granicy w walce na pięści. Mam tylko nadzieję, że nie jest zbyt naprany.
- Jeśli jest, lepiej, żeby nie trafił na Wal – rzucił Cole. – Nie będzie nawet wiedział, co go powaliło.
- Jest aż tak dobra? – zapytał Jacovic.
- Jest aż tak dobra – odparł Wilson.
- Dlaczego więc ją pan puścił?
- Dlaczego? – Cole roześmiał się. – Bo jedynymi facetami, których mogła pracować na „Teddym R.”, byli ci dobrzy.
- Na „Teddym R.”?
- Takie tam czułe słówka – wyjaśnił kapitan. – Teddy, to skrót od Teodora, a R to inicjał nazwiska Roosevelt. Jeśli więc usłyszysz pan kiedykolwiek, że ktoś mówi o „Teddym R.” a tak nazywa go większość naszej załogi, może mieć pan pewność, że chodzi o niezrównanego „Teodora Roosevelta”.

– Rozumiem.

– Gdzie on poszedł? – zastanawiał się na głos Książę, rozglądając się nerwowo po sali.

– Prawdopodobnie usiadł – stwierdził Forrice. – Albo odpowiedział na zew natury – dodał Cole.

– Nie – zaprzeczył Jacovic. – Wyszedł bocznymi drzwiami dosłownie przed chwilą.

– I dobrze – ucieszył się kapitan. – Gdyby trafił tutaj na Wal, niewiele by zostało z tego kasyna.

– Dlaczego miałyby walczyć akurat z nią? – zapytał Forrice.

– Ponieważ tylko ona nie dałaby nogi, gdyby zaczął się zachowywać agresywnie.

Zamówili następną kolejkę drinków, alkohole dla ludzi oraz inne używki dla Molarianina i Teroni.

– A gdzie jest Dawid? – zaniepokoił się Cole. – Wydawało mi się, że on zamieszkał w tym kasynie.

– Wyszedł jakieś dwadzieścia minut przed waszym przybyciem – poinformował go Książę. – Musi być gdzieś w pobliżu.

– Dlaczego on ubiera się jak człowiek i naśladuje wasz styl bycia? – zapytał Jacovic.

– W dzieciństwie zakochał się w dziełach ludzkiego pisarza, Karola Dickensa, i tak mu już zostało – wyjaśnił kapitan. – Ubiera się i zachowuje, albo przynajmniej próbuje się zachowywać, jak jedna z postaci stworzonych przez Dickensa, przybrał też jej imię i nazwisko, nie mówiąc już o wybudowaniu domu w stylu wiktoriańskim, który ten autor kiedyś opisał. Nawet do mnie zwraca się nazwiskiem innej postaci z tej samej powieści... – Wilson przerwał na moment. – Jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego go toleruję, powiem jedno. Dawid zaryzykował kiedyś dla nas, i to bardzo. Kosztowało go to utratę interesu, a był jednym z największych paserów Wewnętrznej Granicy i miał składy na kilkunastu planetach. Mało brakowało, a przypłaciłby tę aferę własnym życiem. Jedyne miejsce, na którym mógł znaleźć schronienie, był „Teddy R.". A my spłacamy nasze długi do ostatniego grosza.

– Co więcej – dodał Forrice – podobnie jak Wal, okazał się chodzącą skarbnicą wiedzy o Wewnętrznej Granicy, co dla załogi okrętu obracającego się w tej okolicy od niespełna roku było jak znalazł.

– On zawsze potrafił robić wrażenie – przyznał Książę.

– Zna pan go dłużej niż my – powiedział Cole. – Czy on zawsze...

– Przeważnie – odparł szef stacji. – Ale o wilku mowa.

– Witaj, Dawidzie! – zawołał Wilson, gdy dandysowaty kosmita podszedł do stołu. – Przysuń sobie krzeselko.

– Za moment – odparł Copperfield i przeszedł na drugą stronę, aby stanąć przed Księciem. – On chce pana widzieć.

– Kto?

– Csonti.

Szef stacji zrobił się nagle bardzo nerwowy.

– Co on do mnie ma? – pytał. – Nigdy nie odmawiałem mu przywilejów podczas dokowania. Zawsze był mile widzianym gościem kasyna. Jeśli go czymś uraziłem, dlaczego po prostu nie...

– Nie o to chodzi – przerwał mu Dawid. – Mówi, że ma jakąś propozycję biznesową. Zważywszy na to, czym się zajmuje, na pewno będziemy mieli robotę, ale Csonti się upiera, że to pańska stacja i nie może z nami rozmawiać za pańskimi plecami.

– Naprawdę? – zapytał Książę.

– Jeśli pan chce, pójdę z panem – zaoferował się Cole.

– Nie – odparł człowiek z platyny, biorąc się w garść. – Jeśli to tylko propozycja biznesowa, poradzę sobie sam. Chyba że chce kupić ode mnie Stację Singapur – zaśmiał się anemicznie. – Gdzie on jest?

– W hotelu obok – poinformował go Copperfield. – Ten poziom, czwarty pokój od końca.

Książę wstał i opuścił kasyno bez słowa.

– Dlaczego on rozmawiał najpierw z tobą? – zainteresował się Cole, gdy Dawid siadał przy stoliku.

– Zrobiłem z nim kilka interesów w przeszłości – odparł były paser. – Unikatowe rzeźby i malowidła z muzeów na Baskrze III.

– Baskra III? – mruknął kapitan. – Coś gdzieś widziałem albo czytałem na ten temat. – Opuścił głowę i skupił myśli na dłuższą chwilę. – Czy to nie ta planeta, którą rozwalono na kawałki?

– Baskra III nadal istnieje – zapewnił go Copperfield. – Tyle że kiedyś nazywała się Baskra IV, a pomiędzy nią a Baskrą II znajduje się śliczny pas asteroid.

– Fajnych kumpli miałeś – przyznał Cole.

– Dobry paser nie pyta klienta, jak wszedł w posiadanie oferowanych towarów, mój drogi Steerforth – odparł kosmita. – Jeśli chce pozostać w interesie, nie wolno mu robić takich rzeczy. A w tym przypadku chodziło nie tyle o biznes, ile o przeżycie.

– Jaki on jest?

– Nic, tylko warczy – powiedział Copperfield. – Rzekłbym silna, milcząca osobowość. Ale kiedy wpada w złość, potrafi kląć jak mało kto.

– Miejmy tylko nadzieję, że nie chce kupić kasyna Księcia.

Wal wróciła do stolika i klapnęła ciężko na krzesło. Cole wyczuł od niej silny odór alkoholu.

– Jak ci poszło? – zapytał Forrice.

– Nie pytaj – odparła. – Grałam przeciwko Picanta. Te gnojki są cwańsze i szybsze od komputerów, więc uznałam, że nie ma sensu tracić więcej pieniędzy i odpuściłam sobie.

– Ale nie oszukiwali?

– Gdyby oszukiwali, ochrona właśnie wynosiłaby martwych Picanta – rozejrzała się po siedzących. – A gdzie Księżę?

– Wyszedł w interesach – powiedział Cole.

– Świetnie – ucieszyła się rudowłosa. – Na naszych załogach majątku nie zarobi. Większość marynarzy przesiaduje w „Mieszku Srebra”.

– A co takiego mają w tym „Mieszku Srebra”, czego nie oferuje to kasyno? – zapytał kapitan.

– Niskie nasycenie przestrzeni oficerami – odparła Wal. – Nie mówię, że oni tam chadzają robić zadymy, ale jak już się jakaś trafi, lepiej, żeby nie było w pobliżu przełożonych.

Zanim Księżę powrócił do stolika, dopiła kolejnego drinka.

– I jak poszło? – zapytał Wilson.

Człowiek z platyny usiadł ze znacznie spokojniejszym wyrazem twarzy.

– Tak, to była propozycja – przyznał. – Czy słyszeliście o planecie zwanej Prometeusz IV?

Cole zmarszczył brwi.

– A o co chodzi?

– Za bardzo rozproszył swoje siły i chce wynająć kilka jednostek do pomocy.

– W czym mielibyśmy mu pomóc?

– W zniszczeniu jej.

– Dlaczego?

– Tego to już mi nie powiedział.

- Cholera! – zaklął kapitan. – Mamy naszych ludzi w szpitalu na orbicie tej planety. Nie ma szans na odwiedzenie go od tego pomysłu?
- Nie słyszałem, żeby komukolwiek udało się go odwiedzić od czegoś – stwierdził Książę.
- Mój drogi Steerforth, on nie należy do grona ludzi rozsądnych – zapewnił Dawid.
- Musimy natychmiast ewakuować Sokołowa i Moyera – uznał Cole.
- Moyer jest w zbyt ciężkim stanie, abyśmy mogli go stamtąd zabrać – zauważył Forrice.
- Niemniej będziemy musieli to zrobić – powiedział Wilson. – Do tego zadania będziemy potrzebowali tylko jednego statku, ale „Teddy R.” ma, niestety, szkieletową obsadę na pokładzie. Daj znać Briggsowi, Christine, Idenie, Jabolowi i Domak. Domyślam się, że pilot nie opuścił pokładu.
- Jest podpięty do komputera nawigacyjnego – przypomniał mu Molarianin. – Żeby go uwolnić od tych kabli, potrzebna by była długa operacja.
- Dobra. Zbierz załogę i bądźcie gotowi do startu za dwie godziny.
- A ile Csonti oferuje za wykonanie tego zadania? Tak z ciekawości pytam? – zainteresował się Copperfield.
- Daje pięćdziesiąt milionów dolarów Marii Teresy do podziału między statki, które zgodzą się na tę robotę.
- Pięćdziesiąt baniek – szepnęła Wal i gwizdnęła cicho.
- Zabawne, nie? – powiedział Książę. – Dla niego taka suma to nic. Wydaje mi się, że człowiek zatracą proporcje, kiedy staje się właścicielem czterdziestu planet.

Wal odwróciła się do Cole'a.

- Wiesz, Wilsonie, co moglibyśmy zrobić, mając pięćdziesiąt milionów dolarów Marii Teresy?
- Powiem ci, czego nie zrobimy – odparł kapitan. – Nie zdziesiątkujemy mieszkańców planety, która nigdy nie była nam wroga.
- Coś jednak musieli przeskrobać, skoro Csonti chce ich zniszczyć – stwierdziła rudowłosa, a potem dopiła resztkę drinka pozostawionego przez Księcia.
- Pewnie odmówili mu zapłacenia haraczu w wysokości rocznych dochodów planet – powiedział Cole. – Zapomnij o tym zadaniu.
- Co znaczy zapomnij? – zachnęła się Wal. – Jesteśmy najemnikami. Za tę jedną robotę oferują nam więcej, niż zarobiliśmy przez ostatnie dwa lata.

– Nie wymordujemy mieszkańców całej planety – oświadczył Cole. – Nie tego nas uczono i nie tym będziemy się zajmować. Daj już spokój.

– Mam już dość twoich rozkazów i tego moralizowania! – wrzasnęła Walkiria, ale jej słowa stawały się coraz mniej wyraźne.

– Powiedz panna lepiej, ile przegrałaś w jaboba? – zapytał Copperfield.

– Ty też się zamknij, pokurczowaty kosmiczny wypierdku! Jesteśmy najemnikami, do cholery!

– Nie pytaj, ile przegrała – pouczył Dawida kapitan – ale ile wypila.

– To nie twój interes, Wilsonie Cole.

– Skoro jesteś członkiem mojej załogi, to jest mój interes.

– Chcesz wyjść na zewnątrz i to udowodnić?

– Nie wygłupiaj się.

Wstała.

– Dobra, załatwimy to tutaj!

– Nie zamierzam z tobą walczyć, Walkirio – powiedział kapitan. – Wracaj na swój statek, wyśpij się i porozmawiamy o tym rano.

– Pierdol się! – ryknęła. – I nie traktuj mnie protekcjonalnie!

– Wal, ostatnim razem, jak ci się film urwał, twoja załoga sprzedała „Pegaza” Rekinowi Młotowi – przypomniał jej Cole. – Nie popełnij drugi raz tego samego błędu.

Zamrugła szybko oczami, starając się skupić wzrok na jego twarzy.

– Dość już mam ludzi, którzy mówią mi, co mam robić. Byłam kapitanem „Pegaza” przez dwanaście lat i nikt nie wydawał mi rozkazów. Teraz mam nowy statek i też nikomu na to nie pozwolę. – Odwróciła się do Księcia. – Gdzie jest ten watażka?

– Walkirio, proszę... – powiedział człowiek z platyny.

– Mam wycisnąć tę informację siłą? – zapytała. – Nie licz na to, że oni ci pomogą.

– Czy nie możemy...

– Gadaj!

Książę przełknął głośno ślinę i podał jej numer pokoju Csontiego, a Wal natychmiast ruszyła w stronę drzwi, początkowo niezgrabnie, ale z każdym krokiem odzyskując grację i sprężystość kroku.

– Nowe rozkazy, Cztery Oczy – powiedział Cole. – Wychodzimy w przestrzeń za dwie godziny. Wszyscy.

– Pozostałe statki też?

– Te cztery najmniejsze – odparł kapitan. – I przekaz załodze „Rudego Sfinksa”, że na pokładzie „Teddy'ego R.” znajdzie się miejsce dla każdego, kto nie chce zostać tutaj.

Molarianin natychmiast wstał i ruszył przez kasyno, kręcąc się wokół własnej osi na trzech patykowatych nogach.

Cole spojrzał na Jacovica.

– Jest pan trzecim oficerem na „Teddym R.” dopiero od kilku godzin – stwierdził z ironicznym uśmiechem. – Jak się panu u nas podoba?

– Może ta kobieta zmieni zdanie, kiedy wytrzeźwieje – zasugerował Teroni.

– Wiem, że je zmieni. Ale nawet ona ma swój kodeks honorowy, choć jest on ukryty znacznie głębiej niż u innych ludzi. Jeśli dzisiaj podpisze kontrakt z Csontim, będzie respektowała tę umowę także jutro. – Skrzywił się. – Powiem panu coś jeszcze.

– Tak?

– Wolałbym mieć przeciw sobie dziesięciu Csontich niż ją jedną.

Rozdział dwudziesty trzeci

„Teddy R.” wszedł do systemu Prometeusza na czele niewielkiej floty i natychmiast skontaktował się z orbitalnym szpitalem.

– Mówi Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”. Macie u siebie dwóch moich ludzi: Władimira Sokołowa i Daniela Moyera. Musimy ich natychmiast odebrać. Proszę przygotować ich do transferu.

– Niestety, nie jestem w stanie autoryzować tych poleceń – stwierdził Lodinita, z którym rozmawiał kapitan.

– W takim razie proszę mnie przełączyć na kogoś, kto kieruje tym szpitalem.

– Nie mogę tego zrobić, sir.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział mocno poirytowany Cole. – System Prometeusza zostanie zaatakowany w ciągu najbliższej doby standardowej, może nawet wcześniej. Łącz mnie z ordynatorem, i to już!

Hologram Lodinity zniknął, a zaraz potem Cole zaczął podejrzewać, że stracił połączenie z orbitą, ale na szczęście zaraz pojawiła się przed nim siwawa kobieta.

– Nazywam się Bertha Salinas, jestem administratorką szpitala orbitalnego na Prometeuszu – powiedziała. – O co chodzi z tym atakiem?

– Lokalny watażka imieniem Csonti zamierza zaatakować wasz system, jego trzecią albo czwartą planetę – odparł kapitan. – Wasz szpital wprawdzie celem nie jest, ale nie sądzę, żeby atakujący przejmowali się tym, czy nie zostanie przy okazji zniszczony. Ma pani u siebie dwóch moich ludzi. Chcę, by byli gotowi do ewakuacji za dwadzieścia minut.

– Jest pan pewien tych informacji? – zapytała Bertha Salinas.

– Tak – odparł Cole. – Niewiele mogę zrobić dla tych planet, choć mam nadzieję, że dysponują odpowiednimi systemami obrony, ale mogę pomóc przy ewakuacji szpitala, jeśli przygotuje pani pacjentów i personel w ciągu godziny.

– To taka niespodziewana wiadomość – stwierdziła lekarka. – Muszę ją przedyskutować z zarządem.

– Jest mi obojętne, co uradzicie na tym zebraniu – ponaglił ją Wilson – ale moi ludzie mają być gotowi do transferu za dwadzieścia minut. Jeśli Moyer jest nadal podpięty do jakiegoś sprzętu, załadujcie go także na lotonosze. Zabierzemy wszystko ze sobą. Jeśli zajdzie taka potrzeba, ściągniemy mu pielęgniarkę albo lekarza z sąsiedniego zamieszkanego systemu.

– Nie wiem, czy zdołamy wypisać pańskich ludzi w tak krótkim czasie – zastrzegła się Bertha. – W końcu obowiązują nas jakieś przepisy.

– Pieprzyć wasze przepisy! – wydarł się Cole. – Czy pani nie rozumie, co ja mówię? Za moment w systemie Prometeusza zacznie się wojna.

– Jeśli nawet...

– Zaoferowałem pani pomoc przy ewakuacji szpitala. Decyzja należy do pani. Ale moich ludzi zabieram bez względu na to, co uradzicie. To nie podlega dyskusji.

– Chce mi pan rozkazywać? – zapytała arogancko.

– Tak, do jasnej cholery, chcę – odparł kapitan.

– A jeśli nie posłuchamy?

– Wtedy poniesiecie konsekwencje – poinformował ją Wilson. – „Teodor Roosevelt” nie będzie brał udziału w zbliżającym się ataku, ale jest okrętem wojennym z przeszkoloną załogą, która zrobi wszystko, co jest konieczne, aby zapewnić bezpieczeństwo naszym ludziom, z waszą albo bez waszej zgody. Jeśli zapełnimy wasze oddziały nowymi rannymi, sami sobie będziecie winni.

– Potrzebuję kilku minut na rozważenie tej sytuacji – oświadczyła Bertha.

– Będziemy na miejscu za siedemnaście minut – powiedział Cole. – Moi ludzie mają być gotowi do wywiezienia. Cała reszta zależy wyłącznie od pani, ale na waszym miejscu od razu zabrałbym się do ewakuowania tej placówki.

– Za chwilę dam panu odpowiedź – stwierdziła doktor Salinas. – Proszę nie zamykać tego połączenia.

Jej hologram zniknął, a kapitan odwrócił się do Christine.

– Nie zamykaj połączenia, skoro o to poprosiła. Cztery Oczy, zmontuj grupę uderzeniową, na wypadek gdybyśmy musieli odbić Sokołowa i Moyera siłą.

– Zgłaszam się na ochotnika do tej grupy, kapitanie Cole – powiedział Jacovic.

– Doceniam pańską gotowość – odparł Wilson – ale nie wyrażam zgody.

– Mogę wiedzieć dlaczego? – dopytywał się Teroni.

Cole skinął głową.

– Ludzie, których mamy ewakuować, nie wiedzą o pańskim wstąpieniu do naszej załogi. Jeśli zobaczą, że chce ich zabrać Teroni, na pewno stawiają opór.

– No tak – przyznał komandor. – Nie pomyślałem o tym. Przepraszam za moją porywczność.

– Nie musi mnie pan przepraszać – zapewnił go kapitan. – To był honorowy gest.

– Niemniej zachowałem się nieroztropnie i gdyby pan mnie nie powstrzymał, moja obecność mogłaby doprowadzić do niepożądanych konsekwencji. Trzeci oficer powinien dostrzegać takie niuanse.

Wilson uśmiechnął się.

– Przydałoby się po naszej stronie jeszcze kilku takich oficerów jak pan – powiedział. – Panie Briggs, nadal nie ma śladu floty Csoniego?

– Nie wiem, jak wielka może być – przyznał Malcolm – więc na wszelki wypadek skanuję cały ruch w okolicy i staram się namierzyć „Rudego Sfinksa”. Na razie w granicach systemu znalazły się dwuosobowy jacht i trzy frachtowce.

– Proszę kontynuować obserwację – polecił mu Cole. – Nie sądzę, żeby pojawili się tutaj przed

upływem dwóch albo trzech godzin, ale lepiej, żebyśmy nie stanowili nieruchomego celu, tkwiąc na stanowisku cumowniczym przy szpitalu, gdy nadlecą. Christine, nie mamy jeszcze odpowiedzi?

Porucznik Mboya pokręciła głową.

– Nie, sir. Kanał jest wciąż otwarty. Ona może pojawić się w każdej...

W chwili gdy wypowiadała te słowa, hologram Berthy Salinas zmaterializował się tuż przed Cole'em.

– Pańscy ludzie będą gotowi do ewakuacji za dziesięć minut. Pan Moyer jest podpięty do kilku urządzeń, więc przeniesiemy je razem z nim na dodatkowych lotonoszach. Porucznik Sokołow będzie mógł opuścić szpital o własnych siłach.

– Dziękuję – odparł Cole. – Dotrzemy do szpitala za około czternaście minut.

– Czy pańska oferta pomocy przy ewakuacji szpitala jest wciąż aktualna? – ciągnęła Bertha, usiłując, choć bez powodzenia, ukryć zaniepokojenie.

Nie wiem, z kim rozmawiałaś, ale chyba był bardziej przekonujący niż ja, pomyślał kapitan i odpowiedział:

– Tak, moja oferta jest wciąż aktualna. Ilu pacjentów i członków personelu przebywa w waszej placówce?

– Mamy trzystu siedemnastu podopiecznych, a pracownicy szpitala z pionów medycznych i administracyjnych to dalsze dziewięćdziesiąt cztery osoby – wyliczyła. – Niestety, prawie połowa pacjentów musi pozostać podpięta do rozmaitych systemów podtrzymywania życia.

– Będzie ścisk, ale zdołamy przyjąć na pokład „Teodora Roosevelta” około osiemdziesięciu z nich – ocenił Cole. – Na pozostałe statki zmieścimy dalszych czterdziestu, może pięćdziesięciu. Wydaje mi się, że powinniście rozpocząć ewakuację przy pomocy wszystkich dostępnych jednostek. Podrzucimy was do najbliższej placówki medycznej w innym systemie.

– A co z pańskimi ludźmi?

– Jeśli Sokołow może chodzić, zabierzemy go od razu. Moyera zostawimy wam pod opieką, dopóki nie znajdziemy dla niego innego szpitala. Naprawdę sugeruję pani, aby natychmiast rozpoczęto ewakuację pacjentów. Powinniście mieć na to przynajmniej kilka godzin, może nawet więcej, chociaż ręczyć za to nie mogę. Jeśli Csontiemu zależy na powodzeniu akcji, jego statki mogą się pojawić lada moment.

– Już przenosimy pańskiego człowieka – poinformowała go Bertha. – Porucznik Sokołow będzie czekał na was na końcu doku H-3.

– Skierujemy się tam – zapewnił kapitan i dał znak Christine, by przerwała połączenie.

- Szkoda, że nie zapytałeś jej, gdzie mieści się najbliższy porządny szpital – powiedział Forrice.
- Może nam to powiedzieć, kiedy opuścimy ten system – odparł Cole. – Odnoszę wrażenie, że tutaj niewiele może się wydarzyć bez jej zgody, więc lepiej będzie, jeśli zostawimy ją w spokoju podczas przeprowadzania ewakuacji. – Przeszedł do stanowiska Christine. – Skontaktuj się z przywódcami Prometeusza III i IV, prezydentami, królami, kanclerzami czy kogo oni tam mają i przekaz im ostrzeżenie o ataku. Jeśli okażą się tak sztywni jak ta Berta i nie uwierzą ci na słowo, Cztery Oczy przekona ich przy pomocy lasera.
- A jeśli będą chcieli rozmawiać tylko z kapitanem? – zapytała Mboya.
- Jeśli okażą się aż tak skostniałymi biurokratami, to może Csonti i Wal zrobią tym światom przysługę, obracając je w perzynę – stwierdził Wilson. – Gdyby co, idę do mesy na kawkę.

Podszedł do szybu windy, ale tam zawrócił.

- Panie Jacovic, jest pan członkiem naszej załogi dopiero od kilku godzin, więc byłoby bardzo nie fair, gdybym pozostawił pana sam na sam z dowodzeniem niebieską zmianą, co niestety, należy do obowiązków trzeciego oficera. Ale kiedy opanuje pan już w zadowalającym stopniu arkana tej roboty, nie chcę pana widzieć na mostku w tym samym czasie co Forrice'a i Christine, o ile sam nie wydam takiego rozkazu. Przydzieliłem wam osobne wachty tylko dlatego, żeby przez całą dobę nad okrętem czuwali wypoczęci starsi oficerowie, czyli ja i wasza trójka. Christine, ile czasu zostało do niebieskiej wachty?
- Pięćdziesiąt trzy minuty, sir.
- Świetnie. Za pięćdziesiąt trzy minuty pani i pan Briggs opuszczacie mostek i kładziecie się spać. Zanim pani wyjdzie, proszę poinformować porucznik Mueller, że do odwołania obejmie dowodzenie niebieską wachtą. A panią niech zastąpi Braxyta.
- Tak jest.

Gdy Forrice wychodził, aby zorganizować przyjęcie rannych, na mostku ponownie pojawił się hologram Berthy Salinas.

- Kapitanie Cole, przyjęliśmy pańską ofertę pomocy przy ewakuacji szpitala.
- Zapewnię wam ochronę podczas tej operacji, a to się wiąże z pewnymi ograniczeniami – stwierdził Cole. – Jeśli siły Csontiego pojawią się tutaj w czasie przenoszenia pacjentów na statki, będę potrzebował wszystkich jednostek i ludzi do walki z nimi.
- Semantyka – odparła. – Ochrona szpitala i pacjentów podczas ewakuacji jest tym, czego od pana oczekujemy.
- I to zamierzam zrobić – zapewnił ją kapitan.

Rozłączył się i zszedł na niższy pokład, do mesy, gdzie wkrótce dołączyła do niego Sharon.

– Mogę cię prosić o przysługę? – zapytał ją.

– Jaką?

– Skoro w tym szpitalu mają dziewięćdziesiąt cztery osoby personelu, pewnie ubytek jednego lekarza nie będzie dla niego taki straszny. Sprawdź, czy mają tam specjalistę od chorób ludzkich i molariańskich, no i fajnie by było, gdyby znał się też na Mollutei i Polonoi.

– Co mam mu zaoferować?

– To samo, co proponujemy naszym oficerom. Kajutę, wyżywienie i dwa procent wpływów netto. Zakładając, że mamy jeszcze jakiś dochód po odjęciu kosztów.

– Tak przy okazji – wtrąciła Sharon. – Podoba mi się ten Jacovic.

– Mnie się zawsze podobał – przyznał Cole. – Nawet jak walczyliśmy po przeciwnych stronach.

– Przyda nam się znacznie bardziej niż Wal.

– Ja bym jej nie przeceniał tak bardzo – stwierdził Wilson. – Jeśli w tej pieprzonej galaktyce jest ktoś, kogo się obawiam, to chyba właśnie Walkirii.

– Przecież ona nawet nie rozumie, o co nam chodzi – zaprotestowała Sharon. – Jak zostajesz piratem, to już zawsze myślisz jak pirat.

– Uwierz mi, jeszcze za nią zatęsknimy.

– Ale sprawiała nam więcej problemów, niż była warta.

– Miała kilka złych cech charakteru – zgodził się kapitan – ale mimo wszystko była warta każdego problemu, jakiego nam przysporzyła, jeśli nie więcej.

Hologram Christine pojawił się nad stolikiem.

– Otrzymaliśmy przekaz od rządu planetarnego. Twierdzą, że będą rozmawiali wyłącznie z dowódcą.

– Chyba sądzą, że tym sposobem uczynią mi jakiś zaszczyt – burknął kapitan. – Z której planety nadają?

– Z trzeciej, sir.

– Dobra, dawaj ich tutaj.

Na miejscu Christine pojawił się wysoki, szczupły i łysawy jegomość.

– Nazywam się Marcus Selamundi i jestem prezydentem planety Prometeusz III.

– A ja nazywam się Wilson Cole i jestem dowódcą „Teodora Roosevelta”. Czy w wiadomości ode

mnie znajdowały się jakieś niezrozumiałe dla pana sformułowania?

– Zrozumiałem treść tego ostrzeżenia – odparł prezydent. – I mam tylko jedno pytanie; dlaczego miałbym wierzyć na słowo komuś takiemu jak Wilson Cole?

– Może dlatego, że nie mam powodu okłamywać pana – odparł kapitan. – Pomyślałem, że zasługujecie na ostrzeżenie.

– Dlaczego zamierzacie nas zaatakować?

– Zdaje się, że jednak niczego pan nie rozumiał – stwierdził Cole. – My nie zamierzamy was atakować. My was ostrzegamy przed uderzeniem albo, jeśli pan woli, alarmujemy, że ktoś zamierza to zrobić. Was lub Prometeusza IV, a może i obie planety naraz, zaatakują statki watażki zwanego Csonti. Nie wiem kto albo co go tak wkurzyło. Wiem jedynie, że nadlatuje tutaj na czele sporych sił, a nie jest to istota znana powszechnie ze swojej łaskawości. Prawdę powiedziawszy, w jego słowniku nie ma takiego hasła.

– Posiadamy bardzo sprawne systemy obrony.

– Mam nadzieję, że zauważacie różnice pomiędzy posiadaniem systemów obrony a ich pełną gotowością – kontynuował cierpliwie Cole. – Po to właśnie przesłałem wam to ostrzeżenie.

– Zatem przybył pan, aby zaoferować nam swoje usługi?

– Nie wam – odparł kapitan. – Pomagamy w ewakuacji orbitalnego szpitala. Zapewniamy mu ochronę na czas przewiezienia pacjentów do sąsiednich systemów.

– I nie ma pan pojęcia, dlaczego Csonti zamierza nas zaatakować? – naciskał Selamundi.

– Nie mam – przyznał Wilson. – Wydawało mi się, że sami powinniście to najlepiej wiedzieć.

– Nie znamy przyczyn tej agresji.

– Skoro tak, to albo celem ataku będzie Prometeusz IV, albo macie coś, czego ten bandzior bardzo pożąda. Na waszym miejscu strzegłbym tego jak oka w głowie.

– Będziemy się trzymali własnych strategii, ale dziękuję za radę – powiedział prezydent trzeciej planety i przerwał połączenie.

– Rozkoszny facet – Cole skomentował sardonicznie jego wystąpienie. – Odnoszę niejasne wrażenie, że w tym systemie rozsądku nie wysysa się z mlekiem matek.

– Najprawdopodobniej za tym grubiaństwem krył się wyłącznie strach – zasugerowała Sharon.

– Nie chodzi mi o obcesowość, z jaką się do mnie zwracał. Obawiam się, że on naprawdę jest aż tak głupi. I za bardzo ufa planetarnym systemom obrony... – Wilson zamilkł na moment. – Csonti na pewno nie zbudowałby swojego imperium czterdziestu planet, gdyby nie potrafił szpiegować swoich

wrogów i nie był przygotowany na każdą niespodziankę z ich strony. Ale co ja się tu produkuję, ostrzegłem tego bubka, reszta zależy już wyłącznie od niego.

Chwilę później „Teddy R.” dotarł do szpitala. Po przycumowaniu Forrice i jego zespół odszukali Sokołowa, pomogli mu wejść na pokład, a potem zajęli pozycje, aby dopilnować porządku podczas ewakuacji i sprawdzić, czy Moyer trafił jako jeden z pierwszych na statki przewożące pacjentów.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Cole.

– Komandor Forrice szacuje czas tej operacji na blisko dwie godziny – odpowiedziała Christine.

– Możemy nie mieć aż tak wiele czasu – zauważył kapitan. – Dlaczego to będzie trwało tak długo?

– Niektóre z systemów podtrzymujących życie są ciężkie do przetransportowania – wyjaśniła. – Niektórych nie można odłączyć od źródeł zasilania, nawet na bardzo krótki czas, więc pracownicy techniczni pracują nad przenośnymi akumulatorami, które pozwolą na przewiezienie ich do doków. – Nagle skrzywiła się mocno. – Sir?

– Tak.

– Mam pilną wiadomość od porucznika Chadwicka.

– Od Luthora? Dobrze, przełącz go do mnie.

W tej samej chwili kilka stóp od Wilsona pojawił się hologram przedstawiający naturalnej wielkości postać Chadwicka.

– Witaj, Luthor – powiedział kapitan. – Co tam słyszać na pokładzie „Rudego Sfinksa”?

– Nie jestem pewien – odparł porucznik. – Dlatego chciałbym usłyszeć coś bezpośrednio z pańskich ust. Czy bierze pan udział w operacji organizowanej przez Csontiego?

– Nie, Luthor, nie biorę. I nigdy nie miałem takiego zamiaru.

– Dziękuję, sir – odparł Chadwick. – Mieliliśmy parę wątpliwości w tej kwestii.

– Mam nadzieję, że je wyjaśniłem – stwierdził Wilson.

– W rzeczy samej, sir – przyznał porucznik. – Ale to oznacza, że nie jestem już członkiem załogi „Rudego Sfinksa”.

– Dezerteruje pan?

– Nie uważam tego za dezercję, sir – wyjaśnił Luthor. – Byłem lojalnym członkiem załogi tego statku, ale nie wezmę udziału w żadnej akcji militarnej, która postawi mnie w opozycji do „Teddy’ego R.”, ani teraz, ani w przyszłości.

- Jestem pod wrażeniem pańskiej lojalności, panie Chadwick – przyznał Cole – ale...
 - Do cholery, sir! – wybuchnął porucznik. – To ja otworzyłem pańską celę i zaprowadziłem pana do wahadłowca, żeby uniknął pan sądu polowego, i to ja byłem od tamtej pory asystentem szefa sekcji bezpieczeństwa na pańskim okręcie. Nie robiłem tego wszystkiego, żeby teraz walczyć dla jakiejś baby, która jeśli nie złamała wydanych jej rozkazów, to przynajmniej wypowiedziała panu posłuszeństwo.
 - Powinien pan odejść, kiedy Cztery Oczy przesłał wam wiadomość – powiedział Cole.
 - Dotarła do nas już po starcie.
 - A w jaki sposób zamierza pan opuścić pokład teraz, kiedy pański statek leci z pełną prędkością na Prometeusza?
 - Mamy tu dwuosobowy wahadłowiec, sir. Zamierzam go przejąć i polecieć do was.
 - Może pan mieć z tym problem. Najdalej za dwie godziny opuszczamy ten system.
 - Mniej więcej w tym czasie powinniśmy tam przybyć, sir.
 - Dobrze. Christine poda panu odpowiednie kody podejścia, a gdy znajdzie się pan wystarczająco blisko, pan Briggs przekaze panu dokładne koordynaty. A co z Bykiem Pampasem?
 - Powiedział, że zostaje do momentu, w którym „Rudy Sfinks” wda się w otwartą walkę z „Teddym R.”.
 - Rozumiem – odparł Cole. – Ten dzień z pewnością nadejdzie, ale jeszcze nie dzisiaj. Niech pan uważa na siebie, wątpię, aby Wal przyjęła ze spokojem pańskie odejście z jej statku.
 - Wyłącz się, Luthor – z boku zabrzmiał znajomy damski głos.
- Porucznik posłuchał i jego miejsce zajęła Wal.
- Wyglądasz dzisiaj na nieco trzeźwiejszą – zauważył kapitan.
 - Bo jestem trzeźwa. Obudziłam się ze strasznym kacem i wyrzygałam kilka ostatnich posiłków, czyli prawie sam alkohol, ale czuję się już lepiej. Słabiej, ale lepiej.
 - Czemu zawdzięczam tę rozmowę? – zapytał Wilson.
 - Chciałam tylko powiedzieć, że Chadwick może odlecieć, kiedy zechce – powiedziała. – To samo dotyczy Byka. Należą do załogi „Teddy'ego R.”, a ja ich tylko wypożyczyłam i nie będę miała nic przeciw oddaniu. Ale reszta załogi nigdy nie była twoja. I zostanie tutaj, nie wyłączając Pereza.
 - Na to mogę się zgodzić.

- Byk twierdzi, że zostanie ze mną do momentu, w którym nie zaczniemy walczyć z „Teddym R.”.
- Luthor już mi o tym powiedział.
- I dobrze. Bo mi to leżało na wątrobie.
- Ty także służyłaś u mnie, Wal – stwierdził Cole. – Jeśli oni mogą wrócić, to i ty możesz.
- Nie mogę, Wilsonie – odparła. – Dałam Csontiemu słowo.
- Niech cię za to pozwie.

Roześmiała się na myśl, że taki bandzior mógł pozwać przed sąd pirata.

- Chyba jednak pozostanę przy jego ofercie.
- Jak chcesz – odparł kapitan. – Ale nie próbuj atakować statków odlatujących ze szpitala. Ewakuujemy rannych i chorych z pola walki.
- Dopilnuję, aby nikt ich nie zaatakował – obiecała.
- Dziękuję.
- Nie życzysz mi powodzenia?
- A wiesz chociaż, dlaczego atakujecie Prometeusza? – zapytał Wilson.
- Nie.
- W takim razie usłyszysz te słowa, jak już się dowiesz i udowodnisz mi, że robisz to w słusznej sprawie.

Przerwał połączenie.

Forrice wtoczył się do mesy moment później.

- Jak leci? – zapytał Cole.
- Tak gładko, że przysięgłbyś, iż robili takie rzeczy co tydzień – odparł Molarianin. – Wycofałem naszych ludzi. Już wracają na pokład.
- A co z Sokołowem i Moyerem?
- Sokołow jest już w swojej kajucie – odparł Cztery Oczy. – Schudł prawie dziesięć kilogramów, a może nawet więcej, ale wygląda całkiem zdrowo. I obeszło się bez protez, z tego, co widziałem.
- A Moyer?

- Nie mam pojęcia. Z jego ciała wystaje cała masa jakichś rurek. Uśpili go na chwilę przed wywiezieniem.
 - Ale przetransportowali go na jeden z tych statków medycznych, nie do nas? – zapytał kapitan.
 - Zgadza się.
 - Atak zacznie się za jakieś dwie godziny.
 - Możemy stąd odlecieć za około dziewięćdziesiąt minut standardowych, może nawet szybciej – powiedział Forrice. – Rozumiem, że Wal nie odstąpiła od swojego zamiaru?
- Cole pokręcił głową.
- Ale pozwoliła odejść Chadwickowi.
 - Czyli leci tutaj ze statkami Csonti?
 - Tak.
 - Wiesz, Wilsonie – powiedział Molarianin – że jeśli ona nadal będzie z nim trzymała, kiedyś dojdzie do walki między nami.
 - Ta myśl nie chce mnie opuścić – odparł Cole i zmarkotniał.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Jeszcze dwóch – oznajmił Forrice, gdy Cole wszedł na mostek następnego dnia po zakończeniu ewakuacji szpitala.
 - Szlag! – burknął kapitan. – Ilu to już razem?
 - Siedmiu zmarłych. Ta ewakuacja była zbyt ciężka dla większości pacjentów. I nadal jest.
 - A co ze szpitalem na Clementisie IV? – zapytał Wilson. – Dali już jakąś odpowiedź?
 - Mają za małe zapasy, nie ma rąk do pracy i wolnych łóżek.
 - Jabol, skolonizowane planety leżące najbliżej naszej pozycji?
- Jaxtaboxl przestudiował dane spływające z jego komputera.

– Ramanos, Braechea II i Nowy Gabon.

– Rachel, jakie szpitale znajdują się na tych światach?

– Już sprawdzam, sir – odparła chorąży Marcos. – Ramanos to kolonia górnicza, dwustu osiemdziesięciu sześciu mieszkańców, brak szpitala. Braechea II została skolonizowana przez Bliźnięta Canphora i odmawia leczenia ludzi i ras z nimi sprzymierzonych – odczytywała dane z holoeckranów, które pojawiały się i znikły tuż przed jej twarzą. – Nowy Gabon nie ma żadnej specjalizacji i leczy tam wszystkie rasy...

– Świetnie! – ucieszył się Cole. – Tam polecimy.

– ...ale wszystkie szpitale są przepełnione – kontynuowała Rachel. – Trzeba czekać minimum dwanaście dni na wolne łóżko.

– Szlag by to trafił, nie możemy czekać dwanaście dni! – warknął kapitan. – Nie przy takiej śmiertelności. – Opuścił głowę, by się zastanowić. – Źle do tego podchodzimy. Mamy na pokładach pełno lekarzy. Potrzebny nam tylko budynek na szpital.

– Obawiam się, że znalezienie samych pomieszczeń nie wystarczy – powiedział Forrice. – Musimy znaleźć planetę, na której dostępne są wszystkie potrzebne medykamenty, jak również źródła zasilania dla całej masy specjalistycznego sprzętu, który mamy na pokładach.

– Czy to naprawdę jest takie trudne? – zapytał Jaxtaboxl zza konsoli.

– Słyszałeś raport dotyczący Nowego Gabonu – odparł Molarianin. – Co z tego, że mamy pełno lekarzy i sanitariuszy, skoro nie możemy zapewnić chorym odpowiednich warunków.

– Skoro mamy lekarzy i sprzęt, może wynajmiemy dla nich jakiś hotel? – zasugerował Jabol.

– To by się nawet udało, gdyby wszyscy byli stabilni – stwierdził Cole – ale problemy zaczną się, jeśli będziemy potrzebowali sali operacyjnej albo trzech takich pomieszczeń naraz. – Wymamrotał pod nosem przekleństwo. – Takie są właśnie problemy z koloniami. Mają zbyt małą liczebność, żeby opłacało się utrzymywać na nich duże placówki medyczne. Brakuje im szpitali, łóżek, muszą importować leki z Republiki...

– Tylko te legalne – wtrącił Jaxtaboxl.

– Sir? – odezwała się Rachel, pełniąc wachetę na stanowisku komunikacyjnym. – Mam kolejną wiadomość z „Portmanteau”.

– To jeden z tych statków szpitalnych? – zapytał Cole.

Skinęła głową.

– Muszą znaleźć wyspecjalizowane placówki medyczne albo stracą kolejnych pięciu pacjentów, może nawet sześciu. Powinni przeprowadzić operacje wymagające użycia stacjonarnego

wyposażenia, a to zostawiliśmy na orbicie Prometheusa... – nasłuchiwała przez chwilę. – A jeden z nich, Lodinita, umiera z powodów, których nie potrafia ustalić.

– Moze powinniśmy ich zapytać, ilu pacjentów zdoła przeżyć tę podróż... – powiedział Wilson i znów się zamyślił. – Słuchajcie, jeśli bitwa na Prometheusie dobiegła końca, może ten, kto ją wygrał pozwoli nam na umieszczenie pacjentów w starym szpitalu.

– Sprawdzę to, sir – obiecał Jaxtaboxl i po chwili podniósł głowę znad skanerów. – Już po bitwie. Nie wiem wprawdzie, kto wygrał, ale mogę powiedzieć, kto jest przegrany. Po szpitalu nawet ślad nie został.

– Cudownie – wymamrotał zde gustowany Cole. – Po prostu cudownie... – Znowu zamilkł na dłuższą chwilę. – Jabol, czy znajdujemy się blisko jakichś kluczowych światów Wewnętrznej Granicy, na przykład Bindera X, Roosevelta III, Nowej Kenii?

Jaxtaboxl sprawdził odczyty, wydał kilka rozkazów w języku, który mógł zrozumieć tylko komputer i odczytał wyniki.

– Jeśli Wxakgini nie zna tuneli nadprzestrzennych, których nie ma na mapie, do najbliższego z nich będziemy musieli lecieć przynajmniej cztery dni.

Pilot potwierdził informację o tym, że w pobliżu nie ma żadnych tuneli nadprzestrzennych, którymi można by dolecieć na skróty do którejkolwiek z kluczowych planet tej części galaktyki.

– Cholera! – zaklął Cole. – Czuję się za to odpowiedzialny. To ja zasugerowałem im ewakuację. Może Csonti zgodziłby się oszczędzić szpital, gdybyśmy powiadomili go o tym, że jest wypełniony pacjentami.

– Chyba sam w to nie wierzysz – powiedział Forrice.

– Nie, pewnie, że nie.

– Więc przestań w końcu obwiniać siebie – poprosił Molarianin. – Nie możemy nic więcej zrobić. Lekarze muszą zajmować się pacjentami, dopóki nie dolecimy do którejś z głównych planet sektora.

– Nie poddamy się tak łatwo i nie pozwolimy tym istotom umrzeć – stwierdził kapitan. – Jabol, jaka planeta Republiki, na której znajdziemy porządny szpital, leży najbliżej?

Jaxtaboxl wprowadził kolejne pytania do komputera.

– Polny Strumyk, sir.

– Pilocie, jak długo będziemy lecieli na Polny Strumyk?

– Około sześciu godzin – odparł Wxakgini. – Dotrzemy do tunelu nadprzestrzennego Chabona za około godzinę. Po dwóch godzinach lotu wydostaniemy się w okolicach systemu Polny Strumyk. Na planetę dotrzemy za trzy kolejne godziny.

- Tamten szpital na pewno przyjmie naszych pacjentów?
- Nie widzę żadnych przeszkód. Nie ma u nich wielkich aglomeracji miejskich.

Cole skrzywił się.

– Coś mi tu nie gra. Po cholere wybudowali wielkie centra medyczne na samym skraju Republiki, tak daleko od najbardziej zaludnionych planet?

– To jest dobre pytanie – przyznał Forrice.

– I tylko jedna osoba na pokładzie będzie знаła odpowiedź – uznał kapitan. – Łączcie mnie z Jacovicem.

– Tak, kapitanie? – Hologram Teroni pojawił się sekundę później.

– Co pan wie o planecie Republiki zwanej Polny Strumyk? – zapytał Wilson.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Jabol, prześlij hologram tego sektora Republiki panu Jacovicowi i zaznacz na nim ten glob.

– Zrobione, sir.

– Aha! – zawołał Teroni. – Rozumiem. Polny Strumyk leży nie tylko na skraju Wewnętrznej Granicy, ale także w pobliżu miejsca, w którym admirał Kobrzyński walczył niedawno z naszą Trzecią Flotą.

– Teroni wdarli się tak głęboko na terytorium Republiki?

– A kto miał nas powstrzymać, skoro nie było pana w szeregach floty od dwóch lat?

– Dziękuję, panie Jacovic, powiedział mi pan to, co chciałem usłyszeć.

Nakazał Rachel przerwać połączenie.

– Te szpitale bez wątpienia należą do floty – powiedział. – I najprawdopodobniej zostały zbudowane nie dalej niż przed dwoma laty. Rachel, powiadom wszystkich starszych oficerów, że za dwadzieścia minut zwołuję naradę u siebie w biurze. Obecność obowiązkowa. I upewnij się, że pozostali kapitanowie naszych statków i Bertha Salinas będą mieli połączenia holograficzne.

– Christine Mboya śpi, sir – poinformowała go Rachel.

– To ją obudź. Wyślij też Idenę Mueller i Braxytę na statek szpitalny. Niech przewiożą do nas Moyera. Jeśli nadal jest podpięty do jakiegoś sprzętu, mają go też zabrać. Jeśli potrzebuje stałej opieki lekarskiej, niech mu ją zapewnią. Cokolwiek zrobimy z pozostałymi pacjentami, Moyer nie może znaleźć się na terenie Republiki. Jeśli nawet go wyleczą, trafi natychmiast pod sąd i na szubienicę. – Podniósł głos. – Zakładam, że monitorujesz tę rozmowę, Sharon. Ty też masz przyjść na

to spotkanie.

– Nie musisz tak krzyczeć – odparła Sharon Blacksmith.

– To najprostszy sposób, żeby zwrócić twoją uwagę.

– Dobrze, przyjdę.

– Rachel, czy nawiązaliśmy już kontakt z Luthorem Chadwickiem? – zapytał kapitan.

– Od czasu, kiedy oznajmił, że opuszcza „Rudego Sfinksa”, nie dostaliśmy od niego żadnej wiadomości – zameldowała Rachel. – Nie wiemy nawet, czy zdążył już odlecieć. Być może czeka na lepszą sposobność.

Cole pokręcił zdecydowanie głową.

– Wal dała jemu i Bykowi Pampasowi wolną rękę.

– Pozwolenie to jedno – zauważył Forrice – a środek transportu to drugie.

– Znowu trafiłeś w sedno.

Wilson przechadzał się gorączkowo w kółko przez kolejne kilka minut, a potem zszedł do swojego gabinetu. Sharon przybyła chwilę później.

– Wiadomość od Dawida Copperfielda – zaanonsowała na sekundę przed pojawieniem się hologramu wymuskanego kosmity.

– Witaj, Dawidzie. Jak ci leci?

– Mój drogi Steerforth, jak możesz zwoływać zebrania na wysokim szczeblu i nie powiadamiać mnie o nich?

– To spotkanie nie ma nic wspólnego ze sprzedawaniem naszych usług, czyli z twoją działką – odparł Cole. – Ten temat ciebie nie dotyczy.

– Wszystko, co dzieje się na tym okręcie dotyczy także mnie – stwierdził Copperfield. – Steerforth, pan nie może mi tego zrobić! Zranił mnie pan tym do żywego.

– Uwierz mi, Dawidzie, nie wniósłbyś niczego do tej dyskusji, a gdy tylko podejmiemy decyzję, będziesz pierwszym, którego o niej powiadomię.

– Niech tak będzie – zgodził się kosmita, a na jego obcym obliczu pojawiło się coś na kształt ludzkiego wyrazu niezadowolenia. – Ale i tak czuję się urażony, Steerforth. Dogłębnie urażony.

– Przykro mi to słyszeć, Dawidzie – rzucił Cole i rozłączył się. – Rachel?

– Tak, sir?

– Nie łącz mnie z nikim oprócz Berthy Salinas i czterech moich kapitanów, dopóki nie odwołam tego polecenia. Zrozumiano?

– Tak jest.

Wilson usiadł za biurkiem i westchnął ciężko.

– Kto by przypuszczał, że zaczną nam tak umierać? – powiedział w końcu. – Przecież, do cholery, są otoczeni swoimi lekarzami, przenieśliśmy na statki prawie całą aparaturę, zabraliśmy nawet lekarstwa...

– Zdrowi ludzie nie znoszą dobrze stresujących sytuacji – odparła Sharon – a my dostarczyliśmy cholernie dużo stresu chorym ludziom. I kosmitom.

– Wiem – przyznał Cole. – Ale nie możemy dopuścić do tego, żeby umierali nam po trzech, czterech dziennie. Do licha, jeśli to stres powoduje te zgony, lada moment możemy się spodziewać wzrostu śmiertelności pacjentów, nie jej zmniejszenia.

Do gabinetu wmaszerował Jacovic i zasalutował sprężysto.

– Słyszałem, że straciliśmy kolejnych chorych – powiedział. – Zakładam, że spotkanie i dyskusja będą dotyczyły tego właśnie tematu.

– Tak. Nie po to ewakuowaliśmy ich z pola walki, żeby nam teraz poumierali. Mieliśmy dobre intencje, ale zabieranie ich ze szpitala okazało się równie niebezpieczne jak pozostawienie na Prometeuszu – skrzywił się, wypowiadając te słowa. – No, prawie tak niebezpieczne – poprawił się zaraz.

– Rozumiem, że na pobliskich planetach Wewnętrznej Granicy nie ma odpowiednich placówek medycznych – domyślił się Teroni.

– Żadna z nich nie przyjmie takiej ilości różnorodnych pacjentów – potwierdził kapitan, gdy do gabinetu wchodził Forrice. – I dlatego zwołałem tę naradę.

– Dzięki za danie pięciu minut na zjedzenie obiadu – powiedział Molarianin.

– Nie umrzesz z głodu – odparł Wilson. – Będiesz mógł się nażreć zaraz po spotkaniu.

– Już bywałem na organizowanych przez ciebie spotkaniach kadry – burknął Cztery Oczy. – Za każdym razem odbierały mi apetyt. Wątpię, abym po tym czuł się lepiej.

Pod ścianą zmaterializowały się cztery hologramy kapitanów, a potem pojawiła się obok nich Bertha Salinas.

Christine weszła do gabineciku, ukloniła się wszystkim i stanęła pod ścianą.

– Dobrze, wszyscy są już obecni – zagaił Cole. – Wiecie, jaka jest sytuacja. Znajdujemy się cztery dni lotu od najbliższej planety Wewnętrznej Granicy, na której jest szpital mogący pomóc ewakuowanym pasażerom, ale nie mamy pojęcia, ilu z nich zechcą tam przyjąć. Pozostałe placówki są nie tylko mniejsze, ale i dalej położone. – Przyjrzał się im po kolei. – Czy zgodzicie się z opinią, że odpowiadamy za życie tych ludzi i kosmitów?

– Wydaje mi się, że za bardzo bierzesz to do siebie – stwierdziła Sharon. – Gdybyśmy zostawili ich na orbicie, zginęliby wszyscy.

– Nie jesteśmy za nich odpowiedzialni dlatego, że podjęliśmy takie a nie inne decyzje – kontynuował Wilson. – Nasza odpowiedzialność wynika z faktu, że oni są bezbronni i potrzebują ochrony. Naszej ochrony. Wiem, że jesteśmy teraz najemnikami, ale szkolono nas, abyśmy pomagali ludziom w potrzebie, a chyba nie ma bardziej potrzebujących niż ci nieszczęśnicy.

– Staramy się im pomagać, Wilsonie – wtrącił Forrice.

– Ale nie za dobrze nam to idzie – odparł Cole. – Musimy się postarać jeszcze bardziej.

– Jak? – zapytał Molarianin.

– Na pewno ma pan już jakiś pomysł – stwierdził jeden z kapitanów – chociaż za diabła nie wiem jaki.

Wilson spojrzał na Jacovica.

– A pan, komandorze? Co pan zrobiłby w tej sytuacji?

– To samo, co pan zamierza zrobić – odparł ze spokojem Teroni. – Znajdujemy się cztery dni lotu od leżącego na terytorium Granicy szpitala mogącego przyjąć ewakuowanych pacjentów. Ale tylko kilka godzin dzieli nas od placówki medycznej na Polnym Strumyku, który znajduje się w granicach Republiki. Domyślam się, że to jeden z większych szpitali w sektorze i tam właśnie zamierza pan dostarczyć pacjentów i opiekujących się nimi lekarzy.

– Nie musicie nas tam dowozić – wtrąciła Bertha. – Wystarczy, że podacie nam koordynaty i sami znajdziemy tę planetę. Republika z pewnością nas nie wydali.

– Nam wcale nie chodzi o reakcję Republiki – wyjaśnił jej Cole. – Polny Strumyk leży na terenach objętych walkami. Jeśli traficie na jednostki Teroni, będzie po was.

– Nasze statki noszą międzyrasowe oznaczenia medyczne – stwierdziła administratorka.

Cole spojrzał na Jacovica.

– Czy Teroni je honorują?

– Nie opuściłbym floty, gdyby je honorowali – odparł komandor.

– Sama pani słyszała – podsumował kapitan. – Jest szansa, że w okolicy nie będzie żadnych okrętów Teroni, ale z drugiej strony nie posiadacie żadnych systemów obrony, a konstrukcja statków szpitalnych nie pozwoli wam uciec przed nimi. Jak by na to nie patrzeć, musimy was eskortować aż do celu.

– Okrętem, który jest poszukiwany na terytorium całej Republiki? – zapytała. – Chce pan nas chronić, ale kto ochroni pana?

– Ona ma rację, Wilsonie – wtrącił Forrice. – Nagroda za twoją głowę w wysokości dziesięciu milionów kredytów wciąż jest aktualna. Dają też dwadzieścia pięć milionów za zniszczenie bądź przejęcie naszego okrętu.

– Nie będzie łatwo – ocenił Jacovic. – Ale to zarazem jedyne rozwiązanie, jeśli chcemy uratować większość ewakuowanych pacjentów.

– Komandor też ma rację – stwierdziła Christine. – Wolałabym, żeby jej nie miał, ale tak wygląda prawda.

– Ja też tak uważam – dodała Bertha Salinas, aczkolwiek dość smutnym tonem. – Niebezpieczeństwo istnieje, ale musimy dotrzeć do tej placówki medycznej. Jeśli to wymaga wejścia w strefę wojny, skorzystamy z waszej pomocy.

– Wiedziałam! – powiedziała Sharon. – Po to właśnie zwołałeś tę lipną naradę! Od początku zamierzałeś lecieć na terytorium Republiki. Po prostu liczyłeś na to, że Jacovic albo ktoś inny zasugeruje takie rozwiązanie, abys mógł potem twierdzić, że to nie była twoja arbitralna decyzja.

– Bycie kapitanem polega głównie na podejmowaniu arbitralnych decyzji – przypomniał jej Cole. – Ale czasami łatwiej się je podejmuje, jeśli człowiek wie, że ma rację, a nie tylko tak uważa.

– Nie wiedziałem, że ty... – zaczął Molarianin i zamilkł.

– Wal śmiało, Cztery Oczy – zachęcił go kapitan. – To otwarte zebranie. Każdy może się wypowiedzieć, przedstawić swoją opinię, zachęcić do tego innych. To samo dotyczy pozostałych czterech kapitanów – dodał, ponieważ jego nowi podwładni bardzo niechętnie zabierali głos w ważnych sprawach. – Dopóki znajdujemy się w tym gabinecie, możemy otwarcie dyskutować. Ale za jego drzwiami wszyscy mówimy jednym głosem.

– Nie podoba mi się ten pomysł – oświadczył Forrice.

– A co cię najbardziej niepokoi, oczywiście prócz tych najoczywistszych powodów?

– Liczby – odparł Molarianin.

– Rozumiem. Flota posiada kilkaset milionów okrętów a my mamy tylko pięć. Ale to ogromna galaktyka, a my będziemy przebywali na terytorium Republiki zaledwie kilka godzin. W tym czasie większość jednostek floty stacjonujących w tym sektorze, jeśli nawet nie wszystkie, będzie zajęta walką albo remontowana w bazach.

– Nie o to mi chodziło – odparł Cztery Oczy. – Gdyby rzecz dotyczyła tylko ciebie i mnie, powiedziałbym: – diabła tam, możemy lecieć do Republiki. W końcu eskortujemy ponad trzystu poważnie chorych pacjentów... – zamilkł na moment. – Lecz gra toczy się o coś więcej. Wiem, że nie mamy pełnej obsady, ale nawet po odejściu „Rudego Sfinksa” dowodzisz jednak sześćdziesięcioma pięcioma podwładnymi, służącymi na „Teddym R.” i czterech innych statkach. Nie ryzykujemy życia tylko dwóch istot w zamian za uratowanie trzystu. Na jednej szali znajduje się sześćdziesięciu pięciu, a może i więcej zdrowych ludzi, na drugiej trzystu poważnie chorych, w tym wielu takich, których zapewne nie uda się już uratować. Moim zdaniem to zbyt ryzykowne posunięcie.

– Chciałbym wymyślić coś, co zmieniałoby stosunek szans na naszą korzyść – przyznał Cole – ale nie mamy na to czasu. Zaraz po zakończeniu tej narady pilot wyznaczy kurs prosto na Republikę. Gdyby nawet oznaczało to, że tunel czasoprzestrzenny wypłuje nas w głębi jej terytorium, dziesiątki tysięcy lat świetlnych od granic, nie będziemy mieli odwrotu. Christine, wybaczone, że kazałem cię obudzić, ale musisz zająć się stanowiskiem łączności do momentu, w którym wszystkie jednostki otrzymają dokładne koordynaty celu, zwłaszcza jeśli znajdziemy tunel czasoprzestrzenny, którym dotrzemy prosto na Polny Strumyk. Wiem, że Rachel ma teraz dyżur i że jest w tym dobra, ale podczas tej operacji potrzebuję najlepszych ludzi.

– Tak jest – odparła Mboya.

– Komandorze Jacovic?

– Tak?

– Jeśli nie chce pan z nami lecieć, dam panu do dyspozycji „Kermita”. Obawiam się, że po przybyciu na terytorium Republiki kogoś jak kogoś, ale byłego dowódcy Piątej Floty Teroni na pewno nie przyjmą z otwartymi rękami.

– Dziękuję za propozycję – odparł Jacovic. – To bardzo miłe z pana strony, że pomyślał pan o moim bezpieczeństwie, ale to nie będzie konieczne.

– Jest pan pewien?

Teroni uśmiechnął się.

– Sądzi pan, że sprawdzą, kto jest na pokładzie Teddy'ego R.", zanim zaczną strzelać?

– Też racja – przyznał Forrice.

– A jeśli nawet odczytają listę obecności – wtrąciła Sharon – jak myślisz, kogo zastrzelą pierwszego, komandora Jacovica czy Wilsona Cole'a?

– Niech wam będzie – powiedział kapitan. – Chciałem dać komandorowi szansę na honorową odmowę. – Rozejrzał się po zebranych. – Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania? Panowie kapitanowie? Pani administrator Salinas? Nie. Zatem uważam naradę za zakończoną. – Pięć hologramów zniknęło w tej samej chwili. – Christine, przekaż pilotowi, że ma nas dostarczyć jak najszybciej na Polny

Strumyk. I niech pan Briggs zadba, aby wszystkie pozostałe statki otrzymały dokładne dane.

– Tak jest – powiedziała, zasalutowała i ruszyła w stronę drzwi.

Sharon i Jacovic poszli w ślad za nią. Tylko Forrice został na swoim miejscu.

– Chcesz się jeszcze trochę posprzeczać? – zapytał Wilson.

– Nie – odparł Molarianin. – Podjąłeś już decyzję. Czas na dyskusje minął. Próbowałem, nie udało się, koniec, kropka.

– Świetnie – ucieszył się Cole. – Nie chciałbym się z tobą znowu kłócić. Czym zatem mogę służyć?

– Chciałem ci coś wyjaśnić – powiedział Cztery Oczy. – Chyba powinienem to zrobić już bardzo dawno temu.

Kapitan spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Gadaj.

– Mamy w naszej flotyli cztery nowe jednostki, jeśli nie liczyć „Rudego Sfinksa”. Wal chciała statku dla siebie od momentu utraty „Pegaza” i dostała go. Nie wyobrażam sobie, żeby Jacovic nie pragnął stanowiska kapitana, nie po tym, jak dowodził całą flotą i pewnie też mu coś znajdziesz, jak już się zadowoli u nas. Perez był kapitanem „Rudego Sfinksa” i też zasługuje na podobne wyróżnienie... – Tu Molarianin zamilkł na moment. – A po starszeństwie patrząc, mnie pierwszego powinienś mianować nowym kapitanem.

– Temu nie przeczę – odparł Cole. – Należy ci się własny statek.

– Gdybym chciał stanowiska dowodzenia, to bym cię o nie poprosił.

– Wiesz, że już się nad tym zastanawiałem – przyznał Wilson. – I doszedłem do wniosku, że po prostu czekasz na jakąś wyjątkową jednostkę, coś lepszego od „Rudego Sfinksa”. Będzie mi brakowało twojego towarzystwa, ale dostaniesz go, jak tylko zechcesz.

– I w tym właśnie cały problem – stwierdził Forrice. – Ja tego nie chcę. Widzę, co dowodzenie zrobiło z ciebie... – przerwał na chwilę. – W sprawach życia i śmierci decydujesz nie tylko o sobie, ale i o załogach pięciu statków, a może nawet sześciu, jeśli Wal wróci kiedyś do naszej eskadry. Właśnie podjąłeś decyzję, od której może zależeć życie nas wszystkich, w tym niemal czterystu pacjentów i lekarzy.

– Taka to robota.

– I dlatego jej nie chcę, nawet jeśli chodziłoby o dowodzenie znacznie mniejszym statkiem i załogą. Gdybyśmy nadal służyli we flocie, pewnie zależałoby mi na kapitańskich szlifach, bo to nie tylko prestiż, ale i większe pieniądze. Ale tam istnieje łańcuch dowodzenia i to nie na mnie spoczywałaby ostateczna odpowiedzialność za zwycięstwa i porażki... – Molarianin raz jeszcze przerwał, aby

zebrać myśli. – A ty tutaj stoisz na końcu takiego łańcucha. Ja nie i dlatego śpię dobrze każdej nocy. Przyjrzałeś się ostatnio swojemu odbiciu w lustrze? Masz wory pod oczami, nerwowe tiki, no i chudniesz w oczach. – Forrice podszedł do drzwi. – Podobala mi się myśl, że mogę dowodzić własnym okrętem. Ale o wiele bardziej cenię sobie możliwość zdrowego snu.

I Cole został sam. Siedział tak, rozmyślając, czy aby nie przeoczył czegoś, lepszej alternatywy na ten przykład, i czy decyzja, którą podjął, na pewno była właściwa. A jeśli dostarczy ich wszystkich do szpitala, a oni i tak poumierają? A jeżeli „Teddy R.” zostanie zniszczony podczas lotu na Polny Strumyk? Sami zginą i nie uratują tamtych. Z drugiej jednak strony...

– Sir? Wxakgini namierzył wlot tunelu Chabona, chociaż przesunął się znacznie od momentu naniesienia na mapy, i twierdzi, że wejdziemy do niego za pięćdziesiąt jeden minut standardowych.

– Świetnie – ucieszył się Cole. – Przekaż koordynaty wszystkim statkom, naszym i szpitalnym.

– Już to robiłam, sir.

Następne dwie godziny kapitan wałęsał się po okręcie, dokonując inspekcji przedziału bojowego, rozmawiając z dowódcami innych jednostek, przesłał też służbom medycznym plany kompleksu szpitalnego, aby po lądowaniu wszyscy wiedzieli, gdzie się udać. Próbował też poinformować szpital o spodziewanym transporcie pacjentów, ale anomalia w budowie tego tunelu czasoprzestrzennego uniemożliwiła kontakt z planetą. Takie już były te tunele, niektóre przemieszczały się nieustannie, inne tkwiły w miejscu, z jednych można było wysyłać wiadomości na zewnątrz, z drugich nie dało się tego zrobić.

A potem wyszli z nadprzestrzeni i znaleźli się na terytorium Republiki.

Dokładnie jedenaście minut później odebrał wiadomość od Jabola, który zastąpił na stanowisku łączności Christine Mboyę.

– Zostaliśmy zauważeni, sir – zameldował Mollutei. – Porucznik Domak twierdzi, że wysłano w naszym kierunku zespół składający się z dwunastu okrętów floty.

Niech to szlag! pomyślał Cole. *Miałeś rację Cztery Oczy. Dzisiaj na pewno nie zasnę.*

Rozdział dwudziesty piaty

– Ile mamy czasu? – zapytał Cole. – Dotrą do naszej pozycji za dwie standardowe godziny, sir – odparł Jabol. – Czy mam ściągnąć na mostek Christine?

– Nie – odparł kapitan. – Nie będę jej wyrywał ze snu dwa razy tego samego dnia. Czy jest tam

Cztery Oczy?

– Powiedział, że już do nas idzie, sir.

– Świetnie. Zapytaj pilota, czy w pobliżu jest jakiś tunel czasoprzestrzenny, nie ten, którym tutaj się dostaliśmy, ale jakiś inny, którym moglibyśmy ominąć te okręty i dotrzeć do innej planety posiadającej porządne szpitale.

Przez moment na mostku panowała cisza.

– Pilot twierdzi, że nie ma takiego połączenia. W pobliżu istnieją tylko dwa tunele czasoprzestrzenne. Oprócz tego, którym tutaj przylecieliśmy z Wewnętrznej Granicy, jest jeszcze jeden, ale prowadzi do dwóch niebieskich gigantów, które od najbliższego zamieszkanego systemu dzieli ponad dwieście lat świetlnych.

– No to mamy naprawdę zły dzień – uznał Cole. – A co z Jacovicem? Śpi czy jest już na nogach?

– Już się obudził, sir. Przebywa teraz w mesie. Przed chwilą pytał, czy będzie potrzebny na mostku.

– Powiedz mu, żeby został, gdzie jest – poprosił kapitan. – Muszę się napić kawy. Już idę do niego.

Dotarł na miejsce chwilę później i usadowił się po drugiej stronie stolika zajmowanego przez Teroni.

– Słyszał pan już o wiadomości, którą otrzymałem? – zapytał.

– Tak, kapitanie Cole – odparł Jacovic. – Myślę, że powinniśmy się wycofać. Nie zdołamy nawiązać równorzędnej walki z dwunastoma okrętami wojennymi waszej floty.

– Ta stara krypa nie da rady nawet jednemu z nich – zgodził się Wilson.

– Zatem wycofujemy się? Cole skrzywił się.

– Sam nie wiem.

– W czym ma pan problem?

– Mieliśmy dostarczyć chorych do szpitala. Przylecieliśmy tutaj, ponieważ nie wytrzymaliby czterodniowego lotu do innych placówek. Jeśli zawrócimy teraz na terytorium Wewnętrznej Granicy, dodam im jeszcze przynajmniej pół dnia katorgi.

– Jediną alternatywą jest walka z dwunastoma uzbrojonymi okrętami, które otrzymały rozkaz natychmiastowego otwarcia ognia – przypomniał mu Jacovic.

– A to oznacza, że mam jeszcze pół godziny na znalezienie innego rozwiązania, a potem będę musiał odtrąbić odwrót. No i muszę wziąć pod uwagę coś jeszcze.

– Tak?

Cole skinął głową.

– Jeśli te okręty znajdują się o dwie godziny lotu od nas, musimy brać pod uwagę ewentualność, że nie przerwą pościgu i polecą za nami w sam środek Wewnętrznej Granicy.

– Mogą nas doścignąć?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo – odparł kapitan. – „Teddy R.” powinien trafić na złom już pół wieku temu. I z tego, co pamiętam, od tamtej pory nie był unowocześniany.

Nagle pojawiło się przed nim holograficzne oblicze Forrice'a.

– Co się dzieje? – zapytał Wilson.

– Dostaliśmy wiadomość z jednego z okrętów floty. Albo poddamy się bezwarunkowo, albo nas załatwią. – Molarianin uśmiechnął się. – Odpowiedziałem im bardzo po ludzku – dodał. – Kazałem pieprzyć się wzajemnie.

Cole roześmiał się.

– Popieram.

– Wiedziałem, że będziesz ze mnie dumny. Polecilem Domak sprawdzić, z czym możemy mieć do czynienia. Chłopcy dysponują ponad stu pięćdziesięcioma działami. Połowa to stukacze, reszta palniki.

– Masz jeszcze jakieś wesołe wiadomości? – zapytał kapitan.

– Oczywiście – odparł Cztery Oczy. – Nasze działo laserowe numer cztery nie reaguje na sterowanie komputerowe.

– Wyłączcie je, zanim rozwali któryś ze statków szpitalnych – polecił Cole.

– Masz jeszcze jakieś rozkazy?

– Jeśli będę je miał, pierwszy się dowiesz.

– Na twoim miejscu, Wilsonie, nie czekałbym zbyt długo – poradził mu poważnym tonem Forrice. – W grupie pościgowej jest kilka jednostek klasy MV, a to cholernie szybkie okręty.

– Wezmę to pod uwagę – odparł kapitan i przerwał połączenie.

– Czy wasza flota otworzy ogień do konwoju przewożącego chorych? – zapytał Jacovic.

– Jeśli jej dowódca potwierdzi informacje o charakterze przewożonych pasażerów, nie powinien atakować statków szpitalnych. Ale z pewnością każe otworzyć ogień w stronę „Teddy'ego R.” i resztę mojej eskadry, a przy takiej skali ostrzału, nikt nie zagwarantuje, że nie będzie postronnych ofiar... –

zamilkł na chwilę. – Wydaje mi się, że naszym pierwszym posunięciem powinno być przekonanie ich, że naprawdę mają do czynienia ze statkami medycznymi i zamiast walczyć z nami, muszą zapewnić im eskortę do najbliższego szpitala. My w tym czasie spieprzymy tak szybko, jak tylko się da, na teren Wewnętrznej Granicy.

– Sądzi pan, że oni uwierzą człowiekowi, którego kazano im zabić? – zapytał Jacovic.

– Nie ma na to szans. Ale mogą uwierzyć komuś takiemu jak Bertha Salinas.

– Administratorce?

– Ona na pewno ma większe szanse na przekonanie ich, że muszą pomóc w dostarczeniu tych pacjentów do szpitali – stwierdził Wilson. – Wiem, że walczył pan przez wiele lat z Republiką, a ci ludzie zniszczyliby „Teddy'ego R.”, gdyby tylko mogli, ale proszę mi wierzyć, nie jesteśmy aż takimi potworami. Jak tylko wyjaśnimy sytuację, zapewnią statkom szpitalnym bezpieczne przejście na Polny Strumyk.

– Nigdy nie uważałem ludzi za potwory – odparł Jacovic. – Chociaż miałem ich za tych złych.

– Do licha, czasami trudno się połapać, dlaczego tak naprawdę walczymy – mruknął Cole. – Pewnie któryś z moich dawno martwych prapradziadków powiedział coś niemiłego jednemu z pańskich od lat nieżyjących praszczurów albo vice versa i od tamtej pory obie strony nic, tylko się zabijają.

– Cieszę się, że nie przypisuje pan Federacji Teroni stuprocentowej winy za tę sytuację – powiedział komandor.

– Wystarczy już tego wzajemnego oczerniania przez obie strony – odparł kapitan. – Na tej wojnie, jak na każdej zresztą, i tak giną wyłącznie niczemu niewinni żołnierze. Miejmy tylko nadzieję, że dzisiaj nie dołączą do nich nasi chorzy. – Na koniec podniósł nieco głos. – Jabol, połącz mnie z Berthą Salinas.

– Za kilka sekund otworzę kanał – odparł Mollutei. – Już ją mam.

– Czego pan znowu chce? – zapytała, kiedy tylko jej hologram pojawił się w mesie. Widać było, że zajmuje się chorymi na równi z innymi lekarzami i pielęgniarkami.

– Wygląda na to, że zaatakują nas okręty floty republikańskiej – wyjaśnił Cole. – Miałem nadzieję, że będą stacjonowały nieco bliżej strefy walk i pewnie większość jest tam teraz, ale z jakiegoś powodu eskadra składająca się z dwunastu jednostek pozostała w tym sektorze. Pewnie zdążyła się już pani zorientować, że „Teddy R.” ma z nimi od dawna na pieńku. Pomyślałem więc, że chętniej wysłuchają pani niż mnie. Moi ludzie przekażą do waszego komputera wszystkie kody potrzebne do nawiązania łączności z tymi okrętami. Musi pani przekonać dowódcę tego zespołu, że wasza sytuacja jest krytyczna i poprosić go o pomoc.

– Ale...

– Proszę mi wierzyć, będzie pani o wiele bardziej przekonująca, zwłaszcza gdy dołączy pani holo

waszych pacjentów – przekonywał ją Wilson. – Nie mamy czasu do stracenia. Czy może to pani zrobić?

– Tak, kapitanie – odparła Bertha.

– Zaraz poproszę, aby jeden z moich oficerów przekazał do pani komputera wszystkie kody. Powinna je pani otrzymać za jakieś dwadzieścia sekund. – Rozłączył się. – Jabol!

– Tak, sir? – zapytał Jaxtaboxl.

– Przekaż wszystkie kody komunikacyjne Polnego Strumyka i naszej floty do komputera Berthy Salinas. Prześlij jej też wszystkie plany szpitala, jakie posiadamy, listy personelu, wszystko, co może okazać się przydatne, jeśli uda im się dostać na tę planetę.

Na moment zapadła cisza.

– Zrobione, sir.

– Świetnie. Teraz wszystko zależy od niej i oby jej się udało, bo my na pewno nie będziemy mogli nic zrobić. Cholera, nie pomógłbym jej, nawet gdybym mógł.

– Ja już nic z tego nie rozumiem, kapitanie – wtrącił się Jacovic. – Przed chwilą oświadczył mi pan, że nie pomógłby jej, nawet gdyby było to możliwe. Wybacz pan, ale to nie w pańskim stylu.

– Przylecieliśmy tutaj w nadziei, że odstraszymy jakichś terońskich maruderów – odparł Cole. – Nie będziemy jednak walczyć z flotyllą okrętów Republiki. Gdybym nawet dysponował siłami pozwalającymi na zniszczenie tych dwunastu okrętów, nie uczyniłbym tego. Nie strzelałbym do nich, przynajmniej do chwili, kiedy same otworzyłyby ogień, a i w takich warunkach raczej wybrałbym odwrót niż walkę. To przecież flota, w której szeregach służyłem przez całe dorosłe życie. Nie mógłbym pozbawić życia tysiąca marynarzy tylko dlatego, że ktoś wydał im rozkaz ścigania buntownika. To przecież w większości jeszcze dzieci, jak Rachel Marcos. Nie mają pojęcia, dlaczego przejąłem dowodzenie „Teddym R.”, bo nikt po ich stronie nie powiedział im prawdy.

– Jest pan szlachetnym i inteligentnym człowiekiem, kapitanie Cole – stwierdził Teroni po chwili zastanowienia. – Nie rozumiem, czemu wasza flota nie chciała z tego skorzystać.

– Sir? – Jaxtaboxl zgłosił się ponownie. – Bertha nawiązała z nimi kontakt.

– Świetnie – ucieszył się Cole. – Chcę, żeby wszyscy, ty, Domak, Cztery Oczy i pozostali czterej kapitanowie, rozpoczęli nasłuch rozmów wychodzących z tej flotylli, zwłaszcza prowadzonych pomiędzy poszczególnymi jednostkami. Połącz mnie z Christine.

– Ale ona...

– Tak, wiem. Jednak musimy to zrobić.

– Tak, sir? – zapytała zaspanym głosem Mboya, gdy w końcu odebrała.

– Naprawdę przykro mi, że robię to już po raz drugi tego samego dnia – powiedział Cole – ale musisz się pojawić na mostku tak szybko jak to tylko możliwe.

– Atakują nas? – zapytała zaniepokojona, opuszczając nogi na podłogę.

– Nie, jeszcze nie. Ale leci tutaj tuzin okrętów floty. Na pewno korzystają z zakodowanych transmisji, a ja muszę wiedzieć, o czym między sobą rozmawiają.

– Na szczęście zasnąłam, nie zdejmując munduru – stwierdziła, zrywając się na równe nogi. – Już idę na mostek.

– Dziękuję.

Kapitan zakończył rozmowę i odwrócił się do Jacovica.

– Teoretycznie każdy z nich potrafi obsłużyć ten sprzęt, ale ona jest prawdziwym wirtuozem sensorów... A ja mam pomysł, jak ten talent wykorzystać.

– Jak? – zapytał komandor.

– Cierpliwości – poprosił Wilson. – Najpierw muszę się dowiedzieć, co odpowiedzieli Bercie Salinas. – Zamówił przy stoliku kubek kawy. – No i przypomniałem sobie wreszcie, po co tutaj przyszedłem – oznajmił z uśmiechem na ustach.

– Wy, ludzie, jesteście chyba uzależnieni od tego napoju – zauważył Jacovic.

– Większość z nas lubi go ze względu na kofeinę. To taki delikatny stymulator. Pomaga nam utrzymać jasność umysłu i odgania senność. Ja pijam ją dla wyjątkowego smaku. I dlatego używamy na naszym okręcie wyłącznie oryginalnych ziaren kawy. Cała reszta tego cholernego menu oparta jest na sztucznych, głównie sojowych produktach, które tylko z wyglądu przypominają prawdziwe jedzenie.

– Moje potrawy wyglądają autentycznie i smakują wybornie – zapewnił go Teroni.

Cole roześmiał się.

– Taką oto przewagę zyskują istoty obcych ras służące na okrętach zbudowanych przez ludzi – stwierdził. – Konstruktorzy nie mieli pojęcia, kto jeszcze trafi na pokład, więc nie instalowali syntetyzatorów jedzenia dla kosmitów. I tak, dla pana, Domak i Forrice'a wozimy tony świeżego naturalnego żarcia. Natomiast wszystko dla nas jest sztuczne. Poza kawą, oczywiście – dodał, upijając łyceczek.

Hologram Christine zmaterializował się nad blatem stolika.

– Sir, flota zgodziła się właśnie przepuścić statki szpitalne na Polny Strumyk.

– Coś jeszcze?

- To na razie wszystko, sir.
- Monitoruj dalej ich komunikację. Od tego, co powiedzą w ciągu kilku najbliższych minut, będzie zależało nasze dalsze postępowanie.
- Tak jest – odparła i hologram zniknął.
- Czy oni dotrzymają słowa, kapitanie? – zapytał Jacovic.
- Prawdopodobnie – odparł Wilson. – Nic im nie grozi ze strony kilku statków szpitalnych. Ale może być pan pewien, że przeskanują je dokładnie, aby upewnić się, że na ich pokładach faktycznie są chorzy, a nie transport bomb... – zamilkł na chwilę. – Raczej powiedzieli prawdę. Przecież nie zdołalibyśmy ich powstrzymać, nawet gdyby otworzyli ogień do bezbronnych.
- Równie pewne jest to, że gdybyśmy towarzyszyli dalej tym statkom, stalibyśmy się pewnym celem floty – zauważył Jacovic. – Dlaczego nie wrócimy od razu na Wewnętrzną Granicę, skoro wiemy już, że nic im nie grozi i mają otwartą drogę na Polny Strumyk?
- Zaraz to zrobimy, ale jak już panu mówiłem, w tych sektorach wyrażenie „pościg kontaktowy” nabrało specjalnego znaczenia. Muszę mieć pewność, że nie polecą za nami.
- Mogę zapytać, jak pan ma zamiar im to wyperswadować?

– Jak już wspomniałem, mam pewien pomysł – odparł Cole. – Ale zanim zacznę go realizować, muszę wiedzieć, jakie mają plany.

Do mesy wszedł Forrice i natychmiast przyłączył się do nich.

– Wydawało mi się, że miałeś teraz stać za ladą naszego skromnego sklepiku – zauważył kapitan.

– Przeciwnik jest oddalony o dwie godziny lotu, no dobrze, godzinę i czterdzieści minut, ale Domak i Christine mogą wezwać mnie w każdej chwili, jeśli zajdzie taka potrzeba. A skoro siedzicie sobie tutaj, opowiadając sprośne kawały, pomyślałem, że dołączę do zacnego towarzystwa i też trochę się rozerwę.

– Proszę wybaczyć mojemu pierwszemu oficerowi – powiedział Cole, zwracając się do Jacovica. – Ktoś powiedział, że Molarianie mają poczucie humoru, a ten biedak mu uwierzył.

– No dobrze, przez najbliższą minutę będę poważny – obiecał Cztery Oczy. – Masz już jakiś plan czy po prostu poczekamy tutaj, aż okręty floty podlecą bliżej i nas załatwią? Wiesz przecież, że cały czas kierujemy się prosto na tę flotyllę.

– Wiem.

– I co w związku z tym?

– Trzeba zachować czujność.

– Wilsonie, niedługo znajdziemy się w ich zasięgu – przypomniał mu Molarianin. – Jeśli masz jakiś sensowny pomysł, to najlepszy moment, aby podzielić się nim ze swoim pierwszym oficerem.

– Planuję zawrócić na Wewnętrzną Granicę.

– Cudownie – ucieszył się Forrice. – Zawracamy!

– Jeszcze nie teraz.

– Jeśli podrażnisz ich jeszcze bardziej, Wilsonie – ostrzegł Cztery Oczy – polecą za tobą choćby do czarnej dziury w Jądrze Galaktyki. Wiesz o tym przecież.

– Muszę najpierw sprawdzić, czy zamierzają wezwać pomoc, czy wyruszą tylko w dwanaście okrętów – wyjaśnił kapitan.

– A jaka to różnica? – zdziwił się Molarianin. – Nie zdołamy pokonać nawet jednego z nich.

– Uspokój się, Cztery Oczy – poprosił Cole. – Sztuka nie polega na tym, żeby wydostać się stąd w jednym kawałku, bo to mamy jak w banku. Skoro obiecali przejąć statki z chorymi, musimy się tylko upewnić, że przez najbliższy miesiąc nie będą nam siedzieli na tyłku. A tego dowiemy się lada moment – dodał, gdy nad stołem pojawił się hologram Christine.

– Komputer potrzebował minutę na złamanie kodu, jakim szyfrowali swoje sygnały, kiedy już namierzyłam częstotliwość, na której się porozumiewali, sir – zameldowała. – Zdecydowali, że skoro na Polny Strumyk nie lecą okręty wojenne, a za takie widać uznali nas i cztery towarzyszące nam statki, wystarczy rutynowa kontrola jednostek szpitalnych i skanowanie przez obronę planetarną, a oni sami mogą ruszyć za nami w pościg w pełnej sile. Zakładają, że nie zbliżymy się do nich na mniejszą odległość, ale gdyby któraś z naszych drobniejszych jednostek posunęła się do czegoś takiego, pozostawią dwa okręty do zniszczenia tak małego intruza. Gdy zamilkła, Cole natychmiast zapytał:

– Czy to już wszystko?

– Tak, to wszystko, o czym rozmawiali, sir.

– Nie było mowy o ściąganiu posiłków z sąsiednich systemów?

– Nie, sir – zapewniła go Christine. – Najwidoczniej wydaje im się, że posiadają wystarczającą siłę ognia i pomoc nie będzie potrzebna.

– Dobrze, to mi wystarczy – zdecydował kapitan. – Skontaktuj się z najmniejszym statkiem eskadry i każ mu przycumować do doku dla wahadłowców. Pozostałe trzy jednostki mają się rozproszyć. Na mój rozkaz wejdą do tunelu czasoprzestrzennego prowadzącego na Wewnętrzną Granicę.

– Na to czekałeś? – zdziwił się Forrice. – Przecież wiedziałeś, że nas zaatakują.

– Pewnie, że wiedziałem. Ale musiałem sprawdzić, ile okrętów za nami wyślą. Gdyby poprosili o wsparcie z sąsiednich systemów, musielibyśmy nieco zmienić scenariusz.

– Jaki scenariusz?

– Sztuki, jaką ja i komandor Jacovic odegramy przed nimi – stwierdził Cole.

Rozdział dwudziesty szósty

– Który statek przycumował do nas? – zapytał Cole, wchodząc w towarzystwie Forrice'a i Jacovica na mostek.

– „Cicha Strzałka” – zameldowała Domak.

– Świetnie. Komandor Jacovic będzie nim teraz dowodził – odwrócił się do Teroni. – Znajdzie pan dla niego jakąś fajną terońską nazwę, tylko taką, której nie mamy w bazach danych.

– „Korabota” – powiedział komandor. – Czyli „Wąż-zabójca” po terrańsku.

– Świetnie, na najbliższe kilka godzin „Cicha Strzałka” zamieni się w „Korabotę”. Cztery Oczy, weź pana Briggsa i zmieńcie wszystkie identyfikatory oraz sygnały podprzestrzenne na nową nazwę.

– Czy Śliski ma zmienić także napisy na zewnątrz kadłuba?

Cole pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że nie podlecą tak blisko, aby mogli je odczytać. Christine?

– Tak?

– Jakie częstotliwości okręty floty mogą odebrać z takiej odległości?

– Prawie wszystkie, sir – odparła. – Gdybym wiedziała, o co panu chodzi...

– Dowie się pani – obiecał jej. – Czy możemy nadawać na częstotliwości, którą trudno im będzie odebrać? Nie chciałbym, żeby mieli zbyt łatwą robotę.

– Może częstotliwość numer Q03W6...?

– Nie musi mi pani podawać numerów – przerwał jej. – Proszę je przekazać panu Briggsowi i powiedzieć, że ma na nie ustawić radio „Cichej...”, to znaczy „Koraboty”. Tylko na niej będą nadawali.

– Dobrze, sir. A co z odbiornikami?

– Mogą odbierać całe pasmo.

– Już się łączę z panem Briggsiem.

– Świetnie – powiedział Cole. – To powinno załatwić wszystkie sprawy związane z „Teddym R.” i „Korabotą”.

– Robiłam wszystko, co pan kazał, sir – odezwała się Christine – ale naprawdę nie rozumiem po co.

Kapitan uśmiechnął się.

– Nie zrozumiała pani tylko dlatego, że jest pani wciąż młodą, honorową idealistką, poruczniku. Ale bez obaw, z tego wszystkiego się wyrasta. – Spojrzał na Forrice'a i Jacovica. – Ale wy, starszy wyjadacze, już pewnie wiecie, o co mi chodzi?

– Ja już się domyślam – odparł Molarianin – ale oni za cholerę tego nie kupią.

– Dlaczego? – zapytał kapitan. – Jestem numerem jeden na liście poszukiwanych. Usunąłem swojego dowódcę ze stanowiska, i to podczas starcia z wrogiem. Uciekłem z wojskowego więzienia.

Wróciłem potem do Republiki, żeby sprzedać kradzione diamenty. Jestem najgorszym złym facetem tego świata.

– Co fakt, to fakt – zgodził się Forrice. – Chyba powinienem cię wydać, skoro dają tak wysoką nagrodę.

– Szkoda, że nie macie na pokładzie „Teodora Roosevelta” nikogo, kto mówi po terońsku – wtrącił Jacovic. – To by podsyciło iluzję.

– To prawda – przyznał Wilson. – Ale musimy sobie radzić za pomocą tego, czym dysponujemy. Wiem, że mówi pan doskonale po terrańsku, ale większe wrażenie zrobimy, jeśli będzie pan korzystał z T-tora i używał własnego języka. Niech posłuchają tego monotonnego tłumaczenia.

– Aha! – zawołała podeksycytowana Christine. – Teraz rozumiem!

– A teraz ustalmy kilka szczegółów – powiedział Cole. – Nie może pan powiedzieć, że nadal dowodzi Piątą Flotą. To jest zbyt łatwe do sprawdzenia... – zamilkł i zaczął się zastanawiać nad tym problemem. – Iloma flotami dysponuje teraz Federacja Teroni?

– Czternastoma – odparł Jacovic.

– Dobrze – ucieszył się Cole. – W takim razie będzie pan dowódcą nowo utworzonej piętnastej floty. Wprawdzie nie jest ona jeszcze w pełni gotowości bojowej, ale ma pan już pod rozkazami ponad dwieście okrętów. Szkolicie właśnie załogi na terytorium Wewnętrznej Granicy.

– A po co się spotkaliśmy?

– Przedstawiłem panu pewną propozycję. Pokłócimy się o nią, jak pan się znajdzie na pokładzie „Koraboty”.

– Już mam tam iść? – zapytał komandor.

– Proszę poczekać, aż pan Briggs przestroi radio.

– O bogowie! – zawołała Christine. – Opowiadaliście tutaj tak fascynujące rzeczy, że zapomniałam mu to przekazać.

– Nic się nie stało – uspokoił ją kapitan. – Straciliśmy nie więcej niż minutę, a okręty floty są wciąż oddalone o półtorej godziny lotu.

– Tak mi przykro – stwierdziła łamiącym się głosem.

– Ja tylko...

– Teraz proszę się skontaktować z Briggssem – przerwał jej Wilson. – Na przeprosiny będziemy mieli czas później.

- Tak jest.
- Jak długo to potrwa? – zapytał Jacovic, gdy Christine przekazała instrukcję na drugi statek.
- Nie możemy pozwolić im podejść zbyt blisko – wyjaśnił Cole. – Są szybsi od nas i niemal na pewno posiadają uzbrojenie najnowszej generacji. Czyli o znacznie większym zasięgu... – zamilkł na chwilę. – Jeśli nie kupią tego w ciągu pierwszych dziesięciu minut, lepiej będzie zmiatać stąd na pełnym ciągu do tunelu nadprzestrzennego, modląc się przez całą drogę, żebyśmy na jego drugim końcu wciąż mieli nad nimi wystarczającą przewagę. No i rozdzielamy się od razu, żeby także musieli podzielić siły. Kto przeżyje, ten pojawi się na Stacji Singapur za dziesięć standardowych dni. Ale miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tego.

Minutę później zobaczyli hologram Briggsa i usłyszeli meldunek o przestrojeniu radia.

- Świetnie – powiedział Cole. – Powodzenia, komandorze.

Jacovic zasalutował – to znaczy Wilson uznał ten gest za salut, ponieważ nigdy wcześniej nie widział oddawania honorów w wykonaniu Teroni – i ruszył w stronę hangarów.

- Christine, połącz mnie z kapitanem „Cichej Strzałki”, ale systemem wewnętrznym, nie podprzestrzennym. Nie chcę, żeby flota była w stanie go przechwycić.
- Mogę osłabić moc sygnału tak, że nie rozejdzie się dalej niż na milę – zamilkła na kilka sekund. – Gotowe, sir.
- Za minutę na waszym pokładzie pojawi się komandor Jacovic, mój trzeci oficer. Proszę mu przekazać dowodzenie na najbliższą godzinę. Gdyby doszło w tym czasie do walki, automatycznie przejmuje pan swoje stanowisko. Komandor Jacovic musi mieć pełen dostęp do nadajnika podprzestrzennego. Reszta załogi, nie wyłączając pana, ma wyjść poza zasięg kamer holo, tak aby podczas transmisji nie dało się was zauważyć. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?
- Tak, sir – odparł kapitan „Cichej Strzałki”. – Zdaję dowodzenie tylko na godzinę?

– Zgadza się. Ale w tym czasie wypełniacie wszystkie rozkazy i nikt nie waży się wypowiedzieć nawet jednego słowa. Jeśli komandor nazwie waszą jednostkę inaczej, jeśli nawet zacznie mi grozić albo mówić coś, o czym wiecie, że to nie jest prawda, milczycie. Zrozumiano?

- Tak jest.
- Proszę to przekazać załodze.
- Jest nas tylko sześciu i wszyscy pana słyszeliśmy, sir.

– Jak tylko komandor Jacovic pojawi się na pokładzie, odbijacie, oddalacie się na maksymalną odległość i przekazujecie mu dowodzenie. Koniec przekazu.

Skinął głową Christine, a ta wyłączyła transmitery.

– I co teraz, sir? – zapytała Domak.

– Teraz poczekamy około dziesięciu minut, aż „Korabota” znajdzie się w dostatecznej odległości, aby usprawiedliwić używanie radia podprzestrzennego. A potem okaże się, czy komandor Jacovic żył wystarczająco długo między ludźmi, aby nauczyć się łączyć jak z nut.

Cole odwrócił się i ruszył do wind.

– Niech zgadnę – powiedział Forrice. – Idziesz napić się tego naparu, od którego jesteś uzależniony?

– Nie – odparł kapitan. – Idę pozbyć się zawartości ostatnich dwóch albo i trzech kubków. Nawet twój kapitan ze stali od czasu do czasu musi odpowiedzieć na zew natury.

Wilson wszedł do łazienki dla ludzi, znajdującej się tuż obok wind. Gdy załatwił potrzebę, opłukał twarz zimną wodą, przycesał włosy (które nigdy nie chciały leżeć jak trzeba), wypalił połowę bezdymnego papierosa, wyrzucił niedopałek do atomizera i wrócił na mostek. Stał na samym środku, wziął się pod boki i rozejrzał uważnie.

– Już zapomniałeś, jak to miejsce wygląda? – zapytał po chwili Forrice.

– Zastanawiam się, gdzie się ulokować, na wypadek gdyby odebrali nie tylko audio, ale i sygnał wizyjny – odparł kapitan.

– Dlaczego nie odbierzesz tam, gdzie zwykle załatwiasz interesy, czyli w gabinecie albo w mesie?

– Oficerowie floty nie zrozumieliby tego – stwierdził Wilson. – Oni wierzą, że naprawdę ważne decyzje podejmuje się wyłącznie na mostku. A skoro chcemy, żeby przechwycili ten sygnał, niech to wygląda na naprawdę poważną rozmowę. – W końcu podszedł do konsoli stanowiska sensorów. – Tu będzie dobrze.

– Dlaczego nie przy stanowisku komunikacyjnym? – zapytał Molarianin. – Ono robi większe wrażenie.

– Ponieważ nie wyłączymy większości jego funkcji, a nie chciałbym, żeby widzieli, że świeci się jak pieprzona choinka przy każdym przechwytywanym przez nich przekazie.

– Co to jest choinka?

– Jutro ci wyjaśnię – odparł Cole, spoglądając na pokładowy chronometr. – Już czas. Christine, połącz mnie z „Korabotą” na częstotliwości, o której rozmawialiśmy przed chwilą. Od tej chwili nikt się nie odzywa!

Hologram Teroni pojawił się sekundę później.

– Witam, kapitanie Cole – powiedział do T-tora.

– Witam, komandorze Jacovic.

- Widzę, że ścigają pana okręty floty.
- Bez obaw – odparł Cole. – Mamy jeszcze sporo czasu na załatwienie sprawy.
- Jest pan szalony, kapitanie Cole – stwierdził Teroni. – Ma pan co najwyżej dziesięć minut standardowych.
- Mam znacznie więcej – uspokoił go Wilson. – Ale nawet te dziesięć minut wystarczyłoby do ustalenia szczegółów naszej umowy.
- Nie spieprz tego pomyślał. Teraz musisz zacząć się wyklócać, żeby oni też się dowiedzieli, na czym ona polega.*
- Przecież mamy już kontrakt wiążący obie strony – stwierdził Jacovic.
- Cóż mogę dodać? Słowo „wiążący” posiada wiele znaczeń – odparł Cole. – To „Teddy R.” ponosi całe ryzyko, nie „Korabota”. Chcemy więcej.
- Uzgodniliśmy cenę, kapitanie Cole. Nie czas teraz na renegocjacje.
- Ustalmy jedno – powiedział Wilson. – Doszły mnie słuchy, że rozpoczął pan już manewry Piętnastej Floty na terytorium Wewnętrznej Granicy. Proszę nie zapominać, że to ja nawiązałem kontakt i zaproponowałem panu, że dostarczę wam na teren ćwiczeń okręty floty republikańskiej. To jednak wymaga zbliżenia się do nich na tyle blisko, aby uznały, że gra jest warta świeczki, podjęły pościg kontaktowy i poleciały za mną prosto do miejsca, w którym będzie pan czekał na czele dwustu jednostek Teroni.
- Mam tylko sto osiemdziesiąt siedem okrętów, ale nie wszystkie osiągnęły sprawność bojową – odparł Jacovic.
- Cudnie – mruknął Cole. – Ma pan sto osiemdziesiąt siedem okrętów, a oni dwanaście. Też mi bitwa. Jak tylko wleczą do tunelu nadprzestrzennego, będzie po nich, obaj to wiemy. Ma pan taką przewagę, że wynik bitwy jest przesądzony. Ale to ja jestem przynętą i to ja muszę podlecieć tak blisko nich, żeby uznali, że mogą mnie tym razem przyszpilić. Milion kredytów to za mało. Chcę dwa miliony.
- Po pierwsze, umowa opiewała nie na kredyty, tylko ruble z Nowego Stalina, na co pan się zgodził. Po drugie, nie pozwolę panu wyciągać dodatkowych pieniędzy od Federacji Teroni. Umówiliśmy się na milion rubli i tyle panu wypłacimy. Po trzecie, jeśli spróbuje pan złamać warunki naszej umowy albo powiadomi jednostki republikańskie, że po drugiej stronie tunelu nadprzestrzennego czeka na nie Piętnasta Flota, uznam to za akt wypowiedzenia wojny Federacji Teroni i uczynię wszystko, aby poniósł pan pełne konsekwencje swojego czynu. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?
- Dobrze, już dobrze – burknął Cole, starając się, aby w jego głosie pobrzmiwał wyczuwalny ton rozdrażnienia. – Za moment zawrócę w stronę tunelu czasoprzestrzennego. Proszę powiadomić swoich ludzi, że „Teddy R.” ma przejść przez ich linię nietknięty. I proszę pamiętać, że pieniądze

mają być przelane w momencie, gdy ostatni z okrętów Republiki zostanie zniszczony.

– Dostanie je pan, jeśli uda się panu zwabić tę flotyllę do tunelu nadprzestrzennego – obiecał Jacovic.

– W takim razie proszę patrzeć i podziwiać – stwierdził Wilson, dając jednocześnie znak Christine, by przerwała połączenie. – Pilotcie, skieruj się na wylot tunelu czasoprzestrzennego, ale pamiętaj, nie możemy w niego wlecieć prędzej niż za kwadrans.

Wxakgini zwiększył prędkość okrętu.

– Piętnaście minut, zrozumiałem, sir – odparł.

Teraz Cole nakazał ewakuację pozostałym trzem jednostkom.

– Zaraz zobaczymy, czy to kupili...

Okręty floty kontynuowały pościg za „Teddym R.” przez następne siedem minut, potem osiem, wreszcie dziesięć.

– Za pięć minut wchodzimy w tunel czasoprzestrzenny – zameldował Wxakgini.

W chwili, gdy „Korabota” zniknął w nadprzestrzeni, Forrice spoglądający przez ramię Domak na odczyty sensorów wydał z siebie świst tryumfu.

– Opuuszczają! – zawołał.

– Ulżyło mi – stwierdził Cole, gdy ostatni z okrętów floty zawrócił i skierował się na Polny Strumyk.
– Zdaje się, że jak już skończymy z zabawą w najemników, komandor Jacovic i ja zrobimy oszałamiającą karierę na deskach teatru.

– Obawiam się, że nie, sir – wtrąciła Christine.

– Dlaczego?

– Po tym co dzisiaj widziałam, widzę pana raczej w roli wędrownego komiwojażera wciskającego ludziom szarą masę.

Rozdział dwudziesty siódmy

„Teddy R.” i towarzyszące mu statki powróciły na Stację Singapur bez większych problemów. Cole

ogłosił trzydniowe przepustki, z wyjątkiem rotacyjnych dyżurów szkieletowej obsady, upewnił się, że uzupełniono zapasy w kambuzach, a potem wyruszył razem z Sharon Blacksmith i Dawidem Copperfieldem do kasyna Księcia. Forrice zdążył się w tym czasie skontaktować z burdelem i dowiedzieć, że dwie nowe prostytutki właśnie weszły w okres sezonowania, co natychmiast skłoniło go do złożenia wizyty w tym przybytku. Obiecał jednak, że dołączy do towarzystwa za jakieś dwie godziny.

W kasynie było tłoczno jak zazwyczaj, ale Cole wyczuł znaczne napięcie zaraz po przekroczeniu progu. Zauważył Csontiego zasiadającego za stołem do khalimesha i natychmiast zaczął rozglądać się w poszukiwaniu Wal. Dostrzegł ją przy innym stole do gry. Pomyślał, że fakt, iż znalazł się w tym samym pomieszczeniu z rudowłosą gigantką, dla wielu obecnych może być wielkim zaskoczeniem. Spodziewano się pewnie niezłej rozróby, ale Wilson nie zaszczycił dezenterki uwagą, podszedł za to prosto do stolika, za którym siedział samotny Platynowy Książę, doglądając tej części swojego imperium.

– Cieszy mnie, że wszyscy wyszliście z tego cało – stwierdził szef stacji, gdy Cole, Sharon i Dawid stanęli przed nim. – Siadajcie, proszę. Pierwsza kolejka na koszt firmy.

– Dziękuję – odparł kapitan. – Poproszę piwo.

– A ja antareańską brandy – powiedziała Blacksmith.

– Czy można prosić o kieliszek Dom Perignon, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt pięć? – zapytał Copperfield. – Najlepiej z północnego zbocza winnicy.

– Daj spokój, Dawidzie – poprosił Książę. – Nie cuduj.

– Mówiłem poważnie – stwierdził kosmita. – Ale skoro wasza piwniczka jest tak uboga, wezmę kieliszek cygniańskiego koniaku.

– Jak wam poszło? – zapytał człowiek z platyny, gdy stolik przekazał ich zamówienia do baru. – Udało się wyciągnąć tych dwóch członków załogi?

Cole skinął głową.

– Tak. Jeden wrócił już do służby, drugi wciąż się kuruje w naszym ambulatorium.

– Mój przyjaciel dokonał znacznie większej rzeczy – pochwalił się Dawid. – Przeprowadził ewakuację całego szpitala.

– Nigdy bym nie pomyślał, że na kilku stateczkach można pomieścić tak wielką ilość pacjentów – stwierdził Książę.

– To długa historia – odparł Wilson. – Jestem pewien, że Wal opowiedziała panu, jak to wyglądało z jej strony.

Szef stacji zaprzeczył.

- Nawet nie podeszła do mnie, żeby się przywitać.
- Cóż, wnioskując z tego, że ona i Csonti siedzą tu razem, można przypuszczać, że jednak wygrali – uznał Cole, gdy podano zamówione drinki.
- Wolałbym, aby Csonti zabawiał się w innym miejscu – powiedział człowiek z platyny. – Chleje i ćpa od momentu powrotu, a nawet na trzeźwo potrafi być cholernie nieprzyjemny.
- Więc proszę go stąd wywalić – zaproponowała Sharon.
- Jediną osobą, która mogłaby to zrobić, jest wasza Walkiria, ale ona pracuje teraz dla niego.
- Ona nie jest już nasza – zaprzeczył kapitan. – Wątpię też, czy po powrocie z Prometeusza łączy ją cokolwiek z Csontim.

W tym samym momencie rudowłosa kobieta dostrzegła dawnych towarzyszy, wstała od stołu i ruszyła w ich kierunku.

- Zaraz się tego dowiemy – stwierdził Książę.

Cole patrzył na podchodzącą Wal, a gdy dotarła na miejsce, wstał, by się z nią przywitać.

- Proszę usiąść z nami – szef stacji wskazał jej miejsce.

- Z chęcią – odparła rudowłosa.

- Jak wam poszło? – zapytał Cole, gdy zajęła swoje miejsce.

- Wygraliśmy.

- To widzę – odparł Wilson. – W końcu jesteś tutaj.

- Straciliśmy sześć statków – ciągnęła dalej. – Ta cholerna planeta miała lepsze systemy obrony, niż sądziliśmy.

- Jak wiele zniszczeń wyrządziliście?

Wzruszyła ramionami.

- Tyle, ile musieliśmy. Csonti nie chciał wybić wszystkich. Chodziło tylko o to, by przypomnieli sobie o płaceniu dorocznego haracz.

- Popraw mnie, jeśli się mylę – poprosił kapitan – ale czy nie chroniliśmy przed czymś takim kolonii na Bannisterze II?

- Tak – przyznała Wal. – Bo za to nam zapłacono. W tym wypadku stroną płacącą byli wymuszający haracz.

- I nie widzisz żadnej różnicy?
- Zdaje się, że mieliśmy być najemnikami – zauważyła Wal – czyli ludźmi do wynajęcia. Dokonywanie moralnych ocen nie mieści się w tej definicji.
- Jeśli my tego nie zrobimy, to kto?
- Powiem ci coś – stwierdziła rudowłosa. – Przez takie nastawienie nie mogłeś być dobrym piratem. Przecież to ty wymyśliłeś, żeby porzucić piractwo i zająć się najemnictwem. Trzeba było sprawdzić w słowniku pokładowym, co znaczy to słowo.
- Byłem tam, Wal. Ten orbitalny szpital nie wadził nikomu i nie miał żadnych systemów obronnych. Nikt tam nie posiadał broni, nawet durnego pistoletu. Mieli na pokładach wyłącznie chorych ludzi i kosmitów. No i garstkę oddanych im lekarzy.
- Byłeś tam? – zdziwiła się. – Nie widziałam cię.
- Zakończyliśmy ewakuację tej placówki, zanim dolecieliście na Prometeusza. Nie wiedziałas o tym, a mimo wszystko rozwaliliście szpital na atomy.
- Nie ja – zaprotestowała. – Moim zadaniem było wylądowanie i zdobycie parlamentu, czy jak tam mówili na ten budynek.
- Ale ktoś z waszej floty to zrobił. Gdyby nie on, pewnie ty miałabyś dzisiaj na sumieniu czterysta nieuzbrojonych ofiar. Czy o takim najemnictwie marzyłaś?
- Pieprz się, Cole! Już ci powiedziałam, że nie ja rozwaliałam ten szpital.
- A ja ci powiedziałem, że zrobił to facet, dla którego pracowałaś, a w każdym razie kazał to zrobić.
- Nie jestem jego niańką.
- Szkoda, gość, który każe rozwalać szpitale, najwyraźniej potrzebuje niańki.
- Ty nigdy nie słuchasz, co się do ciebie mówi – stwierdziła zrezygnowanym tonem Wal. – Nie miałam nic wspólnego ze zniszczeniem tego szpitala! Walczyłam wręcz na powierzchni planety.
- Co pozwoliło komuś innemu na rozpieprzenie punktu medycznego.
- Komuś innemu! – wrzasnęła. – Nie mnie! Czujesz się odpowiedzialny za każdą bombę, jaką wasza flota zrzucała na cywilów Teroni?
- Widzę, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię – odparł Cole.
- Zarobiłam trzy miliony dolarów Marii Teresy za trzy dni pracy – powiedziała Wal. – Ty ocaliłeś życie czterystu osób. Ile ci za to zapłacili?

– Ani jednego kredytu.

– Csoni rozpieprzyłby Prometeusza III i bez mojej pomocy. Dzięki temu, że zakończyłam tę akcję szybciej, niż zakładano, bitwę przeżyło dodatkowe pięć tysięcy ludzi. Na moje miejsce znalazłby się inny chętny. To miejsce – uczyniła ręką szeroki gest, wskazując na Stację Singapur – jest pełne istot, które zrobią wszystko za pieniądze.

– Pamiętasz może jeszcze, dlaczego zostałeś w załodze „Teddy'ego R.”, kiedy odzyskaliśmy „Pegaza” z rąk Rekina Młota? – zapytał Cole.

Wal poruszyła się niepewnie na krześle.

– Sytuacja uległa zmianie – odparła.

– Niektóre rzeczy się zmieniają, inne nie – stwierdził sentencjonalnie kapitan. – Powiedziałaś mi, że chcesz zostać, ponieważ twoja załoga sprzedała cię, a moja zaryzykowała dla mnie życie i kariery. Twierdziłaś, że chcesz poznać przyczyny tej lojalności... – przerwał na moment. – Moi ludzie są lojalni, ponieważ nie układam się z szantażystami i nie sprzymierzyłbym się nigdy z kimś, kto niszczy szpitale. Moi ludzie są lojalni, ponieważ...

– Jesteś oficerem floty – wpadła mu w słowo. – Zostałeś tak wyszkolony. A ja nie. Do cholery, twierdziłeś, że zostaniemy najemnikami. No to zostałam najemniczką. A ty kim jesteś?

Cole otwierał właśnie usta by jej odpowiedzieć, gdy z drugiej strony sali rozległ się łomot.

– A tam co się znowu wyrabia? – zaniepokoił się Książę.

Nagle w powietrzu zaczęły latać ciała, a z oddali rozległ się wściekły ryk Csoniego.

– On rozwali moje kasyno! – wydarł się człowiek z platyny, gdy kolejne dwa stoły załamały się pod ciężarem padających na nie istot.

– Uspokoi się za kilka minut – pocieszyła go Wal. – Zawsze się taki robi, jak za dużo wypije.

– Za kilka minut? – powtórzył Platynowy Książę. – Za kilka minut będę tu miał dziesiątki trupów i wszystkie stoły w ruinie! – Rozejrzał się po siedzących wokół. – Pomożecie mi?

– Ile dajesz za uspokojenie Csoniego? – zapytała Wal.

Cole wstał, zanim szef stacji zdążył odpowiedzieć.

– Oszczędź sobie wydatków. Ja ci pomogę.

– Wydaje ci się, że pokonasz go w uczciwej walce? – zapytała wyraźnie rozbawiona Walkiria.

– Nawet nie zamierzam tego sprawdzać – oświadczył Wilson i ruszył razem z Księciem w stronę miejsca, w którym szalał Csoni. Gdy dotarli na miejsce, kapitan przestawił moc pistoletu sonicznego

z zabijania na ogłuszanie. – Dość tego – powiedział obojętnym tonem.

Csonti spojrzał na niego znad pobjowiska.

– A ty, u licha, kim jesteś?

– Dlaczego nie usiądziemy spokojnie przy stoliku, żebym mógł ci to wyjaśnić? – zapytał Cole.

– Dlatego, że za dobrze się tu bawię?! – ryknął Csonti.

– Masz natychmiast opuścić moje kasyno! – zawołał Książę. – I zapłacić za wszystkie szkody. Od dzisiaj masz wstęp wzbroniony do tego lokalu.

Csonti chwycił krzesło i cisnął nim w szefa stacji. Ten z trudem zdążył się uchylić.

– Dość tego! – wrzasnął człowiek z platyny. – Nie jesteś już mile widziany na Stacji Singapur!

– A kto mnie stąd wyrzuci? – zagrział Csonti. – Ty?

– Nie – odparł Cole i strzelił z piszczałki. – Ja.

Csonti zachwiał się mocno, gdy dosięgnęła go fala niemal namacalnego dźwięku. Z uszu buchnęła mu krew, wyglądał też na mocno zdezorientowanego. Sekundę później padł na podłogę jak kłoda.

– Gdzie macie jakiś areszt? – zapytał Cole.

– Nie mamy czegoś takiego.

– Cudownie – mruknął kapitan, a potem odezwał się do graczy: – Czy jest tu ktoś z jego załogi? Ktoś, kto może go zabrać na jego statek?

Trzej mężczyźni stojący obok stołu do jabolba przyznali się do służby na jednostce Csontiego.

– Niech mnie wszyscy diabli, jeśli zatargam go na łajbę – oświadczył jeden z nich. – Kiedy się obudzi, będzie wściekły jak cholera!

– Ja też się na to nie piszę – dodał drugi.

– Mnie dopiero co spłacił – powiedziała Wal, podchodząc do nich. – W zamian mogę go chyba zanieść na ten statek.

Sięgnęła po muskularne ciało nieprzytomnego kosmity, podniosła je lekko jak piórko, przerzuciła sobie przez ramię i wyniosła z kasyna.

– Tych pięciu będzie potrzebowało interwencji lekarza – stwierdziła Sharon, wskazując leżących na podłodze trzech mężczyzn, Lodinitę i Mollutei. – Możemy ich zabrać do naszego ambulatorium. Zobaczmy, jak dobry jest ten doktor, którego zorganizowaliśmy sobie na orbicie Prometeusza.

– Dobrze – zgodził się Cole. – Powinniśmy sprawdzić jego umiejętności, zanim zabierze się do poważniejszej roboty przy nas.

– Zakładam, że to był żart – stwierdziła Sharon.

Kapitan pokiwał głową.

– Ale jaki prawdziwy.

– Cokolwiek to miało znaczyć... – Blacksmith skontaktowała się z okrętem i zamówiła pięć lotonoszy, a potem obeszła salę w poszukiwaniu ochotników, którzy przewieźliby pobitych na pokład „Teddy'ego R.”.

– Wie pan o tym, że on tu wróci – powiedział Wilson, gdy zasiedli razem z Księciem przy stoliku.

– Wiem – odparł szef stacji. – Ale mam nadzieję, że będzie już trzeźwy.

W tym momencie Cole zauważył, że spod stolika wyczołguje się Copperfield.

– Dzięki za heroiczną obronę podłogi, Dawidzie – rzucił sardonicznie w jego kierunku.

– Jestem biznesmenem, nie wojownikiem – odparł były paser, starając się ocalić resztki dumy.

– Ile interesów udało ci się załatwić tam na dole? – nie odpuszczał kapitan.

– Nigdy nie zaprzeczałem moim ograniczeniom – stwierdził kosmita. – Ale tak jawne ich wykpiwanie jest oznaką braku kultury, mój drogi Steerforth.

– Wybacz, Dawidzie – powiedział Cole. – Nie chciałem cię obrazić.

– Przyjaciel nie może obrazić przyjaciela – oświadczył Copperfield. – Ale może go zranić do żywego taką niemiłą uwagą.

– Postaram się to zapamiętać.

– Zakładam, że zajął się pan uciszeniem tego chuligana?

– Obawiam się, że określenie „chuligan” nie bardzo pasuje do tej postaci – stwierdził Wilson. – To największy z wodzów, jakich spotkaliśmy od czasu wkroczenia na terytoria Wewnętrznej Granicy. I chyba najbardziej krewki.

– A gdzież to podziewa się nasza wspaniała Olivia Twist?

– Odnosi Csoniego na jego statek.

– Powiada pan, że prowadzi jego lotonosze? – zapytał Dawid.

– Powiedziałem to, co słyszałeś.

– A niech mnie wszyscy diabli! – wrzasnął nagle Książę. – Narobił mi szkód na jakieś dziesięć tysięcy kredytów!

– Nie licząc wydatków na leczenie klientów – dodał Cole, gdy Sharon wróciła do stolika.

– Nosze będą tutaj za minutkę albo dwie – oznajmiła.

– Ten sukinsyn już nigdy nie postawi stopy na mojej stacji! – oznajmił człowiek z platyny.

– Jeśli będzie pan wywalał każdego pijaka i ćpuna, bardzo szybko stanie się pan najbardziej samotnym właścicielem kasyna w galaktyce – zauważył Cole.

– Wywalę każdego, kto się tak zachowuje! – odparł Książę.

Kapitan spojrzał na Sharon.

– Powiadom lekarza pokładowego, że szykuje się robota.

Skinęła głową.

– Dobrze. Poproszę też Władimira Sokołowa, żeby mu pomógł. I tak musi siedzieć na statku, dopóki nie wydobrzeje do reszty.

– Czy jeden ranny pomagier mu wystarczy? – zapytał Cole.

– Powinien – odparła. – Nikt z nich nie odniósł poważnych obrażeń. Dwaj albo trzej mogą mieć połamane kości, ale bez problemu poczekają chwilę na ich złożenie.

– Mimo wszystko nie powinniśmy za bardzo obciążać tego biednego sukinsyna już w pierwszych dniach pracy. Zaoferuj pięćset funtów Dalekiego Londynu każdemu z tragarzy, który zgodzi się zostać przy pacjencie do czasu opatrzenia wszystkich kontuzji.

– Całkiem spora sumka jak za kilka godzin stania – zauważyła Sharon. – A jeśli wszyscy się zgłoszą?

– Wtedy wybierzesz dwóch, którzy zrobią to jako pierwsi, a reszcie podziękujesz i odeślesz do kasyna.

– Nosze już dotarły – ucieszyła się Sharon, spoglądając na wejście do sali. – Pójdę tam i od razu złożę ofertę.

– Tylko upewnij się, że wiedzą, co mają robić, ci goście wyglądają na zdrowo potłuczonych – zawołał za nią Wilson, gdy odchodziła od stolika, nieomal wpadając na Jacovica.

– Słyszałem, że była tutaj niezła rozróżba – powiedział Teroni. – Pomyślałem więc, że sprawdzę, czy brał w niej udział ktoś z naszej załogi.

- Plotki szybko się tutaj rozchodzą – zauważył Cole, gdy komandor usiadł. – Zadyma zaczęła się niespełna pięć minut temu.
- Posiłałem się w restauracji na końcu tego korytarza – wyjaśnił Jacovic.
- Pijany wódz imieniem Csonti wpadł w szal – powiedział Książę. – Pobił mi kilku gości, no i poniszczył sprzętu za jakieś piętnaście tysięcy kredytów.
- Wydawało mi się, że za dziesięć tysięcy – wtrącił Wilson.
- Dziesięć, piętnaście, co za różnica? – stwierdził poirytowany człowiek z platyny. – Ten gość wpadł w berserk. Do diabła, to może mnie kosztować znacznie więcej, przecież gracze odeszli od stołów. Niektórzy z tych, których zabrano na noszach, to zawodowi hazardziści. Widziałem, że paru innych nadzianych gości też już sobie poszło.
- Jest pan taki troskliwy – powiedział Cole. – Normalnie człowiek-serce.
- Ktoś go jednak powstrzymał – zauważył Jacovic.
- Pański kapitan – odparł Książę.
- Czy to typ istoty, która nosi w sobie urazy? – zapytał Teroni.
- A skąd ja to mam wiedzieć? – powiedział Cole i wzruszył ramionami. – Jeśli nawet, to nie miałem specjalnego wyboru. Zanim sam by padł, posłałby nam do ambulatorium jeszcze tuzin graczy.
- No i wywaliliśmy go ze Stacji Singapur – dodał człowiek z platyny. – Jak się obudzi i wytrzeźwieje, będzie daleko stąd. Niech rozrabia w innych kasynach.
- Sharon raz jeszcze wróciła do stolika.
- Zabraliśmy wszystkie ofiary – zameldowała. – Trzech klientów zgłosiło się do pomocy lekarzowi, ale zaoferowałam im po trzysta funtów. Tym sposobem zaoszczędziliśmy na premię dla tego, który będzie najbardziej pracowity. Kazałam Sokołowowi wracać do kabiny, ale uparł się, że zostanie w ambulatorium.
- Świetnie. Jak się trzymają pobici?
- Większość z nich powinna się cieszyć, że jeszcze żyje – odparła Sharon. – Albo dziwić. Z tego, co wiem, te napady szału to u Csontiego norma, przy wielu poprzednich okazjach nie skończyło się tylko na wizytach w szpitalu.
- Słodki bobasek – podsumował Cole i roześmiał się. – I tak miał szczęście, że nie zamachnął się na Wal. Nie wiedziałby nawet, co go zdmuchnęło.
- Z pana słów można by wywnioskować, że wciąż ją pan podziwiasz – zauważył Jacovic.

– Podziwiam jej umiejętności – odparł Cole i pociągnął łyk piwa, ale skrzywił się zaraz, gdyż poczuł, że jest ciepłe. – Podziwiam też jej możliwości. Ona może mieć przed sobą wielką przyszłość. Na razie jest twardogłowym, ale wielce obiecującym adeptem. Trzeba jej tylko porządnej szkoły i odrobiny dojrzałości.

– Przydałyby się jej, zanim wybiję wszystkich na Wewnętrznej Granicy – wtrąciła Sharon.

– Gdybyśmy nieco później odlecieli z Prometeusza albo gdyby ona pojawiła się tam szybciej, pewnie utworzyłaby do nas ogień – stwierdził Jacovic.

Cole zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Nie. Ona jest zdolna do popełnienia całej masy głupstw, ale czegoś takiego nigdy by nie zrobiła. Ma w sobie resztki poczucia lojalności, a to my pomogliśmy jej w odzyskaniu statku.

– O wilku mowa... – mruknęła Sharon, rzucając spojrzenie na wejście, w którym właśnie pojawiła się Wal.

Rudowłosa kobieta podeszła prosto do ich stolika i zajęła to samo miejsce, które opuściła po zamieszaniu.

– Jak się czuje pacjent? – zapytał Cole.

– Obudził się – odparła. – I jest wściekły jak cholera.

– Na kogoś w szczególności czy na całą cholerną galaktykę?

– Wkurza się głównie na ciebie.

– W takim razie ma coś wspólnego z Republiką i Federacją Teroni – stwierdził Wilson. – Będzie się musiał ustawić w kolejce.

– Ale najbardziej jest wściekły na to, że Księżę zakazał mu wstępu do kasyna. I to na oczach wszystkich – kontynuowała Wal. – Uważa, że został publicznie upokorzony, co widziało wielu jego przyjaciół.

– On nie ma przyjaciół – rzucił kapitan.

– Nie odpuszczę mu tym razem – zapewnił ich człowiek z platyny.

– Nie w tym problem – poinformowała go Walkiria. – On nie zamierza wracać na Stację Singapur.

– I dobrze – ucieszył się Księżę. – Zaskakująca, ale dobra decyzja.

– Nie pozwoliłeś mi skończyć. On chce sprawić, że nikt nigdy nie przybędzie na twoją stację.

– Jaśniej, proszę – zażądał Cole.

– Zamierza zrobić ze Stacją Singapur to samo co ze szpitalem na Prometeuszu. – Wal spojrzała na Księcia. – Zaoferował „Rudemu Sfinksowi” cztery miliony funtów Dalekiego Londynu za udział w tej akcji. Ile ty dajesz za obronę stacji?

– Nic – odparł Cole, zanim człowiek z platyny otworzył usta. – Nie bierzemy pieniędzy od przyjaciół.

– To ty twierdzisz, że Księżę jest moim przyjacielem – odparła Wal. – Ale jak ujawniłam oszustów, nie dostałam za to ani grosza.

– Nie kłam – odparł kapitan. – Dostałaś za to swój statek.

– Dał tobie, nie mnie, zadanie do wykonania i sami musieliśmy sobie go zdobyć – wypaliła rudowłosa w odpowiedzi. – Skoro on jest moim przyjacielem, a nie Csonti, dlaczego nie chce przebić jego oferty?

– Csonti nie jest niczym przyjacielem – stwierdził Cole. – Naprawdę myślisz, że jemu zależy na kimkolwiek prócz siebie?

– Nie zaciemniaj problemu. Zaoferowałam swoje usługi Księżciu. Może je przyjąć. Ale jeśli je odrzuci, na scenie pozostanie tylko jeden oferent.

– Wiesz, ile istot mieszka na tej stacji? Wiesz, ile z nich zabijesz, jeśli ją zniszczysz? – zapytał Księżę.

– Zginą tylko ci, którzy zostaną tutaj, aby walczyć z nami – odparła Wal. – Powstrzymam Csontiego od ataku przynajmniej przez trzy doby, żeby wszyscy, którzy mają na to ochotę, mogli opuścić Singapur. Tyle jestem winna Cole'owi.

– Jesteś mu winna o wiele więcej – rzuciła napastliwym tonem Sharon.

– Skoro tak, niech przekona Księcia do przebicia oferty Csontiego – zażądała Walkiria.

– Nie zrobię tego – odparł Wilson.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać – stwierdziła rudowłosa i wstała od stolika.

– Przepraszam – komandor Jacovic odezwał się po raz pierwszy od momentu, kiedy wróciła. – Jeśli zachowujesz się tak dlatego, że zająłem twoje miejsce w załodze „Teodora Roosevelta”, z przyjemnością ci je odstąpię.

– Byłam kapitanem, zanim spotkałam Wilsona Cole'a i jestem nim teraz – odparła. – Dlaczego miałabym pragnąć stanowiska trzeciego oficera?

Mówiąc to, odwróciła się do nich plecami i opuściła kasyno.

– Mam nadzieję, że pańska stacja ma wbudowane systemy obrony – powiedział Cole. – Csonti może

zgrupować trzydzieści statków, kto wie, może nawet czterdzieści. My mamy pięć, z czego cztery nie mają wystarczającej siły ognia.

– Aż tak źle z nami nie jest – odparł człowiek z platyny. – Posiadamy sporo systemów obrony. Może nie tak wiele, jak bym sobie tego życzył, ale całkiem bezbronni nie jesteśmy.

– Mamy trzy dni – przypomniał kapitan. – Sharon, zawiadom załogę, że cofamy wszystkie przepustki. Nasi chłopcy powinni zacząć się do tego przyzwyczajać. Potem przekaz Mustafie Odomowi i Forrice'owi, że chcę, aby natychmiast zrobili przegląd instalacji obronnych i ofensywnych tej stacji. I niech Briggs z Bykiem im w tym pomogą. Znają się na uzbrojeniu lepiej niż reszta załogi.

– Byk Pampas służy teraz na „Rudym Sfinksie” – przypomniała mu Sharon.

– Szlag! Zupełnie o tym zapomniałem – syknął Wilson. – Skontaktuj się z nim i powiedz, że jeśli zostanie na pokładzie, w najbliższych dniach będzie musiał walczyć z „Teddym R.”.

– Coś jeszcze? – zapytała.

– Na razie nie.

– Skontaktuję się z nim z toalety – powiedziała, wstając od stolika. – Tutaj jest za duży harmider.

– Wydawało mi się – wtrącił Jacovic, gdy ruszyła przez salę – że Walkiria nigdy nie wystąpi przeciw „Teodorowi Rooseveltowi”.

– Ciekawe, który idiota to panu powiedział? – zapytał Cole.

Rozdział dwudziesty ósmy

Minął cały dzień. Odom, Briggs i Forrice spędzili go, przeprowadzając inspekcję stacji i oglądając nieliczne jej plany, które zachowały się do tych czasów. Byk Pampas pojawił się wczesnym popołudniem, zaniósł swoje rzeczy na „Teddy'ego R.” i przyłączył się do ekipy.

Cole przeprowadził dwie narady z kapitanami mniejszych jednostek, ale odesłał ich w końcu, by przygotowali systemy uzbrojenia i obrony swoich statków, chciał też sprawdzić przy okazji, czy będą w stanie ustalić jakąś sensowną, wspólną strategię działania.

– Na razie niczego nie osiągnęliśmy – przyznał Jacovicowi, gdy zasiedli we dwójkę w kasynie Księcia. – Jak rozmieścić cztery małe stateczki, żeby mogły stawić czoła trzydziestu pięciu albo czterdziestu znacznie lepiej uzbrojonym jednostkom wroga?

– Jeśli zabijemy wodza, reszta szybko pójdzie w rozsypkę – odparł Jacovic. – To pierwsza rzecz, jakiej uczy się oficer Teroni. Jeśli wróg przewyższa cię liczebnie i nie masz szans na ucieczkę, uderzaj na dowódcę przeciwnika wszystkimi siłami, jakie posiadasz.

– Bardziej martwi mnie „Rudy Sfinks” niż sam Csonti – przyznał Cole.

– Zawsze mamy alternatywę – przypomniał mu komandor.

– Chce pan odpalić wszystko, czym dysponujemy, i zwać?

Jacovic skinął głową.

– Nie ma pan obowiązku bronienia Stacji Singapur. Pan tylko zakończył tamtą awanturę.

– Ale oni napadną na tę stację tylko dlatego, że to zrobiłem – stwierdził Wilson. – Uciekłby pan na moim miejscu?

– Nie. Chyba nie – przyznał Teroni.

Cole pociągnął spory łyk piwa.

– Tego się nie da pić – prychnął z niesmakiem. – Gdzie jest Książę?

– Nie widziałem go ostatnio.

– Mam nadzieję, że nie pakuje dobytku na jakiś statek – powiedział Wilson. – Jeśli on opuści tę stację, ja za diabła nie zostanę, aby jej bronić.

Szef stacji jak na zawołanie pojawił się w drzwiach i usiadł przy ich stoliku.

– Gdzie się pan podziewał, u licha? – zapytał kapitan.

– Spałem – odparł Książę. – Tutaj nie ma dnia ani nocy, więc kładę się spać, kiedy jestem zmęczony, i wstaję, jak już wypocznę.

– Tego piwa nie da się pić.

– A jak długo pan nad nim siedzi?

– Nie mam pojęcia. Panie Jacovic, od jak dawna zastanawiamy się nad szansami odparcia ataku floty Csontiego?

– Od dwóch, może trzech godzin – odparł komandor.

– Dwa piwa proszę – powiedział człowiek z platyny i stolik natychmiast zrealizował jego zamówienie. – Wydaje mi się, że za bardzo się nad tym wszystkim rozczulacie. Powiedziałem przecież, ta stacja ma się czym bronić

- Właśnie sprawdzamy jej systemy defensywne – przypomniał mu Cole.
- W takim razie, co pan tutaj robi? – zapytał Księżę. – Nie powinien pan być na obchodzie, razem ze swoimi ludźmi?
- Oni znają się na uzbrojeniu o wiele lepiej niż ja – odparł Wilson.
- Ale pan jest ich kapitanem.
- Dobry kapitan wie, kiedy nie należy wchodzić w drogę podwładnym – odparował Cole.
- Podobnie jak dobry dowódca floty – dodał Jacovic. – I dobry biznesmen. Z tego, co zauważyłem, pan nie zajmuje się rozdawaniem kart przy stołach, chociaż gra się na nich pańskimi pieniędzmi.
- Coraz bardziej lubię tego cholernego Teroni – wtrącił Wilson. – Mam nadzieję, że obaj pożyjemy wystarczająco długo, abym mógł mu przekazać dowództwo jakiegoś okrętu.
- Ja już mam okręt – odparł Jacovic. – Teraz potrzebuję wyłącznie celu.
- Sądzę, że pokonanie Csontiego i jego cholernych zabójców idealnie nadaje się na taki cel.
- Nie mam nic do Csontiego – odparł Jacovic. – Jeśli zaatakuje nas, zrobię wszystko, aby się bronić i zniszczyć go, ale on nie jest żadnym celem, to tylko epizod.
- Semantyka – prychnął Księżę. – Zabij albo zostaniesz zabity. Obaj powinniście pałać chęcią zlikwidowania tego sukinsyna.
- Żaden żołnierz nie czuje pociągu do walki – zapewnił go kapitan. – Wiemy, jak wygląda wojna, wiemy też, czym jest pokój, i nie znajdzie pan w całej galaktyce oficera czy marynarza, który nie przyzna, że ten drugi jest o niebo lepszy... – zamilkł i zachmurzył się. – Wkrótce stanę naprzeciw najdoskonalszej maszyny do zabijania, jaką kiedykolwiek widziałem, i chyba nie czuję się z tym najlepiej.
- Mówi pan o Csontim? – zdziwił się Jacovic. – Nie wiedziałem, że widział go pan wcześniej w akcji.

Cole pokręcił głową.

– Mówiłem o Wal. To nie powinno się zdarzyć.

– Zdezerterowała.

Wilson westchnął.

– To nie takie proste.

– Wręcz przeciwnie, to bardzo proste – stwierdził Księżę.

- Namówiłem ją do porzucenia piractwa, które przynosiło jej spore profity. Pokazałem jej, że okręt wojenny, który niespecjalnie potrafił się sprawdzić w pirackiej robocie, jest idealnym narzędziem dla najemników. Posłuchała mnie. Nie mogę jej winić, że robi to, do czego ją namawiałem.
- Przecież nie namawiał jej pan do walki z „Teodoreem Rooseveltem” – przypomniał mu człowiek z platyny.
- Pan jej nie rozumie – odparł Wilson. – Dorastała jako wyjęta spod prawa. W społeczeństwie kierującym się wyłącznie siłą i brutalnością osiągnęła szczyty możliwości w profesji, w której kobiet nigdy nie było, a mężczyźni rzadko dożywali trzydziestki. Nie ma chyba członka załogi „Teddy'ego R.”, który by jej czegoś nie zawdzięczał. Będziemy z nią walczyć, może nawet ją zabijemy, ale nikt nie może wymagać, żeby nas to cieszyło.
- Mówi pan o niej w taki sposób, jakby pisane jej były wielkie rzeczy – zauważył Jacovic.
- Mogłaby wiele osiągnąć – zgodził się Cole. – Próbowałem ją oszlifować i wskazać właściwy kierunek.
- A teraz ją zabijemy – dodał Teroni.
- Do tego będziemy potrzebowali cholernie dużo szczęścia – odparł kapitan. – To najbardziej niezabijalna osoba, jaką w życiu widziałem.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, dopóki Cole nie zauważył Mustafy Odoma i Forrice'a, którzy właśnie wkraczali na teren kasyna. Pomachał do nich i obaj natychmiast zaczęli się przepychać przez tłum gości.

- Siadajcie, panowie – Księżę zaprosił ich do stolika. – Pijcie na rachunek kasyna. Mam nadzieję, że przyniesiecie dobre wieści.
- Jakież tam wieści przynosimy – odparł Cztery Oczy.
- Czyli jakie? – zapytał Wilson.
- Jeśli miałbym użyć ludzkiego wyrażenia – powiedział Molarianin – stwierdziłbym, że jesteśmy łatwym celem.
- O, nie! – zawołał gniewnie Księżę. – Mamy na tej stacji ponad sto pięćdziesiąt palników i stukaczy!
- Ale najnowsze z nich są drugiej generacji – wtrącił Odom.
- O czym pan, u licha, mówi? – zapytał szef stacji.

– O tym, że energia wystrzelona z takiego działu pulsacyjnego ulega rozproszeniu po przeleceniu piętnastu tysięcy mil, a promień lasera ma tak niską moc, że osiemdziesiąt pięć procent jednostek latających po obszarze Wewnętrznej Granicy nie będzie miało problemu z jego absorpcją. Wystarczy,

że przeciwnik zatrzyma swoje statki dwadzieścia tysięcy mil od stacji i będzie mógł do nas bezkarnie strzelać.

– I to tyle w temacie uzbrojenia – stwierdził Cole. – A jak wyglądają systemy obrony stacji?

– Tarcze i ekrany powinny sobie poradzić ze wszystkimi rodzajami broni do czwartej generacji – odparł Mustafa. – Ale z tego, co się dowiedziałem, Csonti dysponuje co najmniej dziewięcioma statkami posiadającymi nowocześniejszą broń.

– Ile czasu potrwałoby ich wzmocnienie?

– Jeśli chodzi o systemy obronne, około dwóch tygodni. Z działami poradzilibyśmy sobie w dzień, góra dwa – wyliczył pierwszy mechanik. – Aczkolwiek koszty tej roboty zrujnowałyby stację.

– Ale to wszystko, co mają, jest sprawne? – upewnił się kapitan.

– Te działa i ekrany, które sprawdzaliśmy funkcjonowały bez zarzutu.

– Wszystko działa – zapewnił go Książę. – Dokonywaliśmy pełnej diagnostyki sprzętu co standardowy miesiąc.

– Świetnie – powiedział Cole. – Dziękuję, panie Odom. – Spojrzał na Molarianina. – Chcesz coś dodać, Cztery Oczy?

– Tylko tyle, że Stacja Singapur nie obroni się przed atakiem floty Csontiego. Pytanie tylko, czy „Teddy R.” zdoła pokonać te wszystkie statki przeciwnika, ale odpowiedź na nie poznamy, kiedy dowiemy się dokładnie, jaką bronią dysponują.

– To niezbyt realne – uznał Jacovic.

– Dlaczego? – zapytał Forrice. – Jeśli nie dysponują niczym powyżej piątej generacji...

– Nie wątpię, że „Teodor Roosevelt” mógłby to przetrzymać – powiedział komandor. – Nie sądzę jednak, by Csonti był tak marnym wodzem i pozwolił, aby cała flota, zachowując szyk, wdawała się w wymianę ognia z nami. Raczej podzieli siły, połowę kierując do ataku na stację, podczas gdy druga część zwiąże nas walką z dala od niej.

– Jacovic dobrze mówi – wtrącił Cole. – Singapur nie zdoła się obronić ani rozgromić floty Csontiego i chociaż „Teddy R.” posiada wystarczającą siłę ognia, aby pokonać wszystkie jednostki wroga w otwartej walce, na pewno nie uda nam się prowadzić bitwy w przestrzeni i bronić stacji zarazem.

– Mówi pan, że zostaliśmy pokonani przed oddaniem pierwszego strzału? – zapytał Książę.

– Tego nie powiedziałem – uspokoił go kapitan. – Sugerowałem raczej, że powinniśmy opracować strategię opartą na przewagach, jakie posiadamy, zamiast starać się załatać dziury w systemach obronnych stacji,

– Mógłby mi pan oszczędzić tego żargonu i powiedzieć, co mamy robić? – poprosił człowiek z platyny.

Cole o mało się nie roześmiał.

– Jestem dobry w te klocki, ale nie aż tak. Gdybym miał jakiś plan, na pewno podzieliłbym się nim z panem.

– Ale oni przylecą tutaj za trzy dni! – wykrzyknął Książę. – A pańscy eksperci stwierdzili właśnie, że Singapur nie jest w stanie się bronić.

– Nie – zaprzeczył Wilson. – Stwierdzili, że nie da się go obronić w konwencjonalny sposób, i muszę im przyznać rację. Ale nie poddajemy się jeszcze. Musimy tylko wymyślić inny sposób na osiągnięcie stawianego przed nami celu.

– Nie musi się pan poddawać tylko dlatego, że liczby świadczą przeciw panu – dodał Jacovic. – W grę wchodzi bowiem jeszcze umiejętność, inteligencja, doświadczenie i innowacje.

– Racja – przyznał Forrice. – Od momentu pojawienia się na Wewnętrznej Granicy „Teddy R.” wygrał większość starć, unikając otwartej konfrontacji z wrogiem.

– To brzmi lepiej – stwierdził szef stacji, odprężając się widocznie. – Dobrze, moi panowie, mam już za sobą krótki atak paniki. Zaraz poczuję się lepiej. Powiedzcie mi tylko, w jaki sposób mogę wam pomóc. Jestem do waszych usług.

– Doceniam ten gest – zapewnił go Cole. – Jeśli wpadniemy na jakiś konkretny pomysł, damy panu znać... – zamilkł na moment. – Panie Odom?

– Tak?

– Czy zdołamy kupić tej stacji trochę czasu, jeśli przekierujemy wszystkie źródła zasilania na deflektory, ekrany oraz inne systemy obrony?

Mustafa pokręcił głową.

– Tej stacji już brakuje mocy, sir – odparł. – Nie ma innej szansy na wzmocnienie tych systemów niż ich wymiana. – Spojrzał na człowieka z platyny. – Na tarczach nie powinien pan oszczędzać.

– Nigdy nie przypuszczaliśmy, że ktoś nas zaatakuje takimi siłami – odparł Książę. – Instalowaliśmy te ekrany, aby chronić się przed kosmicznym śmieciem, przypadkowymi zderzeniami z uszkodzonymi statkami czy incydentalnymi atakami ze strony pojedynczych bandytów i piratów.

– To niedorzeczne – stwierdził pierwszy mechanik. – Byle pancernik rozwaliłby tę stację na atomy, i to w mniej niż dziesięć minut.

– Takie jednostki nie zapuszczają się zbyt głęboko na terytorium Wewnętrznej Granicy.

– Podobnie jak inne okręty wojenne z zaprawionymi w boju załogami, a dziwnym trafem opiera pan swoją obronę na jednym z nich. W takich sytuacjach trzeba wybierać najgorszy wariant, pomnożyć go przez trzy, a potem i tak liczyć na cud.

– Wydaje mi się, że Księżę już to zrozumiał, panie Odom – stwierdził Cole.

– Szkoda, że ta prawda nie dotarła do niego kilka lat wcześniej – odparł mechanik, wstając od stolika. – Będę na okręcie, gdybyście mnie potrzebowali.

Gdy wyszedł z kasyna, człowiek z platyny zapytał:

– Co miał na myśli, mówiąc „gdybyście mnie potrzebowali”?

– Chyba dokładnie to, co powiedział – odparł Forrice.

– Ty też wracaj na pokład, Cztery Oczy – polecił mu kapitan. – Przeprowadź kilka symulacji i sprawdź, w jakiej formacji będziemy mieli największe szanse na pokonanie floty liczącej około trzydziestu pięciu, czterdziestu jednostek. Wiesz, jaką bronią dysponuje „Rudy Sfinks”. Weź pod uwagę, że Csonti będzie miał ze sobą przynajmniej cztery albo pięć jednostek jeszcze lepiej uzbrojonych.

– Wątpię, by zbudowano już komputer, który ustali taktykę pozwalającą na zwycięstwo w podobnej sytuacji – stwierdził Molarianin.

– Wiem, ale wolałbym przeanalizować wszystkie rozwiązania.

– Czy mogę coś wtrącić? – zapytał Jacovic.

– Ależ proszę.

– Jeśli komputer może wyliczyć nasze szanse na pokonanie wroga, proszę włączyć do tego równania także systemy defensywne Stacji Singapur.

– Tego chyba nie da się połączyć – zauważył Forrice.

– Ale zawsze możesz przeprowadzić symulację, biorąc pod uwagę to, że oni będą atakować stację, a my postaramy się jej bronić – zasugerował mu Cole.

– Dobrze – zgodził się Molarianin i natychmiast wstał od stolika, by przemierzyć salę wirującym, ale zarazem bardzo równym krokiem.

– Niczego sensownego nie wyliczy – ocenił Księżę.

– Kto wie – odparł Wilson. – Woli pan, aby siedział tutaj beczynnym i upijał się na pański rachunek?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Proszę mnie posłuchać – zaczął kapitan. – Nie poddajemy się jeszcze i nie zamierzamy uciekać, ale dysponujemy bardzo ograniczoną liczbą rozwiązań i musimy je wszystkie dokładnie rozważyć.

– A jeśli nie znajdziecie rozsądnego wyjścia z tej sytuacji?

– Wtedy będziemy improwizować. Ale o tym zadecydują wydarzenia najbliższych piętnastu, góra dwudziestu godzin.

– Dlaczego akurat tyłu? – zaciekał się Książę. – Nie chciałbym wtrącać się do pańskich strategii, ale Csonti przybędzie tutaj dopiero za dwa dni.

– Na pokładach pańskiej niewystarczająco zabezpieczonej przed atakiem stacji przebywa sześćdziesiąt tysięcy stałych mieszkańców i kilkakrotnie więcej gości oraz turystów – wyjaśnił Cole. – Jeśli nie wymyślimy w porę sensownego planu zapewniającego nam szansę na zwycięstwo – albo wręcz przeciwnie, znajdziemy jakieś rozwiązanie – pozostały czas będziemy musieli poświęcić na ewakuację tych wszystkich istot.

– O tym nie pomyślałem – przyznał człowiek z platyny.

– Cytując słowa mojego pierwszego oficera: kto tu zostanie, będzie łatwym celem.

– No tak, będziemy potrzebowali przynajmniej jednego standardowego dnia na ewakuowanie wszystkich – przyznał Książę. – Proszę mi powiedzieć, naprawdę wierzy pan jeszcze w wymyślenie sensownego planu obrony?

Cole wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo. Czasami znajduje się rozwiązania tam, gdzie nikt by się ich nie spodziewał.

Jak się wkrótce okazało, miał rozwiązanie tuż przed oczami.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Cole zdrzemnął się chwilę w pokoju hotelowym, potem wrócił na pokład „Teddy'ego R.” i odszukał Forrice'a. Molarianin siedział na mostku, przy konsoli głównego komputera.

– Jak ci leci? – zapytał kapitan.

– Niespecjalnie – odparł Cztery Oczy. – Maszyna odrzuciła już... – rzucił okiem na liczne ekrany – ponad cztery tysiące możliwych formacji.

- Ale nie zaaprobowała ani jednej?
- Gdyby zaaprobowała, nie ślęczałbym przed nią – zachnął się Forrice.
- Każ jej przestać.
- Nie ma sprawy – odparł Molarianin. – Jeśli do tej pory nie wymyśliła niczego, nie mamy na co liczyć w przyszłości.
- I tak mnie zdumiała, wyliczając ponad cztery tysiące ustawień dla zaledwie pięciu jednostek.
- Nie różniły się od siebie specjalnie – poinformował go Forrice, wstając z fotela.
- A ty gdzie się wybierasz? – zapytał Cole.
- Może do mesy, a może zrobię sobie ostatni wypad do mojego ulubionego przybytku na stacji.
- Ale nie teraz – powstrzymał go kapitan. – Jeszcze nie skończyłeś roboty.
- Sam przecież powiedziałeś...
- Kazałem ci przerwać obliczanie formacji. Następną godzinę albo i dwie spędzisz, sprawdzając, jakie szanse może mieć atak na siły Csontiego w punkcie wyjścia z nadprzestrzeni.
- Nie ma sprawy, ale sam przecież wiesz, że Csonti nie będzie naszym największym problemem.
- Z tego, co mi powiedziano, dysponuje najpotężniejszymi siłami w okolicy – odparł Cole. – A jeśli chodzi o Wal, cóż, ona na pewno będzie naszym najpoważniejszym zmartwieniem, ale komputery, zdaje się, nie potrafią jeszcze obliczać nieprzewidywalnych zachowań. Ty chyba też nie?
- Niby tak – zgodził się Molarianin. – Kiedy je programuję, stają się z założenia przewidywalne, posiadają ograniczenia i nigdy nie ulegają zmianom.
- Dlatego sprawdzisz teraz, co się stanie, jeśli zaatakujemy Csontiego, zanim dotrze na odległość strzału do stacji.

Forrice wzruszył ramionami na swój obcy sposób.

- Ty tu jesteś szefem.

Nagle tuż przed nimi pojawił się hologram Jacovica.

- Tutaj pan jest, kapitanie Cole! – zawołał Teroni. – Szukałem pana w hotelu i w kasynie.

- Co się dzieje?

- Pewnie to panu niewiele pomoże, ale znalazłem na stacji jeszcze jednego Teroni i przekonałem go, aby walczył po naszej stronie.

- Jakim statkiem dysponuje?
- Klasa QH – odparł komandor. – Może to i niewiele, ale ma na pokładzie działo laserowe trzeciej generacji. Może zniszczyć jedną albo dwie mniejsze jednostki Csontiego.
- Każda pomoc nam się przyda – przyznał Wilson. – Później z nim porozmawiam. W którym doku stacjonuje?
- Dok M, stanowisko czterysta osiemdziesiąt trzy.
- Cholera, to po drugiej stronie stacji – ocenił Cole i nagle zamarł.
- Nic panu nie jest, kapitanie? – zaniepokoił się po kilku sekundach Teroni. – Komandorze Forrice, czy kapitan nie jest przypadkiem chory?

Molarianin wstał i dotoczył się do miejsca, w którym stał Wilson.

- Ty sukinsynu! – Cole wrzasnął tak nagle, że Molarianin aż się cofnął, wirując przy tym w odwrotną stronę. – Jaki ja jestem głupi! Cały czas miałem to przed oczami. Nawet kiedy rozmawialiśmy o tym rozwiązaniu z Księciem, ja go wciąż nie widziałem!

Jacovic milczał przez dłuższą chwilę.

- No jasne! – wrzasnął w końcu. – Chodzi o lokalizację statku!
- Dokładnie – odparł kapitan, starając się powściągnąć emocje.
- A ja tam nic nie kapuję – przyznał się Forrice. – O czym wy, u licha, mówicie?
- No sam pomyśl, Cztery Oczy – poprosił kapitan. – Co powiedział mi Jacovic o jednostce jego przyjaciela?
- Że ma na pokładzie palnik trzeciej generacji.
- A później?
- A później... – powtórzył Molarianin. – Już nic.
- Powiedział, że znajduje się na stanowisku czterysta osiemdziesiątym trzecim w doku M.
- I co z tego?
- Dlaczego nie na stanowisku pierwszym?
- Bo pewnie było już zajęte, to chyba oczywiste.
- A dlaczego nie na dwusetnym?

Nagle na obliczu Forrice'a pojawił się szeroki uśmiech.

– Już rozumiem!

– Wiedzieliśmy, że musimy przeprowadzić ewakuację ponad stu tysięcy ludzi i kosmitów – stwierdził Cole. – A wiesz, ilu z nich dysponuje własnymi statkami?

– Odpowiem ci za dwadzieścia sekund – odparł Cztery Oczy i natychmiast wydał kilka zakodowanych rozkazów najbliższemu terminalowi komputerowemu. – Sprawdzę w kontroli ruchu – powiedział, a po dwudziestu sekundach dodał: – W chwili obecnej w dokach Stacji Singapur znajdują się siedemnaście tysięcy trzysta cztery statki.

– Powiedziałbym, że to nieco zwiększa nasze szanse na zwycięstwo – stwierdził Cole z uśmiechem.

– Nie wszystkie są uzbrojone, a spośród z tych, które posiadają broń na pokładzie, wiele nie zechce walczyć w obronie stacji – zauważył Forrice.

– Nie potrzebujemy ich wszystkich – uzmysłowił mu kapitan. – Pamiętaj, że na Singapurze mieszka ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi i kosmitów. Oni będą żywotnie zainteresowani obroną swoich domów.

– To się może udać – uznał Molarianin.

– Dziękuję, panie Jacovic – powiedział Wilson. – Gdyby mi pan nie powiedział o tym Teroni, nie zorientowalibyśmy się, czym dysponujemy, dopóki nie byłoby za późno. Jest pan teraz w kasynie?

– Tak.

– Już do pana idę. Niech pan w tym czasie przydybie Platynowego Księcia. Tak rozległa stacja jak Singapur musi dysponować siecią publicznej informacji. Proszę mu powiedzieć, że chciałbym z niej jak najszybciej skorzystać.

– Zajmę się tym, kapitanie – odparł komandor i jego hologram zniknął.

– Myślę, że możesz już przestać bawić się komputerem – stwierdził Cole, spoglądając na Molarianina. – Idziesz ze mną na stację.

– Z przyjemnością – odparł Forrice.

– Zostawię cię przy tym twoim burdeliku.

– Dziwki mogą zaczekać – oświadczył Cztery Oczy. – Chcę na własne uszy usłyszeć jak przemawiasz do... jak mam ich nazywać? Aha, do mieszkańców.

– Możesz ich nazywać flotą tej stacji – odparł kapitan. – Bo właśnie we flotę mam zamiar ich zamienić. Idziemy.

Zjechali windą do głównego wjazdu, potem ruchomym chodnikiem pokonali ćwierć mili dzielące ich od przystanku kolejki jednoszynowej. Tam wsiedli do pojedynczego wagonika, który dowiózł ich na miejsce.

– Jak mogłem jeździć po tym doku i nie widzieć setki statków, które w nim przycumowały? – dziwił się sobie Wilson. – Dok J. Cholera, przecież w każdym z nich są setki stanowisk, a litera J jest dziesiąta w alfabecie... Jak ja mogłem ich nie zauważyć?

– To nie okręty wojenne i nie opowiedziały się po żadnej stronie konfliktu – odparł Forrice. – To chyba naturalne, że traktowaliśmy je wszystkie jak jednostki cywilne.

– I pewnie większość z nich wybierze neutralność – uznał Cole. – Ale przy tak wielu jednostkach powinniśmy zebrać przynajmniej kilkaset statków, czyli parę razy więcej niż trzeba. – Uśmiechnął się po raz kolejny. – Wydaje mi się, że Csonti będzie miał małą niespodziankę, kiedy tutaj przyleci.

– Ja bym na niego czekał jakieś pół roku świetlnego stąd – poprawił go Molarianin. – Nie powinniśmy dopuścić go do stacji na odległość strzału.

– Najpierw przeprowadźmy rekrutację do naszej floty – powiedział kapitan, gdy wagonik zatrzymał się na końcu pirsu. – Potem będziemy się martwili, gdzie ją rozlokować.

Stanęli na ruchomym chodniku, który dowiózł ich do centrum stacji, potem przesiedli się na drugi, prowadzący pod wejście kasyna. Gdy weszli do wnętrza, natychmiast zauważyli Platynowego Księcia. Siedział przy swoim stoliku.

– Wszystko jest już przygotowane – zapewnił. – Skąd zamierza pan przemawiać?

– Miejsce jest mi obojętne.

– Może z mojego prywatnego biura?

– Wydawało mi się, że ten stół jest pańskim biurem – stwierdził Cole, uśmiechając się szelmowsko.

– Ten stół jest moim oficjalnym biurem – wyjaśnił Książę. – Proszę za mną.

– Zaczekaj na mnie tutaj – Wilson zatrzymał Molarianina. – To nie potrwa długo.

Człowiek z platyny zaprowadził go na zaplecze kasyna, tam musieli poczekać, aż masywne drzwi rozsuną się na tyle, aby mogli przejść, i pokonali krótki korytarzyk, na końcu którego mieściło się niewielkie, ale eleganckie biuro. Skaner przy drzwiach sprawdził siatkówkę jedyne prawdziwego oka Księcia, potem przeanalizował strukturę molekularną platyny, z której wykonano znaczną część jego ciała, i dopiero po dłuższej chwili pozwolił przejść właścicielowi i jego gościowi.

– Teroni powiedział mi jedynie, że chce pan wygłosić orędzie do mieszkańców stacji – powiedział szef kasyna, starając się opanować podniecenie. – Chyba ma pan już jakiś plan?

– Coś wymyśliłem – przyznał kapitan. – Ale muszę jeszcze dopracować kilka detali.

– Powie mi pan, o co chodzi?

– Każdy z nas ofiaruje stacji to, co ma najcenniejszego. Proszę stanąć obok i posłuchać... – przerwał.

– Skąd mogę przemawiać?

– Skąd pan chce. Kamery holo będą się kierować ciepłotą pańskiego ciała, a czujniki ruchu pozwolą panu na swobodne poruszanie się po tym gabinecie podczas przemowy.

– To nie będzie aż tak długie przemówienie

– Proszę dać mi minutkę, zaprogramuję wszystkie holokamery.

Książę wydał z tuzin komend komputerowi nadzorującemu sprzęt w jego biurze, a potem skinął w stronę Cole'a.

– Możemy zaczynać, kiedy pan zechce.

– Mieszkańcy Stacji Singapur i goście ją odwiedzający, mam dla was niezwykle ważną informację – zaczął Wilson. – Daję wam kilka sekund na zakończenie rozmów i skoncentrowanie się na tym, co mam do powiedzenia... – Zamilkł, policzył w pamięci do piętnastu i znów zabrał głos: – Większość z was jeszcze tego nie wie, ale okoliczny zabijaka imieniem Csoni zebrał flotę liczącą około trzydziestu pięciu do czterdziestu jednostek i zamierza unicestwić Stację Singapur. Atak ten nie nastąpi jednak prędzej niż za kilkadziesiąt godzin standardowych. Ci, którzy zdecydują się na opuszczenie stacji, będą mieli na to ponad dobę. Ale nie musicie tego robić i dlatego chciałbym wam przedstawić pod rozwagę inne rozwiązanie... – Zamilkł po raz kolejny, aby przyciągnąć uwagę widzów i nie pozwolić tym samym na natychmiastową paniczną ucieczkę do swoich statków. – Jestem dowódcą dawnego okrętu wojennego Republiki i czterech innych jednostek, które planują podjąć walkę o tę stację. Wiem też, że niespełna pół godziny temu w dokach Singapuru znajdowało się ponad siedemnaście tysięcy rozmaitych statków. Gdyby tylko jeden na siedemnaście z nich zdecydował się przyłączyć do mnie, przeciwstawilibyśmy trzydziestu pięciu jednostkom Csoniego siłę tysiąca statków. Jeśli tylko co pięćdziesiąty z was zdecyduje się oddać pod moją komendę, i tak zachowamy miażdżącą przewagę dziesięciu na jednego. Każdy, kto wyrazi chęć zapisania się do naszej floty, proszony jest o zostawienie namiarów na siebie, takich jak nazwisko i adres, w kasynie Platynowego Księcia. Jeśli zgodzicie się mi pomóc, wszystkie uszkodzenia, jakie odniosą wasze statki, zostaną naprawione z funduszy właściciela tej stacji. Tym, którzy nie wyrażą takiej zgody, nie wypłacimy żadnych odszkodowań za utracone mienie.

Książę wyglądał, jakby zamierzał zaprotestować, ale szybko rozważył alternatywy i zachował milczenie. Cole natomiast zbliżył się do kamer, tak by jego twarz była doskonale widoczna.

– Wielu z was zastanawia się teraz pewnie, dlaczego mielibyście oddawać się pod moją komendę, zamiast zwać gdzie pieprz rośnie przed najeźdźcami albo zabawić się z nimi na własną rękę. Podam wam dwa powody. Pierwszy wyjaśni, dlaczego powinniście zaufać moim talentom dowódczym. Jestem Wilson Cole, dowodziłem trzema okrętami wojennymi Republiki i jestem pierwszym

człowiekiem, który otrzymał cztery medale za odwagę podczas służby w przestrzeni. Drugi powód powinien was przekonać do okazania mi zaufania. Zarówno Republika, jak i Federacja Teroni wyznaczyły wielomilionowe nagrody za moją głowę.

Dał znak Księżciu, a ten wyłączył kamery.

– Nagrałem wszystko i będę odtwarzał pana przemówienie co godzinę – poinformował szef stacji.

– Miejmy nadzieję, że to zadziała.

– Mamy siedemnaście tysięcy statków do wyboru – odparł człowiek z platyny. – To musi zadziałać.

– Tu nie chodzi o to, ile statków macie w dokach – wyjaśnił mu Cole. – Bardziej liczy się to, ilu ich właścicieli zaryzykuje głowę dla pańskiej stacji.

– Nie zastanawiałem się nad tym – przyznał Książę i nagle stał się bardziej nerwowy. – Ale ze stu powinno się znaleźć?

Wilson wzruszył ramionami.

– Kto wie?

– A jakie jest niezbędne minimum?

– To będzie zależało od jego nastroju – odparł Cole. – Jeśli Csonti wciąż będzie tak wściekły jak zaraz po wyrzuceniu go stąd, nawet tysiąc statków nie powstrzyma go przed atakiem. Jeśli wytrzeźwiał, a my zbierzemy chociaż dwadzieścia statków, może uznać, że zniszczenie stacji nie jest warte utraty połowy własnej floty. Proszę nie zapominać, że na Singapurze urzęduje sześciu poważnych handlarzy bronią. Gwarantuję panu, że każdy z nich posiada przynajmniej jeden statek, który może się równać z najlepszymi jednostkami Csontiego.

– Racja! – zawołał Książę. – Że też o tym nie pomyślałem!

– Hej, panowie, lepiej będzie, jeśli tu przyjdziecie – powiedział Forrice, jego hologram pojawił się w gabinecie.

– Kolejne problemy? – zapytał Cole.

– Potencjalne.

– Co się dzieje?

– W chwili, gdy skończyłeś przemawiać, przed kasynem ustawiała się kolejka ochotników – wyjaśnił Forrice. – Teraz sięga już do pierwszej przecznicy, ale sądząc po tempie przyrostu, za godzinę może mieć nawet pełną milę.

– Jak widać, bycie odznaczonym bohaterem wojennym ma swoje zalety – zauważył Wilson.

- Ale nie tutaj – sprostował Molarianin. – Kiedy wspomniałeś o nagrodach wyznaczonych za twoją głowę przez Republikę i Federację Teroni, tłum zerwał się na równe nogi i zaczął wiwatować.
- Rządy, i to we wszelkich formach, nie cieszą się popularnością na naszym terytorium – powiedział Książę. – I właśnie dlatego ludzie emigrują na Wewnętrzną Granicę. Żeby być jak najdalej od władz i rządów.
- I ich flot – dodał Cztery Oczy, wydając gwizd rozbawienia.
- Przywołaj z okrętu, czy gdzie oni tam teraz są, Christine, Briggsa, Braxytę, Jacillios, Rachel i Domak i każ im spisywać dane chętnych do rekrutacji – rozkazał Molarianinowi kapitan, podchodząc do drzwi gabinetu. – Chodźmy, Książę, wypijmy jednego za zwycięstwo i miejmy nadzieję, że nasza radość nie jest przedwczesna.
- Przemierzyli korytarzyk i wrócili do sali kasyna. Jak tylko zgromadzeni w nim goście rozpoznali Cole’a, zaczęły się wiwaty i nie umilkły przez kolejne pięć minut, nawet po tym, jak już usiadł przy stoliku w towarzystwie gospodarza i Jacovica.
- Cholera! – jęknął Wilson. – Gdybym wiedział, że to tak kręci ludzi, pewnie sam bym sobie odbierał dowództwo za każdym razem, gdy mi je dawano.
- Ja bym się tak nie cieszył na pana miejscu – odparł człowiek z platyny. – Tylko połowa z tych istot pozdrawia pana. Reszta cieszy się z wysokości nagród wyznaczonych za pańską głowę i już kombinuje, jak je zdobyć.

Rozdział trzydziesty

- Odpowiedź na przemówienie była niesamowita, chociaż patrząc na nią z perspektywy czasu, bardzo przewidywalna.
- Skąd oni się biorą, u licha? – zapytała Sharon Blacksmith, gdy dwie godziny później kolejka wciąż ciągnęła się do następnej przecznicy.
- Zeszła z pokładu „Teddy’ego R.”, gdy usłyszała przemówienie Cole’a. Transmitowano je bowiem nie tylko we wnętrzu stacji, ale i do wszystkich jednostek stojących w dokach. Przecisnęła się przez tłum ochotników i zasiadła przy stoliku Księcia z Wilsonem, Forrice’em i Jacovicem.
- Mieszkają tutaj – odparł kapitan. – Dlaczego nie mieliby bronić własnej ojczyzny, chociażby tak małej i nienaturalnej?
- Stawiam piątaaka za dychę, że połowa z nich to istoty wyjęte spod prawa – stwierdziła Sharon.

- Ale tylko w Republice – odparł Molarianin. – Tutaj są zwykłymi obywatelami.
- A za momencik mogą być też bohaterami – dodał Cole.
- Jak zamierzasz ich nauczyć wojskowej dyscypliny w zaledwie półtora dnia? – zapytała Sharon.
- Nie muszą ćwiczyć lotów w idealnej formacji – wyjaśnił kapitan. – Będzie nas tysiąc, może nawet więcej, a wróg dysponuje zaledwie czterdziestoma jednostkami. Wystarczy, że bez wpadania na siebie dolecą tam, gdzie im każę.
- Nie zaszkodzi jednak zostawić części tych sił na wypadek, gdyby któryś ze statków Csontiego przedarł się przez nasze linie – zasugerował komandor.
- Zważywszy dysproporcje, to raczej nie będzie możliwe – odparł Wilson.
- To prawda – zgodził się Teroni – ale pozostawienie dwudziestu jednostek nie uczyni tak wielkiej floty mniej wspaniałą, a pozwoli na zniechęcenie albo zniszczenie każdego statku wroga, który zbliży się do Stacji Singapur.
- Komandor ma rację – poparł go Forrice.
- Tak, wiem – przyznał Wilson. – Widać, że ma w tym doświadczenie.
- Parę razy zdarzyło mi się być w podobnej sytuacji – odparł Jacovic. – Bez względu na posiadaną przewagę, należy zawsze liczyć się z tym, że jakiś Wilson Cole znajdzie drogę za twoje linie.
- Schlebia mi pan – powiedział kapitan. – Mam nadzieję, że Csonti i jego porucznicy zaraz po tym, jak nas zauważą, przypomną sobie, że mają inne, niezwykle pilne sprawy do załatwienia w innych sektorach galaktyki.
- Jeśli teraz się wycofają, na pewno wrócą – wtrąciła Sharon.
- Dlaczego mieliby to robić? – zapytał Cole. – Udowodnimy im, że wystarczy kilka godzin, aby skrzyknąć naprawdę potężne siły do obrony stacji. Tylko Csonti jest na nas wściekły. Cała reszta jego pomagierów nic do nas nie ma, za to może mieć wiele do walki z tysiącem statków.
- Mogą bardziej bać się Csontiego niż nas – przypomniał mu Forrice.

Wilson wyglądał na rozbawionego.

- Sądysz, że Wal boi się kogokolwiek albo czegokolwiek?

– Nie – zgodził się Molarianin. – Ale w tej flocie będzie trzydzieści pięć, jeśli nie czterdzieści statków, których kapitanowie śmiertelnie obawiają się gniewu Csontiego. To trzysta funtów chodzących mięśni, słyszałem kilka opowieści o jego temperamencie. Obawiam się, że nawet Wal nie miałaby z nim wielkich szans.

Wilson zamierzał odpowiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, pojawił się przed nim hologram Księcia.

– Kapitanie Cole, mógłby pan przyjść do mojego gabinetu?

– Już idę – odparł i wstał od stolika.

– Jakiś problem? – zapytał Forrice.

– Niewątpliwie. Ale raczej niewielki. Ustaliliśmy specjalne hasło na wypadek, gdyby działo się coś poważnego.

Przeszedł na drugi koniec sali, potem przez wzmocnione drzwi i korytarzykiem dostał się pod gabinet Księcia. Wiedział, że skaner nie zaakceptuje wzoru jego siatkówki, ale miał też świadomość, iż szef stacji spodziewa się go i sam powinien otworzyć drzwi.

Tak też się stało i Cole zaraz wmaszerował do gabineciku. Platynowy Książę siedział za biurkiem, a naprzeciw niego, na fotelach dla gości, kapitan zobaczył nieskazitelnie ubranego mężczyznę i potężnego Torquala w nieodłącznych dla jego rasy futrach i skórach. Ten drugi musiał się kulić, nawet pomimo tego, że siedział, żeby nie uderzyć głową w niski sufit pomieszczenia.

– O co chodzi? – zapytał Cole, stając w progu.

– Pozwoli pan, że przedstawię panów Swansona – mężczyzna skinął zdawkowo głową – i Tcharsina
– Torqual spojrzał na niego, nie mrugnawszy okiem.

– Świetnie, to panowie Swanson i Tcharsin – odparł Wilson. – Ale o co chodzi?

– Panowie reprezentują pewną znaną, aczkolwiek niezbyt legalną organizację i chcieliby przedyskutować z nami aktualną sytuację.

– Pozwoli pan, że zgadnę. To przedstawiciele firm handlujących bronią na Stacji Singapur.

– Zgadza się, kapitanie Cole – odparł Torqual. – Chcieliśmy zaoferować wam nasze usługi.

– Zaoferować czy sprzedać? – zapytał Wilson.

– Zaoferować – powtórzył z naciskiem Tcharsin.

– W naszym najlepiej pojętym interesie jest, aby Stacja Singapur pozostała wolna i nietknięta – dodał Swanson. – Nasze konsorcjum wyposaży dwanaście wskazanych przez pana statków w broń, nie biorąc za to ani kredytu, ale za każde następne dostawy będziecie musieli nam zapłacić.

– Coś wam powiem – odparł Cole. – Dlaczego, zamiast uzbrajać nasze statki, nie dozbroicie samej Stacji Singapur? Mój pierwszy oficer i starszy mechanik wskażą wam najsłabiej chronione sekcje, a ponieważ posiadają spore doświadczenie w tej materii, mogą również zasugerować, w których miejscach przydałoby się wzmocnienie systemów ofensywnych i defensywnych. Wasza oferta przyda

się bardziej tutaj niż we flocie liczącej tysiąc statków, której zadaniem będzie stawienie czoła górze czterdziestu jednostkom.

– To sensowna propozycja – przyznał Swanson.

– Zgadza się – poparł go Torqual. – Tak zrobimy.

– Ilu was jest? – zapytał zaintrygowany Wilson.

– Chodzi panu o handlarzy bronią? Będzie pewnie z setka – odparł Swanson.

– Chodziło mi raczej o to, ilu skupia wasz kartel, grupa czy jak wy tam siebie, u licha, nazywacie.

– Jest nas sześciu – odparł elegant. – Ale za to największych, chociaż wspiera nas też spora grupa naszych kolegów po fachu.

– Doceniamy wasz akt patriotyzmu – zapewnił go kapitan. – Mój pierwszy oficer jest do waszej dyspozycji. Przyślę go tutaj, jak tylko wrócę do kasyna, będziecie mogli natychmiast przystąpić do pracy.

– Czuję się dziwnie, kiedy pomyślę, że zachowałem się jak patriota – stwierdził Swanson. – Albo o obronie niepodległej stacji kosmicznej na środku galaktycznej ziemi niczyjej jako o akcie patriotyzmu.

– Mieszka pan tutaj – odparł Cole. – A to znaczy, że Stacja Singapur jest pana ojczyzną i będzie pan walczył przeciw najeźdźcy, który chce ją zniszczyć i odebrać panu dom. Jak inaczej można to nazwać, jeśli nie patriotyzmem?

– Nigdy nie patrzyłem na tę sprawę z podobnej perspektywy – odparł handlarz bronią.

– Ja też – dodał zaraz Torqual.

– Karol Wielki, idę o zakład, też tak nie myślał – dorzucił jeszcze Swanson.

– Karol Wielki? – zdziwił się Wilson.

– Nie mam pojęcia, jakie jest jego prawdziwe nazwisko – wyjaśnił handlarz – ale takie przyjął zaraz po przybyciu na Wewnętrzną Granicę.

– A dlaczego miałbym się przejmować tym, co sobie myśli jakiś Karol Wielki? – zapytał kapitan.

– To on wyposażył okręt flagowy Csoniego i sporo innych jego statków – wyjaśnił Swanson. – I wie o nich wszystko. A jest jednym z nas. – Przelotny uśmiech pojawił się na jego ustach. – Ta wiedza już niedługo może nam się bardzo przydać.

– Oczywiście! – zawołał Książę. – Jeśli Karol Wielki powie nam wszystko na temat uzbrojenia statków Csoniego, dam mu otwarty kredyt na drinki w moim barze, i to na sto dni!

Cole wezwał Forrice'a do gabinetu, a gdy Molarianin zaczął wskazywać miejsca wymagające dozbrojenia na holomapie dostarczonej przez Księcia, opuścił pomieszczenie na zapleczu.

Sharon Blacksmith zajęła się usprawnieniem organizacji zapisywania ochotników i wkrótce kolejka zaczęła posuwać się nieco szybciej. Cole skontaktował się też z „Teddym R.”, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych oznak aktywności Csoniego, ale odpowiedź wciąż była negatywna.

– To może stanowić mały problem – oświadczył Jacovicowi, gdy w końcu dołączył do niego w kasynie. – Jeśli nie wiemy, gdzie przebywa Csoni i jego flota, nie będziemy mogli wysłać mu naprzeciw naszego tysiąca statków. Co się stanie, u licha, jeśli wyprowadzimy flotę w jednym kierunku, a on uderzy z drugiego?

– Jedynym sposobem na uzyskanie tej wiedzy będzie rozesłanie zwiadowców – odparł komandor.

– Wiem. Ale bardzo nie lubię polegać na ludziach, których nie znam i z którymi nigdy wcześniej nie współpracowałem.

– Alternatywą jest rozmieszczenie naszych sił wokół stacji.

Cole pokręcił głową.

– Jeśli spotkamy się z nim w otwartej przestrzeni, uzyskamy ogromną przewagę. Ale jeśli zgrupujemy siły wokół stacji, Csoni może zniszczyć nam z pięćdziesiąt statków, zanim zorientujemy się, że przyleciał. Proszę nie zapominać, że większość naszych jednostek to jedno-, dwu- albo trzyosobowe łupinki. Nie budowano ich z myślą o wytrzymywaniu ostrzału palników i stukaczy najnowszych generacji.

– Zatem trzeba przeprowadzić zwiad – stwierdził Jacovic.

– Zatem trzeba przeprowadzić zwiad – zgodził się Cole.

– Pan już wystarczająco się napracował – stwierdził Teroni, wstając od stolika. – Wezmę listę ochotników od pułkownik Blacksmith i zacznę ich niezwłocznie wysyłać.

– Świetnie – odparł kapitan. – Domyślam się, że korzystał pan już wcześniej z podobnych rozwiązań.

– Zdarzało mi się.

– Dobrze. Zatem będzie pan wiedział, jak rozmieścić zwiadowców.

Komandor podszedł do Sharon, ściągnął listę nazwisk i adresów do swojego podręcznego komputera, a potem natychmiast opuścił kasyno, aby zorganizować sieć obserwatorów.

W tym momencie do Wilsona przysiadło się dwóch dobrze uzbrojonych mężczyzn.

– Witamy, kapitanie Cole – powiedział jeden z nich.

- Czy ja panów znam?
- Nie, ale z pewnością pragnie nas pan poznać – odparł drugi. – Możemy się panu bardzo przydać.
- Jak?
- Braliśmy udział w wielu akcjach przypominających tę, którą pan teraz organizuje przeciw Csontiemu.
- I jesteście do wynajęcia? – domyślił się Wilson.
- Nie jesteśmy tani, ale warci każdego kredytu – pochwalił się pierwszy z mężczyzn.
- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem – stwierdził kapitan. – Ale mam już, i to za darmo, ponad tysiąc ochotników do walki z trzydziestoma pięcioma albo czterdziestoma statkami. Dlaczego miałbym wam za to płacić?
- Jeśli pan tego nie robi, Csonti na pewno nie odrzuci naszej propozycji – stwierdził złowieszczo jeden z najemników.
- Z tym będziecie mieli dwa problemy – odparł Cole.
- Doprawdy?

Skinął głową.

- Po pierwsze, nie macie pojęcia, gdzie on teraz jest. A po drugie, jeśli nawet zdołacie się do niego przyłączyć, stosunek sił będzie trzydzieści sześć czy tam trzydzieści siedem, zamiast trzydzieści pięć do tysiąca. Aż tak bardzo spieszy wam się do nierównej walki?

Obaj patrzyli na niego jeszcze przez chwilę, ale nie mieli nic do dodania, więc wkrótce opuścili zajmowane miejsca.

Cole uzmysłowił sobie dzięki tej wizycie, że każdy najemnik znajdujący się na tej stacji, może wpaść na pomysł spotkania z nim, dlatego także wstał, sprawdził, czy Sharon nie potrzebuje pomocy przy zapisach i wrócił na pokład okrętu.

Zaraz po powrocie wezwał Briggsa i Christine na mostek.

- Tak, sir? – Malcolm zameldował się tuż przed porucznik Mboyą.
- Panie Briggs, pan i Christine jesteście moimi najlepszymi specjalistami od komputerów – zaczął kapitan, gdy oboje znaleźli się przed nim.
- Nie zdawałem sobie z tego sprawy, sir – stwierdził Malcolm.
- Proszę darować sobie tę fałszywą skromność. Jesteście w tym najlepsi i potrzebuję waszych opinii.

– Słuchamy, sir – powiedziała Christine.

– Wiecie, jak wygląda aktualna sytuacja – kontynuował Cole. – Gdy tylko znajdziemy miejsce pobytu floty Csoniego, wyruszymy w jej kierunku, aby rozegrać bitwę możliwie najdalej od Stacji Singapur. Problem w tym, że nie chcę, aby tysiąc statków siedziało nam na rufie. Nie mamy czasu na to, by uczyć ich kapitanów wojskowego drylu ani pokazywać, jak formuje się prawidłowe szyki, dlatego zamierzam podzielić nasze siły na zgrupowania liczące od siedemdziesięciu pięciu do stu jednostek. Mam czterech kapitanów, którzy mogą je poprowadzić, ale na czele pozostałych grup chcę widzieć ludzi z załogi „Teddy'ego R.”, abym mógł tym wszystkim sprawniej dowodzić. Przekażcie Jacovicowi, Forrice'owi, Domak, Jacillios, Sokołowowi i Pampasowi, że zostaną przeniesieni na pokłady jednostek wyznaczonych na liderów każdego zgrupowania.

– Tak jest.

– Jeśli będą mieli jakieś pytania, mają je kierować bezpośrednio do mnie. A kiedy wyruszymy, nie mogę stracić z nimi kontaktu. Czy nasz system komunikacyjny pozwala na utrzymanie stałej łączności z dziesięcioma innymi jednostkami naraz?

– Raczej tak – odparła Christine.

– Tak – poparł ją Briggs. – Możemy wydzielić częstotliwości dla każdego z nich z osobna i kodować sygnał na wyjściu, żeby Csoni nie mógł go odebrać... – zamilkł i zrobił niewyraźną minę. – Tylko które częstotliwości się do tego najlepiej nadają?

Zaczęli oboje rozmawiać, przerzucając się technicznym żargonem, który dla kapitana był równie obcy jak nietłumaczony molariański, zostawił ich więc samych sobie i udał się do mesy, aby coś zjeść.

Potem zajął się nadzorem przygotowań do kolejnego dnia akcji. A gdy uznał, że nie ma już nic więcej do zrobienia, powędrował do swojej kajuty, zdjął buty i zasnął w ciągu sekundy.

Nie wiedział, jak długo spał, ale obudził go bezcielesny głos należący do Christine.

– Sir?

Mruknął coś i odwrócił się na drugi bok.

– Kapitanie Cole?

– Tak? Co się dzieje? – zapytał zły, że ktoś go budzi i zmusza do mówienia.

– Znaleźliśmy statki Csoniego, sir.

– Świetnie! – zawołał, nagle zapominając o niedawnej senności. – Czy wszyscy starsi oficerowie przebywają aktualnie na pokładzie „Teddy'ego R.”?

– Nie, sir. Pułkownik Blacksmith, komandor Forrice i pan Odom są wciąż na stacji. Podobnie jak

porucznik Mueller i pan Chadwick.

– Ściągnij mi ich tutaj w pół godziny. I połącz mnie z Domak. – Odczekał moment. – Poruczniku, proszę skontaktować się z pułkownik Blacksmith. Ona ma listę ochotników, którzy wyrazili zgodę na wyruszenie przeciw Csonziem. Co więcej, posiada też listę ich statków. Proszę wybrać z niej sześć najszybszych jednostek. One, razem z naszymi czterema mniejszymi statkami, będą stanowiły liderów grup uderzeniowych. Porucznik Mboya przekaze pani listę oficerów, którzy czasowo obejmą dowodzenie tymi jednostkami.

– Wiem, o co chodzi, sir – odparła Domak. – Jestem jedną z nich.

– Każdy z dowódców zgrupowania będzie przyjmował rozkazy bezpośrednio ode mnie. Nikt nie wyłamie się z formacji i nikt nie odda strzału, jeśli ja mu na to nie pozwolę. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Świetnie. Pani zadanie będzie polegało na uświadomieniu pozostałej dziewiątce, czego od nich wymagam.

– Tak jest.

Jej hologram zniknął, a na jego miejscu pojawiła się sylwetka Forrice'a.

– Co się dzieje, Wilsonie? – zapytał Molarianin.

– Znaleźliśmy jego flotę. Wyruszamy tak szybko jak to tylko możliwe. Nie wracaj na „Teddy'ego R.”, Domak i Christine przekażą ci, na jakim statku masz się zameldować.

– Czy Sharon podała ostateczną listę jednostek? – zapytał Cztery Oczy. – Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, a było to niespełna dziesięć minut temu, mieliśmy flotę składającą się z tysiąca dwustu trzydziestu siedmiu statków.

– Aż tylu się zgłosiło?

– Zapisy wciąż trwają.

– Świetnie – ucieszył się Cole. – Czas skopać czyjeś dupsko.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Wszystko odbyło się spokojnie, dokładnie tak, jak to Cole planował, gdy wyruszał na czele wielkiej

flory.

Zwiadowcy namierzyli Csontiego w systemie Offenbach. Było z nim trzydzieści siedem jednostek, wliczając w to „Rudego Sfinksa”.

Wodzowi wystarczyło jedno spojrzenie na gigantyczną chmurę statków, które zmierzały w jego stronę, aby podjąć natychmiastową decyzję o szybkim odwrocie. Większość pozostawionych przez niego podwładnych kręciła się bezradnie, nie wiedząc, co robić. Tylko jeden statek – „Rudy Sfinks” – utrzymywał niezmiennie dotychczasową pozycję.

Chwilę później na pokład „Teddy'ego R.” dotarła podprzestrzenna wiadomość:

„Dzisiaj wygraliście, ale to jeszcze nie koniec”.

– Chce pan odpowiedzieć, sir? – zapytała Christine.

– Tak, chyba powinienem. Jestem na fonii?

– Tak, sir.

– Powtórz to jeszcze raz, Csonti, a polecimy za tobą choćby do samego Jądra Galaktyki i skopiemy ci dupsko.

Przez chwilę panowała cisza.

– Odebrał przekaz, sir – zameldowała Christine. – Ale nie odpowiedział.

– I dobrze. Teraz powinienem przemówić do pozostałych statków.

– Łącznie z „Rudym Sfinksem”, sir?

– Tak. Bez względu na to, czy Wal będzie słuchała czy nie, na pewno wie już, co chcę im zaoferować. Daj mi znać, kiedy mogę zacząć.

Minutę później skinęła głową.

– Wszystko gotowe, sir.

– Dziękuję – powiedział i odchrząknął głośno. – Nazywam się Wilson Cole i jestem kapitanem „Teodora Roosevelta”. Wasz przywódca uciekł jak ostatni tchórz, zostawiając was wszystkich na naszej łasce. Macie więc trzy opcje do wyboru. Możecie zostać i walczyć, ale to oznacza pewną śmierć. Możecie lecieć za Csontim, nie będziemy do was strzelać ani was ścigać, ale jeśli kiedykolwiek wrócicie do tego sektora, zostanieie natychmiast odszukani i zabici. Możecie też przystąpić do floty „Teodora Roosevelta”, a co za tym idzie wszystkie wasze wcześniejsze występki, łącznie z dzisiejszym, pójdą w zapomnienie. Czwartego wyjścia nie ma. Daję wam siedem minut na podjęcie decyzji.

– Stawiam pięćset do jednego, że nikt nie wybierze opcji numer jeden – stwierdził Briggs.

– Zaczynają się zgłaszać, sir – zameldowała Christine.

– Proszę mi podać wynik za dziesięć minut – poprosił Cole.

Poznał go po siedmiu minutach. Dwadzieścia dwa statki zadeklarowały przystąpienie do floty, piętnaście wybrało ponieważ w nieznanych częściach galaktyki.

– A co z Wal? – zapytał.

– „Rudy Sfinks” nie zareagował. Nie strzela, nie porusza się w żadnym kierunku, nie odpowiada na sygnały.

– Zdaje się, że tym sposobem chce nam przekazać, iż się nie boi – powiedział Wilson. – I dobrze, rozkażcie flocie, włączając w to jednostki, które się nam poddały, powrót na Stację Singapur.

– A co z „Rudym Sfinksem”?

Cole wzruszył ramionami.

– Poleci za nami, jeśli zechce.

Rozdział trzydziesty drugi

Cole zdecydował o wydaniu załogom przepustek na cały tydzień, gdy po przybyciu na Stację Singapur dokonał kilku odpraw z udziałem kapitanów i starszych oficerów nowo zdobytych jednostek.

Wal pojawiła się następnego dnia i weszła do kasyna tak swobodnie, jakby go nigdy nie opuszczała, ale trzeba uczciwie przyznać, że potem trzymała się z dala od załogi „Teddy'ego R”. Nie dziwiło to nikogo, w końcu, pomimo tego, że nie oddała ani jednego strzału, gotowa była przyjąć pieniądze za zniszczenie stacji, po której pokładzie teraz paradowała.

Cole i Sharon wynajęli w hotelu pokój, który wydawał im się gigantyczny w porównaniu z ciasnymi wnętrzami okrętu. Forrice dzielił czas pomiędzy ulubiony burdel dla Molarian a stół do storta. Jacovic spotkał kilku kolejnych Teroni i spędzał większość wolnego czasu w ich towarzystwie. Pozostali członkowie załogi także znaleźli sobie sposoby na dobrą zabawę.

Perez pojawił się w kasynie trzeciego dnia i podszedł prosto do stolika Platynowego Księcia, przy którym biesiadowali jak zwykle właściciel kasyna, Cole, Sharon i Dawid Copperfield.

- Czy mogę z panem porozmawiać, sir? – poprosił, zwracając się do Wilsona.
- Woli pan rozmawiać na osobności czy możemy tutaj? – zapytał Cole.
- Mogę mówić otwarcie, sir – odparł Perez. – Chciałbym prosić o przyjęcie do załogi „Teodora Roosevelta”. Zgodzę się na obojętnie jakie stanowisko, byle odejść z „Rudego Sfinksa”.
- Co się stało?
- Powiedziałem jej, że nie wykonam rozkazu otwarcia ognia do „Teodora Roosevelta”. Zamknęła mnie w areszcie i wypuściła dopiero dzisiaj rano, mówiąc, że mam się wynosić i nie wracać na jej statek, co mi zresztą bardzo odpowiadało.
- Jestem w stanie ją zrozumieć – stwierdził Cole. – Nie wykonał pan rozkazu wydanego przez przełożonego, i to w obliczu starcia z wrogiem.
- Pisałem się na walkę u pańskiego boku, a nie z panem, sir – odparł Perez. – Jeśli mnie pan nie przyjmie, pozostanę na Stacji Singapur do momentu znalezienia pracy na innym statku.
- Z tym akurat nie będzie problemu – powiedział kapitan. – Mam teraz więcej statków, niż potrafię wymienić z pamięci... – Westchnął ciężko. – Dobrze, znajdę miejsce dla pana.
- Dziękuję, sir.
- Perez odwrócił się i podszedł do jednego ze stołów do gry.
- To dobry fachowiec – stwierdził Wilson.
- Jak i komandor Jacovic – dodała Sharon.
- Wiem. Pewnie z dziesięciu następnych fachmanów zgłosi się do nas jeszcze w tym tygodniu – dodał. – Szkoda, że wyszkolimy ich wszystkich tylko po to, żeby dostać bardziej lukratywne kontrakty dla najemników. Przecież flota składająca się z prawie trzydziestu cholernych jednostek powinna znaleźć lepsze zastosowanie.
- Do diaska – wtrącił Książę – jeśli brakuje wam celu i wyzwania, chętnie zapłacę za wypowiedzenie wojny admirał Garcii.
- Szanse stają się coraz bardziej wyrównane – przyznał Cole – ale to wciąż kilkaset milionów do dwudziestu siedmiu statków.
- A nie dwudziestu ośmiu? – zapytała Sharon.
- Ona była gotowa zabić nas dla pieniędzy – wyjaśnił Wilson. – Wprawdzie nasza profesja polega na walce za pieniądze i nie powinienem mieć jej tego za złe, ale nie widzę już miejsca dla Wal w naszej flocie.

– A ja mam jej to za złe – stwierdził Książę. – Nawet nie zajrzała, żeby przeprosić albo chociaż się wytłumaczyć. Spójrzcie tylko na nią. Siedzi tam, pije i gra, jakby znajdowała się na innej stacji.

– Wiem, jakimi ścieżkami biega jej myśli – wyjaśnił mu Cole. – Ona nie widzi powodu do przeproszania kogokolwiek.

– Był pan dla niej zbyt pobłażliwy.

– Prawdę powiedziawszy, większość załogi „Teddy'ego R.”, jeśli nawet nie wszyscy, zawdzięcza jej życie – odparł kapitan. – Może stąd mamy dla niej tyle pobłażliwości.

Książę pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem pańskiego podejścia do tej sprawy.

– Ja kiedyś myślałam, że to proste – wtrąciła Sharon. – Wydawało mi się, że on po prostu się w niej zadurzył. Ale nie. On po prostu widzi w niej kogoś wielkiego.

– Przyznasz, że ma wiele cech i zdolności, za które można ją polubić – odparł Cole.

– Jest wielka i silna – rzucił człowiek z platyny, nie okazując wielkiego entuzjazmu. – Zupełnie jak Csonti.

– Ona jest o wiele lepsza od niego – zapewnił go Wilson. – Kiedy sprowadziłem ją na pokład „Teddy'ego R.”, wszyscy członkowie załogi byli jej zdecydowanie wrodoży. Chyba tylko dwie osoby nie miały nic przeciw jej awansowaniu na trzeciego oficera. A już po paru tygodniach stała się najpopularniejszą osobą na okręcie... – zamilkł na moment. – Kapitanowie, jak zwykła przypominać mi nieustannie obecna tutaj szefowa sekcji bezpieczeństwa, nigdy nie powinni opuszczać okrętu na terytorium wroga. Zrobiłem to kilkakrotnie. Za każdym razem Wal pilnowała mojego tyłka i nigdy mnie nie zawiodła. – Spojrzał na drugi koniec sali i dostrzegł kłęby rudych włosów nad jednym ze stołów. – Będzie nam jej brakowało.

– Stracił ją pan, ale zyskał za to dwadzieścia dwa nowe statki – przypomniał mu Książę. – Powiedziałbym, że jest pan nieźle do przodu.

– A co ty o tym myślisz, Dawidzie? – zapytał Cole.

– Osobiście wolałbym mieć pannę Walkirię niż te statki – odparł Copperfield.

Kapitan spojrzał przez stół na szefa stacji.

– No i ma pan odpowiedź.

– Rozumiem – odparł Książę. – W końcu zna pan swoich ludzi lepiej niż ja. Ale moim zdaniem idealizuje pan zwykłą zdrajczynię.

– Ma pan prawo do własnego zdania – zgodził się Wilson. – Do licha, może nawet ma pan rację. Mój

osąd nie musi być jedynie słuszny. – Uśmiechnął się ponuro. – Gdyby taki był, pewnie dalej walczyłbym dla admirała Garcii.

– Proszę nawet tak nie myśleć! – powiedział człowiek z platyny.

– Wilson! Padnij! – zawołała nagle Sharon.

Zdziwiony Cole spojrzał w jej stronę w momencie, gdy ciężkie krzesło przemknęło w powietrzu i trafiło go w głowę.

Upadł na podłogę, podniósł się niezdarnie na nogi, krew ze sporego rozcięcia na czole zalewała mu lewe oko. Dłuższą chwilę zajęło mu odzyskanie równowagi i skupienie wzroku w jedynym sprawnym oku, ale gdy to uczynił, zobaczył przed sobą Csontiego.

– Jak tyś się tu dostał? – zdołał wymamrotać.

– Myślałeś, że mam tylko jeden statek? – zapytał olbrzym. – Przecież ci powiedziałem, że się jeszcze spotkamy! Będę ostatnią osobą, jaką ujrzysz w swoim marnym życiu.

Uderzył prawym sierpowym. Cole, z zakrwawionym okiem, nie mógł go zobaczyć. Gdy cios sięgnął celu, przeleciał przez stół Księcia.

– Wstawaj, mały człowieczku! – darł się Csonti. – Wstawaj i chodź na spotkanie własnej śmierci!

Cole usiłował wstać, ale kolana ugięły się pod nim, spróbował więc jeszcze raz. Zanim zdołał to zrobić, ktoś wskoczył na plecy wielkoluda, obejmując jego szyję rękami.

Csonti ryknął ze zdziwienia, cofnął się o kilka kroków i zdołał w końcu chwycić jeden z nadgarstków przeciwnika. Przez moment trwali nieruchomo. Potem rozległ się głośny trzask i mężczyzna położył chwyt.

To był Perez. Nie ulegało wątpliwości, że Csonti złamał mu rękę. Ale nie poprzestał na tym, odwrócił się i chwycił oszołomionego bólem przeciwnika za gardło. Perez szarpał się w żelaznym uścisku, ale jego ruchy słabły z każdą sekundą i moment później znieruchomiał. Csonti pozwolił bezwładnemu ciału upaść na podłogę.

– Głupi, głupi człowieczku! – wycharczał olbrzym i kopnął nieprzytomnego mężczyznę w głowę. – Myślałeś, że mnie powstrzymasz?! – Odwrócił się do Cole'a, który chwiejąc się mocno na nogach, próbował zatamować krew płynącą z rany na czole. – Gdzie to skończyliśmy?

W tym momencie wkroczył między nich nienagannie ubrany kosmita.

– Zostaw go! – zawołał Dawid Copperfield drżącym głosem.

– Zejdź mi z drogi, zanim zmiażdżę cię jak insekta! – ostrzegł go Csonti.

Dawid zadrżał, ale nie ruszył się z miejsca.

– To mój przyjaciel. Nie pozwolę ci go skrzywdzić.

– To robi się naprawdę zabawne! – wycharczał wielkolud, uśmiechając się krzywo. – Wiesz, co z tobą zrobisz, ty śmieszny, mały wypierdku? – Zrobił szybki krok do przodu. – Wyrwę ci uszy, a potem wydłubię oczy, żebyś już nigdy nie stawał pomiędzy Csontim a jego wrogiem!

Wyciągnął rękę w stronę kosmity, ale go nie dosięgnął. Silna kobieca dłoń chwyciła go za nadgarstek.

– Może spróbujesz sił z dorosłymi – zaproponowała Wal, odpychając go od siebie. – Wracaj pod stół, Dawidzie – dodała. – Ja się nim teraz zajmę.

– Do ciebie nic nie mam! – ryknął Csonti, robiąc się nagle ostrożniejszy. – Chcę jego! – wskazał na Cole'a.

– Nie zawsze możesz mieć to, czego chcesz, dupku – odparła, wymierzając mu silne kopnięcie w kolano. – I tak nigdy cię nie lubiłam.

Wstał bardzo szybko, utykając lekko, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Wymierzył cios, którym pozbawiłby ją głowy, gdyby trafił. Wal zrobiła jednak zręczny unik i uderzyła kantem dłoni w jabłko

Adama. Csonti złapał się za gardło, rozpaczliwie chwytając oddech, a ona, wykorzystując jego nieuwagę, kopnęła go prosto w twarz. Gdy wstał po raz kolejny, nie miał już prawie nosa.

– Cienki jesteś – rzuciła z pogardą Wal. – U licha, nawet Byk Pampas nie spociłby się przy tobie.

– Do cholery, pracowałaś dla mnie!

Csonti wyszarpnął z cholewy sztylet i rzucił się na nią. To, co wydarzyło się później, działo się tak szybko, że chyba nie było dwóch świadków, którzy opisaliby wydarzenia w ten sam sposób, ale wszyscy byli zgodni co do jednego: Csonti wyleciał w powietrze do góry nogami i wydał z siebie przeraźliwy wrzask, gdy padał na podłogę. Przetoczył się na plecy, tryskając krwią z tętnicy rozciętej własnym sztyletem, na który nadział się po upadku.

Konał jeszcze przez trzy minuty. Nikt nie pośpieszył mu z pomocą, nikt nie próbował zatamować upływu krwi. Gdy stało się pewne, że Csonti nie żyje, Księżę przywołał dwa roboty sprzątające i nakazał im zutylizować jego ciało w atomizerze na odpadki, znajdującym się za kuchnią kasyna.

Wal spojrzała na Dawida.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała. – Jesteś najbardziej strachliwą istotą, jaką znam!

– Przecież to mój przyjaciel – odparł Copperfield.

– On zabiłby cię w pięć sekund.

– Wiem.

Cole, wciąż półprzytomny, usiadł na krześle, a Sharon zajęła się opatrywaniem jego ran. Perez zanieśiono do ambulatorium na „Teddym R.”.

Gdy kapitan oprzytomniał, natychmiast położył rękę na ramieniu Copperfielda.

– Dziękuję ci, Dawidzie – wymamrotał. – Widziałem, co zrobiłeś.

– Nie jesteś nawet członkiem jego załogi – stwierdziła Wal, marszcząc brwi w zamyśleniu. – Ale i tak zaryzykowałeś dla niego życiem.

– Steerforth jest człowiekiem honoru, a niewielu ich już pozostało – odparł kosmita. – Czyż może istnieć ważniejszy powód?

– A Perez, który nie chciał walczyć za miliony, które nam oferowano, rzucił się na Csontiego zupełnie za darmo – kontynuowała, wpatrując się w Cole. – Dla ciebie.

Kapitan z trudem skupił na niej wzrok.

– Jeśli liczysz na to, że powiem, iż nie byłem tego wart, to się grubo mylisz. – Spróbował się uśmiechnąć, ale jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Prawdę powiedziawszy, właśnie tego się po tobie spodziewałam.

– Skoro tak ci na tym zależy, nie jestem wart takiego poświęcenia.

– A właśnie, że jesteś! – wydarła się Sharon, wciąż tamując krew płynącą z rozcięcia na jego czole.

– Chyba każdy członek załogi „Teddym R.” zrobiłby dla ciebie to samo na jego miejscu.

– Ale dlaczego? – zapytała Wal, wściekła na siebie za to, że nie rozumie. – Jestem chyba jedyną osobą na Stacji Singapur, której Csonti nie zagrażał. Każdego innego, kto stawiałby mu czoła, pewnie by zabił.

– Jeśli sama tego nie wiesz, ja ci nie wytłumaczę – stwierdziła Sharon.

Wal stała, milcząc i rozmyślając, przez niemal minutę. W końcu się odezwała.

– Perez może sobie wziąć „Rudego Sfinksa”. I dajcie temu Teroni jakiś statek. Wracam na stanowisko trzeciego oficera „Teddym R.”. Dopóki nie zrozumie, dlaczego Perez i Dawid zrobili to dla ciebie i jak zmusić własną załogę do takich poświęceń, będę się tego uczyć od was.

– Ja decyduję o tym, kto jest moim trzecim oficerem – powiedział Cole.

– Masz rację – odparła. – Mam się uczyć od ciebie, a nie wydawać ci rozkazy. Wyrwałam się przed szereg, przepraszam.

– Możesz to powtórzyć?

– Powiedziałam, że przepraszam.

Na moment zapadła cisza.

– Witam w gronie dorosłych... trzeci oficerze – powiedział kapitan, zanim stracił przytomność.

Epilog

Cole unowocześnił system komunikacyjny okrętu, aby móc utrzymywać równoległą łączność z dwudziestoma siedmioma podległymi mu statkami.

Najpotężniejszą z nowo zdobytych jednostek okazała się „Cicha Strzałka” i Wilson mianował Jacovica jej dowódcą. Perez wrócił na stanowisko kapitana „Rudego Sfinksa”. Dawid Copperfield i Platynowy Książę dobili kilku targów i załatwili parę naprawdę lukratywnych zleceń. „Teddy R.” właśnie wyruszał realizować pierwsze z nich.

– Wie pan, przyjacielu, w tych czasach znalezienie dobrego zajęcia dla tak dużej floty nie należy do prostych zadań. – Dawid Copperfield tłumaczył to kapitanowi, gdy siedzieli razem w mesie. – Dziewięćdziesiąt osiem procent zleceń nie wymaga zaangażowania tak dużej ilości jednostek, a pozostali klienci nie są w stanie zwrócić nawet kosztów planowanej operacji.

– I dlatego mamy ciebie, Dawidzie – stwierdził Wilson, gładząc się po świeżej bliznie, która zdobiła jego czoło tuż nad lewym okiem.

– Raczej mnie i Księcia – sprostował kosmita. – Zdecydowaliśmy się zostać współnikami.

– We wszystkim?

– Nie, jedynie w pośrednictwie, mój drogi Steerforth – wyjaśnił Dawid. – Chociaż nie powiem, z przyjemnością zostałbym udziałowcem tak wspaniałego interesu, jakim jest Stacja Singapur, zwłaszcza że jest to teraz także nasza siedziba.

– Jestem pewien, że możesz odkupić kilka tutejszych szulerni – stwierdził kapitan.

– Już to zrobiłem. Wilson roześmiał się.

– Dlaczego mnie to nie dziwi...? – zamilkł na kilka sekund. – Wiesz, że teraz możesz zostawać na stacji?

– Proszę nie wygadywać głupstw – prychnął Copperfield. – Przecież nie poradzilibyście sobie beze mnie.

– Skoro tak twierdzisz...

Hologram Wal pojawił się przed nimi.

- Jesteśmy gotowi do wyjścia, sir – powiedziała.
- Świetnie – odparł Cole. – Przekaż rozkaz na inne statki. Czas zacząć przedstawienie.
- Tak jest, sir – odparła i hologram zniknął.
- Słyszałeś to, Dawidzie? – zapytał kapitan i zaczął się śmiać. – Powiedziała do mnie „sir”. I to dwa razy.
- Nawet nasz nieśmiertelny Karol nie byłby w stanie wyliczyć tych wszystkich cudów – odparł Copperfield.
- Z niecierpliwością oczekuję rezultatów naszych następnych dwóch misji – oświadczył Cole, gdy „Teddy R.” powoli wychodził w przestrzeń. – Jesteśmy silni, zwarc i gotowi, dysponujemy całą eskadrą, mamy nawet po swojej stronie dowódcę Piątej Floty Federacji Teroni, no i Walkiria wróciła.
- Wydaje się pan bardzo dumny z tego faktu, mój drogi Steerforth – zauważył kosmita.
- I jestem dumny. Jak na okręt wygnańców, ścigany przez wszystkie rządy galaktyki, zaszliśmy całkiem daleko.
- Czy mam panu przypomnieć, przyjacielu ze szkolnej ławy, co prowadzi do zła?
- Oszczędź mi banałów, Dawidzie – poprosił Cole. – Zobacz sam, czego dokonaliśmy wbrew wszystkiemu, a sam spokojnie spojrzysz w przyszłość. – Dopił kawę. – Zaczęliśmy od jednego okrętu. Teraz mamy ich dwadzieścia siedem. Dowodzą nimi cholernie dobrzy oficerowie i posiadamy siłę ognia pozwalającą przeciwstawić się każdej potędze Wewnętrznej Granicy. Co może pójść nie tak?

Jeśli istniał galaktyczny duch, w którego tak wierzyli pierwsi astronauty, na pewno miał niezły ubaw, słuchając tych słów.

Aneksy

Aneks pierwszy

JAK POWSTAŁ WSZECHŚWIAT PIERWORODNYCH

Zacząło się w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Oglądałem w towarzystwie Carol w miejscowym kinie jakiegoś koszmarnego gniota i gdzieś tak w połowie wymamrotałem: „Dlaczego

marnuję czas na siedzenie tutaj, skoro mógłbym robić coś naprawdę interesującego, na przykład opisać historię rodzaju ludzkiego od jego narodzin aż po wyginięcie?". Po chwili Carol szepnęła w odpowiedzi: „Właśnie, dlaczego tego nie zrobisz?". Zebraliśmy się natychmiast, wyszliśmy z kina i jeszcze tej nocy rozpisałem plan nowej powieści noszącej tytuł: „*Birthright: The Book of Man*", w której zamierzałem zarysować losy ludzkości od momentu, kiedy człowiek zdołał przekroczyć prędkość światła aż po jego wyginięcie osiemnaście tysięcy lat później.

Miałem przed sobą masę pisania. Podzieliłem odległą przyszłość na pięć epok politycznych – Republikę, Demokrację, Oligarchię, Monarchię oraz Anarchię – i osadziłem w nich akcję dwudziestu sześciu opowiadań (nazwanych potem w „Analogu”, nie bez racji zresztą, „demonstracyjnymi”), w których zająłem się wszystkimi najważniejszymi aspektami ludzkiej rasy, zarówno dobrymi, jak i złymi jej stronami. Nie było w nich jednego bohatera – głównie za sprawą tego, że akcja każdego rozgrywała się w odstępach co najmniej kilkuset lat (o ile nie uznacie za niego Człowieka przez duże C, z czym akurat moglibyście polemizować – ja przynajmniej tak bym zrobił – bowiem moim zamierzeniem było przedstawienie studium zachowań jednostki).

Sprzedalem ten pomysł wydawnictwu Signet, razem z powieścią „*The Soul Eater*". Pomysł „wszechświata Pierworodnych” tak spodobał się mojemu ówczesnemu wydawcy, Sheili Gilbert, że natychmiast poprosiła, abym wprowadził do książki parę zmian i umieścił jej akcję właśnie w tej przyszłości. Zgodziłem się, a same zmiany nie zabrały mi więcej niż jeden dzień. Podobną prośbę Sheila wyraziła także, ale niejako awansem, do powstających właśnie tetralogii „*Tales of the Galactic Midway*” i „*Tales of the Velvet Comet*” oraz powieści „*Valpurgis III*”. Z perspektywy czasu zauważam, że tylko dwie z trzynastu powieści, jakie napisałem dla Signetu nie dotyczyły tych realiów.

Kiedy przeniósłem się do wydawnictwa Tor Books, mój nowy wydawca, Beth Meacham, także zapalała chęcią kontynuacji uniwersum Pierworodnych i większość książek złożonych u niej – nie wszystkie, ale naprawdę zdecydowana większość – mieściła się w tych ramach: „*Santiago*”, „*Ivory*”, „*Paradise*”, „*Purgatory*”, „*Inferno*”, „*A Miracle of Rare Design*”, „*A Hunger in the Soul*”, „*The Outpost*” i „*The Return of Santiago*”.

Gdy Ace wyraził chęć wydania „*Soothsayer*”, „*Oracle*” i „*Propheta*”, prowadząca go Ginjer Buchanan także założyła, że dostarczę jej teksty umieszczone w rzeczywistości uniwersum Pierworodnych – i tak też się stało, gdyż w tym okresie wiedziałem już znacznie więcej o osiemnastu tysiącach lat historii człowieka w kosmosie i dwóch milionach światów, które odwiedził. Dlatego pisało mi się o tych wydarzeniach o wiele szybciej i prościej.

Prawdę powiedziawszy, zacząłem także umieszczać w tym uniwersum akcję moich opowiadań. Dwa z nich, te, które zdobyły nagrody Hugo („*Seven Views of Olduvai Gorge*” i „*The 43 Antarean Dynasties*”) także dotyczyły świata Pierworodnych, jak i z piętnaście innych tekstów opublikowanych w tamtych latach.

Także Bantam, do którego przeniósłem się po jakimś czasie, gdy doszło do rozmów z Janną Silverstein (choć odeszła z firmy do innego wydawnictwa, zanim zamówione przez nią książki się ukazały), liczył na to, że także trylogia „*Widowmaker*” zostanie wpleciona w mój wielki projekt. Potraktowałem więc słowa Janny jak klasyczne zamówienie i zrealizowałem je.

Ostatnio wręczyłem Meishy Merlin kolejną książkę – nie zgadniecie – także osadzoną w tych realiach.

A gdy przyszło mi zasugerować powstanie serii klasycznego science fiction w wydawnictwie Pyr, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ich akcja nie będzie się rozgrywała we wszechświecie Pierworodnych.

W ciągu tych niemal czterdziestu lat napisałem tak wiele tekstów dotyczących tej wersji przyszłości, że nie pamiętam już dokładnie, kto i kiedy nakłonił mnie do rozwinięcia mojego pomysłu. A szkoda, bo chciałbym mu gorąco podziękować.

Aneks drugi

HISTORIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

Najgęściej zaludnionym sektorem wszechświata Pierworodnych (a mówię tutaj zarówno o ilości systemów, jak i ich mieszkańców) jest twór polityczny ewoluujący od Republiki przez Demokrację i Oligarchię do Monarchii. W jego granicach znajdują się miliony zamieszkanych i nadających się do zamieszkania planet. Ziemia okazała się zbyt mała i za bardzo oddalona od galaktycznych szlaków, by pozostać stolicą Człowieka, i dlatego właśnie kilka tysięcy lat po rozpoczęciu ekspansji centrum geopolityczne zostało przeniesione na Delurosa VIII, ogromną planetę o powierzchni niemal dziesięciokrotnie większej od tej, którą dysponowaliśmy na Ziemi, ale o niemal identycznej grawitacji i składzie atmosfery. W środkowym okresie, zwanym Demokracją, powiedzmy, że za około cztery tysiące lat, wszystkie lądy tej planety pokryje jedno ogromne miasto. Natomiast w czasach Oligarchii nawet taki gigant jak Deluros VIII stanie się zbyt ciasny dla miliardów biurokratów, zarządzających galaktycznym imperium i aby temu zaradzić, dojdzie do rozbicia innego giganta, Delurosa VI, na czterdzieści osiem ogromnych planetoid, aby na każdej z nich umieścić jeden z departamentów rządowych (z czego cztery przypadną wojsku).

Ziemia tymczasem stanie się przyjaznym zadupiem, gdzieś na końcu spiralnego ramienia galaktyki. Nie sędzę, bym umieścił na niej akcję zbyt wielu utworów.

Przestrzeń na skraju galaktyki zyskały miano Obrzeży, na tym obszarze niewiele jest zamieszkanych planet, a jeśli już, to posiadają nielicznych mieszkańców. Tereny te nie mają żadnej wartości militarnej, zatem ich patrolowanie można powierzyć pojedynczym, niewielkim jednostkom, takim właśnie jak „Teodor Roosevelt”, które chronią czasem nawet setki rozsianych po Obrzeżach światów. W późniejszych erach terytoria te staną się własnością wojowniczych władców feudalnych, ale ich szaleństwa, ze względu na odległość i małą wagę Obrzeży, ujdą uwadze rządzących centrum galaktyki

albo zostaną wręcz zignorowane.

Mamy tu jeszcze Wewnętrzną i Zewnętrzną Granicę. Zewnętrzną Granicą nazywa się terytoria rozciągające się pomiędzy skrajnymi sektorami Republiki, Demokracji, Oligarchii i Monarchii a Obrzeżami, natomiast Wewnętrzna Granica to o wiele mniejszy (ale wciąż olbrzymi) obszar w samym centrum galaktyki, rozciągający się pomiędzy masywną czarną dziurą leżącą w jej środku, a granicami Republiki et cetera.

Na terytoriach Wewnętrznej Granicy rozgrywa się akcja większości tekstów, jakie napisałem o wszechświecie Pierworodnych. Lata temu znakomity pisarz R.A. Lafferty zadał znaczące pytanie: „Czy w przyszłości, gdy nad wszystkim panować będzie duch nauki, znajdzie się miejsce dla mitologii? Czy wielkie czyny będą opisywane po epicku czy tylko liniami kodu komputerowego?”. Stwierdziłem, że gotów jestem poświęcić sporą część życia zawodowego, by stworzyć taką mitologię przyszłości, doszedłem też do wniosku, że takie opowieści, w których mamy wybitne postacie i barwne tło, wymagają umiejscowienia na terenach słabiej zamieszkanych, gdzie trudno o rzetelnego kronikarza, który spisałby dokładnie wszystkie fakty, za to łatwo o rządzących, którzy zrobią wszystko, aby prawda o tych wydarzeniach nie wyszła na jaw. I tak dość arbitralnie wybrałem Wewnętrzną Granicę na miejsce narodzin mojej mitologii i zaludniłem ją ludźmi o charakterystycznych nazwiskach, takich jak Catastrophe Baker, Widowmaker, Cyborg de Milo czy wiecznie młody Forever Kid. Dzięki takim zabiegom mogę snuć opowieści o wielkich bohaterach (a czasami i antybohaterach), ale także i bardziej realistyczne historie rozgrywające się o tysiące lat świetlnych od Granicy, w sercu Republiki czy Demokracji albo ich kolejnych wcieleń.

Przez dziesiątki lat wypełniałem galaktykę treścią. Mam w niej dobrze znane gromady gwiazdne, jak Albion, Quinellus czy też im podobne, oraz kilka nowych, które pojawiają się dopiero na kartach tej książki, jak na przykład Feniks czy Kasjusz. Są pojedyncze planety, niektóre nawet okazują się na tyle ważne dla opowieści, że trafiają do tytułów książek (Valpurgis III), niektóre przewijają się w kilku okresach historycznych i poświęconych im tekstach (Deluros VIII, Antares III, Binder X, Keepsake, Spica II), a wiele innych, setki (a teraz już chyba tysiące nawet) planet (a także ras, co sobie teraz uświadomiłem) wspomniane są jeden jedyny raz.

Mam też w tym świecie jeśli nie krainy zła, to przynajmniej nielojalną opozycję. Niektóre z tych tworów, na przykład imperium Sett, rozpoczną wojnę z ludzkością i na tym koniec. Inne, jak Bliźnięta Canphora (czyli Canphor VI i VII) zostaną podzielone i częściowo będą służyć po naszej stronie przez niemal dziesięć tysięcy lat. Ale już taki Lodin XI nie będzie tak stabilny, zaś jego poparcie dla ludzkości zależeć będzie od aktualnej sytuacji politycznej.

Wciąż jeszcze konstruuje mój wszechświat, rozbudowuję go politycznie i geograficznie od ponad trzydziestu pięciu lat i z każdym opowiadaniem czy powieścią staje się on coraz pełniejszy, przynajmniej dla mnie. Dajcie mi jeszcze trzy dekady, a będę święcie wierzył w każde słowo, które o nim napisałem.

Aneks trzeci

CHRONOLOGIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

Rok Era Epoka Tytuł

1885 A.D. „The Hunter" (Ivory)

1898 A.D. „Himself" (Ivory)

1982 A.D. *Sideshow*

1983 A.D. *The Three-Legged Hootch Dancer*

1985 A.D. *The Wild Alien Tamer*

1987 A.D. *The Best Rootin' Tootin' Shootin' Gunslinger In the Whole Damned Galaxy*

2057 A.D. „The Politician" (Ivory)

2988 A.D. = 1 G.E.

16 G.E. Republika „The Curator" (Ivory)

264 G.E. Republika „The Pioneers" (Birthright)

332 G.E. Republika „The Cartographers" (Birthright)

346 G.E. Republika *Walpurgis III*

367 G.E. Republika *Eros Ascending*

396 G.E. Republika „The Miners" (Birthright)

401 G.E. Republika *Eros at Zenith*

442 G.E. Republika *Eros Descending*

465 G.E. Republika *Eros at Nadir*

522 G.E. Republika „All the Things You Are"

588 G.E. Republika "The Psychologists" (Birthright)

616 G.E. Republika *A Miracle of Rare Design*

882 G.E. Republika "The Potentate" (Ivory)

962 G.E. Republika „The Merchants" (Birthright)

1150 G.E. Republika "Cobbling Together a Solution"

1151 G.E. Republika "Nowhere in Particular"

1152 G.E. Republika „The God Biz"

1394 G.E. Republika „Keepsakes"

1701 G.E. Republika "The Artist" (Ivory)

1813 G.E. Republika „Dawn" (Paradise)

1826 G.E. Republika *Purgatory*

1859 G.E. Republika „Noon" (Paradise)

1888 G.E. Republika "Midafternoon" (Paradise)

1902 G.E. Republika „Dusk" (Paradise)

1921 G.E. Republika *Inferno*

1966 G.E. Republika *Starship: Mutiny*

1967 G.E. Republika *Starship: Pirate*

1968 G.E. Republika *Starship: Mercenary*

1969 G.E. Republika *Starship: Rebel*

1970 G.E. Republika *Starship: Flagship*

2122 G.E. Demokracja „The 43 Antarean Dynasties"

2154 G.E. Demokracja „The Diplomats" (Birthright)

2275 G.E. Demokracja "The Olympians" (Birthright)

2469 G.E. Demokracja „The Barristers" (Birthright)

2885 G.E. Demokracja „Robots Don't Cry"

2911 G.E. Demokracja "The Medics" (Birthright)

3004 G.E. Demokracja "The Policitions" (Birthright)

3042 G.E. Demokracja The Gambler" (Ivory)

3286 G.E. Demokracja *Santiago*

3322 G.E. Demokracja *A Hunger in the Soul*

3324 G.E. Demokracja *The Soul Eater*

3324 G.E. Demokracja „Nicobar Lane: The Soul Eater's Story"

3407 G.E. Demokracja *The Return of Santiago*

3427 G.E. Demokracja *Soothsayer*

3441 G.E. Demokracja *Oracle*

3447 G.E. Demokracja *Prophet*

3502 G.E. Demokracja „Guardian Angel"

3719 G.E. Demokracja „Hunting the Snark"

4375 G.E. Demokracja "The Graverobber" (Ivory)

4822 G.E. Oligarchia "The Administrators" (Birthright)

4839 G.E. Oligarchia *The Dark Lady*

5101 G.E. Oligarchia *The Widowmaker*

5103 G.E. Oligarchia *The Widowmaker Reborn*

5106 G.E. Oligarchia *The Widowmaker Unleashed*

5108 G.E. Oligarchia *A Gathering of Widowmakers*

5461 G.E. Oligarchia "The Media" (Birthright)

5492 G.E. Oligarchia "The Artists" (Birthright)

5521 G.E. Oligarchia "The Warlord" (Ivory)

5655 G.E. Oligarchia "The Biochemists" (Birthright)

5912 G.E. Oligarchia "The Warlords" (Birthright)

5993 G.E. Oligarchia "The Conspirators" (Birthright)

6304 G.E. Monarchia *Ivory*

6321 G.E. Monarchia "The Rulers" (Birthright)

6400 G.E. Monarchia "The Symbiotics" (Birthright)

6521 G.E. Monarchia "Catastrophe Baker and the Cold Equations"

6523 G.E. Monarchia *The Outpost*

6599 G.E. Monarchia "The Philosophers" (Birthright)

6746 G.E. Monarchia "The Architects" (Birthright)

6962 G.E. Monarchia "The Collectors" (Birthright)

7019 G.E. Monarchia "The Rebels" (Birthright)

16201 G.E. Anarchia "The Archaeologists" (Birthright)

16673 G.E. Anarchia "The Priests" (Birthright)

16888 G.E. Anarchia "The Pacifists" (Birthright)

17001 G.E. Anarchia "The Destroyers" (Birthright)

21703 G.E. "Seven Views of Olduvai Gorge"

Aneks czwarty

STACJA SINGAPUR

krótki rys historyczny

Stacja Singapur stała się sławna na całą galaktykę ze względu na jej niezwykle status dyplomatyczny i ożywioną wymianę handlową. Choć bywali i tacy, którzy odwiedzali ją, aby podziwiać niespotykane rozwiązania techniczne zastosowane podczas jej konstruowania. W czasach, gdy Stacja Saville i Posterunek Lewisa zdecydowały się na połączenie sił, obie części składowe tworzące załazek inwestycji, z którego wyrosła Stacja Singapur w dzisiejszym kształcie, posiadały podobne źródła zasilania, standardowe atmosfery i niewiele się różniące konstrukcje. Pomimo tak daleko idącego podobieństwa, na miejsce pobytu nowej stacji wybrano punkt Lagrange'a w innym systemie gwiezdny, aby zminimalizować oddziaływania grawitacji na nowo tworzoną strukturę. W ciągu pierwszych pięćdziesięciu lat istnienia Stacji Singapur akceptowano przyłączanie do niej tylko tych obiektów, które posiadały atmosferę tlenową. Nowe źródła zasilania i systemy komunikacyjne łączono w jedną, główną sieć tam, gdzie to było możliwe. Służby powietrzne i doki poszczególnych stacji służyły za bazę do budowy stałych połączeń albo przenoszono je na rosnące wciąż obrzeża Stacji Singapur. Niektóre z elementów zostały przez nią wchłonięte do tego stopnia, że tylko z nazwy można było wywnioskować, do którego z dawnych obiektów należały. W innych rejonach udawało się za to zachować odrębność oryginalnych instalacji orbitalnych. Naprężenia całej konstrukcji były nieustannie monitorowane i balansowane. W całej historii tego obiektu nie było jednego przypadku, by jakiś element składowy wyłamał się z całości bądź samoistnie rozszedł – co jest naprawdę niesamowite, zważywszy stopień komplikacji struktury. Wszystkie poziomy stacji uzyskiwały wkrótce połączenia z częścią portową dzięki zastosowaniu jednolitego systemu wind towarowych i osobowych. Stacje kolejek i szyby wind były jednymi z nielicznych elementów, jakie wznoszono już na potrzeby Stacji Singapur jako całości. Rzadko zdarzało się, by wykorzystywano konstrukcje istniejące na przyłączanych do niej instalacjach orbitalnych. Przesył towarów został zautomatyzowany, wykorzystano do tego celu specjalne kapsuły poruszające się po magnetycznych torach. Wszystkie sekcje doków, przy których mogły cumować statki, zostały połączone kolejką jednoszynową z zapleczem gospodarczym. Co charakterystyczne dla tej stacji, na poziomach posiadających standardową atmosferę nie istniał praktycznie żaden środek mechanicznego transportu.

Gdy z propozycją przyłączenia do kompleksu zwróciła się pierwsza orbitalna struktura, na której pokładzie oddychano pochodnymi chloru, inżynierowie odpowiedzialni za jego budowę zgłosili stanowczy protest. Łączenie ze sobą dwóch potencjalnie zabójczych środowisk uznano za zbyt ryzykowne. Także systemy zasilania i standardy budowy obiektów chlorowych różniły się znacznie od stosowanych przez ludzi. Chlor jest bardzo aktywnym pierwiastkiem, mogącym powodować korozję wielu metali, zatem stacje, na których go stosowano, wykorzystywały wiele elementów z kamienia zamiast wszechobecnej na Singapurze stali. W końcu jednak doszło do zawarcia rozsądnego kompromisu. Stworzono zupełnie nowy poziom stacji, niepołączony bezpośrednio z dwoma wcześniej istniejącymi tlenowymi. Ulokowano go po drugiej stronie pierścienia transportowego. Został tym sposobem zintegrowany z główną strukturą stacji, ale jednocześnie pozwolono mu zachować możliwość decydowania o dynamice i stabilności tego sektora. Ilość połączeń z systemami transportowymi była ograniczona, istoty oddychające chlorem mogły korzystać wyłącznie z sekcji dla nich przystosowanych. Ale ten przykład zachęcił inne, obce, niestandardowe instalacje orbitalne do akcesji. Kolejnym poziomem, który stworzono, był tak zwany sektor negocjacyjny, na którym nie było atmosfery. Znajdował się on pod poziomem chlorowym. Umieszczono na nim sale konferencyjne, serwery komputerów, instalacje transportowe i ratunkowe. Poziom ten pozostawał pusty poza

momentami, gdy różne rasy prowadziły na nim negocjacje i dodatkowo stanowił bufor pomiędzy instalacjami dla istot oddychających chlorem i amoniakiem.

Część stacji dla tych ostatnich składała się z wielu połączonych cylindrów i sfer, w których panowało zróżnicowane ciśnienie atmosferyczne, ciężenie i temperatura. Wiele z nich błyszczało jasno, ponieważ obudowano je odbijającymi światło materiałami, co miało pomóc w utrzymywaniu niskich temperatur, w których zazwyczaj żyły rasy zamieszkujące amoniakowe księżyce. Niektórzy z ich mieszkańców preferowali też mieszanki amoniakowo-metanowe. Ich sektory służyły za interfejs łączący ze strukturą Stacji Singapur ostatni jej poziom, czyli gigantyczne habitaty dla istot oddychających metanem. Dwie z tych olbrzymich instalacji orbitalnych stanowiły ostatni niestandardowy dodatek do Stacji Singapur. Były to wielkie jaja, okolone masywnym ożebrowaniem, które pozwalało zachować w ich wnętrzu wysokie ciśnienie, wymagane przez jedyną rasę istot oddychających czystym metanem, która rozwinęła się we wnętrzu gazowych gigantów.

W tym samym czasie, w którym dodawano kolejne obiekty do poziomów chlorowych, amoniakowych i metanowych, po drugiej, standardowej stronie Stacji Singapur także trwała gorączkowa rozbudowa. Dodano cztery nowe poziomy, osiągając średnicę niemal pięciu mil, licząc najdalej wysunięte konstrukcje. Niektóre z umieszczonych tam elementów nie posiadały zbyt dobrych połączeń z sąsiednimi, często ze względu na budowę oryginalnych obiektów. Te, które wpasowały się idealnie w ogólną strukturę i były łatwo dostępne, bardzo szybko stawały się centrami handlowymi. Stacje, na których była nieliczna załoga, ale za to nie brakowało łatwo dostępnych powierzchni, wydawały się rajem dla kupców i lokalnych producentów. Natomiast sektory pozbawione dobrych łączy transportowych przeznaczano na poziomy mieszkalne i magazynowe.

Czasami podrzędne elementy kompleksu zyskiwały niespodziewane znaczenie. Dla przykładu, kopuła eksperymentalnej farmy stanowiła kiedyś część wielkiego kompleksu badawczego. Teraz, otoczona zewsząd korpusami później dobudowanych sektorów i oświetlana wyłącznie sztucznym światłem, stała się jednym z nielicznych parków połączonych z jednymi z najdroższych rezydencji Stacji Singapur. Albo weźmy wielki zbiornik wody, który w początkowej fazie istnienia kompleksu stanowił barierę antyradiacyjną dla poziomów mieszkalnych, a teraz był jednym z najchętniej odwiedzanych sektorów rekreacyjnych i służył dodatkowo jako rezerwuuar wody dla całego kompleksu. Na licznych poziomach Stacji Singapur można znaleźć wiele podobnych, niesamowitych miejsc. Jeśli chcecie je ujrzeć na własne oczy, powinniście jednak wynająć miejscowego przewodnika. Życzę wam wiele przyjemności podczas zwiedzania Stacji Singapur.

Deborah Oakes pracuje jako inżynier w branży aeronautycznej, jest też od lat miłośniczką fantastyki oraz sekretarzem i skarbnikiem szanownego stowarzyszenia Cincinnati Fantasy Group.

Aneks piąty

PLAN KASYNA „U KSIĘCIA”

Autorstwa Deborah Oakes

Aneks szósty

KRÓLOWE PIRATÓW

Spisany przez Mike'a Resnicka

W czasie pisania tego aneksu wydarzyło się coś ciekawego. Zacząłem otrzymywać tony maili od czytelników drugiego tomu „Starshipa” i zauważyłem, że większość z nich dotyczy postaci Wal. Pomimo tego, że pojawiła się dopiero po połowie drugiego tomu, stała się od razu jedną z najbardziej ulubionych postaci.

Wielu z was pytało w swojej korespondencji, skąd wzięłem pomysł na królową piratów. Uznałem zatem, że czas wyznać pewną prawdę: królowe piratów są obecne w literaturze dłużej niż gatunek science fiction. A skoro tak, może zechcecie dowiedzieć się nieco więcej o ich historii.

Hugo Gernsback, człowiek, który stworzył podwaliny pod nowy gatunek literacki, wydając w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym pierwszy numer „Amazing Stories”, określał go terminem science fiction (pierwotna wersja brzmiała niezbyt fortunnie „scienifiction”), czyli dziedziną literatury, którą będą czytali młodzi chłopcy zainteresowani jednocześnie współczesną nauką. Dziewczynek nie brał pod uwagę, sądząc zapewne, że będą zbyt zajęte zabawą lalkami.

Niestety, młodzi chłopcy nie stanowili zbyt dochodowej grupy docelowej w czasach Wielkiego Kryzysu, więc po debiucie takich postaci jak Buck Rogers, Hawk Carse czy załoga „Skylarka”,

opisana przez Doca Smitha, wydawcy uznali, że pora zwrócić się z ofertą także do starszych chłopców w wieku od piętnastu do dziewiętnastu lat.

I tak pojawiły się królowe piratów.

Jedną z najbardziej pamiętnych przedstawicielek tego zawodu jest z pewnością Belit, stanowiąca wielką konkurencję dla samego Conana w klasycznym już tekście Roberta E. Howarda „Królowa Czarnego Wybrzeża”.

Potem pojawił się Stanley Weinbaum ze swoją Red Peri, która, podobnie jak Belit, wyglądając niczym młoda Sophia Loren, posiadała jednocześnie siłę i zwinność Tarzana.

A. Merritt dodał jeszcze prześwietną Sharane, boginię, kurtyzanę, kapłankę i królową piratów w jednym, na pokładzie „Statku Isztar”.

I tak, w jednej chwili, klasyczna Mandzia Oborzanka przeistoczyła się we władającą mieczem piękność zwaną królową piratów, czasem dobrą, czasem złą, ale zawsze ubraną jak przystało na dobre tropiki. Strach było otworzyć lodówkę, żeby nie trafić na jakąś.

A potem pojawił się ktoś, czyli John W. Campbell Jr., najbardziej wpływowy redaktor w dziejach gatunku zwanego science fiction. Przejął pod koniec lat trzydziestych ubiegłego stulecia wydawanie magazynu „Astounding”, uczynił z niego najbardziej prestiżowe czasopismo na tym polu, płacąc jednocześnie tak dobrze (jak na owe czasy), że autorom opłacało się przepisywać kilkakrotnie swoje dzieła pod jego dyktando, niż sprzedawać je bez tych poprawek innym wydawcom.

Campbell nie pozwalał jednak na łamach „Astounding” na żadne frywolności – a nikt chyba nie zaprzeczy, że pirackie królowe emanowały czystym seksem, sprawiając, że chłopcy, ci prawdziwi i ukryci w ciele dorosłych, tak chętnie po nie sięgali.

Ale one nie zniknęły – nikt przy zdrowych zmysłach nie zabija kury znoszącej złote jajka – przeniosły się jedynie do tańszych czasopism, w których płacono ćwierć albo góra pół centa od słowa i gdzie wszelkie subtelności od razu leciały za okno i nikt nie miał zbyt wygórowanych wymagań. Chłopcy pragnęli bohaterów, z którymi mogliby się identyfikować i dlatego pozytywnymi postaciami mogli być tylko faceci... Ale ci sami klienci pragnęli także roznegliżowanych królowych piratów i dlatego na przestrzeni kolejnych lat zajęły one znaczące miejsce wśród czarnych charakterów, które dybały na los całych galaktyk (zazwyczaj usidlając po jednym bohaterze na odcinek).

Post, jaki zafundował swoim czytelnikom Gernsback, sprawił, że emigrując do pulpowych czasopism tamtej ery, królowe piratów musiały parodiować same siebie. Temat ten poruszył pisarz głównego nurtu William Knoles w humorystycznym, ale i nostalgicznym tekście z listopadowego numeru Playboya z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, noszącym tytuł „Girls for Slime God”, w którym przypominał wszystkie te zapomniane damy i ich szokujące kreacje. Definicja Knolesa znakomicie je opisywała: „W odróżnieniu od innych dam kosmosu, pirackie królowe (to termin ogólny i mieszczą się w nim zarówno najwyższe kapłanki, jak i despotyczne amazonki) potrafiły brać sprawy w swoje ręce i radziły sobie z nimi aż do ostatnich stron książek. Z równą rozkoszą masakrowały pasażerów międzygwiazdnych liniowców, torturowały z zazdrości główne bohaterki i z zimną krwią uwodziły

bohaterów".

Niestety, miał człowiek rację. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym zebrałem artykuł Knowlesa, prześmiewczą odpowiedź na ten tekst pióra samego Issaca Asimova („Playboy and the Slime God”), trzy opowiadania Henry'ego Kuttnera o królowej piratów oraz całą masę pokrewnych materiałów i złożyłem z nich antologię „Girls for the Slime God”, którą wydało Obscura Press.

Nawet takie stare dziady jak niżej podpisany stroiły sobie żarty z klasycznych królowych piratów panujących nam w latach czterdziestych minionego stulecia. W moim opowiadaniu zatytułowanym „Catastrophe Baker and Cold Equations” kobieta przyłapana na podróżowaniu na gapę statkiem głównego bohatera, pyta go wprost, w jaki sposób tak szybko odkrył, czym się naprawdę zajmuje. „Cóż, psze pani – odparł mój bohater – z wieloletniego doświadczenia wiem, że królową piratów można poznać po egzotycznie brzmiącym imieniu, lubieżnej naturze, niszczącej duszę chciwości i dumnie wypiętym, obfitym biuście”.

Pirackie królowe z lat czterdziestych są naprawdę łatwym celem.

Ale jak każdy chłopak, który spogląda w lustro, zastanawiając się jednocześnie, skąd u niego tyle siwych włosów i czemu nie znajdują się tam gdzie trzeba, czyli na szczycie głowy, czuję wielki sentyment do tych postaci. I dlatego pomyślałem, że powinienem przywołać do życia jedną z nich, może nie taką pustogłową, ale za to biuściastą piękność, jak jej antenatki z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego. Sięgnąłem nieco dalej, do źródeł gatunku, tam, gdzie ukryta była Belit, Red Peri i inne prawdziwe królowe piratów, bliskie krewniaczki takich postaci jak stworzona przez C. L. Moore'a cudowna Jirel z Joiry.

Wiedziałem, że musi wyglądać zabójczo, ale osiągnięcie tego przy przeciętnym wzroście wydawało mi się zbyt proste i dlatego uczyniłem ją wyższą od najlepszych koszykarek. Wiedziałem, że powinna mieszkać na Wewnętrznej Granicy i być kapitanem pirackiego statku przynajmniej od dziesięciu lat. Miała być twarda jak skała – jaka inna kobieta utrzymałaby w ryzach załogę składającą się z samych bandziorów? Przypuszczałem też, że powinna pić nieco za dużo, uprawiać wolny seks, kiedy zechce i kłąć jak szewc – ale te wszystkie przywary nie powinny przesłonić jej zalet Wilsonowi Cole'owi, który nie będzie jej partnerem od uciech, ale ma z niej wykrzesać wszystko co najlepsze. Miał przypominać trenera ujeżdżającego wyjątkowo upartego, ale rasowego dwulatka. Trenera, który stara się wypracować najlepszą formę konia, nie łamiąc jednocześnie jego ducha.

Miałem wiele zabawy, obmyślając tę postać, ale zaskoczyło mnie, jak szybko i gorąco pokochali ją czytelnicy.

I pomyślałem, że może – ale tylko może – czytelnicy science fiction są gotowi na powrót (westchnienie) królowych piratów.